

„SERIA **NAJZNAMIENITSZYCH KRYMINAŁÓW**, JAKIE  
KIEDYKOLWIEK WYSZŁY SPOD PIÓRA AMERYKANINA”.

*WASHINGTON POST*

**MICHAEL  
CONNELLY**  
**PŁONĄCY  
POKÓJ**

Tytuł oryginału:  
THE BURNING ROOM

Copyright © 2014 by Hieronymus, Inc.  
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Łukasz Kuć  
Korekta: Emilia Grzeszczak, Maria Zając, Edyta Antoniak-Kiedos

ISBN: 978-83-8110-266-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.  
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

## Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Podziękowania

</

*Detektywowi Rickowi Jacksonowi,  
z podziękowaniem za służbę w Mieście Aniołów  
i z nadzieją, że za drugim podejściem  
spodobają mu się uroki emerytury.  
Trafiaj do dołka za pierwszym razem!*

*Książka ta nie jest oparta na faktach. Wszystkie zawarte w niej nazwiska, postacie i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora, a jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żywych bądź martwych, do przedsiębiorstw i zdarzeń jest czysto przypadkowe.*

# 1

Boschowi zdawało się to jakąś szczególnie okrutną, niekończącą się torturą. Teresa Corazon garbiła się nad stalowym stołem, a jej dłonie w zakrwawionych rękawiczkach zanurzone były głęboko w pozbawionym wnętrzości ciele. Operowała kleszczami oraz jakimś instrumentem o długim ostrzu, który nazywała „nożem do masła”. Nie była zbyt wysoka, musiała więc stanąć na palcach, żeby dosięgnąć swym narzędziem we właściwe miejsce. Dla uzyskania efektu dźwigni wsparła się biodrem o stół sekcyjny.

W tej makabrycznej scenie Boschowi najbardziej doskwierał widok potwornie okaleczonego przed śmiercią ciała. Zwłokom brakowało obu nóg, a jedno ramię kończyło się tuż poniżej barku. Chirurgiczne blizny były stare, lecz ich intensywnie czerwony kolor sprawiał, że wyglądały na świeże. Usta mężczyzny otwierały się w niemym krzyku, a oczy wpatrywały się w sufit, jakby błagając Boga o litość. Bosch dobrze wiedział, że martwi nie cierpią już okrucieństw tego życia, ale mimo wszystko miał ochotę powiedzieć „dość”. Zapytać, kiedy to się skończy. Przecież śmierć winna przynosić wytchnienie po mękach żywota.

Ale nic nie powiedział. Stał w milczeniu i tylko patrzył, jak setki razy wcześniej. Ważniejsza od oburzenia i chęci zaprotestowania przeciwko dalszym okrucieństwom wobec ciała Orlanda Merceda była konieczność uzyskania pocisku, który Corazon próbowała wyjąć z kręgosłupa martwego mężczyzny.

Teresa opadła z powrotem na pięty, aby odpocząć. Wypuściła powietrze z płuc, pokrywając osłonę na oczy tymczasową mgiełką. Zerknęła na Boscha przez zaparowany plastik.

– Już blisko – powiedziała. – I wiesz co? Słusznie zrobili, że nie próbowali jej od razu wyciągnąć. Musieliby przeciąć cały Th-12.

Bosch kiwnął głową, wiedząc, że miała na myśli dwunasty kręg odcinka piersiowego kręgosłupa.

Corazon odwróciła się do stolika, na którym spoczywało jej instrumentarium.

– Potrzebuję czegoś innego... – rzekła.

Odłożyła „nóż do masła” do stalowego zlewu. Z kranu cały czas płynęła woda, toteż jej poziom utrzymywał się w okolicach otworu przelewowego. Teresa sięgnęła dłonią w lewo, ku zestawowi wysterylizowanych narzędzi chirurgicznych, wybrała jakiś długi, wysmukły instrument i ponownie zabrała się do pracy, zanurzając ręce w pustym kadłubie ofiary. Wszystkie narządy wewnętrzne oraz jelita zostały usunięte, zważone i zapakowane w worki, tak że pozostała jedynie skorupa na rusztowaniu żeber. Corazon raz jeszcze wspięła się na palce i naprężając z całej siły górną połowę swego ciała, stalową wykałaczką wydobyła wreszcie pocisk z kręgosłupa. Bosch usłyszał grzechot w klatce piersiowej ofiary.

– Mam!

Teresa wysunęła ramiona z ziejącego otworu, położyła długie narzędzie na stole, po czym spryskała jego cażki wodą z węża. Następnie uniosła „wykałaczkę”, przez chwilę badawczo przyglądała się znalezisku. W końcu wcisnęła stopą podłogowy aktywator dyktafonu i zaczęła mówić do mikrofonu.

– Z przedniej części dwunastego kręgu piersiowego wyjęto pocisk. Odkształcony, z wyraźnymi spłaszczeniami. Sporządzę dokumentację fotograficzną i oznaczę ją swoimi inicjałami, a następnie przekażę detektywowi Hieronimusowi Boschowi z Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych Departamentu Policji Los Angeles.

Znów nacisnęła stopą pedał rejestratora dźwięku i wyłączyła nagrywanie. Mogli rozmawiać nieoficjalnie. Uśmiechnęła się do Boscha przez plastikową szybkę.

– Przepraszam, Harry, wiesz, jaka ze mnie formalistka.

– Nie sądziłem, że będziesz pamiętać.

Kiedyś łączył go z Teresą krótki romans, ale minęło sporo czasu. Poza nią niewiele osób wiedziało, jak mu na imię.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedziała z udawanym oburzeniem.

W zachowaniu Teresy Corazon dawało się obecnie wyczuć nieomal pokorę, co kiedyś wydawało się nie do pomyślenia. Była karierowiczką, która w końcu dostała to, czego pragnęła – stanowisko głównego medyka sądowego wraz ze wszystkimi jego przywilejami i pułapkami, do których należały także występy w telewizyjnych reality show. Gdy jednak obejmuje się tak wysokie stanowisko publiczne, siłą rzeczy człowiek staje się



politykiem, a politycy czasami wypadają z łask. Teresa zaliczyła twarde lądowanie i znów znajdowała się w miejscu, od którego zaczynała: była zastępcą koronera i miała pełne ręce roboty, jak wszyscy inni w tej instytucji. Tyle dobrego, że przynajmniej pozwolono jej zachować własną salę sekcyjną. Na razie.

Corazon położyła pocisk na kontuarze, zrobiła mu zdjęcia, a następnie oznaczyła go nieścieralnym czarnym markerem. Bosch już czekał z małą foliową torebką na materiał dowodowy, do której wsunęła kulę. Zgodnie z procedurą napisał na woreczku inicjały swoje i wykonującego autopsję medyka i zaczął się przyglądać zniekształconemu pociskowi. Mimo wyraźnych uszkodzeń kuli Harry doszedł do wniosku, że prawdopodobnie pochodzi ona z broni kalibru .308, czyli z karabinu. A jeśli tak, to dostali właśnie bardzo ważną nową informację w sprawie.

– Zostaniesz do końca, czy masz już wszystko, po co przyszedłeś?

Zadała to pytanie tak, jakby między nimi jeszcze coś było. Bosch podniósł torebkę z dowodem rzeczowym.

– Muszę to dać do zbadania. Wiele oczu przygląda się tej sprawie.

– No tak. W takim razie dokończę sama. A nawiasem mówiąc, co się stało z twoją partnerką? Wydawało mi się, że widziałam ją w holu.

– Musiała zadzwonić.

– Ach, a ja myślałam, że chce nas zostawić sam na sam. Mówiłeś jej o nas?

Uśmiechnęła się i zatrzepotała rzęsami. Harry odwrócił wzrok, zakłopotany.

– Nie, Tereso. Wiesz, że nie rozmawiam o takich rzeczach.

Kiwnęła głową.

– Nigdy nie rozmawiałeś. Jesteś mężczyzną, który nie zdradza swoich tajemnic.

– Staram się – odrzekł, zwracając oczy na Teresę. – Poza tym to było dawno.

– I ogień zgasł, co?

Bosch spróbował zmienić temat.

– Przejdźmy do rzeczy. Nie znalazłaś nic więcej ponad to, o czym napisano w szpitalu, tak?

Teresa dała za wygraną.

– Nie, wszystko się zgadza. Sepsa. Zakażenie krwi, mówiąc potocznie.

Możesz to puścić do mediów.

– A co z tym postrzałem? Nie widzisz związku? Zeznasz tak przed sądem?

Corazon pokręciła głową, nim jeszcze Bosch skończył mówić.

– Pan Merced zmarł z powodu zakażenia krwi, ale jego śmierć, moim zdaniem, należy traktować jako zabójstwo. Morderstwo, które ciągnęło się przez dziesięć lat, Harry, i chętnie tak zeznam. Mam nadzieję, że ta kula pomoże ci znaleźć sprawcę.

Bosch skinął głową i ścisnął w ręce plastikowy woreczek z pociskiem.

– Ja też – powiedział.

## 2

Bosch zjechał windą na parter. W ostatnich latach władze hrabstwa wydały na remont siedziby koronera trzydzieści milionów dolarów, ale windy poruszały się tak samo opieszale jak dawniej. Lucię Soto zastał przy tylnej rampie, opartą o puste nosze na kółkach i wpatrzoną w ekran swojej komórki. Była niska, proporcjonalnie zbudowana i ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Miała na sobie stylowy, brązowy żakiet, modny obecnie wśród kobiet detektywów, bo pozwalał chować broń na biodrze, niekoniecznie w torebce. Poza tym żadna sukienka nie przydawała kobiecie tyle władzy i autorytetu. Pod spód Soto włożyła kremową bluzkę, która dobrze pasowała do jej gładkiej, śniadej skóry.

Lucia podniosła wzrok na Boscha i nerwowo się wyprostowała, jak dziecko, które zostało przyłapane na czymś zdrożnym.

– Mam – powiedział Bosch, unosząc torebkę z pociskiem.

Soto wzięła ją od niego i przez chwilę przyglądała się kuli. Za jej plecami pojawiło się dwóch pracowników kostnicy, którzy popchnęli pusty wózek w kierunku drzwi tak zwanej Wielkiej Krypty. Była to nowa przybudówka, w której mieściła się chłodnia wielkości sklepu Mayfair Market. To tam wjeżdżały wszystkie zwłoki, by czekać na swoją kolejkę.

– Duża – powiedziała Soto.

– I długa – dodał Bosch. – Wydaje mi się, że powinniśmy szukać karabinu.

– Jest w niezbyt dobrym stanie – skomentowała Lucia. – Wygląda jak grzybek.

Oddała woreczek Boschowi, który schował go do kieszeni płaszcza.

– Do analizy porównawczej chyba wystarczy – powiedział. – Może będziemy mieć farta.

Mężczyźni za plecami Soto otworzyli drzwi Wielkiej Krypty, żeby wprowadzić tam wózek. Ze środka powiało zimnym powietrzem, a wraz z nim dobiegł się nieprzyjemny chemiczny odór. Lucia odwróciła się i zdążyła jeszcze omieść wzrokiem gigantyczne wnętrza chłodni: rzędy zwłok, jeden za

drugim, rozłokowane na czteropoziomowym rusztowaniu. Zmarli owinięci byli w matową folię, spod której wystawały im tylko stopy. Karteczki z nazwiskami, przychepione do dużych palców, trzepotały w podmuchach wentylatorów.

Soto szybko odwróciła oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Bosch, widząc, że nagle pobladła na twarzy.

– Tak, wszystko gra. To po prostu wydaje mi się... okropne.

– A pomyśl, że i tak mamy do czynienia ze znacznym postępem. Kiedyś zwłoki leżały pokotem na korytarzach. Czasem upychano je jedne na drugich, zwłaszcza po burzliwym weekendzie. Ależ wtedy zalatywało.

Soto uniosła rękę, powstrzymując Boscha przed dalszym wywodem.

– Skończyliśmy tutaj?

– Tak.

Harry ruszył przed siebie, a Lucia poszła w jego ślady. Miała skłonność do chodzenia tuż za nim i Bosch czasem się zastanawiał, czy to jakiś dziwny sposób okazywania szacunku wobec jego wieku, stopnia, a może czegoś innego, czy może zwykły brak pewności siebie. Skierował się ku schodom na końcu rampy, skąd prowadził skrót na parking dla gości.

– Dokąd jedziemy? – spytała Soto.

– Oddamy pocisk do analizy. À propos farta: dzisiaj mają w laboratorium broni palnej „środe otwartych drzwi”. Potem skoczymy po akta i dowody rzeczowe na Hollenbeck.

– Okej.

Zeszli po schodach i ruszyli przez parking dla pracowników. Ten dla gości znajdował się z boku budynku.

– Dzwoniłaś? – zapytał Bosch.

– Słucham? – odpowiedziała pytaniem zaskoczona Soto.

– Mówiłaś, że musisz zadzwonić.

– Ach... Tak, dzwoniłam. Przepraszam.

– Nie ma problemu. Załatwiłaś, co chciałaś?

– Tak, dzięki.

Bosch domyślał się, że Lucia nigdzie nie dzwoniła. Podejrzewał, iż Soto wolała się wymigać od sekcji zwłok, ponieważ nigdy dotąd nie widziała wypatroszonego ludzkiego ciała. Dopiero niedawno trafiła do Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych i w ogóle Wydziału Zabójstw i było to jej

trzecie śledztwo prowadzone wspólnie z Boschem, a zarazem pierwsze, w którym mieli trupa na tyle świeżego, że nadawał się do przeprowadzenia autopsji. Zgłaszając się do jednostki, Soto zakładała zapewne, że nie będzie musiała uczestniczyć w sekcjach zwłok. Najtrudniejszym elementem pracy w Wydziale Zabójstw i Rozbojów był widok i zapach rozkładających się ludzkich ciał. Do czegoś takiego nie sposób się przyzwyczaić. Na szczęście w jednostce zajmującej się zbrodniami sprzed lat zazwyczaj nie było takiej konieczności.

Ostatnimi czasy poziom przestępczości w Los Angeles znacznie zmaleł, w tym także – a może przede wszystkim – liczba popełnianych zabójstw. Fakt ten sprawił, że miejscowa policja zmieniła swoje priorytety oraz praktyki śledcze. Ponieważ nowych spraw było mniej, kierownictwo Wydziału Zabójstw postanowiło skupić się na wyjaśnianiu tych zadawnionych. A skoro w ciągu minionego półwiecza zarejestrowano w aktach ponad dziesięć tysięcy zabójstw, których sprawców nie ustalono, roboty nie brakowało. W poprzednim roku Sekcja Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych powiększyła się nieomal trzykrotnie i otrzymała nowe szefostwo, które składało się obecnie z kapitana i dwóch poruczników. Przeniesiono do niej wielu zaprawionych w bojach detektywów z Sekcji Specjalnej oraz z innych elitarnych jednostek Wydziału Zabójstw. W skład nowej jednostki weszli również młodszy funkcjonariusze z niewielkim doświadczeniem. Obowiązująca na dziewiątym piętrze Biura Komendanta Głównego doktryna głosiła, że na zewnątrz rozpościera się nowy, nieznany świat, w którym dominują nowoczesne technologie oraz odmienne postrzeganie rzeczywistości, i choć nic nie może zastąpić śledczego know-how, nie zaszkodzi połączyć siły i wziąć pod uwagę innego punktu widzenia tudzież odmiennych doświadczeń życiowych.

Wspomnianych młodych detektywów – szyderczo nazywanych „elitką” – kierowano do Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych z rozmaitych powodów: niektórzy korzystali z koneksji politycznych, inni wykazywali się szczególną bystrością, a jeszcze innych nagradzano w ten sposób za heroizm w pełnieniu służby. Jeden z takich śledczych pracował wcześniej jako informatyk w szpitalu, gdzie administrował skomputeryzowanym systemem wypisywania recept, i zanim został policjantem, odegrał kluczową rolę w wyjaśnieniu sprawy morderstwa pewnego pacjenta. Inny detektyw studiował chemię i był stypendystą Fundacji Rhodessa. W wydziale znalazł

się nawet były śledczy policji z Haiti.

Soto miała zaledwie dwadzieścia osiem lat i niecałe pięć lat stażu. Zaliczała się do tak zwanych „gładkich rękawów” – na mundurze nie miała ani jednego paska – a na stanowisko detektywa awansowała dzięki korzystnemu zbiegowi okoliczności. Jako Meksykanka z pochodzenia mówiła biegle po angielsku i po hiszpańsku. W karierze pomógł jej również fakt, że stała się jednodniową bohaterką mediów: gdy w sklepie alkoholowym w Pico-Union wybuchła strzelanina z napastnikami, w której zginęli niewinni ludzie, ona i jej partner skupili na sobie uwagę czterech bandytów. Tamten policjant został śmiertelnie ranny, ale Soto sama zdjęła dwóch rabusiów, pozostałych zaś trzymała w szachu, dopóki na miejsce nie przybyła jednostka SWAT i nie dokończyła dzieła. Napastnicy okazali się członkami gangu z Trzynastej Ulicy, jednego z najgroźniejszych w mieście, a heroiczna postawa młodej policjantki wywołała szeroki oddźwięk w gazetach, w Internecie oraz w telewizji. Komendant policji Gregory Malins przyznał obojgu funkcjonariuszom Medal za Odwagę – z tym że partner Lucy otrzymał to odznaczenie pośmiertnie.

Kapitan Crowder, nowy szef Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych, uznał, że najlepszym sposobem na pełne wykorzystanie wydziałowego narybku będzie rozbicie dotychczasowych dwójek i przydzielenie każdemu ze starych wyjadaczy partnera bez doświadczenia. Bosch był w jednostce najstarszy i miał najdłuższy staż, dlatego otrzymał do pary najmłodszą z nowych – Lucię Soto.

– Jesteś starym wygą, Harry – tłumaczył mu Crowder. – Chcę, żebyś miał oko na tę dziewczynę, bo jest kompletnym żółtodziobem.

Bosch nie przejmował się zbytnio, gdy wypominano mu wiek, niemniej jednak wiadomość, że dostanie nowego partnera, wcale go nie ucieszyła. Zaczynał się ostatni rok jego pracy w departamencie, z wolna zbliżała się policyjna emerytura. Każdy dzień, jaki mu jeszcze został w pracy, był dlań na wagę złota. Spędzone w niej godziny traktował jak diamenty, coś najbardziej wartościowego na świecie. Po namyśle uznał, że być może tak właśnie należy zakończyć karierę – szkoląc młodego, niedoświadczonego detektywa i znosząc wszystko, co się z tym zadaniem wiązało. Kiedy Crowder oznajmił mu, że jego nową partnerką będzie Lucia Soto, Harry poczuł się zadowolony. Jak wszyscy zatrudnieni w departamencie, słyszał o wyczynie Soto i jej bohaterskiej postawie wobec bandytów. Bosch wiedział, jak to jest kogoś

zabić podczas służby, a także, co oznacza śmierć partnera. Rozumiał tę mieszaninę rozpachy i poczucia winy, którą musiała odczuwać Soto. Doszedł do wniosku, że będzie mu się z nią dobrze pracować i że zrobi z niej solidnego dochodzeniowca.

Przy okazji Lucia wniosła w ten układ miły i niespodziewany dla Boscha bonus. Ponieważ była kobietą, podczas wyjazdów służbowych nie musiała dzielić z nią hotelowego pokoju, bo każde dostawało własny. To było naprawdę coś. Funkcjonariusze z ich sekcji podróżowali często i traktowali noclegi w hotelach jak chleb powszedni. Większość sprawców zabójstw wyjeżdżała w siną dal w nadziei, że fizyczna odległość od miejsca zbrodni uchroni ich przed odpowiedzialnością. Bosch bardzo chciał doczekać do emerytury bez konieczności dzielenia łazienki z jakimś facetem i znoszenia jego chrapania czy innych odgłosów wydawanych w ciasnym pokoju któregoś z hoteli sieci Holiday Inn.

Wtedy, w ciemnej uliczce, Soto nie wahała się ani chwili, wyjmując broń mimo liczebnej przewagi przeciwnika, jednak przyglądanie się sekcji zwłok to coś zupełnie innego. Tego ranka, gdy Bosch powiedział jej, że złapali świeży trop i muszą pojechać do siedziby koronera na sekcję, Soto przyjęła to ze skrywaną niechęcią. Jej pierwsze pytanie brzmiało: „Czy naprawdę oboje musimy w tym uczestniczyć?”. Śledztwa prowadzone przez Sekcję Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych dotyczyły zbrodni sprzed lat, w związku z czym zwłoki przebywały w ziemi na tyle długo, że śledczym pozostawała właściwie tylko analiza starych kartotek i materiału dowodowego. Dzięki temu Soto mogła rozpracowywać najcięższe zbrodnie – czyli morderstwa – bez konieczności oglądania autopsji. Ani zwłok na miejscu zbrodni.

Przynajmniej tak się wydawało do dzisiejszego ranka, kiedy Crowder zadzwonił do Boscha, gdy ten był jeszcze w domu.

Kapitan spytał, czy Bosch miał już okazję czytać poranne wydanie „Los Angeles Timesa”, ten zaś odparł, że go nie prenumeruje. Tak nakazywała długoletnia tradycja obustronnej wzgardy, jaką darzyły się te dwa światy: wymiar sprawiedliwości i media.

Wtedy kapitan zaczął opowiadać o artykule z pierwszej strony, który miał się stać przyczynkiem do nowego zadania dla Boscha i Soto. Słuchając, Harry otworzył laptopa i znalazł witrynę internetową „Timesa”, na której cała historia została mocno wyeksponowana.

Tytuł głosił: „Orlando Merced nie żyje”. Nazwisko Merceda stało się

w Los Angeles głośne dziesięć lat temu, gdy padł on ofiarą strzelaniny na Mariachi Plaza w Boyle Heights. Pocisk, który przypadkiem trafił go w brzuch, przeleciał wcześniej przez cały plac od strony Boyle Avenue; policja uznała, że była to zabłąkana kula z wymiany ognia między gangami.

Do zdarzenia doszło w sobotę o godzinie szesnastej. Merced miał wtedy trzydzieści jeden lat i grał w zespole mariachi na vihueli, podobnym do gitary pięciostrunowym instrumencie wchodzącym w skład tradycyjnej meksykańskiej kapeli ludowej. Wraz z trójką kolegów z zespołu Orlando należał do kilkunastu mariachis polujących na placu na jakiś zarobek – koncert w restauracji, quinceañerę, może nawet wesele *last minute*. Kula, która go niespodziewanie ugodziła, najpierw zniszczyła mahoniową obudowę instrumentu, a następnie wbiła mu się w potężny brzuch i utknęła w kręgosłupie mężczyzny.

Normalnie Orlando Merced byłby jedną z wielu ofiar tego miasta, o której media piszą i natychmiast zapominają – wzmianka na cztery akapity w „Timesie”, trzydziestosekundowa relacja w kanałach anglojęzycznych, trochę dłużej w mediach latynoskich.

Wszystko zmienił jednak drobny kaprys losu: trzy miesiące wcześniej Merced i jego zespół, Los Reyes Jalisco, występowali na weselu Armanda, Zeyasa, członka rady miejskiej, który ubiegał się właśnie o stanowisko burmistrza.

Merced przeżył. Kula uszkodziła mu kręgosłup, czyniąc zeń inwalidę i gwiazdę kampanii. Zeyas woził biedaka na wózku na wiece i dbał, by ten był obecny podczas wszystkich jego przemówień. Wskazywał niewinną ofiarę strzelaniny jako symbol zaniedbań, które dotknęły wschodnie dzielnice Los Angeles. Poziom przestępczości był tam wysoki, a zainteresowanie ze strony policji nikłe i ten, kto postrzelił Merceda, nadal nie został ujęty. Władze nie potrafiły sobie poradzić z gangami, podstawowe usługi świadczone przez miasto kulały, a dawno planowane inwestycje, jak na przykład rozbudowa złotej linii metra, mocno się opóźniały. Zeyas obiecał, że jako burmistrz wszystko to zmieni. Wykorzystywał Merceda i wschodnie Los Angeles, by utworzyć sobie bazę wyborczą, wysforował się przed liczną zgraję konkurentów, przeszedł do drugiej tury i z łatwością wygrał wybory. Orlando Merced przez cały ten czas tkwił u jego boku, na wózku inwalidzkim, ubrany w *charro*, czyli strój meksykańskiego jeźdźca, a niekiedy w zakrwawioną koszulę, tę samą, którą nosił w dniu postrzału.



Zeyas rządził dwie kadencje. W tym czasie wschodnia część miasta cieszyła się większym zainteresowaniem władz i uwagą policji, poziom przestępczości zmalał, a złota linia metra została zbudowana – włącznie z przystankiem pod Mariachi Plaza. Burmistrz płał w blasku swojego sukcesu. Jednak osoby, która postrzeliła Orlanda Merceda, nigdy nie złapano, a z czasem pocisk tkwiący w jego ciele zaczął zbierać swoje smutne żniwo. Częste infekcje kończyły się pobytami w szpitalu, niezbędne stało się również przeprowadzenie kilku operacji chirurgicznych. Merced stracił najpierw jedną nogę, a potem drugą. Co gorsza, trzeba też było amputować rękę, która kiedyś wybijała rytm na vihueli.

W końcu Orlando Merced zmarł.

– Piłeczka jest po naszej stronie – powiedział Boschowi Crowder. – Mam gdzieś to, co wypisuje ta cholerna gazeta, *to my* musimy zdecydować, czy sprawę potraktujemy jako zabójstwo. Jeśli z medycznego punktu widzenia przyczyną jego śmierci była tamta strzelanina dziesięć lat temu, to musimy rozpocząć śledztwo, którym zajmiesz się ty i Lucy Farciara.

– Jasne.

– Sekcja zwłok powinna wykazać, czy mamy do czynienia z zabójstwem, czy śmiercią naturalną.

– Jasne.

Bosch nie wymigiwał się od żadnej sprawy, ponieważ wiedział, że te mu się wkrótce skończą. Zdziwiło go jednak, dlaczego Crowder przekazuje śledztwo dotyczące Merceda właśnie jemu i młodej Soto. Przecież od początku podejrzewano, że kula w ciele Meksykanina została wystrzelona z broni gangstera. To oznaczało, że nowe dochodzenie niemal na pewno będzie musiało się skoncentrować na Białym Płocie i innych największych gangach wschodniego Los Angeles, które grasowały w dzielnicy Boyle Heights. A to znowu oznaczało, że w trakcie śledztwa niezbędna będzie znajomość hiszpańskiego. Oczywiście Soto posługiwała się tym językiem biegle, ale zdolności Boscha były w tym zakresie dość ograniczone. Umiał zamówić taco z przewoźnego baru oraz kazać podejrzanemu uklęknąć i założyć ręce za głowę, ale prowadzenie rozmów i przesłuchań po hiszpańsku przekraczało jego możliwości. To zadanie musiałoby przypaść w udziale jego młodej partnerce, która zdaniem Boscha wciąż nie miała odpowiednich kwalifikacji. W wydziale pracowały jeszcze przynajmniej dwa inne zespoły znające język hiszpański i dysponujące odpowiednim

doświadczeniem, więc Crowder powinien był wyznaczyć któryś z nich.

Fakt, że kapitan nie dokonał tego oczywistego wyboru, wydał się Boschowi podejrzany. Z jednej strony polecenie, aby sprawę przydzielić zespołowi Bosch–Soto mogło przyjść z samej góry – śledztwo było delikatnej natury i budziło spore zainteresowanie prasy, dlatego zaangażowanie w nie Soto, bohaterkiej policjantki, miało wywołać pozytywną reakcję mediów. Należało jednak brać pod uwagę również inną, mroczniejszą alternatywę: być może Crowder chciał, aby Bosch i Soto ponieśli klęskę. Wtedy decyzja komendanta policji, który formując Sekcję Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych, porzucił tradycję i doświadczenie na rzecz młodości, zostałaby publicznie zdeprecjonowana. Preferowanie przez kierownictwo młodych, niedoświadczonych detektywów kosztem starych wyg czekających na stanowiska w Wydziale Zabójstw i Rozbojów nie zostało mile przyjęte w szeregach policji. Być może Crowder planował skompromitować komendanta. Bosch odsunął od siebie spekulacje na temat pobudek kapitana. Skręcili z Soto za róg i weszli na parking dla gości. Rozmyślając nad planem działań, Harry uświadomił sobie, że znajdują się niecałe półtora kilometra od komendy na Hollenbeck, a do Mariachi Plaza jest stąd jeszcze bliżej. Mogliby pojechać Mission Road do skrzyżowania z Pierwszą, a potem sto jedynek. Góra dziesięć minut. Postanowił odwrócić kolejność czynności, o których mówił wcześniej partnerce.

Byli w połowie drogi do samochodu, gdy Bosch usłyszał, jak ktoś za ich plecami woła Soto po nazwisku. Odwrócił się i zobaczył jakąś kobietę z mikrofonem bezprzewodowym w ręku. Szła przez parking dla pracowników, a biegnący za nią operator lawirował między pojazdami, starając się utrzymać kamerę w górze.

– Cholera – zaklął Bosch i rozejrzał się w poszukiwaniu innych dziennikarzy.

Ktoś – pewnie Corazon – musiał dać mediom cynk.

Harry poznał dziennikarkę, nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie pracuje ani na której konferencji prasowej ją widział. Z całą pewnością nie znali się osobiście. Reporterka podeszła od razu do partnerki Boscha i wyciągnęła rękę z mikrofonem. Soto dużo lepiej radziła sobie z mediami. Przynajmniej ostatnio.

– Pani detektyw, jestem Katie Ashton z Kanału Piątego. Pamięta mnie pani?

– Hm, ja chyba...

– Czy śmierć Orlanda Merceda została oficjalnie zakwalifikowana jako zabójstwo?

– Jeszcze nie – odrzekł Bosch szybko, mimo że to nie on znajdował się w obiektywie.

Kamera i mikrofon natychmiast zwróciły się w jego stronę. Harry nie lubił występować w mediach, uznał jednak, że lepiej, aby dziennikarze dowiedzieli się o sprawie czegoś więcej.

– Biuro koronera analizuje wyniki autopsji pana Merceda i podejmie w tej kwestii stosowną decyzję. Mamy nadzieję wkrótce ją poznać.

– Czy spowoduje ona wszczęcie śledztwa w sprawie postrzelenia pana Merceda?

– Ta sprawa jest wciąż otwarta. Tylko tyle możemy na razie powiedzieć.

Ashton bez słowa obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i podsunęła mikrofon pod brodę Soto.

– Pani detektyw, dostała pani od komendanta policji medal za odwagę w związku ze strzelaniną w Pico-Union. Czy teraz planuje pani dorwać tego, kto zabił Orlanda Merceda?

Soto przez chwilę sprawiała wrażenie skonsternowanej, ale odpowiedziała.

– Nikogo nie planuję dorwać.

Przepchnąwszy się obok operatora kamery, który robił wszystko, by móc ich filmować znad ramienia Ashton, Harry podszedł do partnerki i odwrócił ją w kierunku samochodu.

– Wystarczy – powiedział. – Jeśli chce pani dowiedzieć się więcej, proszę zadzwonić do działu prasowego.

Zostawili dziennikarkę i kamerzystę i szybko ruszyli do auta. Bosch usiadł za kierownicą.

– Dobra odpowiedź – rzucił, uruchamiając silnik.

– To znaczy? – zdziwiła się Soto.

– Z tym dorwaniem człowieka, który postrzelił Merceda.

– Aha.

Wyjechali na Mission i skierowali się na południe. Oddalwszy się o kilka przecznic od siedziby koronera, Harry zjechał na bok, zatrzymał wóz i wyciągnął do Soto rękę.

– Pokaż no na chwilę swój telefon – powiedział.

– Słucham? – zdziwiła się Lucia.

– Pokaż mi telefon. Kiedy szliśmy na sekcję zwłok, powiedziałaś, że musisz zadzwonić. Chcę wiedzieć, czy nie dzwoniłaś do tej dziennikarki. Nie mogę pracować z partnerem, który kabluje mediom.

– Nie, Harry, nie dzwoniłam do niej.

– Dobra, w takim razie pokaż mi swoją komórkę.

Soto z oburzeniem podała Boschowi telefon. Był to iPhone, taki sam, jaki miał Harry. Znalazł listę połączeń. Od poprzedniego wieczoru Lucie do nikogo nie telefonowała. Ostatnia rozmowa – połączenie przychodzące – miała miejsce dziś rano. Dzwonił Bosch, żeby jej powiedzieć o nowej sprawie, którą im przydzielono.

– Wysłałaś jej esemesa?

Otworzył odpowiednią aplikację i stwierdził, że ostatnie wiadomości były adresowane do niejkiej Adriany, po hiszpańsku. Pokazał telefon partnerce.

– Kto to jest? I co tu jest napisane?

– Moja przyjaciółka. Słuchaj, ja po prostu nie chciałam tam iść, rozumiesz?

Bosch obrzucił ją wzrokiem.

– Gdzie tam? O czym ty...

– Do sali sekcyjnej! Nie chciałam na to patrzeć.

– I dlatego mnie okłamałaś?

– Przepraszam, Harry. Wstyd mi. Ale nie dałabym rady.

Bosch oddał jej telefon.

– Więcej mnie nie okłamuj.

Harry zerknął w boczne lusterko i włączył się do ruchu. Milczeli do chwili, gdy Bosch ustawił się na lewym pasie jezdni, sposobiąc się do skrętu w Pierwszą. Soto zdała sobie sprawę, że nie zmierzała do laboratorium balistycznego.

– Dokąd jedziemy?

– Niedaleko. Pomyślałem, że może najpierw pokręcimy się parę minut po Mariachi Plaza, a potem skoczmy na Hollenbeck po akta.

– Rozumiem. A co z analizą balistyczną?

– Załatwimy to później. Czy to, że nie chciałaś uczestniczyć w sekcji, miało jakiś związek z tamtą strzelaniną?

– Nie. To znaczy... nie wiem. Po prostu nie chciałam na to patrzeć i tyle.

Bosch chwilowo odpuścił. Po dwóch minutach dojechali do Mariachi Plaza, gdzie parkowały już dwa wozy transmisyjne, gotowe do nadawania relacji na żywo.

– Oni naprawdę dostali szału – skomentował Harry. – Wrócimy później.

Pojechali dalej, mijając pojazdy telewizji. Komenda w Hollenbeck znajdowała się niecały kilometr od placu. Był to nowoczesny budynek z fasadą ze szklanych paneli ustawionych pod takim kątem, że promienie słońca odbijały się od nich we wszystkich kierunkach. Przypominał raczej siedzibę jakiejś korporacji niż komendę policji. Bosch wjechał na parking dla gości i wyłączył silnik.

– Będzie przyjemnie – powiedział.

– To znaczy?

– Sama zobaczysz.

### 3

Bosch nigdy nie przepadał za sytuacjami, w których jakiemuś zespołowi odbierano ważną sprawę, by przydzielić ją komuś innemu. Kiedy jeszcze pracował w sekcji zabójstw komendy Hollywood, najważniejsze śledztwa przechwytywał od nich elitarny Wydział Zabójstw i Rozbojów. A gdy później sam został w nim zatrudniony, znalazł się nagle po drugiej stronie i zaczął podbierać dochodzenia lokalnym jednostkom. W Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych zdarzało się to rzadko, ponieważ koncentrowano się tu na zbrodniach sprzed lat. Mimo to, choć do postrzału doszło przed dziesięcioma laty, w archiwum wydziałowym próżno było szukać akt sprawy Merceda. Dokumentacja wciąż znajdowała się u dwóch śledczych, którzy zajmowali się tym dochodzeniem od samego początku. Aż do teraz.

Bosch i Soto weszli na komendę „drzwiami dla interesantów”, jak nazywano wejście od parkingu, a następnie korytarzem na tyłach budynku dotarli do części zajmowanej przez detektywów. Harry zapukał w otwarte drzwi gabinetu porucznika.

– Porucznik Garcia?

– Zgadza się.

Bosch wkroczył do wnętrza małego biura, a Soto poszła w jego ślady.

– Nazywam się Bosch, a to jest detektyw Soto. Jesteśmy z Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych, przyjechaliśmy po dokumentację Merceda. Szukamy Rodrigueza i Rojasa.

Garcia skinął głową. Wyglądał jak typowy funkcjonariusz wyższego stopnia policji Los Angeles: biała koszula, nijaki krawat, marynarka zwisająca z oparcia fotela. Nosił spinki do mankietów w kształcie małych policyjnych odznak, których nie założyłby żaden pracujący na ulicy gliniarz. Zbyt kłudy w oczy, poza tym łatwo je zgubić w jakiejś szamotaninie.

– Tak, komenda nas informowała. Czekają na was. Sekcja Przepływów Przeciwno Zdrowiu i Życiu jest na tyłach, za rogiem. Trzeba minąć

mleczarnię.

– Dzięki, poruczniku.

Bosch odwrócił się do wyjścia i niemal zderzył się z Soto, która nie zrozumiała, że rozmowa właśnie dobiegła końca. Spłoszona, cofnęła się i również obróciła na pięcie.

– Chwileczkę – powiedział Garcia.

Bosch spojrzał na porucznika.

– Mam prośbę. Jak już to zamkniecie, nie zapomnijcie o moich ludziach.

Porucznik dał do zrozumienia, że w razie rozwiązania tak ważnej sprawy Bosch i Soto powinni się podzielić zasługami. Jeśli chodzi o priorytetowe śledztwa, często bywało tak, że to lokalni detektywi odwalali najgorszą robotę, natomiast śmietankę spijały grube ryby z centrum. To na nich spływały potem laury za wieńczące śledztwo aresztowania. Ponieważ Bosch bywał na miejscu jednych i drugich, dobrze rozumiał prośbę Garcii.

– Nie zapomnimy – obiecał. – Nawet więcej: jeśli pan pozwoli, w odpowiedniej chwili skorzystamy z ich pomocy.

Harry mówił o aresztowaniu. Gdy osiągną punkt, w którym zidentyfikują już podejrzanego i dostaną nakaz aresztowania, wówczas Bosch zwróci się o pomoc do Rodrigueza i Rojasa.

– Trzymam za słowo – odrzekł Garcia.

Wyszli z gabinetu i znaleźli to, czego szukali. Sekcja mieściła się w niewielkiej wnęce, zaraz za pokojem dla karmiących matek. Władze miasta zarządziły ostatnio, by wszystkie instytucje publiczne wygospodarowały „pokoje rodzinne”, w których zarówno pracownice, jak i interesantki mogłyby w spokoju karmić dzieci piersią. Ponieważ żadnej z dziewiętnastu komend w mieście nie zaprojektowano tak, by uwzględnić tego rodzaju pomieszczenie, wydano nakaz odpowiedniego przystosowania jednego z pokoi przesłuchań. Każdy z nich został pomalowany w kojące pastelowe barwy, pojawiły się tam też postaci z kreskówek. W szczególnych sytuacjach, kiedy brakowało miejsca, salki te wykorzystywano do zwykłych czynności śledczych i zaskoczeni przestępcy składali zeznania przed SpongeBobem Kanciastoportym i Kermitem Żabą.

Sekcja Przepęstw Przeciwno Zdrowiu i Życiu komendy Hollenbeck składała się z pięciu biurk ustawionych w ten sposób, że dwie pary detektywów siedziały twarzami do siebie, a szef zajmował miejsce u szczytu tego „stolika”. Pod napisem „Sekcja Przepęstw Przeciwno Zdrowiu

i Życiu” siedziało tylko dwóch mężczyzn. Bosch uznał, że są to właśnie Oscar Rodriguez i Benito Rojas.

Na biurku jednego z nich piętrzyły się trzy niebieskie segregatory, z których dwa – jak dostrzegł Harry – oznaczono napisem MERCED. Trzeci nosił tytuł DONOSY. Na blacie stało również kartonowe pudło oklejone czerwoną taśmą do zabezpieczania dowodów rzeczowych, a o nogę mebla oparty był czarny futerał, w którym musiał się znajdować instrument muzyczny należący kiedyś do Orlanda Merceda. Zdobiły go rozmaite naklejki, informujące o podróżach właściciela do wielu miast i regionów na całym południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, a także do Meksyku.

– Czołem, koledzy – powiedział Bosch. – Jesteśmy z Niewyjaśnionych.

– Widać – odrzekł jeden z mężczyzn. – Grube ryby.

Harry kiwnął głową. Sam zachowywał się tak samo, gdy odbierano mu jakieś śledztwo. Wyciągnął rękę do zdenerwowanego detektywa.

– Harry Bosch. A to Lucia Soto. Ty jesteś Oscar czy Benito?

Mężczyzna niechętnie potrząsnął dłonią Boscha.

– Ben.

– Miło cię poznać. I bardzo mi przykro w związku z tą sprawą. Obojgu nam jest głupio. Nikt nie lubi robić czegoś takiego. Wiem, że wykonaliście kawał roboty i że to nie fair. Ale jest jak jest. Wszyscy wykonujemy to, co nam każą ci geniusze z góry.

Przemówienie najwyraźniej wpłynęło na Rojasa łagodząco. Jego partner sprawiał wrażenie obojętnego.

– Bierzcie materiały – powiedział Rodriguez. – I powodzenia, stary.

– Właściwie to chodzi nie tylko o materiały – rzekł Bosch. – Potrzebujemy waszej pomocy. Zarówno teraz, jak i później, kiedy się już z nimi zapoznamy. Chcę wam zadać parę pytań w tej sprawie. Jesteście naszą kopalnią wiedzy. Przecież zajmujecie się tym od samego początku. Strzeliłbym sobie w stopę, gdybym was nie poprosił o pomoc.

– Wyjęli pocisk? – zapytał Rodriguez.

– Tak – odparł Bosch. – Właśnie wracamy z sekcji zwłok.

Harry sięgnął do kieszeni i wyjął z niej nabój. Podał torebkę Rodriguezowi, a potem obserwował jego reakcję. Ten odwrócił się i podał woreczek z pociskiem swojemu partnerowi.

– Jasny gwint – rzucił Rojas. – To wygląda na .308.

Bosch skinął głową i odebrał dowód rzeczowy.



– Też tak sędzę. Za chwilę jedziemy do laboratorium balistycznego. Nie wiedzieliście, że to karabin?

– Niby skąd? – zdziwił się Rodriguez. – Przecież nie mieliśmy tej pieprzonej kuli.

– A oglądaliście zdjęcia rentgenowskie ze szpitala? – spytała Soto.

Rodriguez i Rojas spojrzeli na nią tak, jakby Lucy zamierzała podać w wątpliwość całą ich dotychczasową pracę. Boschowi wolno było zadawać pytania, ponieważ miał doświadczenie, ale Soto nie mogła sobie na to pozwolić.

– No, oglądaliśmy – odpowiedział Rodriguez poirytowanym tonem. – Zrobili je pod fatalnym kątem, widać tylko grzybek. Chuja się dało z tego wywnioskować.

Soto kiwnęła głową. Bosch postanowił ściągnąć ją z pierwszej linii.

– Słuchajcie, jeżeli nie macie w tej chwili za dużo do roboty, to chcielibyśmy zaprosić was na kawę i pogadać o tym, co jest w tych aktach.

Wyraz twarzy Rodrigueza uzmysłowił Boschowi, że właśnie popełnił błąd.

– Dziesięć lat śledztwa i kubek kawy w nagrodę – powiedział. – Dziękuję, kurwa, bardzo, ale obejdzcie się.

Rodriguez wskazał brodą na Soto.

– Poza tym masz tu ze sobą *heroína con la pistola*. Stary, przecież to Lucy Farciara. My ci nie jesteśmy potrzebni.

Bosch zrozumiał, że Rodrigueza wkurzyła nie tylko utrata prowadzonej dotąd sprawy. Jego złość brała się również z faktu, że wciąż pracował jako zwykły lokalny detektyw, podczas gdy Soto, mimo zerowego doświadczenia, awansowano do elitarnej sekcji. Widząc, że w tej sytuacji nic już się nie da zrobić, Harry postanowił opuścić komendę, nim będzie za późno. Zauważył, że Rojas nie wsparł swojego partnera, gdy ten sztychował Soto, ani nie zajął stanowiska, jeśli chodzi o przekazanie śledztwa. Bosch postanowił, że gdy zajdzie potrzeba, zwróci się właśnie do niego.

– Dobra, w takim razie weźmiemy tylko materiały.

Harry ruszył do przodu, położył trzy segregatory na pudle z dowodami rzeczowymi i wszystko to podniósł.

– Lucia, zabierz futerał na gitarę – polecił.

– To jest vihuela, brachu – rzucił Rodriguez. – Lepiej się odpowiednio przygotuj na konferencję prasową.

– Racja – powiedział Bosch. – Dzięki.

Wyprostował się wraz ze swoim brzemieniem i spojrzał kontrolnie na biurko, czy czegoś nie zapomnieli.

– Okej, chłopaki, dzięki za współpracę. Będziemy w kontakcie.

Skierował się do wyjścia z wnęki, a Soto podążyła za nim.

– Pewnie – odezwał się Rodriguez do ich pleców. – Tylko zabierzcie ze sobą kawkę.

Milczeli, dopóki nie znaleźli się na parkingu.

– Przepraszam, Harry – powiedziała w końcu Soto. – Naprawdę nie powinnam się zajmować tą sprawą. Ani nawet być w tym wydziale.

– Nie słuchaj ich, Lucio. Dasz sobie świetnie radę. Poza tym jesteś mi w tym dochodzeniu cholernie potrzebna. Masz do odegrania bardzo ważną rolę.

– Jaka, tłumaczki? To nie zajęcie dla detektywa. Mam poczucie, że dostałam coś, na co nie zasługuję. Czuję się tak zresztą od chwili, kiedy przydzielono mnie do zabójstw. Powinnam zajmować się kradzieżami.

Bosch postawił pudło i segregatory na masce samochodu, wyjął kluczyki i otworzył bagażnik. Futerał na instrument, pudło i segregatory ledwo się zmieściły do środka. Harry pstryknął zatrzaskami i otworzywszy futerał, patrzył na vihuelę, nie dotykając jej. Lśniące drewno instrumentu roztrzaskał pojedynczy pocisk, po którym pozostał otwór. Bosch zamknął pokrowiec, odwrócił się i wreszcie odpowiedział partnerce.

– Posłuchaj, Lucio. W kradzieżach tylko byś się marnowała. Pracujemy razem dopiero kilka tygodni, ale ja już wiem, że jesteś dobrym gliną i że zostaniesz świetnym detektywem. Przestań zaniżać własną wartość. Zawsze znajdą się ludzie, którzy będą coś do ciebie mieli. Sama widziałaś. Nie wolno się nimi przejmować. Chcą mieć to, co ty masz, i trudno, nic na to nie poradzisz.

Soto kiwnęła głową.

– Dziękuję. I proszę cię, mów mi Lucy. Kiedy mówisz „Lucia”, wydaje mi się, że nigdy nie zostaniemy prawdziwymi partnerami.

– W takim razie, Lucy, musisz pamiętać jeszcze o jednym. To jest śledztwo zabrane komuś innemu. Polecenie z góry i myk. Nikt nie lubi, jak ktoś z centrali przychodzi i podbiera mu sprawę. Ludzie gadają, ale potem im przechodzi. A tamci dwaj? Jeszcze nam będą pomagać. Zobaczysz.

Soto nie była przekonana.

– Jeśli chodzi o Rodrigueza, to wątpię. Jest cholernie obrażony, tak łatwo nie odpuści – powiedziała.

– Ale koniec końców jest detektywem i zrobi to, co należy. Jedziemy.

– Okej.

Wsiadli do samochodu i pojechali Pierwszą Wschodnią, minęli chiński cmentarz i dostali się na trasę szybkiego ruchu numer 10. Stamtąd po dwóch minutach dotarli do zjazdu na Cal State, gdzie mieściło się Regionalne Laboratorium Kryminalistyczne.

Był to czteropiętrowy budynek stojący w samym środku kampusu. Został wzniesiony ze wspólnych środków Departamentu Policji Los Angeles oraz Biura Szeryfa Hrabstwa Los Angeles. Decyzję o tym wspólnym przedsięwzięciu podyktowała czysta logika, gdyż obie instytucje zajmowały się aż jedną trzecią przestępstw popełnianych w Kalifornii, przy czym wiele z nich się zazębiało.

Jednakże w samej strukturze laboratorium istniały odrębne jednostki wykonujące zlecenia obu wspomnianych organów. Jedną z nich był Zespół Analiz Balistycznych Policji Los Angeles. Pracowali w nim technicy, którzy w specjalnej ciemni za pomocą laserów i komputerów badali pociski z najrozmaitszych śledztw.

I tu właśnie tliła się nadzieja na rozwiązanie sprawy Merceda. Być może dochodzenie prowadzone przez Rodrigueza i Rojasa dziesięć lat temu nie było najbardziej drobiazgowe, ale przecież technicy nie dysponowali wówczas ani nabojem (który utkwiał w ciele Merceda), ani łuską. Szanse były niewielkie, jeśli jednak kulę wyjętą z kręgosłupa ofiary dałoby się dopasować do innego przestępstwa, wówczas przed Boschem i Soto odkryłoby się mnóstwo nowych tropów.

Procedura postępowania przyjęta w laboratorium przewidywała przekazanie pocisku bądź łuski do analizy i oczekiwanie w kolejce, czasem przez całe tygodnie, na odpowiedź i raport. Na szczęście w „środe otwartych drzwi” można było wejść i zgłosić nabój na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”.

Bosch zameldował się w biurze szefa laboratorium balistycznego, skąd skierowano go do technika o nazwisku Chung i jakże stosownym imieniu Gun. Trudno było o lepszy dobór imienia. Bosch współpracował już z Gunem i wiedział, że to jego prawdziwe imię z aktu urodzenia, a nie

ksywka.

– Cześć, Gun, jak leci?

– Bardzo dobrze, Harry. Co mi dzisiaj przynosisz?

– Po pierwsze, przedstawię ci moją nową partnerkę, Lucy Soto. A po drugie, mam dla ciebie twardy orzech do zgryzienia.

Chung uściśnął rękę Soto, po czym Bosch przekazał mu woreczek z nabojem. Technik otworzył go nożyczkami i wyjął pocisk. Zważył go w dłoni, a następnie umieścił pod szkłem powiększającym, które przyciągnął sobie na wysięgniku.

– To jest remington .308, pocisk półpłaszczowy. Grzybkuje się maksymalnie. Takich naboju używa się do strzałów na dużą odległość.

– Masz na myśli snajperów?

– Raczej myśliwych.

Harry skinął głową.

– Da się coś z nim zrobić?

Bosch pytał, czy stan naboju nie wyklucza analizy porównawczej. Pocisk przeszedł przez przedni i tylny panel drewnianej wiewielki Orlanda Merceda, a następnie spenetrował jego ciało i utknął w dwunastym kręgu piersiowym. Wszystko to powodowało odkształcenia, w związku z czym trzon naboju nie mógł pozostać nienaruszony. A to właśnie na trzonie pozostają niepowtarzalne, charakterystyczne dla każdej lufy żłobienia, dzięki którym można porównywać ze sobą pociski znajdujące się w bazie danych BulletTrax.

W przypadku kuli, którą Bosch dał właśnie Chungowi, nieuszkodzony fragment mierzył maksymalnie pół centymetra. Technik zlustrował ją uważnie pod powiększalnikiem. Najwyraźniej nie spieszył się z decyzją, czy nabój nadaje się do profilowania balistycznego.

Bosch nie omieszkiał wywrzeć stosownego nacisku.

– Sprawa sprzed dziesięciu lat – powiedział. – Koroner przed chwilą wyciągnął to z kręgosłupa ofiary. Wydaje mi się, że to nasza jedyna szansa, żeby ruszyć do przodu.

Chung kiwnął głową.

– Proces jest dwufazowy, Harry – rzekł. – Po pierwsze, muszę zobaczyć, czy w ogóle jest nad czym pracować. Po drugie, nawet jeśli wprowadzimy go do systemu, nie ma gwarancji trafienia. Baza naboju karabinowych jest dość ograniczona. Większość naszych pocisków pochodzi z broni krótkiej.

- To jasne – odparł Harry. – Więc jak sądzisz? Nada się?
- Chung odsunął się od powiększalnika i podniósł oczy na Boscha i Soto.
- Myślę, że mogę spróbować – powiedział.
- Doskonale – ucieszył się Bosch. – Ile to potrwa, mniej więcej?
- Mamy dziś trochę luzu. Zaraz się tym zajmę i zobaczymy.
- Dzięki, Gun. Zostawić cię i zająć się swoimi sprawami?
- Jak chcesz. Na parterze jest kafeteria, jeśli macie ochotę na kawę.
- Świetny pomysł.

Gdy tylko Bosch i Soto usiedli w kawiarni, on nad czarną kawą, a ona nad dietetyczną colą, zabrzączał telefon Harry'ego. Dzwonił Crowder z komendy głównej.

- Harry, gdzie jesteście?
- W regionalnym, przywieźliśmy pocisk.
- Coś z tego będzie?
- Jeszcze nie wiemy. Czekamy, aż wprowadzą dane do bazy.
- W porządku. Ale teraz musicie natychmiast wracać.
- Dlaczego, co się stało?
- Mamy tu rodzinę Merceda, są wszystkie media. Za dwadzieścia pięć minut zaczyna się konferencja prasowa.
- Konferencja? Wcale nie musimy...
- Nieważne, Harry. Ponieważ liczba dziennikarzy osiągnęła masę krytyczną, komendant zorganizował konferencję prasową. Medyk sądowy ogłosił, że kwalifikują sprawę jako zabójstwo.
- Bosch z trudem się powstrzymał, żeby nie skląć Teresy na głos.
- Szef chce, żebyście ty i Soto stali obok niego – powiedział Crowder. – Macie natychmiast wracać.
- Bosch przez chwilę nie odpowiadał.
- Harry, słyszałeś mnie? – zapytał Crowder.
- Słyszałem. Już jedziemy.

## 4

Na pierwszym piętrze komendy głównej, naprzeciwko sekretariatu Biura Prasowego Policji, znajdowała się wielka sala, którą wykorzystywano do organizowania konferencji prasowych. Bosch i Soto tkwili tuż obok, w niewielkim pokoju narad, w którym porucznik DeSimone z Biura zapoznawał ich z choreografią konferencji. Zakładała ona, że jako pierwszy zabierze głos komendant Malins i przedstawi wszystkich członków rodziny Orlanda Merceda. Następnie przekaże mikrofon Boschowi i Soto. Ponieważ większość zebranych dziennikarzy reprezentowała media hiszpańskojęzyczne, Soto miała się przygotować do udzielania odpowiedzi w tym języku, ale już po głównej części konferencji. Bosch przerwał DeSimone'owi w pół słowa pytaniem, co konkretnie znajdzie się w komunikacie.

– Opiszemy tę sprawę dokładniej, powiemy też, że wczorajsza śmierć pana Merceda zrestartowała śledztwo – odparł DeSimone.

Harry nie cierpiał takich wyrażen jak „restartować śledztwo”.

– No dobra, to zajmie jakieś pięć sekund – rzucił. – Czy konferencja prasowa jest nam naprawdę niezbę...

– Detektywie Bosch – przerwał mu DeSimone. – Przed godziną dziesiątą dzisiejszego ranka do mojego biura wpłynęło osiemnaście próśb o ujawnienie informacji w tej sprawie. Może dla pana to niewiele, taki sobie leniwy dzionek, ale medialna bestia przywiązuje do tego wielką wagę. Doszliśmy do wniosku, że w tej sytuacji najlepszym wyjściem będzie zorganizowanie konferencji prasowej. Pan podsumuje dotychczasowe ustalenia, opowie im o wynikach sekcji zwłok, zresztą oni już wiedzą, że śmierć uznano za wynik zabójstwa, i tak dalej. Powie pan, że pocisk, który tkwił w ciele ofiary przez dziesięć lat, jest teraz porównywany z innymi w krajowej bazie danych. A potem odpowie pan na kilka pytań. Poświęćcie kwadrans i będziecie mogli wrócić do swoich zajęć.

– Nie cierpię konferencji prasowych – powiedział Bosch. – Moim zdaniem do niczego dobrego nie prowadzą. Tylko wszystko komplikują.

DeSimone spojrział na niego i się uśmiechnął.

– Wie pan co? Ja pana nie proszę. Ja panu rozkazuję być obecnym na tej konferencji.

Bosch zerknął na Soto. Miał nadzieję, że się teraz uczy.

– Kiedy zaczynamy?

– Dziennikarze już czekają w sali obok. Wejdziemy razem z komendantem, gdy tylko się zjawi.

Bosch poczuł w kieszeni wibrowanie telefonu. Odsunął się od DeSimone'a i odebrał. Dzwonił Gun Chung.

– Tylko dobre wieści, Gun – powiedział. – Proszę!

– Przykro mi, Harry, nic z tego. Żadnego trafienia w BulletTrax.

Bosch znów pochwycił spojrzenie Soto i potrząsnął głową.

– Jesteś tam, Harry?

– Tak, Gun, jestem. Coś jeszcze?

– Chyba zidentyfikowałem typ broni.

To nieco złagodziło rozczarowanie Boscha.

– Co ustaliłeś? – zapytał.

– Sześć bruzd prawoskrętnych, skok dwanaście cali. Myślę, że to kimber model 84. Nazwa katalogowa montana. Strzelba myśliwska.

Liczba bruzd i skok gwintu, stanowiące cechy charakterystyczne wewnętrznej części lufy każdej broni palnej, pozwalały Chungowi zidentyfikować dany model, jeśli nawet pocisku nie dało się dopasować do konkretnej sztuki. Było to lepsze niż nic i Bosch ucieszył się, że w wyniku sekcji zwłok otrzymał nową informację.

– To ci w czymś pomoże? – zapytał Chung.

– Każda informacja może pomóc – odrzekł Harry. – Czy to droga broń?

– Tania nie jest, ale można kupić używaną.

Bosch pokiwał głową.

– Dzięki, Gun.

– Do usług. Odbierzesz sobie ten nabój czy mam go zatrzymać?

– Muszę go odebrać i zanieść do magazynu dowodów rzeczowych.

– Jasne. Ale pamiętaj, Harry, że jak mi dostarczysz łuskę od tego naboju, to będzie całkiem inna rozmowa. W bazie danych jest znacznie więcej łusek niż pocisków. Daj mi łuskę i wracamy do sprawy.

Bosch wiedział, że to niemożliwe. Nie da się znaleźć łuski po dziesięciu latach od wystrzału.

– Okej, Gun, dzięki.

Schował telefon i wrócił do DeSimone’a.

– Dzwonili z laboratorium balistycznego – powiedział. – Kula, którą wyjęliśmy z Merceda, nie figuruje w bazie danych. Wracamy do punktu wyjścia. Trzeba odwołać tę konferencję. Nie ma nic do ogłoszenia.

DeSimone potrząsnął głową.

– Niczego nie będziemy odwoływać. Po prostu niech pan nie wspomina o pocisku. Proszę się zwrócić do opinii publicznej o pomoc w śledztwie. Dziesięć lat temu społeczeństwo strasznie garnęło się do pomocy i trzeba sprawić, by znowu tak się stało. Da pan radę, Bosch. Poza tym chyba nie chce pan ogłosić, że pocisk to ślepa uliczka? Niech sprawca myśli, że coś mamy.

Harry nie był zachwycony, że facet od kontaktów z mediami mówi mu, jak prowadzić dochodzenie, dlatego nie powiedział ani słowa o tym, że Gun Chung wstępnie zidentyfikował model broni, z której strzelano. Rozwahał, czy nie powinien się odwrócić i po prostu odejść, zamiast czekać na tę całą komedię, ale uznał, że wtedy Soto zostałaby sama, wrobiona w sytuację, której zapewne kompletnie nie rozumiała, a jego by odsunięto od sprawy.

Krótkofalówka przy boku DeSimone’a zaskrzeczała z informacją, że szef jedzie już na dół.

– Okej, do roboty.

Wyszli na korytarz i czekali na przyjazd windy z dziewiątego piętra. Gdy drzwi się otworzyły, ukazał się komendant, a za nim jakiś człowiek, w którym Bosch natychmiast rozpoznał Armanda Zeyasa, byłego burmistrza Los Angeles, który dziesięć lat temu nagłośnił przypadek Orlanda Merceda. Szef ciągnął go ze sobą na konferencję. A może to Zeyas się tego domagał? Podobno miał zamiar startować w wyborach na gubernatora stanu. Sprawa Merceda już raz przyniosła mu polityczny sukces, więc dlaczego nie miałby spróbować ponownie?

Tego rodzaju cyniczne myśli nawiedzały Boscha tym łatwiej, że zdążył doświadczyć niejednej przykrew rzeczy, jednak oczy Soto na widok Zeyasa rozbłysły. Dla społeczności latynoskiej facet był prawdziwym bohaterem. Tym, który przetał szlak.

Za Zeyasem i komendantem policji szedł mężczyzna, którego Bosch również rozpoznał – Connor Spivak, główny strateg polityczny eksburmistrza. Wyglądało na to, że wspiera Zeyasa w realizacji niezbyt już



tajnego planu, by najbliższą kadencję spędzić w siedzibie gubernatora stanu Kalifornia.

DeSimone podszedł do komendanta i szepnął mu coś do ucha. Malins kiwnął głową i zbliżył się do Boscha. Znali się od dziesięcioleci. Byli mniej więcej w tym samym wieku i mieli za sobą podobną ścieżkę kariery: patrol, Wydział Dochodzeniowy w Hollywood, Wydział Zabójstw i Rozbojów. O ile jednak Bosch czuł się w tym ostatnim jak w domu, o tyle ambicje Malinsa sięgały wyżej: wybrał administrację i szybko awansował w pionie dowodzenia, aż wreszcie Komisja do spraw Policji mianowała go na najwyższe stanowisko. Zbliżał się koniec jego pierwszej pięcioletniej kadencji i wkrótce miał się ubiegać o ponowną nominację. Sprawę tę powszechnie uważano za przesądzoną.

– Harry Bosch – rzekł komendant kordialnie. – Podobno masz jakieś wątpliwości związane z konferencją.

Bosch skinął głową, nieco zawstydzony. Stali w ciasnym korytarzu i wszyscy mogli słyszeć rozmowę. Nie zaprzeczył jednak, że jest przeciwny omawianiu tej sprawy na oczach mediów.

– Jedyne trop, szefie, jaki mieliśmy, ten pocisk, to ślepa uliczka – powiedział. – Nie wiem, o czym tu gadać z prasą.

Malins skinął głową, ale nie zgodził się ze zdaniem Boscha.

– Tematów jest całe mnóstwo. Musimy uspokoić mieszkańców miasta i zapewnić ich, że nie zapomnimy o Orlandzie Mercedzie. Że nadal szukamy tego, kto to zrobił, i że go znajdziemy. To jest najważniejsze przesłanie, ważniejsze niż jakiś trop.

Harry nie powiedział głośno tego, co naprawdę pomyślał.

– Skoro tak pan twierdzi.

Komendant znów kiwnął głową.

– Tak twierdzą. Albo liczy się każdy, albo nie liczy się nikt. Czy nie tak mi kiedyś powiedziałeś?

Bosch potwierdził.

– To mi się podoba! – wtrącił Zeyas. – Albo liczy się każdy, albo nie liczy się nikt. Dobrze.

Harry nie umiał ukryć przerażenia w oczach. W ustach Zeyasa jego słowa brzmiały jak hasło wyborcze.

Komendant spojrział ponad ramieniem Boscha na Soto, która stała jak zwykle dwa kroki z tyłu.

– Pani detektyw Soto – powiedział, podając jej rękę. – Jak panią traktują w wydziale?

Lucy potrząsnęła dłonią komendanta.

– Bardzo dobrze, panie komendancie. Uczę się od najlepszych. – Wskazała głową Boscha.

Komendant się uśmiechnął. Dała mu sposobność do wygłoszenia pochwały.

– Od tego gościa? – powiedział. – To naprawdę bezcenny typ, Soto. Goryl, przywódca stada. Ucz się od tego starego wygi jak najpilniej, póki możesz.

– Tak jest – odparła z żarem Soto. – Nie omieszkam.

Promieniała. Komendant również. Wszyscy byli zadowoleni.

Bosch zdał sobie sprawę, że to sam szef musiał skojarzyć go z Soto. Crowder wykonywał tylko jego rozkazy.

– No dobrze – odezwał się DeSimone. – Chodźmy. Rodzina Mercedów jest już w sali konferencyjnej, siedzą w pierwszym rzędzie. Komendant Malins wejdzie na podium pierwszy i przedstawi ich. Potem pan burmistrz powie parę słów, a detektyw Bosch omówi...

– Może weźmiemy ze sobą detektyw Soto? – przerwał mu komendant. – Ona wie o tej sprawie tyle samo co detektyw Bosch, zgadza się? No właśnie. Nie masz chyba nic przeciwko temu, Harry?

Szef spojrzał na Boscha, ten zaś potrząsnął głową.

– Nie mam. To wasze przedstawienie.

Cała grupa przesunęła się w głąb korytarza. Jeden z podwładnych DeSimone'a stał przed otwartymi drzwiami do sali konferencyjnej. Wszedł do środka, żeby dać sygnał wszystkim, którzy na to czekali. Włączono światła, kamery, dyktafony.

Soto podeszła do Boscha i szepnęła:

– Harry, ja nigdy tego nie robiłam. Co mam mówić?

– Słyszałaś DeSimone'a. Gadaj krótko, powiedz, że ponownie prowadzimy śledztwo i chcielibyśmy prosić mieszkańców o pomoc. Jeśli ktoś pamięta lub wie cokolwiek na ten temat, niech zadzwoni na specjalną anonimową linię albo bezpośrednio do Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych. O strzelbie nie wspominaj. To chcemy zachować dla siebie.

– Okej.

– Tylko pamiętaj: krótko. Politycy będą bić pianę, ale ty masz się streszczać.

– Jasne.

Weszli do sali. W środku znajdowały się podwyższenie z umieszczonym centralnie pulpitem oraz trzy rzędy stołów dla dziennikarzy, dokładnie naprzeciwko podium. Za stołami widać było drugie podwyższenie, na którym ustawiono kamery, filmujące ponad głowami reporterów. Bosch i Soto wspięli się za komendantem i byłym burmistrzem na scenę i stanęli z tyłu. Harry rzucił okiem na rząd krzeseł ustawionych przed dziennikarzami. Siedziało na nich czworo ludzi: trzy kobiety i mężczyzna. Bosch nie miał jednak pojęcia, jakie związki łączyły ich z Orlandem Mercedem. Sprawa była dla niego zupełnie świeża i nie zdążył jeszcze poznać żadnego z członków rodziny. To również doskwierało mu w całym tym przedsięwzięciu.

– Dziękuję państwu za przybycie – rzekł DeSimone do mikrofonu na podium. – Pozwolą państwo, że przedstawię komendanta policji, pana Gregory’ego Malinsa, który zabierze głos jako pierwszy. Po nim wypowiedzą się były burmistrz, pan Armando Zeyas, oraz detektyw Lucia Soto. Panie komendancie?

Szef zajął pozycję przed mikrofonem i zaczął mówić. Już dawno przywykł do występów przed kamerami i dziennikarzami, więc wygłosił swą przemowę, nie korzystając z notatek.

– Szanowni państwo, dziesięć lat temu Orlando Merced został trafiony na Mariachi Plaza przez zabłąkany pocisk. Wskutek odniesionej rany pan Merced uległ paraliżowi i długo walczył o powrót do zdrowia oraz o szansę na prowadzenie normalnego życia. Wczorajszego ranka walkę tę przegrał. Zebraliśmy się tutaj, aby oświadczyć, iż nigdy o nim nie zapomnimy. Sekcja Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych przejęła dziś śledztwo i dołoży wszelkich starań, aby ustalić tożsamość osoby, która postrzeliła Orlanda Merceda. Jak państwo wiecie, jego śmierć uznano za zabójstwo, dlatego nie ustaniemy, dopóki człowiek odpowiedzialny za tę zbrodnię nie zostanie aresztowany.

Przerwał na moment, być może po to, by dać dziennikarzom robiącym gorączkowe notatki chwilę wytchnienia.

– Są dziś z nami członkowie rodziny Orlanda Merceda. Jego ojciec Hector, matka Irma, siostra Adelina oraz żona Candelaria. W ich obecności obiecujemy, że nie zapomnimy o ich synu, bracie i mężu i że śledztwo będzie

prowadzone energicznie i do samego końca. Teraz kilka słów powie były burmistrz miasta, pan Armando Zeyas, który przyjaźnił się z panem Mercedem i jego rodziną.

Komendant cofnął się o krok, a na jego miejscu stanął Zeyas.

– Szanowni państwo, dzięki Orlandowi Mercedowi poznałem bolesny problem przestępczości i przemocy trapiący naszą społeczność – zaczął. – Ale gdy już zostaliśmy przyjaciółmi, nauczyłem się od tego człowieka znacznie więcej. Nauczyłem się wytrwałości. Współczucia. Nauczyłem się, że można radzić sobie w życiu tylko z tymi kartami w ręku, które dał nam los. Dane mi było bezpośrednio obserwować, jak potężny jest ludzki duch. Orlando nigdy nie pytał: „Dlaczego ja?”, a jedynie: „Co dalej?”. Był dla mnie bohaterem, ponieważ brał to, co życie mu dawało, i robił z tego najlepszy użytek. Pod wieloma względami było to coś znacznie piękniejszego niż muzyka, którą kiedyś wydobywał ze swojego instrumentu. Niniejszym zobowiązuję się pomagać w prowadzonym dochodzeniu w każdy możliwy sposób. Nie jestem już burmistrzem, ale kocham to miasto i jego mieszkańców. W chwilach takich jak ta powinniśmy trzymać się wszyscy razem, stać się naprawdę Miastem Aniołów. W chwilach takich jak ta rozumiemy, że w naszym mieście i w naszym społeczeństwie liczy się każdy albo nie liczy się nikt. Dziękuję.

DeSimone wrócił do mikrofonu i poinformował zebranych, że śledztwo w sprawie prowadzą detektywi Bosch i Soto i za chwilę pani Soto przekaze dziennikarzom najnowsze ustalenia, w razie potrzeby również w języku hiszpańskim. Lucy niepewnie podeszła do mikrofonu i obniżyła statyw tak, by sięgał jej do ust.

– Hm, postępowanie jest prowadzone wielotorowo, dlatego prosimy opinię publiczną o pomoc. Dziesięć lat temu otrzymaliśmy ogromne wsparcie. Dzwoniło wiele osób ze wskazówkami dla policji. O kontakt prosimy wszystkich, którzy mogą być w posiadaniu jakichkolwiek informacji o tamtym wydarzeniu. Wystarczy zadzwonić na numer anonimowy albo bezpośrednio do Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych. Jeśli nawet ktoś sądzi, że wie coś, o czym my już wiemy, niech i tak zadzwoni.

Soto odwróciła się i zerknęła na Boscha, jakby pytając, czy powinna coś jeszcze dodać. Zeyas wykorzystał tę chwilę, żeby wejść raz jeszcze na podium. Delikatnie położył jedną rękę na plecach Soto, drugą zaś przysunął sobie mikrofon do ust.

– Chciałbym tylko przypomnieć, że dziesięć lat temu zobowiązałem się wobec przedstawicieli mediów, iż osobiście przekażę dwadzieścia pięć tysięcy dolarów każdemu, kto dostarczy informacji umożliwiającej wyjaśnienie tej sprawy. Nikt nigdy nie odebrał nagrody, dlatego moje zobowiązanie jest wciąż aktualne, tyle tylko że obecnie kwota ta wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Co więcej, zamierzam prosić moich dawnych kolegów z rady miasta, by ze swej strony wyznaczili identyczną nagrodę. Dziękuję.

Bosch nieomal jęknął. Oferta nagrody finansowej zawsze zmieniała strukturę telefonów przychodzących w danej sprawie. Mieli teraz z Soto prawie stuprocentową gwarancję, że zaczną odbierać dziesiątki nic niewartych połączeń od ludzi wygadujących niestworzone bzdury w nadziei, że zarobią trochę forsy. Oferta eksburmistrza wszystko zmieniła.

DeSimone podszedł do Soto i zapytał reporterów, czy mają jakieś pytania. Od razu podniósł się las rąk, więc DeSimone musiał wybierać. Pierwszy dziennikarz, facet, którego Bosch kojarzył z „Timesem”, spytał o dokładną przyczynę śmierci Merceda oraz dlaczego zgon, który nastąpił dziesięć lat po postrzale, można było sklasyfikować jako zabójstwo. Soto znów zerknęła na Boscha niepewna, co odpowiedzieć. Harry zrobił krok do przodu i przyciągnął mikrofon do siebie.

– Sekcję zwłok przeprowadzono zaledwie dziś rano, dlatego brak jeszcze oficjalnych ustaleń. Jednak zdaniem koronera śmierć pana Merceda nastąpiła wskutek wystrzału sprzed dziesięciu lat. Nieoficjalnie za przyczynę śmierci uważa się zakażenie krwi mające bezpośredni związek z odniesioną przez pana Merceda raną postrzałową. Dlatego kwalifikujemy to śledztwo jako dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Dziennikarz od razu odbił piłeczkę, pytając, czy zdołano wydobyć pocisk tkwiący dotąd w ciele i czy będzie on przydatny w śledztwie. Bosch nadal trzymał mikrofon. Zdawał sobie sprawę, że reporter mówi z zimną, kliniczną bezduszością o ciele człowieka, którego kochało czworo ludzi siedzących w pierwszym rzędzie tej sali.

– Tak, pocisk wyjęto. Został przekazany do Regionalnego Laboratorium Kryminalistycznego do analizy porównawczej. Sądzymy, że okaże się bardzo pomocny w śledztwie.

– Macie jakieś trafienie? – zawołał inny dziennikarz.

DeSimone szybko wszedł na podium od strony Soto i zabrał Boschowi

mikrofon.

– Tej kwestii nie będziemy teraz omawiać – oświadczył. – Śledztwo jest w toku, chwilowo nic więcej nie możemy zdradzić.

– A dlaczego do prowadzenia sprawy został przydzielony śledczy z bardzo małym doświadczeniem? – wykrzyknął facet z „Timesa”.

Nastąpiła krótka pauza, ponieważ nikt nie wiedział, kto powinien na to odpowiedzieć i czy w ogóle należało odpowiadać, skoro DeSimone właśnie zakończył konferencję. Wreszcie odezwał się rzecznik prasowy:

– Jak powiedziałem, nie możemy nic więcej zdradzić...

Komendant stanął za jego plecami i klepnął go w ramię.

DeSimone cofnął się, ustępując miejsca szefowi.

– Być może detektyw Soto nie posiada zbyt długiego stażu, ale doskonale wie, co się dzieje na ulicach miasta i co to znaczy pełnić w nim policyjną służbę. Jej partnerem jest najbardziej doświadczony detektyw pracujący w sekcji. Nikt nie prowadził więcej spraw o zabójstwo niż detektyw Bosch. Mam pełne zaufanie do osób odpowiedzialnych za dochodzenie i nie żywię najmniejszych obaw o jego wynik. Sprawa zostanie doprowadzona do końca.

Komendant cofnął się, a DeSimone ponownie oświadczył, że konferencja dobiegła końca. Tym razem poskutkowało. Dziennikarze zaczęli się zbierać, operatorzy składali swój sprzęt. Bosch zszedł ze sceny i ruszył w stronę pierwszego rzędu, gdzie przedstawił się czworgu członkom rodziny Merceda i uścisnął im dłonie. Szybko zdał sobie jednak sprawę, że niewiele rozumieją z tego, co do nich mówi. Dał sygnał Soto, żeby podeszła i umówiła go z tymi ludźmi na najbliższy odpowiadający im termin. Chciał z nimi porozmawiać, ale nie pod okiem mediów.

Harry cofnął się i obserwował Soto przy pracy, gdy nagle zjawił się DeSimone z informacją, że komendant chce z nim pogadać w swoim gabinecie. Bosch wyszedł z sali konferencyjnej i skierował się ku windom, licząc, że jeszcze dogoni szefa i jego świtę. Spóźnił się jednak, więc kolejną windą wjechał na dziewiąte piętro i wkroczył na teren Biura Komendanta Policji, gdzie niebawem wpuszczono go do wewnętrznego sanktuarium. Malins siedział już za biurkiem i czekał. Po Zeyasie i jego zauszniku nie było śladu.

– Wybacz, Harry, że cię w to wkopałem. Wiem, że nigdy nie przepadałeś za tym cyrkiem.

– W porządku. Domyślam się, że to było konieczne.

– Naprawdę musimy się uporać z tą sprawą. Zrób wszystko, co w twojej mocy.

– Zawsze tak robię.

– Dlatego właśnie kazałem Crowderowi wyznaczyć ciebie.

Bosch kiwnął głową, nie bardzo wiedząc, czy powinien podziękować za przydzielenie mu żółtodzioba, i to do rozwikłania sprawy obciążonej politycznie i narażonej na niepowodzenie.

– Jest jeszcze coś, o czym muszę wiedzieć, szefie?

Komendant na chwilę spuścił wzrok i przyglądał się blatowi swojego biurka. Wreszcie podniósł jakąś wizytówkę i podał ją Harry’emu. Bosch wziął ją i odczytał imię, nazwisko i numer telefonu Connora Spivaka.

– To człowiek burmistrza. Informuj ich o wszystkich postępach w śledztwie.

– Byłego burmistrza, chciał pan powiedzieć, prawda?

Malins rzucił mu spojrzenie w rodzaju „nie mam czasu na takie przekomarzania”.

– Po prostu ich informuj – powtórzył.

Bosch schował wizytówkę do kieszeni koszuli. Wiedział, że przekaze Spivakowi możliwie jak najmniej. Komendant pewnie też się tego domyślał.

– Czyli co? – rzekł Bosch. – Jestem starym gorylem i wyjadaczem...?

Szef się uśmiechnął.

– Nie obrażaj się, Harry. To był komplement. Stary goryl wie wszystko, co się dzieje w jego gromadzie. Ma całe niezbędne doświadczenie. Widziałem na National Geographic, stąd wiem, że stado małp nazywa się gromadą.

Bosch skinął głową.

– Dobrze wiedzieć.

## 5

Po konferencji prasowej zebrali się w gabinecie kapitana Crowdera. Bosch, Soto, Crowder oraz porucznik Winslow Samuels, drugi rangą w Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych. Bosch przedstawił ustalenia dotyczące pocisku. Podkreślił, że zdaniem laboratorium Merced został trafiony ze strzelby – który to fakt był przez dziesięć lat śledztwa zupełnie nieznaną – i oświadczył, że przez pewien czas chce zachować tę informację jak najdalej od mediów. Crowder i Samuels się z nim zgodzili.

– W takim razie co dalej? – zapytał kapitan.

– Ta wiadomość dużo zmienia – odrzekł Bosch. – Strzały z jadącego samochodu przy użyciu strzelby? Dziwne. Zabłąkana kula? Już bardziej prawdopodobne. Ale fakt, że chodzi o strzelbę, to coś całkiem nowego.

– No cóż, to zdecydowanie wykracza poza nasze kompetencje – powiedział Samuels. – Nie ma gwiazdki z nieba, nie ma sprawy. Trzeba to przekazać Wydziałowi Zabójstw, niech oni się tym zajmą.

W Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych obowiązywała konkretna procedura dotycząca prowadzenia śledztw. Wznowienie dochodzenia następowało tylko wówczas, gdy pojawiały się nieznaną dotąd dowody. Najczęściej wychodziły one na jaw dzięki nowoczesnym technikom kryminalistycznym oraz krajowej bazie danych, zawierającej informacje na temat DNA przestępców, odciski palców i dane balistyczne. Tę wielką trójkę określano mianem „gwiazdki z nieba”. Bez trafienia w którąś z baz daną sprawę uznawano za niemożliwą do rozwikłania i rutynowo odkładano ad acta.

Zgodnie z procedurą przypadek Merceda powinien był więc wrócić do archiwum. Kula wyjęta z ciała ofiary nie znalazła żadnego dopasowania w krajowym banku danych balistycznych, a samo zidentyfikowanie rodzaju i modelu broni, z której strzelano, zwykle nie wystarczało do wznowienia śledztwa. Jednak ze względu na zainteresowanie mediów oraz tło polityczne sprawy, nie wspominając już o naciskach ze strony komendanta, dochodzenie musiało ruszyć z kopyta. Nikt nie miał co do tego wątpliwości. Słowa



Samuela znaczący tylko, że powinien się nim zająć ktoś inny, nie Bosch i Soto z Otwartych i Niewyjaśnionych. Porucznik był odpowiedzialny za dyscyplinę, a także za policyjne statystyki i racjonalizację kosztów prowadzonych spraw. Nie chciał, żeby jeden z jego zespołów śledczych utknął na dobre w jakimś dochodzeniu.

– Nie ma mowy – powiedział Bosch, patrząc na Crowdera. – Komendant dał nam tę sprawę, więc się nią zajmujemy.

– Kiedy ostatnio liczyłem, miałeś szesnaście otwartych dochodzeń, Bosch – wtrącił się Samuels.

– We wszystkich tamtych sprawach czekam na wyniki badań z laboratorium. A w tej coś się wreszcie dzieje. Mamy pierwszy trop od dziesięciu lat, to znaczy strzelbę. Od niej zaczniemy. Jeśli dostanę coś z laboratorium na temat któregoś z tych szesnastu innych dochodzeń, zajmę się tym.

– Poza tym przed chwilą skończyła się konferencja prasowa – dodała szybko Soto. – Jak by to wyglądało, gdybyśmy dziś mówili, że to my prowadzimy śledztwo, a jutro by je nam odebrano?

Crowder pokiwał głową z namysłem. Boschowi podobało się to, co przed chwilą powiedziała Soto, aczkolwiek dziewczyna zapewne nie zdawała sobie sprawy, że wchodzi wprost pod muszkę karabinu trzymanego przez Samuela. Nie wątpił, że Lucy prędzej czy później za swoją wypowiedź zapłaci.

– Na razie niech będzie wszystko tak, jak ustalono – rzekł Crowder. – Pracują nad tym Bosch i Soto. Spotkamy się za czterdzieści osiem godzin. Przekażę najnowsze informacje komendantowi i wtedy zdecydujemy, co dalej.

– To nie jest sprawa sprzed lat – powiedział Samuels. – Facet zmarł zaledwie wczoraj.

– Porozmawiamy za czterdzieści osiem godzin – powtórzył Crowder, ucinając dyskusję.

Bosch kiwnął głową. To właśnie pragnął usłyszeć – że wraz z Soto nadal zajmują się sprawą, przynajmniej przez najbliższe dwa dni. Ale było coś jeszcze.

– Co zrobić z tymi wszystkimi telefonami w związku z nagrodą wyznaczoną przez byłego burmistrza? – zapytał Harry. – Możemy liczyć na jakieś wsparcie?

– To był tylko chwyt pod publiczność – stwierdził Crowder. – Zeyas startuje na gubernatora.

– Nieważne – odparował Bosch. – Ludzie i tak będą dzwonić, a przecież nie możemy całymi dniami wysiadywać przy telefonie.

Crowder spojrzał na Samuela, który potrząsnął głową.

– Wszyscy mają swoje śledztwa – powiedział Samuels, mając na myśli inne zespoły w Sekcji. – A teraz jeszcze wy wypadacie ze składu. Nie widzę możliwości przydzielenia wam kogoś do pomocy.

Strata Boscha i Soto na trudny do przewidzenia okres była dla Samuela niesłychanie trudna do przełknięcia. A myśl, że miałby wyznaczyć dodatkowych detektywów do odbierania telefonów z informacjami, w ogóle nie budziła w nim entuzjazmu.

Bosch spodziewał się odmowy, jednak mógł ten fakt wykorzystać później, gdyby mieli otrzymać z Soto dodatkowe rozkazy. Styl sprawowania władzy przez Crowdera zasadzał się na kompromisie i przypomnienie mu, że niedawno odrzucił prośbę detektywów mogło przechylić szalę wagi na ich korzyść.

– I jeszcze jedno – dorzucił Samuels. – Czy ten cały Merced miał w ogóle amerykańskie obywatelstwo?

Bosch przyglądał mu się chwilę, nim otworzył usta. Uprowadziła go Soto.

– A to ma jakieś znaczenie?

Trafiła w sedno. Jeżeli Samuels sugerował, że nie będzie dodatkowych ludzi do tej sprawy, ponieważ ofiara nie była obywatelem Stanów Zjednoczonych, to lepiej od razu powiedzieć to głośno. Boschowi spodobał się fakt, że Soto zadała to pytanie. Zanim Samuels zdążył odpowiedzieć, Crowder przerwał dyskusję.

– Zobaczę, co się da zrobić – rzekł. – Może któraś z pań z Biura Komendanta mogłaby tu zejść i odbierać telefony przez kilka dni. Sam myślałem, czy nie poprosić szefa o pomoc, bo przecież będą dzwonić codziennie. Dam wam znać. Muszę powiedzieć, że po tym, jak Zeyas dymał departament, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wypisał czek na pięćdziesiąt kawałków.

– Słusznie – odezwał się Bosch.

Trudno się było z tym nie zgodzić. Jako burmistrz Zeyas nie wykazywał specjalnej sympatii do policji. Dysponował posłuszną mu radą miasta, która realizowała jego politykę i spełniała żądania, dzięki czemu w czasie

ośmioletnich rządów przejął kontrolę nad całą aglomeracją. Nieustannie obcinał budżet na nadgodziny w policji i przyjął też twardą linię, jeśli chodzi o wzrost płac dziewięciu tysięcy funkcjonariuszy.

Zrozumiawszy, że spotkanie się skończyło, Bosch wstał, a Soto poszła w jego ślady. Samuels został na swoim miejscu. Zamierzał dalej dyskutować z kapitanem, już po wyjściu pozostałych.

– Pogadamy za czterdzieści osiem godzin, Harry – rzekł Crowder.

– Jasne.

Bosch i Soto wrócili do swojego boksu. Dwa biurka stały przy przeciwległych ściankach działowych, jedno z lewej, drugie z prawej, tak że pracowali, siedząc do siebie plecami. Była to pozostałość z czasów, kiedy Harry dzielił wnątek ze swoim poprzednim partnerem, Dave'em Chu. Układ się sprawdzał, ponieważ Chu – jako śledczy z ogromnym doświadczeniem – nie potrzebował nadzoru Boscha. Jednak w przypadku Soto trudno było mówić o jakimkolwiek doświadczeniu, dlatego Harry zwrócił się z prośbą do działu infrastruktury, żeby przemeblować boks i ustawić biurka naprzeciwko siebie. Wniosek ten złożył w tygodniu, w którym Soto rozpoczęła pracę w wydziale, lecz wciąż czekali.

Na biurku Boscha leżał futerał z instrumentem, pudło na materiały dowodowe i segregatory, które zostawił tam przed konferencją prasową. Na otwarciu pudła i dobranie się do jego zawartości czekał od chwili, gdy wyjechali z komendy Hollenbeck, więc teraz nawet nie usiadł, tylko od razu rozpruł scyzorykiem czerwoną taśmę zabezpieczającą. Na kartonie nie było widać żadnej naklejki z sygnaturą akt i datą, dlatego nie wiedział, kiedy Rojas i Rodriguez je zabezpieczyli.

– Podobało mi się to, co powiedziałaś – rzucił Bosch. – O tym, że powinniśmy zatrzymać tę sprawę.

– Przecież to oczywiste – odparła Soto. – Dlaczego twoim zdaniem Samuels pytał, czy Merced był obywatelem Stanów?

– Bo to gryziپیórek. Dbą tylko o statystki i chce, żeby jak najwięcej ludzi prowadziło jak najwięcej spraw, ponieważ dzięki temu on ma ładniejsze tabelki. Chciałby, żebyśmy zapomnieli o Mercedzie i zajęli się czymś innym.

– Czyli że jeśli Merced nie miał obywatelstwa, to nie będzie się liczył, a my powinniśmy zająć się kolejnym zadaniem?

Bosch podniósł wzrok znad pudła i spojrzał na Soto.

– Polityka – rzekł. – Witamy w Wydziale Zabójstw.

Otworzył pudełko i z zaskoczeniem stwierdził, że zawiera bardzo niewiele. Wyjął ze środka dwa zestawy płyt DVD związane gumowymi opaskami. Odłożył je na bok, a potem wyciągnął zakrwawione sztuki odzieży, każdą zapakowaną w oddzielny woreczek. Był to strój *mariachi*, który Merced miał na sobie w chwili postrzału.

– A niech mnie – powiedział Bosch.

– Co jest? – zdziwiła się Soto.

Harry podniósł brązową papierową torbę zawierającą białą bluzę z zaschłą krwią.

– To koszula Merceda. Nosił ją w dniu, kiedy oberwał.

Bosch podał torbę partnerce, która wzięła ją w obie ręce i zajrzała do środka.

– No dobra – powiedziała. – I?

– No cóż, nie orientuję się jeszcze zbyt dobrze w tej sprawie, bo nie zaglądaliśmy do akt, ale pamiętam, że kiedy Zeyas startował wtedy w wyborach na burmistrza, cały czas woził ze sobą Merceda na wózku inwalidzkim. Zabierał go na wszystkie wiece. Podobno ten czasem wkładał koszulę, którą miał tamtego dnia na placu.

Na obliczu Soto odmalował się szok. Była zdruzgotana faktem, że Zeyas, bohater jej wyobraźni, mógł upaść tak nisko, by dla zdobycia sympatii wyborców i ich głosów posunąć się do takiej manipulacji.

– Ogromnie *smutne*, że się do tego posunął – powiedziała.

Jeśli chodzi o polityków wszelkiej maści, Bosch od dawna już był cynikiem, ale nie miał ochoty udzielać Soto stosownej lekcji.

– Diabła tam, pewnie nawet o tym nie wiedział – rzekł. – Znasz tego Spivaka, który dla niego pracuje? Był na konferencji prasowej. Facet miesza w polityce miasta, odkąd tylko sięgnę pamięcią. Taki gość jak on spokojnie mógłby coś takiego namotać, a potem nawet nie zadałby sobie trudu, żeby poinformować kandydata o szczegółach. Zwyczajny cynik.

Soto bez słowa oddała Boschowi worek z koszulą. Harry położył go na biurku obok innych części odzieży i ponownie zajrzał do pudełka. Na samym dnie zobaczył zbiór zdjęć z miejsca zdarzenia, formatu osiem na dziesięć cali. Poczul zawód, że w tej sprawie zgromadzono tak niewiele dowodów rzeczowych.

– To wszystko – powiedział Harry. – Tylko tyle mieli.

– Przykro mi – odezwała się Soto.

– Dlaczego? To nie twoja wina.

Bosch uniósł jeden zestaw płyt DVD i zdjął z niego gumową opaskę. Na sześciu plastikowych pudełkach wypisano markerem nazwiska, daty i wydarzenia – wszystkie, z wyjątkiem jednej, dotyczyły tego, co miało miejsce w przeddzień zdarzenia na Mariachi Plaza. Na czterech płytach zarejestrowano wesela, na dwóch przyjęcia urodzinowe.

– To pewnie nagrania z występów kapeli Merceda na weselach i tak dalej – skomentował Harry.

Zdjął opaskę z drugiego zestawu płyt. Na trzech opakowaniach zobaczył całkiem inne opisy.

MOST NA PIERWSZEJ ULICY  
SKLEP MUZYCZNY  
POQUITO PEDRO'S

– „Poquito Pedro's” – odczytał na głos.

– „U Małego Piotra” – przetłumaczyła Soto.

Bosch wymownie spojrzał na partnerkę.

– Przepraszam – zreflektowała się. – Na pewno wiedziałeś.

– Przestań co pięć minut przeproszać. Tu mamy chyba nagrania z kamer na Mariachi Plaza. Poquito Pedro's to restauracja w połowie ulicy odchodzącej od tego placu. Widziałem ją dzisiaj, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy. Kamery na moście na Pierwszej zainstalowali już dawno, chcieli przeciwdziałać samobójstwom.

– Jakim samobójstwom?

– Dziesięć–dwanaście lat temu pewna dziewczyna skoczyła z mostu do pustego koryta rzeki. Pojawili się jej naśladowcy, cała masa. Także młodzi ludzie. Dziwne, jakby samobójstwo było czymś zaraźliwym. Dlatego CalTrans umieścił na moście kamery monitoringu, żeby wszystko obserwować w swoim centrum komputerowym. W ogóle monitorują miejsca popularne wśród samobójców. Rozumiesz, jeżeli ktoś sprawia wrażenie, że się zbiera do skoku, wysyłają ekipę, aby spróbowała go powstrzymać.

Soto kiwnęła głową.

– Będziemy musieli je obejrzeć – powiedział Bosch.

– Teraz?

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw trzeba się przebić przez akta. To

zawsze jest punkt wyjścia.

– Jak chcesz podzielić te materiały?

– Nie chcę. Oboje musimy się zapoznać ze wszystkimi aspektami sprawy. Oboje przeczytamy wszystko, nawet okładki segregatorów. Gdybyśmy poprosili o przygotowanie kopii, stracilibyśmy cały tydzień, dlatego ty zacznij czytać, a ja skoczę do laboratorium po nabój i raport Chunga. Zanim wrócę, ty pewnie będziesz już w połowie drugiego segregatora. Ja się zajmę pierwszym.

– A może zmienimy kolejność? Jestem dziś umówiona, o pierwszej. Mogłabym teraz pojechać do laboratorium, potem wpaść na lunch i do Chinatown. Zanim wrócę, ty pewnie będziesz już w połowie drugiego segregatora.

Bosch kiwnął głową. Ucieszyła go perspektywa natychmiastowego zanurzenia się w aktach sprawy. Mówiąc, że jest „umówiona”, Soto miała na myśli swoją cotygodniową wizytę u policyjnego psychologa w Ośrodku Nauk Behawioralnych w Chinatown. Ze względu na udział w strzelaninie ze skutkiem śmiertelnym – zginęli jej partner oraz dwóch napastników – przez rok po tym wydarzeniu musiała poddawać się badaniom psychologicznym oraz terapii stresu pourazowego.

– W porządku.

Harry odsunął oba zestawy płyt DVD na bok biurka i ponownie wyjął z pudła zapakowane części odzieży. Następnie przeniósł karton na podłogę za swoim fotelem i skupił się na futerałach. Zanim go otworzył, długo przyglądał się wszystkim nalepkom. Dowodziły one, że Merced był muzykiem wędrownym i występował w miejscowościach całej Doliny Kalifornijskiej, aż po Sacramento, a także w wielu regionach Meksyku. Niektóre nalepki pochodziły z nadgranicznych miast położonych w stanach Arizona, Nowy Meksyk i Teksas.

Bosch otworzył futerał i przyglądał się vihueli. Wnętrze pojemnika wyściełał fioletowy aksamit. Harry ostrożnie złapał gryf, wyjął instrument, a następnie odwrócił go, aby zobaczyć wyjściowy otwór po kuli. Był większy niż dziura z przodu, ponieważ pocisk rozpląszczył się wskutek zderzenia z drewnem.

Bosch przyłożył gitarę do ciała, jakby był muzykiem, sprawdzając, na jakiej wysokości jego tułowia znajdzie się wylot naboju.

– Poproszę o „Schody do nieba”.

Bosch zajrzał do sąsiedniego boksu. Głos należał do Tima Marcii, wydziałowego wesołka.

– To nie w moim stylu – odparł Harry.

Z artykułu w „Timesie”, który Bosch czytał tego ranka, wynikało, że gdy kula dosięgła Merceda, muzyk siedział przy stoliku piknikowym. Harry opadł na fotel za biurkiem i przystawił sobie instrument do uda. Przesunął palcem po pięciu strunach i sprawdził, czy otwór wylotowy po pocisku jest w odpowiednim miejscu.

– Jak już odbierzesz wszystko od Chunga, skocz do balistyki i zobacz, czy ktoś mógłby jutro zabrać zestaw do badania trajektorii pocisków i pojechać z nami na Mariachi Plaza.

Soto kiwnęła głową.

– Dobrze. Co to jest zestaw do badania trajektorii?

– Rurki i lasery.

Bosch ponownie przeciągnął palcami po strunach vihueli.

– Mamy tu dwa otwory i wiemy, że pocisk ostatecznie zakończył lot w ciele Merceda. Jeżeli ustalimy z pewnym przybliżeniem ówczesną pozycję gitary, być może uda nam się odtworzyć trajektorię pocisku i znaleźć miejsce, z którego go wystrzelono. A ponieważ teraz wiemy, że to była strzelba, uważam, że powinniśmy szukać dogodnego punktu obserwacyjnego, położonego gdzieś wysoko.

– Sądzisz, że Rojas i Rodriguez tego nie zrobili?

– Nie, skoro zakładali, że w grę wchodzi broń krótka albo strzał oddany z przejeżdżającego samochodu. Jak mówiłem kapitanowi, strzelba wszystko zmienia. Bo to oznacza, że strzał nie był przypadkowy. I zapewne nie z jadącego wozu. A nawet nie miał nic wspólnego z wojnami gangów. To dopiero wierzchołek góry lodowej. Najpierw musimy ustalić, skąd przyleciała ta kula.

– Rozumiem.

– To dobrze. Widzimy się po twoim powrocie z Chinatown.

## 6

Bosch zawsze potrafił bardzo dużo powiedzieć o danym detektywie i jego pracy na podstawie sposobu prowadzenia akt. Pełna i całościowa dokumentacja, czytelne notatki i logiczne ułożenie raportów świadczyły o prawidłowym podejściu do śledztwa. Bosch wiedział również, że u większości par obowiązuje podział pracy. Wykonywaniem papierkowej roboty obarczony jest ten ze śledczych, który wykazuje większy dryg do słowa pisanego albo po prostu bardziej mu ten obowiązek odpowiada. To proste jak budowa cepa. Jeśli chodzi o Boscha i jego dotychczasowych partnerów, to on sam wolał unikać papierkowej roboty. Jednak ilekroć mu się to nie udało, sporządzając raport, zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły.

Szybko zauważył, że z tamtej dwójki to Rodriguez był odpowiedzialny za prowadzenie dokumentacji. Jego podpis widniał na niemal wszystkich raportach, co poniekąd wyjaśniało, dlaczego z taką niechęcią oddawał tę sprawę innym. Notatki były zwięzłe, ale zarazem wyczerpujące. Żadnego policyjnego żargonu ani efekciarstwa w stylu Joego Fridaya czy innych serialowych gliniarzy. Jego streszczenia zeznań świadków zawierały charakterystyki postaci oraz same wypowiedzi, co Bosch uznał za bardzo pomocne. Zdał sobie nagle sprawę, że podczas konfrontacji na Hollenbeck źle ocenił obu detektywów. Rodriguez był zdenerwowany, ponieważ naprawdę zależało mu na tym śledztwie, natomiast jego partner, Rojas, nie przejawiał aż takiego zaangażowania. Bosch zrozumiał, że musi znaleźć jakiś sposób na dotarcie do Rodrigueza i ocieplenie wzajemnych relacji. To ten facet był osobą, z którą należało się konsultować.

Podstawowe informacje o prowadzonym dochodzeniu znajdowały się na pierwszych kartkach niebieskiego segregatora, który teraz przekształcił się w oficjalne „akta śledztwa w sprawie zabójstwa”. Raport o incydencie, datowany na dziesiątego kwietnia dwa tysiące czwartego roku, zawierał opis miejsca, określenie czasu oraz dane personalne uczestników zdarzenia, i jako taki był najważniejszym punktem odniesienia dla śledczego.

Tamtego dnia Orlando Merced i trzech jego koledzy skończyli występ



wcześniej niż zwykle. Grali na piętnastych urodzinach jakiejś dziewczynki, które rodzice zorganizowali jej na wyspie pośrodku jeziora w Echo Park. Była sobota, najpracowitszy dzień tygodnia, dlatego zespół pojechał furgonetką na Mariachi Plaza, licząc, że na wieczór otrzyma kolejne zlecenie. Jednak na placu tłoczyli się inni *mariachis*, również czekający na okazję. Czterej członkowie grupy Los Reyes Jalisco zasiedli zatem za stołem piknikowym po wschodniej stronie placu, wyciągnęli instrumenty i, zgodnie z tradycją, wdali się w muzyczny pojedynek z innymi zespołami w tej okolicy. Zrobiło się tak głośno, że mało kto spośród zgromadzonych wówczas na placu ludzi usłyszał odgłos wystrzału. Ci nieliczni zeznawali potem, że dobiegł on z zachodniej strony trójkątnego rynku – z miejsca, gdzie graniczy on z Boyle Avenue. Według raportu, sporządzonego przez Rodrigueza na podstawie zeznań świadków, Merced siedział wtedy na blacie betonowego stołu z prefabrykatów, trzymając stopy na ławce. Jego koledzy z zespołu ani nie usłyszeli strzału, ani nie zauważyli, że Orlando jest ranny – do chwili, gdy ten spadł nagle ze stołu na ziemię. Wtedy jeden z muzyków zadzwonił pod numer alarmowy. Była szesnasta jedenaście.

Ponieważ tylko niektóre osoby na placu usłyszały wystrzał, zapanował tam – jak opisano w dokumentach – ogólny chaos. Świadcowie upadku Merceda rzucili się w panice do ucieczki albo próbowali gdzieś ukryć, podczas gdy pozostali, nie mając pojęcia, co się dzieje, nie wiedzieli, jak się zachować – jedni biegali, inni kręcili się w kółko i pytali, co się stało. W trakcie dochodzenia nie znaleziono ani jednego świadka, który by widział strzelca w przejeżdżającym samochodzie albo stojącego na placu. Żaden z przesłuchiowanych nie zeznał, że zauważył podejrzaną osobę uciekającą z miejsca zdarzenia. Równie nikłe rezultaty przyniósł odczyt zapisów z kamer monitoringu. Jednakże większość osób, które słyszały odgłos strzału, zgodnie twierdziła, że dobiegł on od strony Boyle Avenue.

North Boyle Avenue jest główną arterią komunikacyjną dzielnicy Boyle Heights, która przechodzi przez sam środek terytorium kontrolowanego przez wielki i słynący z brutalnych metod latynoski gang zwany Białym Płotem. Jego nazwa pochodzi od białego ogrodzenia ze sztachet, które otaczało kiedyś kościół La Purisima. Początki gangu sięgają męskiego stowarzyszenia działającego przy tym kościele jeszcze w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Z biegiem lat nazwa Biały Płot stała się określeniem linii dzielącej miasto na część zamieszkaną przez anglojęzyczne białe elity oraz dzielnicę

latynoskie we wschodnim Los Angeles, a zarazem symbolem podziału na tych, którzy mają pieniądze, oraz tych, którzy sprzątają im domy i koszą trawniki. Abstrahując jednak od przynależności i solidarności etnicznej, rzeczony gang budził w mieście przerażenie swoją brutalnością, nierzadko napastując również ludność pochodzenia latynoskiego, a graffiti z jego znakiem pokrywały niemal całą Mariachi Plaza. Zespół Wywiadowczy do spraw Gangów Departamentu Policji Los Angeles podejrzewał, że członkowie Białego Płotu regularnie pobierają „podatki” od muzyków czekających tam na okazję do zarobku.

Z tego powodu detektywi Rodriguez i Rojas zainteresowali się przede wszystkim wspomnianym gangiem – zwłaszcza że na wysokości Mariachi Plaza odchodziła od Boyle Avenue boczna aleja o nazwie Pleasant, przy której mieszkało kilku najbrutalniejszych członków Białego Płotu. Wprawdzie koledzy Orlanda Merceda z zespołu powiedzieli śledczym, że nie mieli z gangiem żadnych zatargów ani też nie nakłaniano ich do płacenia haraczu, jednak w początkowej fazie dochodzenia Rojas i Rodriguez skoncentrowali uwagę właśnie na zbirach z Pleasant Avenue. Parę dni po postrzeleniu Merceda zatrzymano i przesłuchano kilku członków gangu, jednak żaden z nich nie potwierdził, że Biały Płot mógł stać za tym incydentem. Nie ustalono również motywu oddania strzału.

Ani na Boyle, ani na Pleasant Avenue policjanci nie znaleźli żadnej łuski, nigdy nie ustalili też dokładnej pozycji strzelca. Boschowi wydało się dziwne, że chociaż strzał oddano z przeciwległej strony placu, na którym zebrało się co najmniej pięćdziesiąt osób, nie znalazł się ani jeden wiarygodny świadek tego zdarzenia. Strach przed Białym Płotem musiał być naprawdę wielki.

Rojas i Rodriguez zbadali również przeszłość samej ofiary, próbując ustalić, czy Orlando Merced nie został celowo wybrany do odstrzału. Zebrane informacje nie potwierdziły tej hipotezy. Detektywi doszli do wniosku – co później przekazano do wiadomości publicznej – że Merceda trafiono przypadkowo.

Wkrótce śledztwo ograniczyło się do sprawdzania anonimowych donosów, co nie przyniosło żadnych nowych rewelacji. Nigdy nie powstała lista podejrzanych o popełnienie tego przestępstwa, lecz z wielu raportów w segregatorach wynikało jednoznacznie, iż w centrum zainteresowania detektywów znalazł się niejaki C.B. Gallardo, gruba ryba w Białym Płocie

i gangster w drugim pokoleniu. Inicjały pochodziły od słów Cerco Blanca – tak nazwał go ojciec, na dowód lojalności wobec gangu.

Rojas i Rodriguez przyjęli wobec Gallarda rutynową taktykę śledczą: postawili mu zarzut niewielkiej wagi i zagrozili poważniejszym. Byli przekonani, że facet wie, kto oddał strzał przy Mariachi Plaza – o ile sam tego nie zlecił. Gallardo prowadził przy Pierwszej Ulicy warsztat blacharski, a właściwie dziupłę, w której rozkładano kradzione przez gang samochody, by następnie pochodzące z nich części sprzedawać w całych Stanach Zjednoczonych i w Meksyku. Dlatego dziesięć dni po strzale Rodriguez i Rojas, we współpracy z detektywami zwalczającymi złodziei samochodów, zorganizowali nalot na lokal El Puente Auto. Gallardo został aresztowany pod zarzutem paserstwa oraz posiadania przedmiotów pochodzących z przestępstwa. Okazało się bowiem, że numery seryjne wielu części znalezionych w jego warsztacie figurowały na zgłoszeniach składanych przez właścicieli skradzionych aut, głównie w zachodniej części miasta oraz w dolinie San Fernando.

Jednak człowiek, którego imiona nawiązywały do nazwy gangu, nie dał się złamać. Przesłuchanie dotyczące Merceda trwało wiele godzin, lecz Gallardo odmówił przyznania się do udziału w tym incydencie i w końcu przestał rozmawiać z detektywami w ogóle. Ostatecznie uznano go za winnego jedynie kradzieży samochodu i skazano na pół roku pozbawienia wolności, i osadzono w Wayside Honor Rancho.

W podsumowaniu swoich uwag na temat śledztwa Rodriguez napisał, że C.B. Gallardo nadal pozostaje głównym podejrzanym w sprawie postrzelenia Orlanda Merceda. Raport wskazywał, że motywem zamachu mogła być chęć zastraszenia muzyków szukających zarobku na Mariachi Plaza i skłonienia ich do opłacania „podatku” na rzecz Białego Płotu. Zgodnie z tą teorią Merced był tylko przypadkową ofiarą, człowiekiem, którego nieoczekiwanie dosięgła kula wystrzelona w kierunku placu na chybił trafił. Detektywi z komendy Hollenbeck po raz ostatni rozmawiali z Gallardem przed dwoma laty w zakładzie karnym San Quentin, gdzie ten odbywał karę za usiłowanie zabójstwa. Tak jak wcześniej, tak i tym razem Gallardo nic im nie powiedział.

Bosch skończył czytać akta z obu segregatorów, a ponieważ Soto wciąż nie wracała ze spotkania w Chinatown, zajął się teraz płytami DVD. Wyjął je z pudła na dowody rzeczowe i odtworzył na swoim laptopie, zaczynając od

nagrań z koncertów. Przez kilka minut patrzył, jak zespół gra rozmaite utwory, zarówno pod gołym niebem, jak i w lokalach. Harry skupiał się głównie na osobie Orlanda Merceda i na tym, jak trzyma instrument. Na wszystkich nagraniach z wyjątkiem jednego Merced stał. Tylko raz – na filmie wideo z jakiegoś wesela – wszyscy czterej członkowie zespołu siedzieli na krzesłach, na podwyższeniu. Bosch zauważył, że podczas gry Merced nie trzyma gitary na udzie, lecz opiera ją wyżej, o swój wystający mocno brzuch. Konstatacja ta mogła mieć istotne znaczenie dla próby odtworzenia trajektorii pocisku, który trafił muzyka. Kluczowe było ustalenie dwóch rzeczy: w jaki sposób siedział on podczas występów i jak trzymał swoją vihuelę.

Jedno z nagrań oznaczono datą. Był to dzień, w którym doszło do postrzału. Był to zapis owej imprezy urodzinowej w Echo Park, o której Harry czytał w jednym z raportów. O ile wszystkie pozostałe filmy Bosch oglądał w przyspieszeniu, o tyle to nagranie obejrzał bardzo wnikliwie, licząc, że zauważy coś, co pomogłoby mu zrozumieć późniejsze wydarzenia. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że Rojas i Rodriguez musieli robić dokładnie to samo, zupełnie go to jednak nie zrażało. Harry głęboko wierzył w swoje umiejętności śledcze i zdolność dostrzegania rzeczy, których nie widzieli inni. Wiedział, że fakt ten świadczy o jego egotyzmie, ale zdrowe ego było w tej pracy niezbędne. Należało mieć przekonanie, że jest się mądrzejszym, twardszym, odważniejszym i bardziej odpornym psychicznie niż poszukiwany sprawca. A rozwiązywanie sprawy sprzed lat wymagało dodatkowo wiary, iż te same cechy mają detektywi zajmujący się nią wcześniej. W przeciwnym razie człowiek znajdował się na straconej pozycji. Właśnie takie przekonanie o własnej wartości i poczucie misji Bosch miał nadzieję przekazać Soto w ostatnim roku swojej służby.

Nagranie z Echo Park przedstawiało szczęśliwą rodzinę podczas quinceañery. Jubilatkę otaczało wielu przyjaciół i członków rodziny, a stoły uginały się pod meksykańskimi potrawami i prezentami. Dziewczynka miała na sobie białą sukienkę, a na głowie tiarę z liczbą piętnaście. Towarzyszył jej też orszak złożony z sześciu rówieśnic. Goście tańczyli, zespół muzyczny grał utwory, które – jak sądził Bosch – zazwyczaj wykonywano na tego rodzaju uroczystościach. W pewnej chwili odbyły się dwa tradycyjne obrzędy: matka wręczyła córce „ostatnią lalkę”, symbolizującą koniec dzieciństwa, ojciec zaś zmienił jubilatce obuwie z sandałów na pantofle na

wysokim obcasie, wprowadzając ją w wiek dojrzały.

Wzruszający obraz kochającej się rodziny sprawił, że myśli Boscha skierowały się ku jego własnej córce – i jak zwykle w takich momentach odezwało się w nim poczucie winy. Harry był samotnym ojcem, choć właściwie należałoby powiedzieć, że przede wszystkim ojcem nieobecnym, ponieważ całkowicie pochłaniała go praca. Jego córka wchodziła teraz w siedemnasty rok życia i nikt nie wyprawił jej szesnastych urodzin. Harry ani razu nie zorganizował dla niej imprezy urodzinowej – zawsze świętowali we dwoje. Oglądając zapis uroczystości w Echo Park, uświadomił sobie, jak marnym jest ojcem, i to poczucie ścisnęło go za gardło.

Bosch wyłączył film. Nie zobaczył na nim nic takiego, co mogłoby wzbudzić jego czujność lub wskazywać, że parę godzin później dojdzie do oddania strzału. Merced i jego koledzy z zespołu byli profesjonalistami i nie spoufalali się z gośćmi. Kamera zatrzymywała się na nich rzadko, jednak kilkakrotnie pojawili się w tle. Bosch wyjął płytę i zajął się drugim zestawem DVD.

Zawierał on nagrania z kamer monitoringu w okolicach Mariachi Plaza. Sam plac pokazywały fragmentarycznie i tylko w niektórych porach dnia. Ku zdziwieniu Boscha już na pierwszym zapisie wideo dostrzegł ziarnistą, majaczącą w dali postać Merceda, który właśnie został trafiony. O ile pamiętał, zdjęć tych nigdy nie pokazano opinii publicznej. Kamera, która je wykonała, została zainstalowana we wnętrzu sklepu muzycznego po drugiej stronie placu, przy Pierwszej Ulicy. Znajdowała się wysoko, w wewnętrznym narożniku, a jej zadaniem było nie tylko rejestrowanie drobnych kradzieży, lecz także zniechęcanie potencjalnych złodziei. Zasięg kamery znacznie wykraczał poza witrynę sklepową i docierał, przez ulicę, aż na sam plac.

Bosch kilka razy cofał i odtwarzał fragment, na którym widać było skutki oddanego strzału: Merced, dotychczas szarpiący struny swojego instrumentu, odchylił się do tyłu i spadł ze stołu, trafiony kulą w kręgosłup. Harry uważnie obserwował, co wydarzyło się potem. Obraz był niewyraźny ze względu na odległość oraz napisy na oknie wystawowym sklepu. Poza tym ostrość kamery została, rzecz jasna, ustawiona na wnętrze lokalu, nie na plac rozciągający się po drugiej stronie ulicy.

W chwili, gdy pocisk trafił Merceda, muzyk znajdował się w otoczeniu swoich kolegów z zespołu. Siedział na stole, stopy opierając o ławkę. Po prawej stronie miał akordeonistę, również siedzącego, natomiast po lewej,

nieco cofnięty, stał gitarzysta. Trębacz zajmował pozycję za stołem, trzymając instrument w obu rękach i podnosząc go do ust.

Harry raz jeszcze obejrzał fragment, w którym siła uderzenia zwała Merceda ze stołu. Trębacz natychmiast uskakuje w prawo i wypada z kadru, gitarzysta kuca, próbując się schować pod blatem, i zasłania ciało gitarą. Akordeonista wydaje się zupełnie dezorientowany. Nie ma pojęcia, co się przed chwilą wydarzyło. Język jego ciała wskazuje, że w pierwszej chwili nie wie, iż Merced otrzymał postrzał. Dopiero na widok gitarzysty chowającego się pod stołem on również pada na ziemię i szuka schronienia. Po dłuższej chwili obaj mężczyźni wyłaniają się z kryjówki i zbliżają do Merceda, by mu pomóc. Trębacz wraca w kadr i także klęka obok rannego towarzysza.

Bosch oglądał dalej. Ludzie zbiegli się do stołu piknikowego i zgromadzili wokół ofiary, tak że pośród poruszonego tłumu trudno było dojrzeć Merceda.

W ciągu następnych trzydziestu minut zjawili się ratownicy medyczni i policja. Mercedowi, który cały czas leżał na chodniku, udzielono pierwszej pomocy, a następnie umieszczono go na ruchomych noszach i wyprowadzono z kadru. Miejsce zdarzenia zostało odgrodzone żółtą taśmą policyjną, po czym funkcjonariusze zaczęli szukać świadków i kierować ich do detektywów. Nagranie kończyło się właśnie w tym momencie. Bosch przez chwilę zastanawiał się, czy Rodriguez i Rojas wycięli jakieś fragmenty filmu. Może jednak kamera w sklepie muzycznym zarejestrowała coś więcej?

Sprawdził dwa pozostałe zapisy wideo, ale żaden z nich nie był ani interesujący, ani użyteczny. Oba zawierały markery czasowe umożliwiające łatwe znalezienie fragmentu po strzale, nie dostarczyły jednak nowych danych. Jedno z tych nagrań pochodziło z kamery na parkingu przy Poquito Pedro's, oddalonego o co najmniej jedną przecznicę. Co więcej, nie pokazywało nawet samej Mariachi Plaza, lecz raczej skrzyżowanie Boyle z Pierwszą. Bosch nie zauważył na taśmie żadnego podejrzanego pojazdu, z którego mógł paść strzał, na przykład jakiegoś należącego do gangu starego grata przecinającego pędem krzyżówkę kilka sekund po incydencie.

Trzecie nagranie pochodziło z kamery monitorującej potencjalnych samobójców przy moście na Pierwszej Ulicy. Znajdowała się ona kilka przecznic od placu, ale widok zasłaniał stary hotel położony na rogu Boyle i Pierwszej. Bosch obejrzał film, uznał go za bezużyteczny i wyciągnął płytę z laptopa.

Przez chwilę zastanawiał się nad sytuacją. Wiedział, że powinien się teraz spotkać z Rodriguezem i Rojasem, żeby omówić rozmaite szczegóły tej sprawy, zamiast zagłębiać się w nią samotnie kawałek po kawałku, toteż podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do biura detektywów na Hollenbeck. Poprosił o połączenie z Rodriguezem, choć prawdopodobnie łatwiej by się dogadał z Rojasem.

– Detektyw Rodriguez, słucham.

– Tu Bosch. Jak leci?

Brak odpowiedzi. Harry odczekał chwilę, po czym spróbował raz jeszcze.

– Właśnie skończyłem przeglądać akta sprawy Merceda.

Przerwał. Wciąż nic.

– Słuchaj, nie zamierzam ci kadzić, że odwaliliście kawał dobrej roboty. Sam o tym wiesz. Ale mam kilka pytań. Mógłbym zadać je Rojasowi, bo nie zachowywał się dzisiaj jak kutas, ale wolę pogadać z tobą. Ty sporządziłeś te akta, Rodriguez. Tyle wiem. Domyślam się, że to z tobą powinienem rozmawiać. Pomożesz mi?

Znów brak odpowiedzi, lecz tym razem Bosch czekał do skutku. Wreszcie Rodriguez zareagował.

– Co chcesz wiedzieć?

Harry kiwnął głową. Instynkt go nie zawiódł. Wszyscy porządni faceci mają słaby punkt. Miejsce w duszy, w którym pali się wieczny ogień. Można to nazwać poczuciem sprawiedliwości albo pragnieniem odkrycia prawdy. Albo potrzebą wiary w to, że ci, którzy dopuścili się zła, nie pozostaną na zawsze ukryci w mroku. Rodriguez był dobrym policjantem i chciał tego samego co Bosch. Nie mógł się zapiec w gniewie i milczeć, ponieważ wtedy naraziłby śledztwo w sprawie Orlanda Merceda na szwank.

## 7

Po rozmowie z Rodriguezem Bosch zasiadł do komputera i zaczął pisać swój pierwszy raport ze śledztwa. Zawierał on aktualizację dotychczasowych ustaleń, w tym wskazaną przez koronera przyczynę śmierci oraz ocenę materiału dowodowego i tropów w śledztwie. Po dwudziestu minutach odezwał się telefon stacjonarny na biurku. Bosch odebrał, nie patrząc na wyświetlacz, prawie pewny, że dzwoni Soto, która zapewne skończyła właśnie sesję z psychologiem.

– Bosch, słucham.

– Chciałbym się zarejestrować do odbioru nagrody.

Bosch zrozumiał, że ma do czynienia z telefonem sprowokowanym niedawną ofertą eksburmistrza. W trakcie rozmowy wszedł na stronę internetową „Los Angeles Timesa”.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „zarejestrować”? To nie jest loteria. Dysponuje pan informacjami, które mogłyby nam pomóc?

Na pierwszej stronie internetowego wydania dziennika znajdowały się wielki artykuł opatrzony zdjęciem Zeyasa z konferencji prasowej oraz wzmianka o nagrodzie.

– No, dysponuję informacjami – odrzekł dzwoniący. – Sprawca ma na imię Jose. Niech pan sobie zapisze.

– A nazwisko?

– Tego nie wiem. Wiem tylko, że Jose.

– Skąd pan wie?

– Po prostu wiem.

– To on strzelał?

– Zgadza się.

– Zna pan tego człowieka? Wie pan, dlaczego to zrobił?

– Nie, ale jestem pewien, że sami się wszystkiego dowiecie po aresztowaniu.

– Gdzie możemy go aresztować?

Mężczyzna po drugiej stronie linii zdawał się rozbawiony tym pytaniem.



– Nie mam pojęcia. To pan jest detektywem.

– No dobrze, więc twierdzi pan, że muszę wyjść, znaleźć człowieka imieniem Jose i go aresztować. Ani nazwiska, ani miejsca pobytu. A wie pan przynajmniej, jak on wygląda?

– Wygląda jak Meksykanin.

– Okej, dziękuję panu.

Bosch trzasnął słuchawką w widełki.

„Palant” – pomyślał.

Telefon zadzwonił, gdy jeszcze trzymał dłoń na aparacie. Odebrał. W jego tonie pobrzmiwała irytacja.

– Bosch, słucham.

– Mam pytanie w sprawie nagrody.

Głos należał do innego mężczyzny.

– Jakie pytanie?

– Jeśli się oddam w wasze ręce, dostanę nagrodę?

Bosch milczał przez chwilę. Instynkt podpowiadał mu, że ma do czynienia z takim samym fałszywym tropem jak poprzednio.

– Dobrze pytanie – powiedział. – Dlaczego nie? W końcu nagroda jest za informacje, które doprowadzą do skazania sprawcy. Myślę, że przyznanie się do winy pod to podpada. Zamierza się pan przyznać?

– Tak.

– Ale nam potrzebne będą dowody, że to pan strzelał. Nie możemy polegać tylko na pańskim słowie, rozumie pan?

– Rozumiem.

– Więc dlaczego pan to zrobił?

– Bo nienawidzę *marichis* i całego tego gówna. Tu jest Ameryka. Jak ktoś tu przyjeżdża, powinien grać amerykańską muzykę.

– Jasne. Jakiej broni pan użył?

– Smith&Wessona. Dobrze strzelałem.

Bosch pokiwał głową. Instynkt go nie mylił.

– Nie wątpię. Dzięki za telefon.

Odłożył słuchawkę, a potem długo gapił się na aparat, jakby się spodziewał, że zaraz znów się odezwie. I oczywiście się odezwał, jednak tym razem na wyświetlaczu ukazał się numer wewnętrzny. Harry odebrał.

– Bosch, słucham.

– Detektywie, mówi Gwen z centrali telefonicznej.

Jedna z operatorek. Bosch nie wiedział nawet, w której części budynku mają swoją siedzibę. Telefonistki przyjmowały wszystkie rozmowy przychodzące liniami ogólnodostępnymi i łączyły z tym, do kogo były skierowane – a w artykule „Timesa” podano numer do Wydziału Zabójstw i Rozbojów.

– Tak, Gwen?

– Mam na linii rozmówcę posługującego się językiem hiszpańskim. Dzwoni w związku z tą nagrodą za Merceda. Odbierze pan?

Bosch pokręcił głową. Zaczynał się szturm, przed którym ostrzegał Crowdera i Samuelsa.

– Nie ma tu teraz nikogo, kto mówi po hiszpańsku. Zapisz nazwisko i numer. Powiedz, że ktoś oddzwoni.

– Robi się.

Bosch odłożył słuchawkę, tym razem trochę delikatniej. Wszedł na witrynę internetową „La Opinión”, kliknął zakładkę „Locales”, i oczywiście zobaczył kolejne zdjęcie Zeyasa, artykuł o sprawie Merceda oraz informację o nagrodzie. Nie do wiary, jak szybko media zdołały rozpowszechnić tę historię.

Wrócił do pisania raportu. Stukał w klawisze w szybkim tempie, ponieważ chciał już wyjść z biura, niezależnie od tego, czy Soto zaraz się pojawi, czy nie. Czuł, że wkrótce telefon rozżarzy się do czerwoności, a jego kabel owinie mu się wokół szyi i go zadusi. Nim skończył pisać, aparat odezwał się jeszcze raz. Facet, który dzwonił jako pierwszy.

– Hej, nie zapisał pan mojego nazwiska do wypłacenia nagrody.

– Zgadza się. Nie zapisałem pańskiego nazwiska, bo nie było mi potrzebne.

– No i co z tą nagrodą?

– Nie ma żadnej nagrody. Nie dla pana.

– Mówię, że zrobił to ten gościu. Jose. To on.

– Jeżeli aresztujemy jakiegoś Jose, niech pan do mnie zadzwoni, dobra?

Tym razem Bosch walnął słuchawką tak mocno, że zwrócił uwagę detektywów siedzących w innych boksach. Nie uznał za stosowne udzielić im wyjaśnień. Trzymał jeszcze dłoń na telefonie, gdy ten znowu zadzwonił. Harry odebrał i rzucił opryskliwe:

– No co?

– Tu Gwen, z centrali.

– Ach. Tak, Gwen, o co chodzi?

– Chciałam tylko panu powiedzieć, że ten człowiek mówiący po hiszpańsku nie podał nazwiska i numeru telefonu.

– W porządku, Gwen. Akurat o to nie musimy się chyba martwić. Dziękuję.

To powiedziawszy, Bosch szybko dokończył pisanie raportu, wydrukował go na dziurkowanym z boku papierze i wpiął do segregatora z resztą dokumentów. Następnie podniósł słuchawkę, wybrał numer centrali i poprosił o Gwen.

– Gwen, mówi detektyw Bosch. Za chwilę wyjeżdżam w teren, mojej partnerki też nie ma w biurze. Czy możesz kierować wszystkie telefony w sprawie Merceda i nagrody do porucznika Samuelsa?

– Porucznika Samuelsa. Oczywiście.

– To dobrze. Dziękuję. Zapisz sobie, że wszystkie takie połączenia należy przekazywać porucznikowi aż do odwołania.

– Zrobi się, detektywie. Miłego dnia.

– Nawzajem, Gwen.

Bosch wstał i zerknął na zegar wiszący nad wejściem. Sesje psychologiczne Soto trwały na ogół godzinę, przejazd w jedną stronę zajmował trzydzieści minut. Nawet wliczając wizytę w laboratorium u Guna Chunga i odebranie pocisku, powinna była już wrócić. Jej nieobecność drażniła Boscha, ponieważ Soto od początku wykazywała skłonność do znikania i często traciła poczucie czasu. On chciał, żeby sprawa nabrała tempa, a jej nie było. Harry nie zamierzał dzwonić na komórkę partnerki, w obawie, że wciąż trwa jej sesja terapeutyczna z doktor Hinojos, głównym psychologiem policyjnym. Czuł jednak frustrację, bo Soto nie chciało się nawet wysłać esemesa z informacją, że coś ją zatrzymało. To nie on powinien wysłać wiadomości i dzwonić.

Zabrał z biurka kluczyki od samochodu oraz płyty z nagraniami, na tablicy wiszącej na ścianie przy drzwiach, tuż obok swojego nazwiska, napisał słowo „laboratorium” i wyszedł.

Rodriguez powiedział, że nie zanieśli z Rojasem nagrań z monitoringu do laboratorium. Mogli poprosić o powiększenie niektórych ujęć, ale jego zdaniem nie było to warte zachodu, ponieważ na filmach i tak nie widać strzelca. Zresztą dziesięć lat temu laboratorium oferowało bardzo niewiele: jakiś pracownik po prostu rzucał drugi raz okiem na nagranie, które

detektywi sami wcześniej przeanalizowali.

Obecnie było inaczej. Działał specjalny zespół analiz materiałów filmowych, w którym pracowali eksperci potrafiący wzmacniać dźwięk i powiększać obraz. Dzięki temu niejednokrotnie udawało im się dostrzec szczegóły, które umykały oczom zwykłych widzów. W ostatnim dziesięcioleciu nastąpiła prawdziwa epidemia filmowania absolutnie wszystkiego, co bardzo pomagało w prowadzonych śledztwach. Los Angeles zamieniło się w miasto kamer, prywatnych i publicznych. Obecnie standardową procedurą dochodzeniową stało się poszukiwanie materiałów z nagrań monitoringu, tak jak kiedyś było nią pukanie do drzwi potencjalnych świadków. Ale ponieważ nie wszystkie kamery odznaczały się tą samą precyzją, potrzebne były jeszcze zespół ekspertów i wiedza, jak maksymalnie wykorzystać potencjał obecny w obrazach i dźwiękach zarejestrowanych na miejscu zbrodni. W tej sytuacji konieczne okazało się utworzenie specjalnego Zespołu Analiz Wideo.

Dotarcie do laboratorium zajęło Boschowi dwadzieścia minut. Kiedy był w drodze, zadzwoniła Soto z informacją, że właśnie skończyła spotkanie z psychologiem.

– Trochę się opóźniło, bo doktor Hinojos miała innych pacjentów – powiedziała Soto. – Ale już jadę do laboratorium po ten pocisk.

– O to się nie martw – odrzekł Bosch. – Właśnie tam jadę z nagraniami. Spotkam się z Gunem i odbiorę nabój.

– Myślałam, że...

Urwała w pół słowa, ale Bosch wiedział, co chciała powiedzieć.

– No tak, ale już je przejrzałem, zresztą nie było tego zbyt wiele – powiedział. – Kamera w sklepie muzycznym wychwyciła moment, jak Merced zostaje trafiony, ale obraz jest niewyraźny. Mam nadzieję, że technicy coś z tym zrobią.

– Okej.

Chyba nie zdołał jej udobruchać.

– Jak chcesz, to mogę na ciebie poczekać. Sama zobaczysz, zanim to oddam do analizy.

– Nie, nie, działaj. Potem wracasz do firmy?

– Szczerze mówiąc, próbuję trzymać się od niej jak najdalej. Wieści o nagrodzie od byłego burmistrza trafiły już do wszystkich mediów, zaczynają się telefony. Chcę pracować nad sprawą, a nie użerać się

z dzwoniącymi.

Bosch wjechał na parking przed laboratorium kryminalistycznym i zaczął się rozglądać za wolnym miejscem.

– A co będzie, jak ktoś zadzwoni z prawdziwą informacją?

– Prawdopodobieństwo wynosi jeden na milion. A jeżeli ktoś naprawdę zna tożsamość sprawcy, to zdoła do nas dotrzeć. Tak czy owak, kazałem chwilowo kierować wszystkie telefony do Samuela. Może to go oświeci i sprawi, że oddeleguje kogoś do tej roboty.

– No dobra, na którą mam się jutro umówić z zespołem do badania trajektorii?

Bosch zupełnie o tym zapomniał, teraz było już chyba za późno na zebranie ekipy.

– Wstrzymajmy się z tym na chwilę. Zobaczmy, co znajdą na nagraniach. Może dzięki temu ustalimy trajektorię.

– Okej. To co mam teraz robić?

– Daj mi pół godziny. Potem spotkamy się na Mariachi Plaza. Przekonamy się, czy media już się stamtąd zmyły.

– W takim razie mam czas na Starbucksa. Chcesz coś?

Bosch analizował przez chwilę zawartość kofeiny w swoim organizmie.

– Nie, nie trzeba. Niedługo się widzimy.

Zaparkował i wysiadł z samochodu. Kiedy szedł w kierunku szklanych drzwi budynku laboratorium, odezwała się jego komórka. Dzwonił porucznik Samuels.

– Bosch, gdzie ty, do cholery, jesteś?

– Właśnie wchodzę do laboratorium. Napisałem przecież na tablicy. A co jest?

– Jest to, że mój telefon oszalał.

– I co ja mam z tym zrobić, poruczniku? Pracuję nad sprawą. W laboratorium muszę załatwić dwie rzeczy, a potem spotykam się z moją partnerką. Mówiłem, że tak będzie.

– Gdzie jest Soto?

– W środy po południu odbywa sesje z psychologiem. Dzwonił ktoś oprócz wariatów?

– A skąd ja mam to wiedzieć, u diabła? To ty mnie w to wkopałeś, Bosch!

– Nikogo w nic nie wkopywałem. To nie ja ogłosiłem, że będzie nagroda.

Od razu wiedziałem, że...

– Mniejsza z tym. Jutro rano przydzielę kogoś do tych telefonów.

Samuels rozłączył się, zanim Bosch zdążył odpowiedzieć. Harry otworzył drzwi prowadzące do laboratorium, a na jego twarzy zagościł uśmiech.

## 8

Gdy Harry przyjechał na Mariachi Plaza, Lucia Soto już tam była. Nic nie wskazywało na to, by media nadal okupowały miejsce zdarzenia. Bosch przeciął plac, uważnie mu się przyglądając. Muzykanci, liczący na wieczorny zarobek, zaczęli się już gromadzić. Wszystkie stoliki i ławki na placu były zajęte, a na miejscach postojowych ciągnących się wzdłuż Boyle Avenue samochody parkowały zderzak w zderzak. Na furgonetkach widniały wypisane jaskrawo nazwy i numery telefonów różnych zespołów.

Soto rozmawiała z trzema mężczyznami stłoczonymi ciasno na jednej ławce. Wszyscy ubrani byli w podobne czarne kamizelki obsypane złotym brokatem oraz białe koszule spięte pod szyją ozdobnymi tasiemkami, a pod ich nogami leżały futerały z instrumentami. Bosch kiwnął muzykom głową na powitanie i dołączył do swojej partnerki. Soto trzymała w ręku coś, co wyglądało na mrożoną kawę z bitą śmietaną na wierzchu.

– Harry, ci panowie byli na placu w dniu, kiedy postrzelono Merceda – powiedziała z ekscytacją.

– Coś pamiętają?

– Siedzieli właśnie tutaj. Kiedy usłyszeli strzał, zerwali się i schowali za posągiem.

Bosch spojrział ponad ławką na brązową statuetkę kobiety z rękoma wspartymi na biodrach. Na wzorzystą suknię miała zarzucony szal. Figura stała na wielkim, betonowo-drewnianym postumencie. Tabliczka u podstawy informowała, że jest to Lucha Reyes, królowa *mariachis*, która mieszkała i występowała w Los Angeles w latach dwudziestych XX wieku. Pochodziła z Guadalajary.

– Zostali wtedy przesłuchani?

Soto mówiła do mężczyzn po hiszpańsku, a potem tłumaczyła ich odpowiedzi Boschowi, choć ten większość rozumiał.

– Tak, złożyli zeznania.

Harry skinął głową, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć, żeby w aktach sprawy widział jakiegokolwiek zeznania świadków, którzy po strzale

schowali się za posągiem. Prawdopodobnie zostały pominięte jako niespójne.

– Niech pokażą, gdzie się dokładnie ukryli.

Soto przetłumaczyła prośbę Boscha, na co jeden z mężczyzn wstał i podszedł do statuy. Kucnął, oparł ręce na postumencie, a potem wyjrzał spomiędzy nóg posągu, jakby chciał zobaczyć, kto strzela. Wzrok miał skierowany ku Boyle Avenue.

Harry ponownie skinął głową, próbując wyobrazić sobie wypadki z feralnego dnia.

– Dlaczego pomyśleli, że strzał padł właśnie stamtąd? – zapytał, wskazując kierunek.

Soto powtórzyła pytanie po hiszpańsku. Mężczyzna wzruszył ramionami, a wtedy jeden z siedzących na ławce powiedział coś tak szybko, że Bosch nie zrozumiał.

– Mówi, że usłyszał strzał i chciał się gdzieś schować. Pozostali dwaj poszli w jego ślady, ale sami niczego nie słyszeli. Widzieli tylko, że wszyscy uciekają.

– A on? Co widział?

Dwaj mężczyźni pokręcili głowami. Trzeci rzucił:

– *Nada.*

– Znali Merceda?

Soto znów przetłumaczyła i przez chwilę słuchała odpowiedzi.

– Nie za bardzo – powiedziała wreszcie. – Widywali go na placu, wiedzieli, że czeka na robotę.

Bosch odwrócił się i skierował ku ruchomym schodom, prowadzącym do podziemnej stacji metra. Szklana konstrukcja, która osłaniała wejście, stanowiła wyraźne nawiązanie do kultury azteckiej, gdyż została zaprojektowana jako gigantyczne orle skrzydło. Jego kolorowe pióra mieniły się, odbijając promienie słoneczne, które kładły się na placu feerią barw.

Ruhome schody, jadące w górę i w dół, ulokowano w szerokiej komorze wykładanej glazurą. U szczytu Bosch odwrócił się i obrzucił wzrokiem cały plac. Następnie skierował oczy w lewo, na Pierwszą Ulicę i sklep muzyczny, którego kamera zarejestrowała postrzelenie Merceda, po czym zrobił niewielki krok w prawo i stwierdził, że stoi bardzo blisko miejsca, gdzie przed dziesięciu laty znajdował się stolik zajmowany przez Merceda i jego towarzyszy. Harry zdawał sobie sprawę, że to przypuszczenie, bez wartości dowodowej, i później będzie się musiał tym zająć Zespół Analiz



Balistycznych. Na razie jednak wystarczyło mu to, że stał mniej więcej tam, gdzie Merced dostał kulę.

Skierował wzrok z powrotem na Boyle Avenue, skąd nadleciał pocisk. Ponieważ odrzucił wcześniej hipotezę, że strzał padł z przejeżdżającego samochodu, a nawet doszedł do wniosku, że strzelec znajdował się ponad poziomem placu, spoglądał teraz na drugą stronę ulicy, na budynek usytuowany w rogu placu. Kiedyś Harry dobrze znał hotel Boyle. Ta dwupiętrowa, kamienna budowla w stylu królowej Anny (nieoficjalnie, lecz powszechnie nazywana hotelem Mariachi) została wzniesiona ponad sto lat temu, co czyniło ją jedną z najstarszych w całym Los Angeles, lecz niestety z biegiem lat podupadła, stając się tanią, pełną karaluchów noclegownią dla wędrownych *mariachis* i komiwojażerów. Bosch niejednokrotnie wkraczał tam ze zdjęciem policyjnym w rękę, szukając zabójcy, którego udało się zidentyfikować na podstawie śladów pozostawionych przez delikwenta na miejscu przestępstwa.

Lecz ostatnio wszystko się zmieniło. Ponieważ budynek wznosił się tuż obok projektowanej stacji metra na Mariachi Plaza, został kosztem wielu milionów dolarów odremontowany. Właściwie nie był już nawet hotelem, lecz wielofunkcyjnym kompleksem, oferującym niedrogie mieszkania i lokale usługowe. Jego fasadę z czerwonej cegły i charakterystyczną kopułą na dachu odnowiono i zakonserwowano, lecz nawet przystępne czynsze dla większości *mariachis* ze wschodniego Los Angeles były i tak zbyt wysokie. Musieli wynajmować mieszkania gdzie indziej.

Soto podeszła do Boscha i powiodła oczyma za jego spojrzeniem.

– Myślisz, że strzelano stamtąd? – spytała.

– Możliwe. Chodźmy sprawdzić.

Przeszli z powrotem przez plac, na którym gromadziło się coraz więcej muzyków, głównie wokół ławek i stołów. Była prawie siedemnasta, najwyższa pora, by się rozejrzeć za jakąś robotą. Za jedną z grup Bosch zauważył niewielki sklep. Libros Schmibros. Szyld na drzwiach informował, że jest to zarazem księgarnia i biblioteka. Wskazał ją ręką, nie zwalniając kroku.

– Zanim wszystko tu przeszło w ręce Latynosów, należało do Żydów – powiedział. – W latach dwudziestych i trzydziestych. Potem, w pięćdziesiątych, wszyscy się przeprowadzili do Fairfax.

– Exodus – skomentowała Soto.

– Coś w tym stylu. Zdaje się, że mieszkał tutaj jeden z moich dziadków. A może babcia? Coś sobie przypominam. Stara stacja Hollenbeck, przychodziliśmy tu z mamą w latach pięćdziesiątych...

Były to mgliste, wywołujące dziwny dyskomfort wspomnienia, do których Bosch nie miał pełnego dostępu. Przez pierwsze jedenaście lat swojego życia mieszkał z matką. Czasem wędrowali z miejsca w miejsce niczym komiwojażerowie z dawnego hotelu Mariachi. Zwiedził tych miejsc zbyt wiele, by je wszystkie spaźniętać, poza tym minęło pięćdziesiąt lat. Harry postanowił zmienić temat.

– Gdzie się wychowywałaś, Lucy?

– Tu i tam. Rodzina mamy pochodzi z hrabstwa Orange, z El Toro, a rodzina ojca stąd. W latach czterdziestych rodziców ojca wysiedlono z Chavez Ravine. Zamieszkali w Westlake. Tam się urodziłam, ale dorastałam głównie w Dolinie. W Pacoimie.

Bosch kiwnął głową.

– To chyba znaczy, że nie kibicujesz Dodgersom – powiedział.

– Nigdy nie byłam na żadnym meczu i nie będę – odparła. – Ojciec by mnie zabił, gdyby się dowiedział.

W tamtym okresie doszło do jednego z największych zaborów ziemi w historii miasta. Bosch o tym wiedział i przez całe swoje życie starał się pogodzić miłość do bejsbolu i drużyny Dodgersów z tą paskudną przeszłością, która kryła się za piękną współczesną fasadą. Jako chłopiec oglądał w akcji Sandy'ego Koufaksa i Dona Drysdale'a, ale dziś miał wrażenie, że każdy wspaniały, błyskotliwy sukces tego miasta zawierał w sobie ziarno czegoś mrocznego, czegoś, co zwykle się skrywa z dala od ludzkich oczu.

Przez dziesięciolecia kanion Chavez Ravine stanowił biedną enklawę zamieszkaną przez meksykańskich imigrantów, którzy tłoczyli się w szopach pobudowanych gęsto wśród wzgórz. Starali się stamtąd wydostać, znaleźć sobie jakieś miejsce, w którym byliby potrzebni, choć niekoniecznie mile widziani. Koniec II wojny światowej przyniósł Miastu Aniołów nowy okres prosperity, a z budżetu federalnego zaczęły napływać pieniądze na mieszkania dla ubogich. Plan zakładał wyludnienie Chavez Ravine, zrównanie lepierek z ziemią, a następnie wzniesienie tam nowej zabudowy. Miało powstać zielone osiedle wieżowców z mieszkaniami dla osób o niskich dochodach, do którego zamierzano zaprosić dawnych mieszkańców doliny.

Osiedle to otrzymało nawet nazwę, która nawiązywała do wielkiego amerykańskiego snu o dobrobycie: Elysian Park Heights.

Część mieszkańców kanionu opuszczała ten teren chętnie, innych trzeba było do tego zmusić. Potem domostwa, kościoły i szkoły zostały zburzone, nigdy jednak nie zbudowano żadnych wieżowców. Świat zdążył się zbyt mocno zmienić. Bloki mieszkalne dla biednych uznano za przejaw socjalizmu. Nowy burmistrz stwierdził, że pokrycie kosztów ich budowy byłoby sprzeczne z „amerykańskim duchem”. Wpatrzone w przyszłość miasto uznało, że teraz potrzebuje przede wszystkim porządnej, zawodowej drużyny sportowej, która wpłynie pozytywnie na wizerunek i pozycję metropolii, postrzeganej dotąd głównie jako kolonia filmowców i zapyziały posterunek graniczny na zachodnich krańcach kontynentu. Klub Brooklyn Dodgers przeniósł się na zachód i w miejscu, gdzie miały się wznosić bloki dla biedoty, powstał wspaniały stadion bejsbolowy. Mieszkańcy Chavez Ravine rozproszyli się, a ich potomkowie nigdy się z tym nie pogodzili. Tak oto Elysian Park Heights pozostało tylko piękną nazwą, która nie wyszła poza fazę projektów.

Harry milczał, dopóki nie przeszli na drugą stronę Boyle i nie stanęli przed podwójnymi drzwiami dawnego hotelu Mariachi. Były zamknięte na klucz. Obok futryny znajdowała się klawiatura domofonu, który pozwalał się skontaktować z mieszkańcami i zarządem budynku. Soto spojrzała na Boscha.

– Chcesz wejść do środka?

– Nie zaszkodzi.

Nacisnęła guzik obok nalepki z napisem „Oficina”. Drzwi otworzyły się z buczeniem, choć z domofonu nie padło pytanie o ich tożsamość. Bosch podniósł wzrok na kamerę zamontowaną wysoko ponad obramowaniem drzwi.

Soto otworzyła je i weszli do westybulu. W szklanych gablotach naściennych wisiał spis lokatorów i firm, a także plan pomieszczeń. Bosch zerknął na ten ostatni i zdał sobie sprawę, że w trakcie remontu trzy osobne gmachy połączono w jeden kompleks. Ten stojący od frontu – dawniej hotel Boyle, na dziewiętnastowiecznych rycinach oznaczony jako Cummings Block – został przekształcony na cele komercyjne, a dwa przyległe doń budynki zmieniono w apartamentowce. Bosch przeszedł do wiszącego na ścianie spisu i zlustrował listę drobnych firm, z których większość figurowała

pod hasłem Adwokat /*Abogado*.

Na prawo od wejścia znajdowały się schody. Harry ruszył w tamtą stronę.

– Biuro kierownika jest tutaj, na parterze – powiedziała Soto.

– Wiem – odparł Harry. – Wpadniemy tam, ale najpierw się trochę rozejrzemy.

Na pierwszym piętrze Bosch zobaczył troje oszklonych drzwi prowadzących do różnych biur: dwa należały do kancelarii adwokackich (napisy – *Se Habla Español* – obiecywały, że można się tu dogadać po hiszpańsku), trzecie zaś – pokój numer 211 – wyglądało na opuszczone.

Harry zatrzymał się i rozejrzał po korytarzu. Był czysty i jasny, zupełnie inny od tego, jakim go pamiętał z poprzednich wizyt w tym budynku. Wtedy mieściły się tu małe mieszkania, właściwie klitki, a na końcu korytarza znajdowała się wspólna łazienka, z której śmierdziało jak z kloaki. Harry poczuł zadowolenie, że budynek uratowano przed kompletnym zdewastowaniem.

Wszedł po schodach na następne piętro, czując za plecami obecność Soto. Wyżej ulokowały się kolejne biura, aczkolwiek połowa pomieszczeń sprawiała wrażenie pustych. Bosch spróbował otworzyć drzwi z napisem „Dach”. Nie były zamknięte na klucz.

Po nowych schodach wspięli się aż pod kopułę, z której rozpościerał się widok we wszystkich kierunkach, w tym również na most oraz centrum miasta. Bosch zobaczył betonowe koryto rzeki oraz tory kolejowe, otaczające śródmieście niczym wstęga. Na wschodzie widać było plac. Członkowie jednego z zespołów pakowali właśnie instrumenty do minivana – najwyraźniej udało im się dostać zlecenie na wieczorny koncert.

– Sądziś, że strzał padł właśnie stąd? – zapytała Lucy.

Harry potrząsnął głową.

– Wątpię. Za bardzo na widoku. I kąt nachylenia prawdopodobnie zbyt ostry.

Ułożył ramiona tak, jakby oddawał strzał z karabinu, celując tą wyimaginowaną bronią w szczyt schodów prowadzących do metra. „Za stromo” – pomyślał. Kula nie mogła przebić instrumentu Merceda, a potem jego brzucha pod takim kątem, jak to miało miejsce.

– Poza tym tę kopułę wyremontowano niedawno. Dziesięć lat temu niczego tutaj nie było.

Nagle Bosch zauważył człowieka siedzącego samotnie na jednej z ławek na placu. Mężczyzna patrzył do góry, na Harry'ego. Drzwi u podnóża schodów prowadzących pod kopułę otworzyły się i jakaś kobieta zaczęła się po nich wspinać, mówiąc coś bardzo szybko po hiszpańsku. Soto ruszyła w jej kierunku i wyciągnęła policyjną odznakę. Kobieta mówiła za szybko, aby Bosch mógł coś zrozumieć, lecz właściwie nie musiał. Widać było, że ich wtargnięcie na dach absolutnie jej się nie spodobało.

Soto w końcu przetłumaczyła.

– To jest pani Blanca. Mówi, że nie wolno tutaj wchodzić, bo najpierw trzeba się zgłosić do kierownika. Przeprosiłam ją.

– Spytaj, czy pracowała tutaj przed renowacją.

Blanca potrząsnęła głową i powiedziała „nie”, zanim pytanie zostało przetłumaczone.

– Mówi pani po angielsku? – zdziwił się Bosch.

– Troszkę, tak.

– Niech pani odpowiada w dowolnym języku. Ten budynek podlega ochronie, prawda?

– Tak, ma status zabytku. Budowę rozpoczęto w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

– Co się stało z księgami hotelu, kiedy zaczął się remont?

Kobieta wyglądała na zdezorientowaną, więc Soto przetłumaczyła pytanie i odpowiedź.

– Mówi, że wszystkie stare księgi hotelowe zostały zabezpieczone przez Towarzystwo Historyczne. Są obecnie w archiwum miejskim. Zarząd budynku chce zrobić z nich tutaj wystawę.

Bosch kiwnął głową. W sporządzonych przez Rodrigueza i Rojasa notatkach z przesłuchań gości hotelowych nie zauważył wcześniej żadnej wzmianki, by kogokolwiek z obsługi hotelu Mariachi przesłuchano jako świadka wydarzeń na placu.

Pomyślał, że był to błąd.

## 9

Bosch został w biurze do późna, czytając raporty i streszczenia zeznań znajdujące się w aktach. Zapisywał też wszystko, co świeżo zaobserwował lub co mu właśnie przyszło do głowy. W środowe wieczory jego córka była zajęta, ponieważ uczestniczyła w programie „Odkrywca”, prowadzonym przez komendę w Hollywood. W skład tej grupy wchodziła młodzież ze szkół średnich, zwłaszcza zaś osoby, które rozważały podjęcie pracy w instytucjach porządku publicznego. Miały one szansę przyjrzeć się pracy policji bezpośrednio, często brały udział w prawdziwych akcjach. Każdy taki wieczór oferował mnóstwo atrakcji, dlatego Bosch nie musiał jeszcze wracać do domu, mimo że rozpoczął pracę przed świtem, po telefonie od kapitana Crowdera.

Sala zajmowana przez śledczych miała wielkość boiska piłkarskiego, lecz teraz była zupełnie pusta. Bosch delectował się absolutną ciszą panującą wewnątrz i mrokiem za oknami. Niekiedy wychodził ze swojego boksu i przemierzał pomieszczenie wzdłuż. Wędrował wtedy między boksami, przyglądając się, jak pozostali detektywi urządzają swoje stanowiska pracy. Zauważył, że kilku z nich pozbyło się służbowych, zakupionych na przetargu foteli, zamieniając je na wysokiej klasy modele z regulowanymi podłokietnikami i system odciążania odcinka lędźwiowego kręgosłupa. A ponieważ było to Los Angeles, właściciele owych mebli – jakże by inaczej – wychodząc z pracy, mocowali je do biurka za pomocą rowerowych zapieć.

Boscha zasmucił ten widok. Nie dlatego, że prywatna własność nie była bezpieczna nawet w budynku policji, lecz dlatego, że cały Departament stawał się coraz bardziej zbiurokratyzowany. Podstawowymi narzędziami pracy współczesnego detektywa były komputer i telefon komórkowy. Śledczy przesiadywali w fotelach za tysiąc dwieście dolarów i nosili eleganckie, markowe buty z frędzlami. Przeminięły dni grubych gumowych podeszew i pierwszeństwa treści przed formą, gdy policyjne motto brzmiało: „Bierz dupę w troki i idź pukać do drzwi potencjalnych świadków”.

Przechadzka po sali napełniła Boscha melancholią i skłoniła do refleksji, czy aby nie nadszedł już czas odejść ze służby.

Popracował jeszcze do dwudziestej, a potem spakował wszystko do aktówki, wyszedł z budynku i ruszył Main Street do baru Nickel Diner. Tam usiadł przy stoliku i zamówił stek wołowy oraz butelkę piwa Newcastle. Znowu zaczynał się przyzwyczajać do samotnych kolacji. Jego związek z Hannah Stone skończył się na początku roku, co przełożyło się na liczne wieczory spędzane w pojedynkę. Miał zamiar wyjąć niektóre materiały ze śledztwa i je przestudiować, ale uznał, że przynajmniej podczas posiłku powinien odpocząć od pracy. Czas mijał mu na rozmowie z Moniką, właścicielką baru, która przyniosła zamówienie wzbogacone o pączka w polewie z syropu klonowego, na koszt firmy. Ten świeży zastrzyk kalorii sprawił, że Harry postanowił nie wracać jeszcze do pustego domu.

W drodze na komendę zatrzymał się przed klubem jazzowym Blue Whale, żeby sprawdzić koncerty – te najbliższe i te zaplanowane na dalszą część miesiąca. Był mile zaskoczony, gdy zobaczył afisz informujący, że tego wieczora ma wystąpić Grace Kelly z czteroosobowym zespołem. Grace była młodą saksofonistką, zdolną wydobywać z instrumentu potężne dźwięki. Umiała również śpiewać. Bosch miał w swoim telefonie kilka jej nagrań i czasem odnosił wrażenie, że przemawia przez nią duch wielkiego Franka Morgana, jego ulubionego saksofonisty. Nigdy nie widział jednak Grace na żywo, więc zapłacił za wstęp, zamówił kolejne piwo i usiadł w głębi sali, kładąc aktówkę na podłodze, między nogami.

Podobała mu się prezentowana wiązanka utworów, a jeszcze bardziej wzajemne uzupełnianie się Grace i sekcji rytmicznej. Koncert zakończył się solowym występem artystki, który sprawił, że muzyka niczym sztylet wbiła się głęboko w serce Boscha. Piosenka nosiła tytuł „Somewhere Over the Rainbow” i Grace wydobywała z waltorni dźwięki, których ludzki głos nie byłby w stanie imitować. Pieśń, pełna zawodzenia i smutku, niosła w sobie jednak nadzieję. Harry pomyślał, że może jest jeszcze dla niego jakaś szansa, że chociaż zostało mu tak mało czasu, może jeszcze znajdzie to, czego szuka.

Wyszedł w przerwie koncertu i skierował się z powrotem do biura. Przemierzając dwie przecznice dzielące go od komendy, napisał esemesa do córki z pytaniem, czy nadal jest na zajęciach. Odpowiedziała od razu: już jest w domu, zaraz kładzie się spać, bo czuje się zmęczona po całym dniu szkoły i zbiórce Odkrywców. Bosch zerknął na zegarek i zdał sobie sprawę, że czas

minął bardzo szybko. Była prawie dwudziesta trzecia. Zadzwoił więc do Maddie powiedzieć jej dobranoc i poinformować, że popracuje dłużej, skoro ona i tak kładzie się spać.

– Nie masz nic przeciwko temu, że wrócę do domu późno?

– Oczywiście, że nie, tato. Pracujesz?

– Tak, właśnie wracam z kolacji do komendy. Muszę przejrzeć parę materiałów.

– A wydaje mi się, że piłeś.

– Jedno piwo do posiłku. Nic mi nie jest. To potrwa tylko parę godzin.

– Uważaj na siebie.

– Uważam. Co wam dali dziś do roboty?

– Byliśmy z patrolem, który wyłapywał pijanych kierowców. Głównie się przyglądaliśmy. Złapali jednego faceta. Nie był pod wpływem, za to kompletnie goły. Ohyda.

– Cóż, witamy w Hollydziwołod. Mam nadzieję, że nie zostaną ci blizny na psychice do końca życia.

– Jakoś chyba przeżyję. Okryli go kocem i spisali.

– To dobrze. A teraz idź spać. Zobaczymy się rano, zanim wyjdiesz do szkoły.

Bosch się rozłączył, rozmyślając po raz kolejny, czy jego córka naprawdę chce zostać policjantką, czy może robi to wszystko tylko ze względu na niego. Może powinien porozmawiać w tej sprawie z doktor Hinojos? Maddie spotykała się z nią raz w miesiącu, na godzinę. Policyjna psycholog robiła to nieoficjalnie, w ramach przysługi dla Boscha. Bezpłatnie poświęcała swój czas Maddie, odkąd ta zamieszkała z Harrym po śmierci matki.

Kiedy Harry wrócił do ciągle pustej sali śledczych, jego wzrok spoczął od razu na biurku partnerki. Na fotelu leżała duża, skórzana torebka Soto. Zwykle rzucała ją tam rano, gdy przychodziła do pracy i szła po kawę. Wyjmowała tylko potrzebną kwotę pieniędzy, a torbę zostawiała na fotelu. Ale teraz była godzina dwudziesta trzecia. Bosch pomyślał w pierwszej chwili, że pewnie zostawiła ją, wychodząc wcześniej z biura, doszedł jednak do wniosku, że to niemożliwe, ponieważ trzymała w niej kluczyki do samochodu, a także – po służbie – swoją broń.

Rozejrzał się po sali. Ani śladu Soto. Wydało mu się jednak, że wyczuwa delikatny zapach kawy. Lucy musiała być w pobliżu.

Wyjął telefon i napisał do niej esemesa:



Gdzie jesteś?

Odpowiedź sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej zaskoczony.

W domu. Zaraz uderzam w kimono. A co?

Teraz Harry był już kompletnie zbity z tropu. Odpisał:

Nic. Tak pytałem.

Po wysłaniu drugiej wiadomości wydało mu się, że gdzieś niedaleko słyszy ciche piknięcie. Powiadomienia o przychodzących esemesach w komórce Boscha były ustawione na wibrację, ponieważ otrzymywał je głównie od córki i nie chciał, żeby dźwięki przeszkadzały mu w pracy. Soto nie miała tego problemu. Jej telefon obwieszczał nadejście esemesa wyraźnym sygnałem i Bosch był pewny, że właśnie usłyszał jeden z nich. Napisał kolejną wiadomość.

Do zobaczenia jutro.

Wcisnąwszy „wyślij”, wstrzymał oddech i stał nieruchomo, nasłuchując. Niemal natychmiast usłyszał to samo piknięcie. Dochodziło zza otwartych drzwi archiwum, po drugiej stronie sali.

Archiwum było w istocie wielkim magazynem, w którym przechowywano wszystkie akta i materiały dowodowe Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych. Pomieszczenie było ogromne, ale i spraw mieli tyle, że rok wcześniej zainstalowano tu system przesuwanych stelaży, podobny do tych, jakie widuje się w bibliotekach uniwersyteckich albo w archiwach wielkich kancelarii prawnych. Dzięki temu uzyskano większą przestrzeń magazynową. Gdy jakiś detektyw chciał znaleźć konkretne akta, po prostu wysuwał stelaż, w którym spoczywały. Każda para śledczych miała na swoją dokumentację cały rząd półek.

Bosch cicho podszedł do otwartych drzwi archiwum i zajrzał do środka. Zapach kawy był teraz silniejszy. Harry spojrzał na szereg sięgających od sufitu do podłogi półek. Stelaż, na którym wraz z Soto trzymali akta swoich spraw, był zamknięty, jednak trzy metry dalej widać było otwarty segment należący do innej pary detektywów.

Bosch wszedł do pomieszczenia i cicho zbliżył się do otwartego stelaża.

Zawahał się, a potem wystawił głowę i zajrzał za narożnik, w szerokie na metr przejście między półkami.

Nikogo tam nie było.

Zaskoczony popatrzył na sam koniec magazynu. Obok ostatniego stelaża znajdowała się otwarta wnęka, w której umieszczono kserokopiarkę. Ruszył w tamtą stronę. Gdy znalazł się kilka metrów od celu, usłyszał uruchamianą maszynę.

Kopiarka skutecznie zagłuszyła jego kroki, więc podszedł szybko i zajrzał do wnęki. Lucia Soto stała przy kserze zwrócona do Boscha plecami. Na kontuarze po jej prawej ręce leżał otwarty segregator akt sprawy o zabójstwo, z rozsuniętymi obręczami. Obok czekały jeszcze trzy, a także kubek parującej kawy z LA Café, pobliskiego całodobowego baru.

Harry przyglądał się w milczeniu, jak Soto kopiuje dokumenty i raporty z segregatora. Taca maszyny była pełna kartek.

Nie wiedział, co zrobić. Nie miał pojęcia, dlaczego Soto kseruje – bo na to wyglądało – akta sprawy o zabójstwo, której im wcale nie przydzielono. Cofnął się i sprawdził rejestr na półkach. Każdy zespół w Sekcji miał pod swą pieczęć archiwalia z konkretnych lat, opatrzone wizytówkami detektywów w okienkach po obu stronach stelaża. Otwarty segment należał do Whittakera i Dubose'a. Harry nie pamiętał, za jaki okres odpowiedzialni byli ci dwaj, ale cztery segregatory, które Soto miała przy sobie obok kopiarki, wyglądały na stare. Niebieski winyl popękał i zblakł, a kartki papieru pożółkły.

Ponownie zerknął w stronę wnęki, zastanawiając się, czy nie odejść tak cicho, jak przyszedł, ale nagle zalała go fala rozmaitych myśli, która kazała mu się wstrzymać. Po pierwsze, uznał, że Soto postępuje strasznie głupio, kopiując te akta. Każdy detektyw w Sekcji miał własny kod do ksera, który musiał wpisać na klawiaturze, żeby maszyna zaczęła działać. To zaś oznaczało, że pozostawał ślad, pozwalający stwierdzić, ile Soto skopiowała stron i kiedy. Po drugie, uprzytomnił sobie – o czym było powszechnie wiadomo – że ostatnimi laty istotnie obniżono kryteria przyjmowania kandydatów do policji. Funkcjonariuszami mogli zostać nawet ludzie notowani za drobne przestępstwa narkotykowe lub powiązani wcześniej z gangami. Niektórzy uważali więc, że nastąpiła infiltracja sił porządkowych przez zorganizowane grupy przestępcze, a nawet terrorystów. Bosch zastanawiał się, czy Soto nie pracuje jako podwójna agentka: za dnia

detektyw od zadawnionych spraw, nocami wynosi poufne informacje.

Uświadomił sobie, że chyba za bardzo popuścił wodze fantazji, lecz z drugiej strony... przecież Soto przed chwilą go okłamała, w swoich eśemesach. Cóż takiego chciała przed nim zataić?

Bosch należał do ludzi, którzy mają zwyczaj natychmiast wyjaśniać wątpliwości i rozwiązywać problemy. Podjął decyzję i wrócił do wnęki. Lucia wyciągała z maszyny gruby plik kartek i całkowicie pochłonięta tą czynnością, nie zauważyła Harry'ego.

– Zdobyłaś to, co chciałaś?

Soto prawie wyskoczyła z butów. Zdławiła w sobie okrzyk i odwróciła się w stronę Boscha. Chwilę trwało, zanim doszła do siebie i odpowiedziała.

– Harry! Wystraszyłeś mnie na śmierć. Co ty tu robisz?

– To chyba *ja* powinienem zapytać, co *ty* tutaj robisz, Lucio.

Powachlowała się dłońmi, jakby próbowała odzyskać oddech po szoku, w który ją wprowadził. W ten sposób zyskała nieco czasu na wymyślenie odpowiedzi.

– Po prostu przyglądam się niektórym dawnym sprawom, to wszystko.

– Naprawdę? Sprawom, które nie należą do ciebie? Ani do nas?

– Próbuję się nauczyć pracy w Wydziale Zabójstw. Przyglądam się śledztwom. Czasem kopiuję akta i biorę je do domu. Wiem, że to wbrew przepisom, ale... chyba nic aż tak strasznego. Nie mogłam spać, więc przyszłam zrobić parę kopii.

Cała ta historia oraz sposób, w jaki ją przedstawiała, były jednym, wielkim, wręcz żenującym w swej nieporadności kłamstwem. Bosch wszedł do wnęki, zbliżył się do kontuaru i przekartkował zawartość jednego z segregatorów, które kopiowała Soto. Odczytał pierwszą stronę, czyli raport wstępny i podsumowanie śledztwa. I natychmiast je rozpoznał.

– Więc wyciągasz dokumenty na chybił trafił i sobie do nich zaglądasz?

– No, coś w tym stylu.

Bosch popatrzył na grzbiety pozostałych segregatorów i zrozumiał, że wszystkie cztery pochodzą z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku i dotyczą tej samej sprawy – pożaru bloku mieszkalnego przy Bonnie Brae. W budynku położonym w dzielnicy Westlake zginęło wówczas dziewięć osób, głównie dzieci. Ofiary znajdowały się w nielegalnym przedszkolu, prowadzonym w podziemiach kompleksu mieszkalnego dla osób o niskich dochodach. Płomienie i dym odcięły drogę ucieczki

z ciasnego pomieszczenia i połowa przebywających w nim dzieci zmarła wskutek zatrucia tlenkiem węgla. Uznano, że doszło do umyślnego wzniesienia ognia, lecz mimo wysiłków specjalnej grupy zadaniowej, składającej się z ekspertów pożarnictwa i śledczych z policji Los Angeles, nigdy nikogo nie aresztowano.

Bosch wsunął skopiowane przez Soto kartki z powrotem do skoroszytu, a następnie ułożył wszystkie cztery segregatory jeden na drugim, podniósł je i odwróciwszy się, wyszedł.

– Weź swoją kawę – powiedział, mijając Soto.

Zaniósł akta do ich wspólnego boks, a następnie położył je na swoim biurku. Kiedy wskazał Soto jej fotel, Lucia zsunęła torbę i usiadła.

Harry zaczął chodzić od przepierzenia do przepierzenia, mówiąc do pleców partnerki. Soto siedziała ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę, jak podejrzany, który właśnie słyszy zarzuty.

– Powiem to tylko raz i nigdy nie będziemy wracać do tej rozmowy – zaczął Bosch. – Jeśli mnie okłamiesz, a ja się o tym dowiem, wtedy koniec naszej współpracy. Dopilnuję też, żeby twoja policyjna kariera dobiegła końca, nieważne, czy masz medal za odwagę, czy nie.

Przerwał i spojrzał na jej kark. Kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Pożar w bloku na Bonnie Brae – ciągnął. – To nie ja prowadziłem dochodzenie, ale tam byłem i wszystko pamiętam. Dziewięć ofiar śmiertelnych, sprawa nierozwiązana. Krążyły pogłoski, że ogień podłożyli ludzie z gangu La Raza z Pico-Union, ponieważ zarządca budynku nie pozwalał im na dilerkę. To wszystko, co wiem. Jak wspomniałem, to nie ja prowadziłem śledztwo, ale rzecz była poważna i głośna, dlatego krążyły różne plotki.

Bosch zatrzymał się, złapał oparcie fotela Soto i obrócił ją twarzą do siebie.

– A teraz nagle zjawiasz się ty, bohaterka, która zdjęła dwóch gości na Trzynastej Ulicy, a tak się dziwnie składa, że gangi z Trzynastej i z Pico-Union to zaprzysięgli wrogowie.

Bosch wskazał na swoją skroń.

– Przyłapuję cię, jak kopiujesz akta w sprawie pożaru na Bonnie Brae, i tak sobie myślę: czy ta dziewczyna nie mówiła mi, że urodziła się w Westlake, a dopiero potem przeprowadziła do Doliny? Siłą rzeczy zadaję sobie pytanie: po co ona wyciągnęła te akta?

- To zupełnie nie tak, Harry. Ja...
- Pozwól mi skończyć. Na razie ja mówię.

Staął do niej plecami i spojrzał w dół, na segregatory leżące na biurku. Wszystko się w nim gotowało. Znow się odwrócił.

– Wszyscy wiemy, że tamci robią, co mogą, żeby dostać się w szeregi policji i mieć tu swoich informatorów. Ludzi, którzy przede wszystkim pracują dla nich, a dopiero potem są gliniarzami. Ale oświadczam ci, że ja na to nigdy nie pozwolę. Masz mnie za starego durnia, któremu można srać pod samym nosem, a on się nie pozna? Od początku wiedziałem, że coś z tobą jest nie tak. Wcale nie chcesz być gliną. Interesuje cię coś innego.

- Nie, mylisz się.

Chciała wstać, ale Bosch położył jej dłonie na ramionach i przytrzymał w fotelu.

– Nie, nie myślę się. I będziesz tu siedzieć, póki nie powiesz, czym się zajmujesz i dla kogo. Jak będzie trzeba, zaczekam do rana. Ludzie zaczną się schodzić i zadawać pytania.

Soto sięgnęła jedną ręką ku drugiej. Bosch zamarł, lecz ona tylko dotknęła swojego nadgarstka i gwałtownie podwinęła rękaw koszuli, odsłaniając przedramię. Następnie obróciła je tak, by mógł zobaczyć tatuaż po wewnętrznej stronie. Wyryte na nagrobku imiona: *Jose, Elsa, Marlina, Juanito, Carlos*.

– Byłam w tej piwnicy, kiedy wybuchł pożar, okej? – powiedziała. – To moi przyjaciele. Zginęli.

Bosch powoli podszedł do biurka i wysunął spod niego fotel, aby usiąść. Przez chwilę spoglądał na segregatory, a potem objął wzrokiem partnerkę.

- Chcesz rozwikłać tę sprawę – powiedział. – Sama.

Soto kiwnęła głową i ściągnęła rękaw koszuli.

## 10

Następnego ranka Bosch i Soto spotkali się w sali odpraw, odbili swoje karty, a potem od razu zeszli do samochodu Harry'ego, którym udali się do laboratorium regionalnego. Bosch otrzymał wcześniej wezwanie od Bailey Copeland, pracownicy Zespołu Analiz Wideo, której poprzedniego dnia zostawił płyty z nagraniami. Co prawda Copeland oświadczyła Harry'emu, że na przeanalizowanie trzech dysków potrzebuje kilku dni – i to tylko dlatego, że ze względu na wagę sprawy i zainteresowanie mediów przesuwają ją na początek kolejki – jednak rano zadzwoniła do Boscha, gdy ten jechał sto jedynką, i powiedziała mu, że znalazła coś, co powinien zobaczyć. Im szybciej, tym lepiej.

W drodze do laboratorium Bosch i Soto prawie nie rozmawiali o wypadkach minionej nocy ani o prowadzonym przez Lucię prywatnym śledztwie. Bosch doskonale rozumiał motywy kierujące jego partnerką. On sam również mocno pragnął kiedyś rozwikłać sprawę z własnej przeszłości. Obiecał Soto pomoc, przy czym stanowczo podkreślił, że wszystko należy wykonać zgodnie z procedurami. Boschowi pozostał niecały rok do uzyskania prawa do jednorazowej wypłaty wszystkich środków zgromadzonych na jego koncie emerytalnym, obawiał się jednak, że kierownictwo Departamentu zechce wykorzystać każde naruszenie przez niego przepisów, aby tę wypłatę zamrozić. Powiedział Soto, że najlepiej byłoby, gdyby wymyślili sposób na oficjalne przekazanie im sprawy pożaru na Bonnie Brae, gdyż wtedy mogliby prowadzić to śledztwo razem. Ostrzegł, że zajmowanie się dochodzeniem, którego jej nie przydzielono, może spowodować kłopoty – zarówno na nią, jak i na niego.

Pomieszczenia Zespołu Analiz Wideo znajdowały się na drugim piętrze siedziby laboratorium regionalnego. Bailey Copeland czekała na nich w specjalnej kabinie – na ścianie umieszczono liczne ekrany, a poniżej stół z konsolą kontrolującą obraz i dźwięk. W ciasnym pokoiku panował półmrok. Copeland wyciągnęła dwa dodatkowe taborety dla Boscha i Soto.

– Dziękuję, że przyjechał pan tak wcześnie – powiedziała. – Pokażę

panu, co tu mam, a potem idę do domu.

– Pracowała pani nad tym całą noc? – zapytał Harry.

– Owszem. Znalazłam coś i nie mogłam odpuścić.

– Cóż... dziękuję. Proszę pokazać, co pani znalazła.

Stół laboratoryjny był wysoki, a Copeland niska, więc podczas prezentacji stała. Mimo to Bosch i Soto, którzy siedzieli za nią, bez problemu widzieli monitory.

– Okej, puścimy to raz w całości, a potem wrócimy. Najpierw zsynchronizowałam wszystkie trzy nagrania. Licznik czasu na przynajmniej jednym z nich był wyłączony, dlatego za punkt odniesienia wzięłam zdarzenia widoczne na wszystkich filmach.

Wcisnęła klawisz i trzy znajdujące się przed nimi ekrany ożyły, pokazując Mariachi Plaza lub sąsiadujące z nim ulice pod różnymi kątami. Copeland niemal od razu stuknęła w inny klawisz i gdy obraz zamarł, wskazała na środkowy monitor, z filmem ze sklepu muzycznego.

– Tutaj widać forda taurusa, jak przejeżdża koło sklepu. Ten samochód jest na każdym nagraniu.

Wskazała wóz widoczny na wszystkich ekranach. Bosch od razu zauważył, że jakość filmów ogromnie się poprawiła w porównaniu z tym, co widział na swoim monitorze. Copeland świetnie je obrobiła i obraz był o wiele ostrzejszy.

– To nam pozwala zsynchronizować filmy i oglądać je symultanicznie. Proszę.

Analityczka wcisnęła klawisz i nagrania ruszyły. Trzy monitory usytuowano tuż obok siebie, dlatego Boschowi nietrudno było je obserwować równocześnie. Ford pojawił się ponad minutę przed strzałem, więc oglądali, czekając, aż Merced spadnie ze stołu na ziemię, a jego koledzy z zespołu pójną w rozsypkę.

– Okej, a teraz zobaczmy to samo, tylko w zwolnieniu – powiedziała Copeland. – Proszę mi powiedzieć, co widzicie.

Włączyła film. Bosch skupił uwagę na środkowym ekranie, który ukazywał Merceda siedzącego na stole. Obraz był tu najwyraźniejszy, poza tym tylko tutaj dało się dostrzec ofiarę. Oglądanie tej sceny w zwolnionym tempie ze świadomością, jak to się skończy, wydawało się czymś upiornym. Soto, która oglądała te filmy pierwszy raz, nachyliła się, aby lepiej widzieć.

Bosch starał się objąć wzrokiem wszystkie trzy monitory w momencie,

gdy Merced zostanie trafiony, nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Copeland zatrzymała film.

– Widzieliście to? – spytała.

– Co? – zdziwił się Harry.

Analityczka się uśmiechnęła.

– Zmieńmy trochę ustawienie.

Wpisała jakąś komendę i kolejność obrazów uległa zmianie. Teraz pośrodku znalazł się ten z kamery na parkingu przy restauracji Poquito Pedro's.

– No dobrze, zobaczmy to jeszcze raz.

Copeland uruchomiła nagranie w zwolnionym tempie, a Bosch nie odrywał oczu od środkowego monitora. Obraz był wprawdzie wyraźniejszy, niż gdy odtwarzał film na swoim laptopie, wciąż jednak dosyć ziarnisty. Ujrzał ulicę oraz fragment Mariachi Plaza z odległości dwóch przecznic.

– Tam – powiedziała Soto. – Widziałam.

– Co widziałaś? – zapytał Bosch.

– W oknie.

Wskazała okno na pierwszym piętrze hotelu Boyle. W pokoju były zaciągnięte zasłony.

– Ma pani dobry wzrok – skomentowała Copeland. – Przyjrzyjmy się jeszcze raz.

Znów odtworzyła tę sekwencję, ale tym razem Bosch obserwował wyłącznie wskazane przez partnerkę okno. W pewnej chwili zobaczył na ciemnym tle drobny błysk, dosłownie piksel. Copeland zatrzymała obraz.

– To? – spytał Harry.

– Tak, to. Musi pan pamiętać, że większość nagrań z monitoringu, zwłaszcza sprzed dziesięciu lat, wykonywana jest w wolnym tempie, ze względu na pojemność pamięci. Ta kamera rejestruje dziesięć klatek na sekundę.

– Więc powiada pani, że ta mała kropka to błysk z lufy?

– Właśnie tak. Tylko tyle kamera zdołała wychwycić, ale wystarczy. Strzał padł z tamtego okna.

Bosch gapił się na zatrzymany na ekranie obraz. Wiedział, że nie ma już sensu badać trajektorii pocisku. Strzał oddano z pierwszego piętra hotelu Mariachi.

– Oto, co udało mi się uzyskać – powiedziała Copeland i wpisała kilka



poleceń, po których obraz na środkowym monitorze urósł do ogromnych rozmiarów. Pośrodku widać było okno. Wszyscy troje długo przyglądali się białej kropce na ciemnym tle.

– Musimy zdobyć te księgi hotelowe, Harry – odezwała się w końcu Soto.

– To jest pokój dwieście jedenaście – rzekł.

– Nakaz przeszukania? – spytała. – Wszystko zgodnie z prawem?

Bosch ponownie kiwnął głową.

– Jeszcze nie skończyłam – wtrąciła Copeland.

Ponownie skonfigurowała obraz tak, że na centralnym monitorze ukazał się Merced. Następnie zaznaczyła jasnym kółkiem postać jednego z członków zespołu. Nie Merceda, lecz mężczyznę stojącego z trąbką. Znów włączyła playback. Znacznik pozostał wokół trębacza, kierując na niego największą uwagę, podczas gdy reszta ekranu lekko się rozmyła.

– Obserwujcie go – powiedziała Copeland.

Bosch zrobił, co mu kazano. Znów wpatrywał się w obraz, lecz i tym razem zobaczył tylko to, co widział już przedtem: reakcję trębacza na strzał oddany do Merceda. Facet się szybko odsunął i zniknął z ekranu.

– No dobra – powiedział Harry, uznawszy, że najwyraźniej nie jest w stanie ujrzeć tego, co Copeland chciała, żeby zobaczył. – Co tu widzimy?

– Dwie rzeczy – odparła analityczka. – Po pierwsze, jego reakcję. Powiększenie obrazu nie ma tu znaczenia. Mówię teraz o samej tylko reakcji. Popatrzcie na pozostałych.

Przesunęła jasne kółko z trębacza na innego mężczyznę, po czym raz jeszcze puściła wideo. Mężczyzną tym był akordeonista, który siedział tuż obok Merceda na stole. Facet najpierw patrzył, jak Merced osuwa się ze stołu, po czym zaczął się uśmiechać, przypuszczając zapewne, że to jakiś wygłup. Lecz gdy na ziemię padł gitarzysta, on zrobił to samo i schował się pod stołem tak głęboko, jak tylko mógł.

– A teraz gitara – powiedziała Copeland.

Kółko przesunęło się na mężczyznę, który grał na gitarze przy dalszym rogu stołu. On także był początkowo zdezorientowany, widząc zachowanie Merceda, ale kiedy zrozumiał, co się stało, przykucnął i schronił się pod stołem, chowając pod nim swój instrument.

– Zobaczmy jeszcze raz trębacza – rzekł Bosch.

Obejrzeni film w milczeniu.

– Jeszcze raz – powtórzył Harry.

Znów skupili się na ekranie.

– Okej – powiedział. – Obejrzyjmy całość już bez tych kólek.

Po zakończeniu seansu Harry nadal gapił się w ekran.

– Rozumie pan, o co mi chodzi? – spytała Copeland. – Nie o jego ucieczkę. Ona jest zrozumiała.

– Myśli pani, że on wiedział, że padnie strzał? – odezwała się Soto.

– Nie wiem – odrzekła analityczka. – Chcę tylko powiedzieć, że po tym człowieku nie widać konsternacji, co byłoby tu normalne. Po prostu instynkt ucieczki i nic więcej. Jakby od razu wiedział, że Merced dostał postrzał. Natomiast pozostali faceci zorientowali się dopiero po chwili.

Bosch kiwnął głową. To była trafna obserwacja – coś, co mu umknęło, choć dzień wcześniej obejrzał nagranie kilka razy. Skupiał się wtedy tylko na Mercedzie, za mało uwagi poświęcając pozostałym członkom zespołu.

– Który to? – zapytał.

– Trębacz. Nazywał się chyba Ojeda – odpowiedziała mu Soto. – Angel Ojeda. To ten, który zeznał, że uciekł.

– Okej, porozmawiamy teraz o miejscu, które zajmował pan Ojeda – odezwała się Copeland. – Dzięki synchronizacji opracowałam cyfrowy model charakterystyki balistycznej strzału. Spieszyłam się, więc jest byle jaki.

Wpisała polecenia i wszystkie ekrany zgasły – poza centralnym, na którym uruchomiła dość niezdarną animowaną wizualizację strzału. Plac widziany był z okna sklepu muzycznego. Członkowie zespołu zostali przedstawieni jako małe ludziki, obok których widniały pojedyncze litery alfabetu. Merceda oznaczono jako postać A, Ojedę jako postać B.

– Ten program oblicza poszczególne kąty i zgodnie z nimi tworzy wielowymiarową animację, która pozwala nam dowolnie zmieniać perspektywę.

Za pomocą klawiatury i myszy Copeland sterowała obrazem na ekranie. Zaczęła od widoku z okna sklepu muzycznego, a następnie zrobiła zbliżenie na czterech mężczyzn ulokowanych na stole i wokół niego. Potem wpisała jakieś polecenie i wizualizacja strzału zwolniła: czerwona linia powoli wyznaczyła trajektorię pocisku, który przeciął ekran i trafił w postać siedzącą na stole – w Merceda.

– Okej, jeszcze raz, ale teraz widok z góry – powiedziała analityczka.

Obraz przesunął się tak, że patrzyli na stół z lotu ptaka. Copeland

włączyła symulację i czerwona linia pokazująca lot kuli znów przecięła ekran ponad głowami ludzi i wbiła się w Merceda. W chwili uderzenia postać Ojedy, trębacza, znajdowała się w ruchu, za stołem. Było jasne, że gdyby pocisk nie trafił Merceda, następnym celem byłby Ojeda.

– Ojejku! – wykrzyknęła Soto.

Copeland uruchomiła jeszcze dwie symulacje. Pierwsza również ukazywała wszystko z góry, ale z bardzo dużej wysokości, z widokiem na cały plac, sąsiednie ulice oraz hotel Boyle. Czerwona linia lotu pocisku wychodziła z okna w hotelu, przecinała cały ekran i docierała do stołu piknikowego. Znow widać było jak na dłoni, że Merced powstrzymał kulę, nim ta trafiła Ojedę.

Ostatnia symulacja strzału prezentowała scenę z punktu widzenia umieszczonego na poziomie gruntu, od hotelu aż po stół piknikowy. Copeland zatrzymała program w chwili, gdy pocisk trafił figurkę oznaczającą Merceda. Potem uruchomiła go ponownie, i jeszcze raz, i dopiero wtedy pozwoliła symulacji dobiec końca.

– Musicie porozmawiać z facetami od broni na temat trajektorii, namierzania celu i tak dalej – powiedziała. – Ale już teraz możemy sformułować wniosek, że jeśli postać B obserwowano za pomocą wizjera optycznego, to strzelec mógł nacisnąć spust, nie wiedząc, że postać A – wasza ofiara – znajduje się na linii ognia.

Bosch kiwnął głową.

– Widzenie tunelowe. Niektórzy nazywają je „ślepotą celownika”. Dostrzega się tylko cel.

Wstał. Był zbyt podekscytowany, by usiedzieć w miejscu.

– Ten trębacz – powiedział. – Musimy go znaleźć.

Copeland wyjęła z konsoli płytę, włożyła ją do plastikowego pudełka i wręczyła Soto.

– Zrobiłam kopię tej animacji. Mam nadzieję, że się przyda. Na polecenie sądu możemy opracować bardziej szczegółową wersję.

Soto kiwnęła głową i wzięła dysk.

– Jasne. Dzięki.

– Niech się pani położy spać, Bailey – rzekł Bosch. – Należy się pani.

# 11

Bosch i Soto pospiesznie wrócili do komendy i podzielili się pracą. Harry miał napisać wniosek o nakaz wydania ksiąg meldunkowych hotelu Boyle, a następnie dostarczyć go do siedziby sądu okręgowego, by uzyskać podpis sędziego, podczas gdy zadaniem Soto było zlokalizowanie trzech żyjących członków zespołu Los Reyes Jalisco – przede wszystkim Angela Ojedy, trębacza.

Zanim wzięli się do roboty, Soto poszła po kawę, a Bosch do gabinetu kapitana, by mu przekazać krótkie sprawozdanie z postępów w śledztwie. Tak skrupulatne informowanie szefa było w przypadku Harry'ego czymś nietypowym, zależało mu jednak, aby Crowder nie dał się przekonać porucznikowi i nie przekazał dochodzenia w sprawie Merceda Wydziałowi Zabójstw. Liczył, że jeśli kapitan dowie się, że doszło do nowych ustaleń, będzie mniej skłonny zrezygnować z tego śledztwa. Bo gdyby Bosch i Soto rzeczywiście sprawę rozwiązali, to właśnie Crowder – jako ich bezpośredni przełożony – zebrałby wszystkie laury związane z aresztowaniem podejrzanego.

Ku przerażeniu Boscha Crowder podniósł słuchawkę telefonu i poprosił Samuela, aby ten przyszedł do jego gabinetu wysłuchać raportu. Harry miał nadzieję, że uda mu się zachować te informacje w tajemnicy przed Samuelem, ponieważ to porucznik nalegał na oddanie sprawy komuś innemu.

Bosch szybko wprowadził przełożonych w aktualną sytuację, przekazując kluczowe dane uzyskane po analizie nagrań. Poinformował, że wiadomo już, skąd padł strzał, i że wraz z Soto zamierzają teraz ustalić, kto feralnego dnia wynajął ów pokój w hotelu Mariachi. Nie raczył jednak wspomnieć o animacji wykonanej przez Bailey Copeland, zgodnie z którą Merceda trafiła kula przeznaczona dla Angela Ojedy, trębacza. Harry chciał popracować nad tym aspektem sprawy sam, a dopiero potem przedstawić go Crowderowi i Samuelowi. Teraz powiedział jedynie, że Soto próbuje namierzyć trzech pozostałych członków zespołu, by ich przesłuchać.

– Okej, Harry – rzekł Crowder. – Robicie niezłe postępy. Tak trzymaj.

– Tak jest, kapitanie.

– Do odbierania telefonów z informacjami wyznaczyliśmy Holcomb – wtrącił się Samuels. – Od dzisiaj. Quarles jest zajęty w sądzie.

Sarah Holcomb i Eddie Quarles tworzyli jeden z zespołów śledczych zatrudnionych w Sekcji. Quarles był weteranem, a Holcomb nowicjuską. Prowadzili sprawę, która weszła już w fazę sądową, a ponieważ Quarles miał większe doświadczenie, wziął na siebie główną odpowiedzialność i to on zeznawał na rozprawie. Holcomb mogłaby mu tam towarzyszyć, lecz jej obecność niewiele by wniosła, więc zamiast sadzać ją na widowni, Samuels kazał jej się zająć odbieraniem telefonów w związku z wyznaczoną nagrodą. Normalnie Bosch wolałby widzieć tam bardziej doświadczonego detektywa, jednak w tym wypadku – z punktu widzenia planu, który właśnie układał w głowie – obsadzenie na linii żółtodzioba bardziej mu odpowiadało.

Kiedy Harry wrócił do swojego biurka, zastał na nim kubek kawy z ulokowanego na parterze automatu. Maszyna ta nigdy jeszcze nie wydała z siebie porządnej kawy, za to działała niezawodnie. Harry docenił fakt, że Soto postarała się o napój również dla niego.

– Następnym razem ja stawiam – zwrócił się do siedzącej przy komputerze partnerki.

– Nie ma sprawy – odrzekła, nie odrywając wzroku od monitora. – Kiedyś się wszystko wyrówna.

Bosch otworzył swój laptop i zabrał się do załatwiania nakazu. Skorzystał z gotowego wzoru pisma, zwłaszcza na pierwszych kilku stronach, gdzie wypełnił tylko puste pola dotyczące miejsca i powodów przeszukania. Trudność polegała na wskazaniu, gdzie przechowywane są obecnie stare księgi rejestrowe hotelu Boyle. Remont obiektu przeprowadzała jedna instytucja, natomiast zupełnie inna zajmowała się materiałami, o które chodziło Boschowi. To właśnie ona, czyli Towarzystwo Historyczne, dysponowała księgami, tyle że Harry nie wiedział, gdzie je przechowywano. Lecz abstrahując nawet od lokalizacji dokumentów, najważniejszą część wniosku stanowiło streszczenie prowadzonej sprawy, a na to gotowego wzorca nie było. Harry musiał przekonać sędziego do wydania nakazu, który umożliwiłby policji dostęp do ksiąg dawno nieistniejącego hotelu. Należało opisać powody, dla których owa dokumentacja jest niezbędna w śledztwie.

Przygotowanie wniosku zajęło Boschowi cały ranek. Tuż przed lunchem

wydrukował go i poprosił Soto, żeby przeczytała. W ten sposób wzmacniał łączącą partnerów więź, a jednocześnie uczył ją policyjnego fachu. Nakaz sądowy stanowił jedno z najważniejszych narzędzi ich pracy. Kiedy Soto skończyła, oświadczył, że wychodzi zanieść wniosek do sądu, a jej polecił dalej namierzać muzyków. Lucy odrzekła, że zlokalizowała już dwóch członków Los Reyes Jalisco – obaj mieszkali niedaleko – natomiast miejsce pobytu Angela Ojedy, czyli tego, z którym najbardziej chcieli porozmawiać, okazało się trudniejsze do ustalenia. Niedługo po tamtym incydencie Ojeda odszedł z zespołu, a prawdopodobnie także wyjechał z Los Angeles. W bazach organów ścigania nie był notowany, a według Służby Imigracji i Naturalizacji od trzech lat nie odnawiał swojej karty stałego pobytu.

– Może tamci dwaj wiedzą, gdzie on jest – zasugerował Bosch.

– Też tak pomyślałam. A może dadzą nam namiary na kogoś, kto ma namiary. Masz dziś wolne popołudnie?

– Tak, trzeba kuć żelazo póki gorące. Po drodze zostawimy nakaz w Towarzystwie Historycznym.

– Super.

Miejsce, do którego udawał się Bosch, od dwa tysiące drugiego roku oficjalnie nazywało się Centrum Sprawiedliwości im. Clary Shortridge Foltz, ale nikt nie używał tej nazwy. Była zbyt długa i zbyt trudna dla gliniarzy, z reguły posługujących się nieskomplikowanym językiem. Większość policjantów i prawników używała skrótu dawnej nazwy bądź kodu 2-10 – od adresu centrum przy West Temple Street 210. Siedziba sądów karnych mieściła się o jedną przecznicę od komendy policji i chociaż szło się tam lekko pod górkę, Bosch wolał się przespacerować, ponieważ jazda samochodem zajęłaby o wiele więcej czasu ze względu na trudności ze znalezieniem miejsca parkingowego.

Miał szczęście. Sędzią dyżurnym, który zajmował się kwestiami administracyjnymi oraz wydawaniem nakazów, była Sherma Barthlett. Harry znał ją od czasu, gdy pełniła jeszcze funkcję prokuratora, i zawsze mieli ze sobą dobre kontakty, wyłącznie na gruncie zawodowym. Kiedy zatem Bosch poinformował ją przez sekretarkę, że przyszedł z wnioskiem o wydanie nakazu, natychmiast został poproszony do gabinetu. Było to o tyle wyjątkowe, że najczęściej sędziowie sami analizowali zasadność wystawienia nakazu, kładąc detektywom czekać w nieskończoność w pustej sali rozpraw.

– Harry, nie mogę uwierzyć, że ciągle jesteś w grze – powiedziała sędzia

Barthlett, gdy Bosch stanął w progu.

Wstała i okrążyła biurko, żeby oficjalnie uścisnąć mu dłoń.

– Ostatnie chwile – odrzekł Harry. – Został mi jakiś rok, ale czasem odnoszę wrażenie, że nawet tyle nie zdołam wytrzymać.

– Ty? Na pewno trzeba będzie cię wyrzucić z roboty siłą. Siadaj.

Barthlett wskazała mu krzesło przed biurkiem, a sama wróciła na swoje miejsce. Była bardzo sympatyczną kobietą, której bezpretensjonalny sposób bycia stał w sprzeczności z surowością, którą przejawiała najpierw jako prokurator, a potem sędzia. Przezywano ją Księgową, ponieważ nie tylko specjalizowała się w przestępstwach finansowych, lecz także odznaczała się doskonałą pamięcią do wszelkich liczb – od numerów paragrafów kodeksu karnego przez numery telefoniczne po wyroki, które wydała wiele lat wcześniej. W latach dziewięćdziesiątych Bosch współpracował z nią dwukrotnie w sprawach zabójstw dokonanych z motywów finansowych. Była potwornie wymagająca, ale on nie narzekał. W obu przypadkach zapadły najwyższe możliwe wyroki.

Harry położył wniosek na biurku i przesunął go w kierunku sędzi.

– Co tutaj mamy? – spytała Barthlett, kartkując strony. – Wydanie dokumentacji?

– Zgadza się – odparł Bosch. – Szukamy nazwiska w księgach hotelowych.

– Towarzystwo Historyczne...

Bosch nie odpowiedział, wiedząc, że sędzia po prostu czyta na głos. Czekał.

– Pamiętam sprawę Merceda. Nie pracowałam wtedy w prokuraturze, ale trudno było o niej nie słyszeć. A teraz zmarł.

– Tak. Pisali w gazetach.

– Pomiędzy pracą a mężem i dziećmi zostaje mi bardzo mało czasu na gazety... Niewiele wiem o tym, co się dzieje na świecie.

Bosch tylko kiwnął głową. Oczy sędzi nie odrywały się od dokumentu.

W końcu uniosła mały młotek, który spoczywał na biurku – Bosch uświadomił sobie, że tak naprawdę jest to długopis – i złożyła podpis na pierwszej stronie nakazu sądowego, po czym wręczyła mu go z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że to coś da, detektywie.

– Ja też. Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Harry wstał i odwrócił się do drzwi.

– Kiedy dokładnie przechodzisz na emeryturę? – rzuciła do jego pleców sędzia.

Bosch spojrział na nią przez ramię.

– Powiniennem pod koniec przyszłego roku – odparł.

– Powinieneś?

Bosch wzruszył ramionami.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Dasz radę, Harry – powiedziała. – I mam nadzieję, że Jerry i ja zostaniemy zaproszeni na imprezę.

Bosch domyślał się, że Jerry to jej mąż. Uśmiechnął się.

– Jesteście na liście gości.

Z sądu poszedł przez Pueblo do dzielnicy Alameda. Jego pierwszym przystankiem była knajpka Philippe's, gdzie zjadł francuską kanapkę. Zamawianie jedzenia w Philippe's wyglądało dokładnie tak samo jak ponad sto lat temu. Klienci ustawiali się w kolejkach do krojczych i cierpliwie czekali na możliwość złożenia swojego zamówienia. Sztuka polegała na wyborze najszybciej poruszającej się kolejki. Gadatliwi krojczy spowalniaли ruch. Bosch zdecydował się na kobietę, która wyglądała na całkowicie pochłoniętą pracą, i wybrał dobrze. Ogonek, w którym stał, przesuwiał się w stałym tempie i wkrótce Harry zasiadł do stołu ze swoim sandwiczem, swoją sałatką ziemniaczaną i colą.

Smakowało doskonale, jak zwykle. Boscha ogarnęła pokusa, aby znowu się ustawić w kolejce, postanowił się jednak przegłodzić. Francuska kanapka nie była jedynym powodem, dla którego wybrał Philippe's. Inną zaletą knajpki było to, że znajdowała się naprzeciwko Union Station. Gdy skończył jeść, wyszedł na zewnątrz, przeciął Alameda Street i wkroczył do wielkiej hali dworca kolejowego. W pobliżu wejścia stały szeregiem staroświeckie automaty telefoniczne. Harry schował się w jednej z budek, żeby wykonać szybki telefon. Ustnik słuchawki owinał krawatem, by zniekształcić głos.



## 12

Gdy Bosch wrócił do komendy, Soto już czekała. Dwaj zlokalizowani przez nią członkowie zespołu Los Reyes Jalisco mieszkali w Północnym Hollywood, w odległości zaledwie kilku przecznic od siebie, co oznaczało, że prawdopodobnie nadal zarabiają na życie jako muzycy. Należało ich przesłuchać i sprawdzić, czy nie wniosą do sprawy czegoś nowego. Istniała też nadzieja, że któryś z nich utrzymuje kontakty z Anzelem Ojedą, którego miejsce pobytu pozostawało nieznane.

- Myślałam, że najpierw zawieziemy nakaz do Towarzystwa Historycznego, a dopiero potem pojedziemy do tamtych – powiedziała Soto.
- Byłoby łatwiej, zanim zrobi się straszny ruch.
- Zawsze jest straszny ruch – skwitował Bosch.

Pierwszym w kolejce do przesłuchania był niejaki Esteban Hernandez, gitarzysta zespołu. Mieszkał w dużym bloku przy North Lankershim, z dziedzińcem pośrodku i basenem, przy którym za dnia gromadzili się lokatorzy. Gdy Bosch i Soto szli chodnikiem prowadzącym do mieszkania muzyka, mężczyźni skupieni nieopodal pustego obecnie basenu patrzyli na nich i otwarcie wymieniali uwagi. Bosch wychwycił słowa *policia*, *heroína* oraz *la tiradora*. Domyślił się, że tamci rozpoznali Soto.

Dotarli do drzwi oznaczonych 3-K. Harry głośno zapukał. Czekali.

- Ci faceci na dole. Kojarzą cię – rzucił Bosch. – Słyszałem.
- Z telewizji – powiedziała Soto.
- Masz z tym problem? Podobno gang z Trzynastej Ulicy wyznaczył za ciebie nagrodę?
- Podobno. Ale potem dostali wiadomość.
- Jaką wiadomość?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi mieszkania otworzył tęgi mężczyzna, którego Bosch rozpoznał z filmu wideo wykonanego przez kamerę w sklepie muzycznym w dniu postrzelenia Merceda. Szerokie ramiona i wąskie biodra, pokaźny brzuch, sztywne, gęste wąsy.

– Pan Hernandez? Policja.

Harry machnął odznaką i przedstawił Soto. Zaczęli rozmawiać po hiszpańsku. Gospodarz zaprosił ich do małego, ale schludnego mieszkania i usiadł na łóżku, które miało udawać sofę, z kilkoma wielkimi poduszkami opartymi o tylną ścianę. Bosch zatrzymał się przy drzwiach, pozwalając Soto zająć centralną pozycję, ponieważ to ona miała prowadzić przesłuchanie. Lucia stanęła naprzeciwko Hernandeza.

Harry rozumiał większość zdań wypowiedzianych przez partnerkę. Lucy rozpoczęła od informacji, że śmierć Merceda została zakwalifikowana jako zabójstwo i że wraz z detektywem Boschem prowadzą w tej sprawie śledztwo. Potem zadała kilka otwartych pytań: czy Hernandez przypomniał sobie coś więcej z tamtego dnia, a może ma jakieś własne przemyślenia na temat tego, co się zdarzyło? Zrozumienie odpowiedzi nastreczyło Harry'emu więcej kłopotów. Muzyk mówił ochryple, bełkotał i mamrotał. Zapewne dzień wcześniej pił. Powoli stawało się jasne, że facet nie ma do powiedzenia nic, czego by się nie dowiedzieli z jego starych zeznań.

Soto spytała, czy Hernandez zna miejsce pobytu dwóch pozostałych członków zespołu, Angela Ojedy i Alberta Cabrala. Boschowi spodobało się, że wspomniała o Cabralu, mimo że przecież mieli jego adres. Był to ruch, który zastosowałby każdy doświadczony detektyw w celu sprawdzenia wiarygodności świadka. Harry doceniał też fakt, że nie musi partnerce mówić, jak należy prowadzić rozmowę.

Kiedy Lucy spytała o Ojedę, Hernandez potrząsnął głową, ale słysząc o Cabralu, uniósł wysoko kciuk i podał im adres. Soto zadała jeszcze kilka ogólnych pytań, a gdy rozmowa zdawała się już skończona, zainteresowała się nagle, dlaczego zdaniem Hernandeza Ojeda wtedy uciekł. *Mariachi* udał zaskoczenie.

– *Qué?*

Soto powtórzyła pytanie, informując świadka, że zabezpieczono nagranie, na którym Ojeda odbiega w bok w chwili, gdy Merced został trafiony – jakby od razu wiedział, co się stało.

Hernandez odrzekł, że nie zwrócił uwagi na zachowanie Ojedy, bo kiedy zrozumiał, iż Merceda postrzelono, myślał tylko o tym, by się ukryć pod stołem. Soto pozornie przyjęła to tłumaczenie za dobrą monetę, lecz potem zniemacka zaatakowała muzyka serią pytań o Ojedę: Czy miał wrogów? Czy w tamtym czasie nie wpakował się w jakieś tarapaty?

Odpowiedzi Hernandeza niewiele wniosły do sprawy. Albo nie znał trębacza zbyt dobrze, albo udawał. Podkreślił, że Ojeda należał do zespołu zaledwie dziewięć miesięcy i że zaraz po tamtych wydarzeniach odszedł. Hernandez i Cabral połączyli siły z dwoma innymi muzykami i kontynuowali działalność Los Reyes Jalisco.

Kiedy Soto spytała, skąd Ojeda pochodzi, Hernandez tylko wzruszył ramionami. Wiedział, że facet przyjechał z Chihuahua, ale nie mógł sobie przypomnieć, w jakich dokładnie okolicznościach dołączył do zespołu. Jak przez mgłę pamiętał tylko, że to chyba Cabral poznał Ojedę na Mariachi Plaza i przedstawił go pozostałym, sądząc, że obecność trębacza zwiększy ich atrakcyjność i przysporzy zamówień. W miarę trwania rozmowy można było odnieść wrażenie, że wspomnienia Hernandeza nieco odżyły. Mężczyzna dodał, iż Ojeda był bardzo przystojny, co również przemawiało za włączeniem go do zespołu. Nie miał znajomości w środowisku meksykańskich muzyków, ale pozostali członkowie grupy doszli do wniosku, że dzięki jego prezencji mają szansę na więcej zleceń, jako że na placu panowała ostra konkurencja.

Soto podziękowała Hernandezowi, a Bosch skinął mu głową. Następnie detektywi przejechali kilka przecznic od Lankershim i zatrzymali się na bardzo podobnym osiedlu. Cabrała nie było ani w mieszkaniu, ani na dziedzińcu, gdzie wokół grilla siedziała grupka mężczyzn, przygotowując sobie posiłek. Zapytani przez Soto o Cabrała i jego miejsce pobytu, potrząsnęli głowami. Na ich pomoc nie można było liczyć.

Bosch i Soto znajdowali się tak daleko na północ od centrum i komendy głównej policji, że postanowili poczekać w samochodzie. Bosch zaparkował wóz przy czerwonym krawężniku, gdzie nie wolno się było zatrzymywać, niedaleko bramy wjazdowej na osiedle. Stąd nie mogli nie zauważyć wracającego muzyka.

– I co o tym myślisz? – spytała Soto, gdy już zaparkowali i obserwowali okolicę.

– Myślę, że poradziłaś sobie z tą rozmową bardzo dobrze – odrzekł Bosch.

– Dziękuję.

– I myślę też to, co myślałem wcześniej. Musimy znaleźć Ojedę. Mam nadzieję, że nie wrócił do Chihuahua, bo wtedy oznaczałoby to szukanie igły w stogu siana.

– No nie wiem. Jego zielona karta straciła ważność. Wydaje mi się, że jednak wrócił.

– Pytanie dlaczego.

Soto pokiwała głową.

– Uwierzyłeś Hernandezowi, że nie wie, gdzie on jest? – spytała. Bosch zastanawiał się chwilę i skinął głową.

– Chyba tak. Muzycy to gatunek wędrowny. Pojawiają się i znikają.

Soto zgodziła się z nim i dalej siedzieli w milczeniu. Wkrótce jednak Harry przypomniał sobie rozmowę, którą wcześniej przerwali.

– Rozmawialiśmy o nagrodzie wyznaczonej przez gang z Trzynastej Ulicy. Powiedziałaś, że „dostali wiadomość”.

Kiwnęła głową.

– Tak, paru naszych z Zespołu Wywiadowczego złożyło im wizytę i powiedziało, że jeśli coś mi się stanie, to rozpęta się wojna z całą policją Los Angeles, a Trzynasta Ulica już nigdy nie zrobi żadnego interesu. Będą mieli przesrane.

– I co? Obiecali, że cię nie tkną?

– Tak właśnie powiedzieli.

Bosch pokiwał głową i zaczął rozmyślać o Soto i dziwnych kolejach jej życia. Jego następne pytanie dotyczyło sprawy Bonnie Brae.

– Co pamiętasz z tamtego dnia? Z tego pożaru? Miałaś wtedy... ile: sześć lat, siedem?

Zanim odpowiedziała, głęboko się zastanowiła.

– Miałam siedem lat i pamiętam głównie buchający spod drzwi dym. Próbowaliśmy uciekać, ale musieliśmy wrócić do środka, ponieważ ogień opanował całą klatkę schodową i wyjście z korytarza zostało odcięte. Innej drogi ucieczki nie było, więc zamknęliśmy drzwi.

– Była z wami nauczycielka?

– Tak, pani Gonzalez. Siedzieliśmy tam, nikt nie przychodził z pomocą, dym szybko zaczął przenikać do środka. Mieliśmy na sobie fartuszki, które zakładaliśmy do malowania farbami. Pani Gonzalez i jej pomocnica, pani Adele, pocięły je nożyczkami, żebyśmy mogli zamaczać skrawki w wodzie z akwarium, a potem owijać sobie wokół nosa i ust.

– Mądrze.

– Ale dym ciągle napływał. Zaczęliśmy się krztusić, kaszleć. Potem weszliśmy do spiżarni i zamknęliśmy drzwi. Jednak pani Gonzalez się nie

zmieściła. Została na zewnątrz, cały czas wzywała pomocy. Krzyczała ze wszystkich sił.

– Lecz nikt się nie pojawił?

– Przez długi czas nikt. Potem przestaliśmy ją słyszeć, a dym przeniknął także do spizarki.

Bosch wyobraził sobie, jak musieli być przerażeni. Małe dzieci i tylko jedna dorosła osoba, która pozostała żywa.

– Potem zrobiło się tak gęsto od dymu, że wszyscy zasnęliśmy. Niektórzy już się nie obudzili. Mnie uratował jakiś strażak. Zrobił mi sztuczne oddychanie, a następnie założył mi maskę tlenową. Pamiętam, że znalazłam się w wozie gaśniczym i obserwowałam, jak próbują pomóc mojej najlepszej przyjaciółce, Elsie. Nie udało się. Ja przeżyłam, ona nie. Nie mogłam tego zrozumieć.

Bosch nie bardzo wiedział, co powiedzieć, dlatego przez dłuższy czas milczał. Gdy się wreszcie odezwał, postanowił podkreślić pozytywny aspekt tej historii.

– Dowiedziałaś się, jak się ten strażak nazywał?

– Nie, nigdy. Pomyślałam, że może jego nazwisko będzie w raportach, ale jak dotąd go nie znalazłam.

Bosch kiwnął głową, lecz jego uwaga w tej samej chwili skupiła się na tym, co zobaczył w bocznym lusterku. Wzdłuż samochodów zaparkowanych przy krawężniku jechał wolno jakiś wóz. Był to stary grat z opuszczonymi szybami, typowe auto ulicznych gangsterów.

Harry wyciągnął zza paska pistolet i położył płasko na kolanach, lufą w kierunku drzwi.

– Co się dzieje? – spytała Soto.

– Miejmy nadzieję, że nic.

Lucy odwróciła się w fotelu. Ona również wyjęła broń i trzymała ją obiema rękami na podołku.

– Tylko mnie nie postrzel – powiedział Bosch.

Zdał sobie sprawę, że mówi zduszonym głosem. Adrenalina zaczęła krążyć w jego żyłach. Samochód był już zaledwie kilka metrów za nimi i Harry zauważył, że w środku siedzi przynajmniej trzech ludzi. Dwóch z przodu, jeden na tylnej kanapie.

Gdy wóz powoli przejeżdżał obok, Bosch nawiązał kontakt wzrokowy z człowiekiem na fotelu pasażera, a następnie z mężczyzną z tyłu. Obaj mieli

wytatuowane szyje i karki. Patrzyli martwym wzrokiem na Boscha, nie czyniąc żadnych gwałtownych ruchów. Samochód powoli odjechał i Harry zwolnił uścisk ręki na pistolecie, zerkając jednocześnie na tablice rejestracyjne wozu.

Przewód krótkofalówki był tak zużyty, że całkowicie stracił sprężystość i trzeba go było owijać wokół wstecznego lusterka. Bosch chwycił mikrofon i wezwał centralę, aby podać numer rejestracyjny i poprosić o sprawdzenie, kto jest właścicielem pojazdu.

– Poznałaś ich? – spytał partnerkę, kiedy czekali na odpowiedź. – Są z Trzynastej Ulicy?

– Nie. Wyglądali na członków gangu, ale kto wie. Po co ludzie z Trzynastej mieliby się zapuszczać aż tutaj?

– Przez ciebie. Faceci na podwórku przed blokiem Hernandeza wiedzieli, że to ty strzelałaś w Pico-Union. Jeżeli któryś z nich ma powiązania z Trzynastą Ulicą... może pomyśleli, że jak cię przegonią ze swojego terenu, nikt się nie będzie czepiał, a oni będą mieć satysfakcję.

Soto milczała, więc Bosch kontynuował.

– Ci *cholos* w gruchocie to były młode wilczki. Nie zawsze słuchają się szefów, którzy wchodzą w układy z glinami. Próbują wyrobić sobie nazwisko.

Zgłosił się dyspozytor z informacjami o numerze rejestracyjnym. Właściciel samochodu mieszkał w San Fernando, małym osiedlu w samym centrum Doliny Kalifornijskiej, ze wszystkich stron otoczonym dzielnicami Los Angeles.

– Czyli nie Trzynasta Ulica – powiedziała Soto, gdy Bosch okręcił przewód z powrotem wokół lusterka.

– Lepiej nie ryzykujemy.

Samochód, o którym rozmawiali, przejechał jeszcze jedną przecnicę i skręcił w prawo. Mogło to oznaczać, że za chwilę wróci, ale tym razem nie musiało się skończyć tylko na prężeniu mięśni.

Bosch uruchomił silnik i oderwał wóz od krawężnika. Pojechał prosto, po czym skręcił za gruchotem. Minęli kilka bocznych ulic, nigdzie jednak nie było widać tamtych. Harry wrócił w to samo miejsce co poprzednio i się zatrzymał.

– Może to nic takiego – powiedziała Soto.

W jej głosie brzmiała fałszywa nadzieja.

– Może – rzekł Bosch.

Odczekali jeszcze pół godziny, ale Cabral się nie pojawił. Harry oświadczył, że daje mu dziesięć minut. Po pięciu na pobliskim przystanku zatrzymał się miejski autobus, z którego wysiadło kilka osób. Bosch był prawie pewny, że wśród nich jest mężczyzna, który na filmie wideo grał na akordeonie.

– To on?

Soto przyjrzała się facetowi i po chwili kiwnęła głową.

– Chyba tak.

Wysiedli z samochodu jednocześnie. Bosch rozejrzał się czujnie za wozem gangsterów, którzy wcześniej zmierzili go wzrokiem, a ponieważ nie zobaczył nic podejrzanego, zszedł z jezdni i dołączył do idącej chodnikiem Lucy.

Mężczyzna przypominający Alberta Cabrala niósł dwie płócienne torby pełne artykułów spożywczych i ciężkie od puszek. Bosch i Soto zablokowali mu drogę. Lucia pokazała odznakę i potwierdziła tożsamość mężczyzny. Zagadnęła go po angielsku.

– Chcemy z panem pogadać o postrzeleniu Orlanda Merceda.

Cabral próbował wzruszyć ramionami, ale uniemożliwił mu to ciężar obu toreb.

– Ja nic nie wiem – powiedział z wyraźnym akcentem.

– Słyszał pan o śmierci pana Merceda? – zapytała Soto.

– No, słyszałem.

– Wie pan, gdzie przebywa teraz Angel Ojeda? – wtrącił się Bosch.

– No, znam go.

– Ale czy wie pan, gdzie on jest? Musimy z nim porozmawiać.

Soto powtórzyła to pytanie po hiszpańsku, ale muzyk odpowiedział po angielsku.

– No, pojechał do Tulsy.

– Tulsy w Oklahomie? – upewniła się Lucia.

Cabral skinął głową. Postawił siatki na chodniku, pozwalając ramionom odpocząć. Bosch uświadomił sobie, że wybrali nieodpowiednie miejsce na rozmowę, zwłaszcza że byli chyba o krok od zdobycia namiarów na Ojedę. Sięgnął po bliższą torbę i podniósł ją.

– Pomożemy panu. Zaniesiemy zakupy i pogadamy w domu.

Pięć minut później znaleźli się w nędznym mieszkaniu Cabrala, które –

podobnie jak jego kolega z zespołu – zajmował sam. Nocny tryb życia i brak stabilności finansowej oznaczały samotność. Nic tu nie wskazywało na obecność żony lub dzieci – żadnych zdjęć w ramach czy szkolnych rysunków na lodówce. Boschowi przypomniła się nalepka na zderzaku samochodowym, którą widział jakiś czas temu: „Graj na akordeonie – trafisz do paki”.

Najwyraźniej życie Cabrała jako wędrownego *mariachi* stanowiło pod wieloma względami jakąś formę zniewolenia.

– Skąd pan wie, że Angel Ojeda jest w Tulsie? – zapytała Soto.

Bez ciężkich toreb w rękach muzyk mógł normalnie wzruszyć ramionami i to właśnie zrobił.

– Nie wiem – powiedział. – Kiedy odchodził z zespołu, mówił, że jedzie do Oklahomy poprowadzić pub swojego wuja.

– Dziesięć lat temu? Zaraz po postrzeleniu Orlanda?

*Mariachi* kiwnął głową.

– Niedługo potem, tak.

Cabral stał w małej kuchni i wykładał zakupy, podczas gdy Bosch i Soto zajęli miejsca po drugiej stronie kuchennego blatu. Gospodarz otworzył lodówkę, by wyjąć z niej kartonik mleka, i pomieszczenie wypełniło się odorem zepsutego jedzenia.

– Miał pan później od niego jakieś wiadomości?

– Nie.

– Ale jest pan pewny, że to była Tulsa? – zapytał Bosch.

– Tak, Tulsa. – Cabral nie dał się zbić z tropu. – Wiem, bo musiałem mu wysłać przekaz pieniężny z ostatnim wynagrodzeniem.

Bosch wszedł do ciasnej kuchni, napierając na Cabrała. Kolejne kilka pytań miało stanowić punkt kulminacyjny rozmowy.

– Pamięta pan, dokąd wysłał czek?

– Mówiłem, do Tulsy.

– Chodzi o adres. Gdzie w Tulsie?

– Nie pamiętam. To był pub, w którym pracowałem.

– Pamięta pan, jak się nazywał?

– Tak. El Chihuahua.

– To nazwa tego pubu w Tulsie? El Chihuahua?

– Tak, dobrze pamiętam, ponieważ on stamtąd pochodził. Chihuahua to miasto, nie tylko pies.



Bosch skinął głową. Nazwa pubu stanowiła istotną informację. Postanowił zmienić taktykę.

– Dlaczego sprowadził go pan do zespołu? – zapytał. – Przecież nie był z Jalisco.

Cabral odpowiedział kolejnym wzruszeniem ramion.

– Potrzebowaliśmy trębacza, a on zawsze był na placu, pod ręką. I umiał grać. Powiedziałem sobie: „Czemu nie?”.

– Miał z kimś na pieńku?

– Nie wiem. Nie mówił.

– A rozmawiał kiedyś z panem o tamtym wydarzeniu? To znaczy później, zanim wyjechał do Tulsy.

Zamiast wzruszyć ramionami, Cabral zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Raczej nie. Powiedział tylko, że my mieliśmy szczęście, a Orlando pecha.

– I nie przyznał się, że wiedział, co się stanie? Że wie, kto oddał ten strzał i dlaczego?

Cabral, najwyraźniej zaskoczony pytaniem, rzucił Boschowi ostre spojrzenie. Harry uznał to za oznakę szczerości.

– Nie, nigdy – rzekł muzyk.

Bosch rozejrzał się po mieszkaniu, zastanawiając się, o co jeszcze zapytać. W rogu zobaczył niewielkie biurko, a na nim stos ksiąg rachunkowych i wizytownik.

– Jest pan kierownikiem zespołu, tak? – spytał.

– Tak.

– Prowadzi pan księgowość?

– Owszem. Kiedy jest co prowadzić. Dla *marichis* nie ma już roboty. Tradycja liczy się coraz mniej.

Bosch znów kiwnął głową. Podzielał opinię Meksykanina.

Rozmowa przyniosła konkretny trop, ale zamiast wyjść, Bosch postanowił jeszcze przycisnąć Cabrala. Czasami udawało się wyciągnąć z rozmówcy coś ekstra.

– A co z narkotykami? – zapytał.

Cabral zmrużył oczy.

– Jakimi narkotykami?

– Podobno Ojeda brał.

Muzyk potrząsnął głową.

– Nie przy mnie. Mieliśmy zasadę: żadnych narkotyków.

– Okej – powiedział Harry. – Żadnych narkotyków.

Przynajmniej spróbował.

Skończywszy rozmowę, Bosch i Soto wrócili do samochodu. Obchodząc go z tyłu, Harry zauważył wóz gangsterów, który parkował teraz po drugiej stronie dwupasmowej drogi, mniej więcej czterdzieści metrów dalej. Udał, że nie patrzy w tamtą stronę, zdążył jednak spostrzec trzy postacie siedzące w środku.

Otworzył tylne drzwi forda. Zdjął marynarkę, tak że pistolet i odznaka przy pasku były teraz wyraźnie widoczne, po czym niespiesznie ją złożył i umieścił na tylnym siedzeniu. Soto zajęła już swoje miejsce.

– Nasi znajomi wrócili – odezwał się Bosch spokojnym głosem.

– Jacy znajomi?

– Z San Fernando.

– Gdzie?

– Po drugiej stronie ulicy.

Lucia obrzuciła samochód wzrokiem i na jej twarzy odmalował się niepokój.

– Co chcesz zrobić?

– Wezwij wsparcie i siedź spokojnie. Ja im złożę wizytę.

– Harry, powinieneś poczekać na...

Bosch zamknął drzwi i podszedł ku tylnej części forda. Otworzył bagażnik, pochylił się i zwolnił zatrzaśki stelaża służbowej strzelby. Wykorzystując pokrywę bagażnika jako osłonę, zerknął na ulicę i czekał na moment, gdy w sznurze jadących aut zrobi się przerwa. Słyszał, jak przez radio Soto zgłasza oficerowi dyżurnemu prośbę o wsparcie. Gdy na ulicy zapanował chwilowy spokój, Harry odsunął się od bagażnika z remingtonem 870 w rękę i ruszył skosem na drugą stronę ulicy, kierując się prosto na wóz gangsterów. Niemal od razu usłyszał dźwięk uruchamianego silnika.

Wprowadził nabój do komory. Doszedł do środkowego pasa oddzielającego obie jezdnie, gdy wóz zerwał się raptownie z miejsca, z piskiem opon zawrócił i odjechał.

– Hej, dokąd to? – zawołał Bosch za pędzącym autem.

Soto biegła przez ulicę z pistoletem w rękę.

– Harry, co ty u licha wyprawiasz? – wrzasnęła.

W pierwszej chwili nie odpowiedział. Obserwował samochód, dopóki ten nie skręcił w prawo i nie zniknął w sąsiedniej przecznicy.

– Przekazuję wiadomość – odparł wreszcie.

– Jaką wiadomość? Nawet nie wiemy, czy oni byli z Trzynastej Ulicy.

– Nieważne, skąd byli. Nasz gang jest większy niż ich. Tak brzmi wiadomość.

Za nimi na ulicy zatrzymał się radiowóz z włączonym kogutem, ale bez syreny. Trzymając strzelbę na wysokości ud, Bosch nachylił się, żeby porozmawiać z kierowcą.

# 13

Po fakcie Bosch żałował trochę tego, że zdecydował się chwycić za broń i stanąć oko w oko z gangsterami, bo po przyjeździe patrolu stracił niemal godzinę na wyjaśnienia. Musieli z Soto poczekać, aż mundurowi przeczeszą okolicę w poszukiwaniu wozu bandytów, a gdy już ustalono, że kwalifikuje się on jako ZPP, jak w policyjnym żargonie określano samochód, który „zniknął przed przyjazdem” patrolu, mogli się wreszcie zająć swoimi sprawami. Lecz ani leniwie poruszający się korek, który spowalniał ich powrót do centrum, ani konsekwencje sięgnięcia po remingtona nie mogły pozbawić Boscha siły rozpędu.

Analiza nagrań wideo oraz nowa informacja o wyjeździe Ojedy do Tulsy – nawet jeśli pochodziła sprzed dziesięciu lat – niewątpliwie nadały sprawie przyspieszenia. Chociaż zaraz po incydencie trębacz zdecydował się na uciezkę do Oklahomy, Bosch był pewny, że uda się go namierzyć – a wtedy pojedzie tam i przesłucha go osobiście. Wprawdzie Ojeda nie był podejrzanym, ale wydawało się teraz oczywiste, że wiedział więcej, niż ujawnił. To za jego sprawą pierwotne dochodzenie poszło w niewłaściwym kierunku – przypadkowy strzał oddany w wojnie gangów – podczas gdy sytuacja musiała wyglądać zupełnie inaczej. Jeżeli Ojeda miał coś do ukrycia, to rozmowa przez telefon nie wchodziła w grę, podobnie jak zwrócenie się z prośbą o pomoc do policji w Oklahomie. Bosch powiedział partnerce, że będą musieli przekonać Crowdera, by wydelegował ich do Tulsy.

– Byłeś tam kiedyś? – zapytała Soto.

– W Tulsie? Parę razy, przejazdem. Jakieś pięć lat temu prowadziliśmy dochodzenie w sprawie gościa, który mieszkał w małym miasteczku na północ od Tulsy. Jednym z tych miejsc, które później zostały starte z powierzchni ziemi przez tornado. Zabawna historia. To znaczy, patrząc z dzisiejszej perspektywy, bo wtedy byłem cholernie wkurzony. Między innymi dlatego model naszej współpracy z Departamentami Policji w innych miastach uległ zmianie.

– Co się stało?

Bosch zaczął opowiadać: najpierw dostali trafienie w bazie DNA, ze starej sprawy z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego – napaść na dom, gwałt i zabójstwo. Ślad biologiczny wskazywał na pięćdziesięcioośmioletniego Franka Tomlinsona, byłego więźnia, którego kryminalna kartoteka nie miała końca, a zaczynała się jeszcze w poprawczaku. Tomlinson długo pozostawał poza zasięgiem policji, gdyż miejsce jego pobytu było nieznane od czasu, gdy w dwa tysiące szóstym roku wyszedł na zwolnienie warunkowe. Facet miał jednak rodzinę w Los Angeles, dlatego Bosch i jego ówczesny partner Dave Chu wpadli na pewien pomysł. Złożyli wniosek o nakaz sądowy na objęcie podsłuchem telefonu matki Tomlinsona, kobiety w starszym wieku, oraz jego brata. Gdy otrzymali nakaz, Harry zapukał do drzwi ich domu i zaczął wypytywać o Franka, dając do zrozumienia, że chodzi o morderstwo popełnione w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Tymczasem Chu prowadził nasłuch. Interesowały ich wszystkie rozmowy, które ewentualnie miały się odbyć po wizycie Boscha.

Zgodnie z oczekiwaniami brat poszukiwanego natychmiast zadzwonił do Tomlinsona i ostrzegł go przed policją. Komórka, na którą telefonował, została zlokalizowana w miasteczku Beacon w stanie Oklahoma. Bosch skontaktował się z tamtejszą policją, a dokładniej – z sierżantem Hadenem, który zobaczywszy przesłaną mejlem fotografię Tomlinsona, rozpoznał w nim niejakiego Toma Frazier, jednego z dwóch taksówkarzy pracujących w miasteczku. Wtedy Harry zapowiedział, że nazajutrz przyjedzie ze swoim partnerem do Beacon, i spytał, czy posterunek dysponuje odpowiednimi siłami, żeby do tego czasu śledzić Frazier/Tomlinsona. Zachodziła bowiem obawa, że telefon od brata może wystraszyć podejrzanego i zmusić go do ucieczki. Haden odparł, że inwigilacja nie stanowi problemu, zaproponował jednak, iż sam aresztuje Tomlinsona i przechowa go w miejscowym areszcie. Bosch się nie zgodził, ponieważ chciał swobodnie pogadać z podejrzanym, zanim ten trafi do ciupy i zażąda adwokata.

Haden nie oponował. Poprosił tylko, by Harry przesłał mu mejlem szczegóły dotyczące lotu policjantów z L.A. do Tulsy. Obiecał, że odbierze ich obu z lotniska, a następnie zawiezie od razu do domu podejrzanego, gdzie go na pewno zastaną, ponieważ facet pracuje na nocną zmianę.

Niestety, Bosch nie wiedział, że miasteczko Beacon jest tak małe, iż w tamtejszym posterunku policji zatrudnionych jest zaledwie czterech

funkcjonariuszy, co oznaczało, że służbę pełni zawsze tylko jeden. Gdy więc Haden pojechał na lotnisko w Tulsie po detektywów z Los Angeles, Tomlinsona nikt nie obserwował i facet zniknął. Kiedy Bosch i Chu dotarli pod jego dom, już dawno go tam nie było – Haden pilnował podejrzanego, ale tylko dopóty, dopóki nie udał się na lotnisko.

– Chyba żartujesz – powiedziała Soto.

– Chciałbym.

– Złapaliście faceta? Tego Tomlinsona?

– W końcu tak. Próbował zrobić to samo co przedtem, czyli zaszyć się w małym miasteczku, tym razem w Podunk w stanie Minnesota, z taką samą policyjną obsadą. Tylko że tamtejszy komendant był emerytowanym gliniarzem z Los Angeles i z religijną wręcz żarliwością sprawdzał wszystkie listy gończe, które trafiały na jego biurko. Rozpoznał Tomlinsona i go aresztował. W zeszłym roku.

– Cóż, przynajmniej go w końcu dorwano.

– Taa... ale dzięki tej kompromitacji w Oklahomie facet dostał cztery lata na wolności. Zabawna historia, dopóki się człowiek nie zastanowi nad jej konsekwencjami.

Telefon Boscha zawibrował. Detektyw zerknął na wyświetlacz i odebrał. Towarzystwo Historyczne. Sekretarka dyrektora powiedziała, że materiały wymienione w nakazie sądowym zostały odnalezione w archiwum i są gotowe do przekazania. Harry odrzekł, że zaraz po nie przyjadą.

Kiedy wrócili, sala śledczych świeciła pustkami. Soto niosła księgę meldunkową hotelu, którą przed chwilą dostali w Towarzystwie Historycznym. Jeszcze w samochodzie postanowili, że to ona zajmie się sprawdzaniem nazwisk. W drodze Lucy zdążyła już zajrzeć do rejestru i dowiedzieć się, kto feralnego dnia mieszkał w pokoju 211. Gość nazywał się Rodolfo Martin. Soto zamierzała przepuścić wszystkie zarejestrowane w księdze osoby przez policyjne bazy danych i sprawdzić, czy są one notowane, czy posługują się innymi nazwiskami i czy w ogóle znajdzie się cokolwiek, co zwróci uwagę detektywów.

Natychmiast zatem przystąpiła do pracy, podczas gdy Harry udał się do kapitana, chcąc go złapać, zanim ten pójdzie do domu. Miał nadzieję, że otrzyma zgodę na wyjazd służbowy do Oklahomy i jak najszybciej zarezerwuje lot do Tulsy. Kiedy Bosch wszedł do gabinetu Crowdera,

kapitan już stał i zakładał płaszcz.

– Harry, jakże miło cię widzieć.

Tymi słowami zwracał się do Boscha, ilekroć ten zjawiał się niezapowiedziany.

– Cały czas pracujemy, kapitanie. Wygląda na to, że zdobyliśmy namiary na kluczowego świadka w Tulsie i...

– Jakiego świadka?

– Jednego z członków zespołu, do którego należał Merced. Wyszły na jaw pewne kwestie, naprawdę trzeba z nim pogadać. Osobiście.

– A nie można zadzwonić?

– To nie jest osoba chętna do współpracy. Sądzymy, że zataił ważne informacje. Poza tym zaraz po incydencie zwiął z miasta.

– Przecież ci wszyscy *mariachis* ciągle gdzieś wędrują. Idą za pracą, tak?

– To prawda, ale jeśli ktoś jest *mariachi*, to nie wyjeżdża z Los Angeles do Tulsy. Pracuje raczej tutaj.

Crowder poprawił marynarkę i usiadł za biurkiem, skąd kontynuował rozmowę.

– Może to jedyny *mariachi* w Tulsie.

Przez chwilę Bosch wpatrywał się w szefa pustym wzrokiem.

– Czyli nie możemy jechać, kapitanie?

– Facet jest niebezpieczny?

Bosch skinął głową. Nie dlatego, że Ojeda faktycznie był niebezpieczny, lecz dlatego, że rozumiał już, z jakiego powodu Crowder nie chce tego wyjazdu do Tulsy. Kapitan obawiał się o budżet. Parę tygodni wcześniej rozesłał pismo okólne z informacją, że wyjazdy służbowe w dwóch ostatnich miesiącach roku muszą być zatwierdzone przez kierownictwo, ponieważ budżet na delegacje – i tak najwyższy we wszystkich jednostkach policji w mieście – został wyczerpany wcześniej, niż zakładano. Tego rodzaju pisma niebywale frustrowały Boscha, który odnosił wrażenie, że biurokracja i budżet są ważniejsze od łapania przestępców.

Crowder miał nadzieję, że przesłuchanie Ojedy nie będzie się wiązać z zagrożeniem, ponieważ delegacja dla jednego tylko detektywa oznaczałaby obniżenie kosztów o połowę.

– To nie ma sensu – powiedział Bosch.

– Co nie ma sensu?

– Wysyłanie tylko jednego z nas. W takim wypadku musiałyby to być

Soto, bo nie wiemy, czy ten facet zna angielski. Jest dobra, już to mogę stwierdzić, ale wątpię, żeby chciał pan ją wysłać tam samą po niespełna miesiącu pracy.

– Nie chciałem, masz rację...

– Musimy jechać oboje. Uważamy, że wtedy strzelano właśnie do tego faceta.

Crowder nie zareagował. Nie powiedział już nic więcej. Bosch uznał to milczenie za zapowiedź odmowy i nakaz załatwienia sprawy telefonicznie.

– Słyszał pan, co powiedziałem? Sądzymy, że kula była przeznaczona dla tego gościa, który jest teraz w Tulsie.

– Tak, słyszałem, co powiedziałeś. Ale wspomniałeś też, że tylko *myślicie*, że on jest w Tulsie. Równie dobrze może się ukrywać w Timbuktu.

– Fakt. Ale póki co mamy trop prowadzący do Tulsy.

Wypowiedź ta spotkała się z kolejną porcją milczenia.

– Proszę posłuchać, kapitanie, ci na dziewiątym piętrze muszą mieć jakieś wolne środki – przerwał ciszę Bosch. – Jeśli Malinsowi zależy na wyjaśnieniu tej sprawy, to niech wysupła trochę kasy... albo pójdziemy do eksburmistrza, skoro tak chętnie rozdaje forszę na nagrody.

Crowder wykonał dłonią uspokajający gest.

– Wolę nie chodzić do byłego burmistrza. Już i tak narobił nam dość problemów. No dobra – kapitan nagle podjął decyzję, w jednej chwili przechodząc od odmowy do akceptacji – nie martw się o pieniądze. To mój kłopot. Kiedy chcecie jechać?

Bosch odpowiedział natychmiast, licząc, że dobije targu i opuści gabinet, zanim szef znów zmieni zdanie.

– Im szybciej, tym lepiej. Według pozyskanych informacji, facet pracuje w pubie. Chciałbym tam być rano. Jeśli rzeczywiście nagina w knajpie, to powinien mieć jutro sporo roboty. W piątek są wypłaty i zaczyna się weekend.

– W porządku, dobry plan. Do jutra rana załatwię pieniądze.

– Dziękuję, kapitanie.

Bosch wrócił do swojego boksu. Jego fotel, przysunięty teraz do biurka Soto, zajmowała Sarah Holcomb, funkcjonariuszka, którą Samuels przydzielił do odbierania telefonów związanych z ogłoszeniem o nagrodzie.

– Dobre wieści? – rzucił Harry, podchodząc do tymczasowej telefonistki. Holcomb zerwała się z fotela, lecz Bosch położył rękę na jej ramieniu.



– Spokojnie, wszystko gra. Idę po kawę.

– Na pewno?

– Oczywiście. Któraś z was ma ochotę?

Policjantki pokręciły głowami.

– Masz dla nas rozwiązanie sprawy, Holcomb? Ktoś się przyznał?

– Raczej nie.

Soto podała Boschowi wykaz zgłoszeń.

– Jeden telefon wydaje się interesujący – powiedziała.

Bosch wziął kartkę i przeczytał notatkę sporządzoną odręcznie przez Holcomb.

*Dzwoniący twierdzi, że postrzelenie Merceda miało związek z pożarem na Bonnie Brae w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Podobno Merced wiedział, kto podłożył ogień, i dlatego stanowił zagrożenie.*

Bosch odwrócił kartkę na drugą stronę, żeby sprawdzić, czy jest dalszy ciąg. Nie było. Oddał ją Soto, która wciąż siedząc w fotelu, spoglądała mu prosto w oczy. Wiedziała, że to on wykonał ten telefon.

– Przypuszczam, że to anonim? – upewnił się Harry.

– Tak – potwierdziła Holcomb. – Dzwoniono z budki na Union Station. Sprawdziłam numer.

Bosch ponownie spojrzął na kartkę. Zdziwiło go, że funkcjonariuszka sama z siebie postanowiła namierzyć telefon, z którego dzwoniono. Z drugiej jednak strony, przecież po to zastosował środki ostrożności i skorzystał z publicznego aparatu.

– Myślę, że w takim razie powinniśmy się temu przyjrzeć – rzekł. – Dziewięćdziesiąty trzeci... To chyba rok Whittakera i Dubose'a. Pogadajmy z nimi, może coś sobie przypomną. Szanse są marne, ale wypada zajrzeć do akt tego pożaru na Bonnie Brae. Zobaczymy, czy gdzieś nie pojawiają się te same nazwiska.

– Chcesz, żebym to zrobiła? – spytała Holcomb z zapalem.

– Nie, sami z nimi porozmawiamy – uciął Bosch. – Nie przywiązuj zbyt wielkiej wagi do tych telefonów. Ludzie mają swoje ukryte cele. Wiesz o tym, prawda?

– Och, tak. Niektóre są aż nazbyt widoczne.

– Coś jeszcze wartego uwagi?

Na biurku piętrzył się cały stos formularzy z informacjami od rozmówców telefonicznych.

– Nie za bardzo – odrzekła Holcomb. – Właśnie przekazywałam Lucy ścinki.

Policjantka miała na myśli wąskie paski papieru z jednozdaniowym zapisem rozmów, które wpięła do podkładki z klipsem.

– Zobaczmy. Według jednego z dzwoniących powinniśmy porozmawiać z jakimś Śpiochem. Facet mieszka w tamtej okolicy i wie wszystko o strzelaninach z udziałem Białego Płotu.

– Śpioch – powtórzył Bosch. – Okej.

Holcomb odczytywała listę dalej.

– Jakaś kobieta powiedziała, że burmistrz zna całe tło tego zamachu. Zakładam, że miała na myśli byłego burmistrza, ale ja z nią nie rozmawiałam. To nagranie z nocy, anonim. Osoba z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

– Fajnie – odezwała się Soto. – Wsypać faceta, który ustanowił nagrodę.

Harry się uśmiechnął.

– Musisz przyznać, że to całkiem twórcze podejście – powiedział. – Zeyas kazał postrzelić Merceda, ale tak, żeby zrobić z niego kalekę. Potem mógł go pokazywać na wózku podczas kampanii wyborczej.

– Znakomity plan – skomentowała Soto. – Zadziałał idealnie.

– Co jeszcze? – spytał Bosch.

– Kilka sugestii, żebyśmy zajęli się białymi rasistami – odpowiedziała Holcomb. – Kilka innych, że odpowiedzialność ponoszą kartele narkotykowe. Jedna osoba twierdziła, że strzelał niejaki Felix, który się wkurzył, bo wynajął paru *mariachis* z placu, a ci zagrali okropnie. Och, i jeszcze facet, który zadzwonił i powiedział, że to z pewnością meksykańska mafia, tylko nie bardzo wie, co nią kierowało.

– Generalnie bardzo pomocne – podsumował Bosch.

– Bez wątplenia. A nie wspomniałam o wszystkich tych telefonach od rasistów, którzy mówili, że Merced dostał to, na co zasłużył, bo był Meksykaninem.

Bosch tego się mniej więcej spodziewał, gdy publicznie obiecano nagrodę za pomoc w śledztwie. Wiedział, że odezwą się wszelkiej maści wariaci. Żadna z tych rewelacji go nie zaskoczyła, żadna nie była też warta

najmniejszej uwagi – z wyjątkiem cynku w sprawie pożaru na Bonnie Brae. Podziękował Holcomb za cierpliwość i wyruszył do automatu na parterze po kawę.

Kiedy wrócił, Holcomb już nie było. Odbył więc z partnerką krótką naradę, podczas której Lucia usłyszała, że nazajutrz rano ma przyjść do pracy spakowana, ponieważ wygląda na to, że polecą do Tulsy. Mieli znaleźć i przesłuchać Ojedę.

– Z tym może być problem – powiedziała.

– Mów.

– Siedziałam trochę w necie i faktycznie znalazłam pub o nazwie El Chihuahua, ale kiedy tam zadzwoniłam i zapytałam o...

– Dzwoniłaś?

– Tak, mówiłeś, że musimy potwierdzić jego obecność.

– No, ale nie dzwoniąc do niego bezpośrednio. To mogłoby go spłoszyć.

– Cóż, jak się okazało, nie mogłam z nim porozmawiać ani bezpośrednio, ani pośrednio. Spytałam, czy Ojeda jest na miejscu. Facet, który odebrał telefon, odpowiedział, że nikt taki tam nie pracuje.

– Może zrezygnował. Minęło dziesięć lat.

– Zapytałam, czy Ojeda w ogóle kiedyś u nich pracował. Gość na linii zaprzeczył i powiedział, że nigdy o nim nie słyszał. A sam jest zatrudniony w pubie od dziesięciu lat.

Bosch zastanawiał się nad tym dłuższą chwilę, zestawiając te dane z informacjami od Cabrала. Odniósł wrażenie, że *mariachi* jest szczerzy i dobrze wie, o czym mówi.

– Mimo wszystko jedziemy – rzekł wreszcie Harry. – Jutro. Mam nadzieję, że nie miałaś innych planów.

Potrząsnęła głową. Bosch wiedział, że Lucia nie ma chłopaka, i zdawał sobie już sprawę, że większość wolnego czasu jego partnerka poświęca sprawie pożaru na Bonnie Brae.

– Mam zadzwonić na policję w Tulsie i dowiedzieć się, czy Ojeda jest im znany?

– Nie, nigdy nie rób nic podobnego. Pamiętaj, jak ci opowiadałem o miasteczku Beacon? Jeśli nie musisz, nie angażujesz miejscowych.

Przyjąwszy reprimendę, Soto zmieniła temat.

– Jak chcesz rozegrać sprawę z Whittakerem i Dubose'em? – spytała.

– Ty ją rozegrasz. Gdybym ja do nich poszedł, mogliby pomyśleć, że jest

coś na rzeczy. Po prostu trzymaj ich na dystans. Powiedz tylko, że dostaliśmy cynk i chcemy zajrzeć do akt.

– A jeśli zobaczą w raportach moje nazwisko? Albo na liście świadków? Wtedy mnie przesłuchiwno.

Bosch potrząsnął głową.

– Oni nie pracują w ten sposób. Nie czytali raportów. Daną sprawę oceniają jedynie pod kątem materiału dowodowego, który można poddać dalszej analizie laboratoryjnej. Nie ruszą dupą, dopóki nie będzie fizycznego punktu zaczepienia.

Soto kiwnęła głową, lecz dalej wyglądała na zmartwioną.

– Co? – spytał Bosch.

– Upewniłeś się, że w pobliżu tego automatu telefonicznego nie ma żadnych kamer?

Pytanie zaskoczyło Boscha tak bardzo, że na chwilę dosłownie zamarł. Nie był aż tak ostrożny.

– Nie – rzekł wreszcie. – Ale ten cynk nie będzie brany pod uwagę w zasadniczym śledztwie, dlatego nikt nie sprawdzi kamer.

– Cóż, nie zakładaliśmy również, że Holcomb zada sobie trud zidentyfikowania numeru – odparła Soto. – Jednak to zrobiła. Nie chcę, żebyś się wpakował w kłopoty.

– Bez obaw, w nic się nie wpakuję.

– Krążą pogłoski, że kierownictwo jest tak obciążone kontraktami emerytalnymi, że tylko szuka okazji, aby kogoś wyrzucić przed końcem umowy i oszczędzić trochę pieniędzy.

– Skąd to niby wiesz? Masz jeszcze co najmniej dwadzieścia lat, żeby w ogóle zacząć myśleć o emeryturze.

– Z „Blue Line”. W zeszłym miesiącu ukazało się parę listów od funkcjonariuszy policji. Pisali o tym.

Bosch kiwnął głową. On również czytał te listy. Twórcom Opcjonalnego Planu Odroczenia Emerytalnego przyświecały najlepsze intencje. Celem programu było zatrzymanie w policji najlepszych i najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy i detektywów, a zarazem zwiększenie ich przyszłych emerytur. Za swoją pracę uczestnicy programu otrzymywali pełne wynagrodzenie, a przysługujące im świadczenia emerytalne odprowadzono na specjalne wysokooprocentowane rachunki bankowe. Niestety, wkrótce do akcji wkroczyli politycy i biurokraci i plan trzeba było rozciągnąć na

wszystkie osoby, które odsłużyły dwadzieścia pięć lat, niezależnie od ich zasług i talentów. Efekt był taki, że obecnie zbyt wielu funkcjonariuszy korzystało z programu, a wysokość odsetek groziła załamaniem całego przedsięwzięcia, w związku z czym kierownictwo poszukiwało sposobów na zatamowanie tego finansowego krwawienia – włącznie z wcześniejszym zrywaniem umów.

– O to się nie martwię – powiedział Bosch. – Jedyne, co mnie obecnie trapi, to ty. Muszę mieć pewność, że kiedy mnie już tutaj nie będzie, przejmiesz pałeczkę.

Soto spojrzała na niego, próbując ukryć uśmiech.

– Będę gotowa – odrzekła.

– To dobrze.

Córka Boscha rzadko bywała wieczorem w domu. Spotkania Odkrywców, organizowane w ramach tego programu zajęcia, a nawet uczestnictwo w wolontariacie (w niepełnym wymiarze godzin), które polegało na dostarczaniu posiłków osobom chorym, niemogącym wychodzić z mieszkań – wszystko to sprawiało, że ostatnimi czasy Maddie traktowała dom jako sypialnię. Gryzło to Boscha, ponieważ wiedział, że ich wspólny czas dobiega końca. Zdawał sobie jednak sprawę, że córka zajmuje się czymś, co lubi, a szkoła uważała jej zajęcia za godną pochwały aktywność społeczną, co umacniało pozycję startową dziewczyny przed złożeniem papierów na studia. Maddie wybrała uczelnię Cal State w Los Angeles, gdzie prowadzono znakomite kursy z kryminalistyki i nauk prawno-sądowych. Bosch był z tego wyboru zadowolony, ponieważ oznaczał on, że córka pozostanie w mieście. Poza tym college znajdował się w tym samym miejscu co laboratorium, a to dawałoby mu czasem sposobność widywania Maddie w ostatnich miesiącach jego służby.

Wieczór spędzili, przygotowując na kolację steki z miecznika i rozmawiając o zaplanowanych na następny wtorek zajęciach. Maddie i pozostałe osoby z jej grupy miały wziąć udział w prowokacji policyjnej. Ich zadanie polegało na chodzeniu po sklepach spożywczych w Hollywood z aparaturą podsłuchową pod ubraniem i na wyłapywaniu osób, które sprzedadzą im alkohol. Maddie była ogromnie podekscytowana, poza tym operacja wydawała się stosunkowo bezpieczna. Bosch chciał jednak mieć pewność, że córka zdaje sobie sprawę z potencjalnych niebezpieczeństw,

które towarzyszą każdej tego typu akcji. Nie mogła polegać tylko na tajniakach, którzy byli w danym sklepie przed nią, i na jednostkach patrolowych czekających w pobliżu. Sama musiała mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

– Będę uważać, tato, naprawdę – oświadczyła Maddie.

W ostatnich miesiącach doprowadziła do perfekcji ten swój lekceważący ton w rodzaju „przecież nie jestem dzieckiem” i używała go w niemal każdej rozmowie z ojcem.

– Nie zaszkodzi przypomnieć – rzekł Bosch. – Chcesz, żebym tam był?

– Nie! Ale by była siara!

Powiedziała to tak, jakby zaproponował, że przyjdzie potańczyć na jej studniówce.

– Dobra, dobra, tylko spytałem.

Znajdowali się na tarasie z tyłu domu, gdzie Harry piekł rybę na małym gazowym grillu. Przewrócił steki na drugą stronę i zmienił temat rozmowy.

– Mam nadzieję, że wrócę najpóźniej w niedzielę po południu. Może wtedy znowu zjemy razem kolację?

Harry już wcześniej powiedział córce o podróży do Tulsy. Była przyzwyczajona do jego częstych wyjazdów służbowych i nigdy jej nie przeszkadzały.

– W niedzielę mam ONK – odrzekła. – Sorry.

Obiady na Kółkach. Jej wolontariat zabierał mnóstwo drogiego czasu, którym Bosch wolałby się cieszyć razem z córką – wspólnymi posiłkami i rozmową.

– Chyba powinienem się tam zapisać. To byłby najlepszy sposób, żeby widywać cię wieczorami.

– Tato, wiesz, że muszę to robić. Chcę się dostać na Cal State i zdobyć stypendium. A to bardzo pomaga.

– Wiem, kochanie, wiem. Tak tylko narzekam. Poza tym przecież to ja wyjeżdżam do Tulsy.

Widelcem przełożył steki na talerz. Kolacja była gotowa.

– Musisz jechać – powiedziała. – Nie zostało ci już wiele spraw do poprowadzenia.

Bosch pokiwał głową. Miała rację.

Gdy weszli do domu, Maddie rzuciła mimochodem, że zastanawia się nad włożeniem sobie kolczyka do nosa – na weekend, żeby odpowiednio

wyglądać podczas prowokacji.

Bosch zdołał nie upuścić talerza na podłogę.

– Czyli chcesz sobie zrobić w nosie dodatkową dziurkę?

– No, byłoby fajnie. Nie na zawsze. Taka dziurka zarasta, nie to co tatuaż.

Jedzenie pachniało wspaniale, ale Harry stracił cały apetyt.

Bosch i Soto wylecieli o jedenastej – najpierw do Dallas, a stamtąd do Tulsy. Podczas pierwszego lotu mieli szczęście, bo chociaż podróżowali klasą ekonomiczną, to fotel pomiędzy nimi był pusty i mogli na nim położyć akta – zarówno ze sprawy Merceda, jak i Bonnie Brae. Harry chciał wykorzystać każdą wolną chwilę w podróży na zapoznanie się z dokumentacją pożaru i jeszcze raz przeczytać wszystkie raporty z pierwszego śledztwa dotyczącego Merceda. Był głęboko przekonany – co zresztą potwierdzało jego doświadczenie – że klucz do wyjaśnienia większości spraw kryje się w szczegółach. A oba śledztwa dostarczyły mnóstwa szczegółowych informacji.

Pierwszy etap podróży postanowił poświęcić na akta Bonnie Brae, a po przesiadce w Dallas zamierzał wrócić do Merceda.

Akta sprawy pożaru na Bonnie Brae nie zostały uporządkowane chronologicznie, jak to miało miejsce w przypadku Merceda. Przewlekłe i wielowątkowe śledztwa, których akta zajmowały wiele skoroszytów, były zwykle porządkowane chronologicznie. W miarę rozwoju dochodzenia detektywi zapełniali jedną teczkę po drugiej, dzięki czemu dokumentacja miała charakter linearny. Śledztwo dotyczące Bonnie Brae prowadziła początkowo Sekcja do spraw Przystępczości Zorganizowanej, która zajmowała się podpaleniami i utrzymywała stałe kontakty z inspektorami pożarnictwa. Ponieważ ofiar było aż dziewięć, sprawę od razu podzielono na kilka części i śledztwo biegło wielotorowo. Pierwsza teczka zawierała dane dotyczące chronologii wydarzeń oraz inne raporty powstałe w trakcie dochodzenia. Teczkę numer dwa poświęcono ofiarom oraz informacjom środowiskowym na ich temat. Kolejny skoroszyt zawierał dane dotyczące śledztwa w sprawie gangu La Raza z dzielnicy Pico-Union. Czwarty pękał w szwach od raportów o przyczynach i przebiegu pożaru w budynku Bonnie Brae Arms. W ostatnim zgromadzono wszystkie artykuły prasowe na temat tragedii – z biegiem lat zebrało się ich całkiem sporo, ponieważ do pożaru doszło w czasach przed Internetem, gdy społeczeństwo czerpało informacje



przede wszystkim z gazet. Obfitość wycinków prasowych, zapakowanych w duże koperty, sprawiała, że ów ostatni skoroszyt był najgrubszy ze wszystkich.

Księga numer jeden, choć nie do końca przedstawiała sprawę chronologicznie, była najbardziej zbliżona do standardowych akt dochodzenia w sprawie zabójstwa, dlatego Bosch właśnie od niej rozpoczął lekturę. Gdy czytał, Soto uruchomiła swój laptop i zaczęła pisać wstępny raport z czynności śledczych, które doprowadziły do wyjazdu do Tulsy. Ze względu na konieczność rozliczenia delegacji procedury wymagały pełnego udokumentowania podróży służbowej, a ponieważ kapitan Crowder załatwił pieniądze z funduszu rezerwowego, będącego w dyspozycji kierownictwa, przygotowanie odpowiedniej dokumentacji stało się jeszcze ważniejsze.

Większość czytanych przez Boscha raportów sporządził detektyw trzeciego stopnia Jack Harris, stojący na czele pięcioosobowego zespołu zadaniowego, który powołano specjalnie w tej sprawie. Bosch nie znał żadnego z tych detektywów, a o samym Harrisie jedynie słyszał. Facet musiał już być na emeryturze, ale w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych najwyraźniej był grubą rybą w Sekcji do spraw Przestępczości Zorganizowanej, bo prowadził większość śledztw, które trafiały do prasy lub przynajmniej odbijały się szerokim echem w Departamencie. Nie istniał więc żaden powód, by podważać kompetencje Harrisa. Bosch pamiętał o tym, zagłębiając się w akta niewyjaśnionej od dwudziestu jeden lat sprawy. Wiedział, że są nikłe szanse, by wraz z Soto cokolwiek wskórali. Whittaker i Dubose, przekazując Lucy dokumentację, powiedzieli, że zaledwie rok wcześniej wnikliwie sprawę analizowali, szukając jakichś punktów zaczepienia, ale nic nie znaleźli. Zadanie Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych polegało na przeświadczeniu dawnych dochodzeń pod kątem możliwości zastosowania najnowszych zdobyczy techniki kryminalistycznej i przesyłaniu dowodów rzeczowych do laboratorium, gdzie wykonywano stosowne ekspertyzy. Podstawową rolę odgrywały tu badania DNA i daktyloskopia. W przypadku Bonnie Brae żadnych tego typu śladów nie znaleziono.

Bosch nie podzielił się tą pesymistyczną refleksją z partnerką, ponieważ wiedział, że jest związana z problemem emocjonalnie. Obiecał Soto, że dokładnie się zapozna z obszerną dokumentacją, i zamierzał dotrzymać słowa, ale nie kosztem śledztwa w sprawie Merceda. Podróż samolotem

stanowiła dobrą okazję, by się tym zająć.

Na Bonnie Brae największe żniwo zebrał dym. Sam pożar ograniczył się właściwie do jednego korytarza oraz pomieszczenia w piwnicy, gdzie stały dwa duże kontenery na śmieci. Wpadały do nich odpadki z dwóch zsyków, które obsługiwały mieszkania na pięciu kondygnacjach powyżej. Pożar strawił to pomieszczenie, a następnie rozprzestrzenił się na sąsiedni korytarz. Jednak największe zagrożenie stanowił szybko rozchodzący się po całym budynku dym, który przenikał na klatki schodowe, w ciągi korytarzy, wznosił się szybami zsyków. Pożar i dym odcięły drogę ewakuacji dzieciom oraz opiekunkom z prowizorycznego przedszkola, które prowadzono nielegalnie w jednym z pomieszczeń piwnicy.

Główną przyczyną niepowodzenia śledczych prowadzących dochodzenie w tej sprawie, był fakt, że nim pożar zakwalifikowano jako celowe podpalenie, minęły dwa tygodnie. W przypadku śledztwa dotyczącego zabójstwa tak długa zwłoka przynosi zwykle niepowetowane szkody. Większość spraw albo rozwiązuje się w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin, albo nie rozwiązuje się ich wcale. W przypadku podpalenia na Bonnie Brae straconych dwóch tygodni nie dało się już nadrobić.

Stało się tak dlatego, że w pierwszej fazie eksperci straży pożarnej jako przyczynę zdarzenia wskazali przypadkowe zaproszenie ognia. Ustalono, że zapaliły się śmieci w kontenerze pod jednym z szybów zsykowych: tłący się niedopałek papierosa zrzucony z wyższego piętra spowodował zapłon materiałów łatwopalnych zalegających wśród odpadków. Administrator obiektu zgłosił już, że kontenery w piwnicy są pełne, i odbiór śmieci miał nastąpić następnego dnia. Pożar szybko objął drewniane belki stropowe i rozszalał się w całym pomieszczeniu. Ogień był tak gwałtowny, że po jego ugaszeniu w kontenerze pozostał wyłącznie mokry popiół.

Co prawda inspektorzy straży pożarnej orzekli, że ogień wybuchł przypadkowo, lecz do funkcjonariuszy z komendy Rampart od razu zaczęły docierać informacje, iż było to umyślne podpalenie. Wielu informatorów policyjnych twierdziło, że gang La Raza z Pico-Union miał na pieńku z administratorem bloku przy Bonnie Brae, ponieważ ten nie zgadzał się na sprzedaż narkotyków w swoim kompleksie. Podobno pożar miał być dla niego ostrzeżeniem, że jeśli nadal będzie utrudniał gangowi prowadzenie interesów, poniesie poważne konsekwencje. Śmierć dzieci i opiekunki to był

wypadek przy pracy.

Wszystko pozostawało w sferze plotek, dopóki ze stanowego laboratorium pożarniczego w Sacramento nie przyszła ekspertyza zwęglonych próbek pobranych z kontenera. Badanie chromatografem gazowym wykazało obecność co najmniej dwóch substancji zapalających. W raporcie podano ich nazwy: ropa naftowa oraz varsol. We wnioskach stwierdzano, że brak jest racjonalnego wytłumaczenia obecności tych chemikaliów w kontenerze na śmieci, dlatego sprawę należy uznać za celowe podpalenie.

Bosch spojrzął na Soto, która pisała coś na komputerze.

– Jesteś teraz w Internecie?

– Tak. A co?

– Możesz mi coś wygoogłować? Jednym z zapalników był jakiś varsol. Co to...

– To wysokoprocentowy rozpuszczalnik do farb. Drogi. Wykorzystywany głównie w warsztatach samochodowych do czyszczenia silników.

Bosch spojrzął na Soto z podziwem.

– Wygoogłowałam od razu, jak tylko przeczytałam raporty – powiedziała. – Kiedy zidentyfikowano zapalniki, śledztwo weszło na nowy tor. A ponieważ varsol jest drogi, wyciągnięto wniosek, że podpalacz musiał go mieć pod ręką, bo raczej by go specjalnie nie kupował. A to oznaczało, że musi pracować w miejscu, gdzie się używa tego środka. Sprawca posłużył się mieszanką powstałą po czyszczeniu jakichś części, zawierającą właśnie varsol i różne smary. Pewnie wlał ją do pojemnika, podpalił i wrzucił do zsypu na śmieci.

– Koktajl Mołotowa.

– Coś w tym stylu.

– Ale czy wtedy nie doszłoby do eksplozji? Huk... Ktoś by coś usłyszał.

Zdał sobie nagle sprawę, że mówi też o niej – dziecku, które było w tej piwnicy.

– To jedna z rzeczy, które dobrze pamiętam z przesłuchań. Pytano mnie o to, ale pomieszczenie ze śmieciami było dość daleko od przedszkola. A my przecież zachowywaliśmy się głośno, prawda? Dziesięcioro dzieci stłoczonych na niewielkiej przestrzeni. Nie słyszeliśmy niczego, co się działo na zewnątrz. A szkoda.

Bosch pokiwał głową. Zastanawiał się, czy Soto czuje się w jakiś sposób winna z tego powodu, że nie słyszała eksplozji. Miała siedem lat, bawiła się z przyjaciółmi, więc, rzecz jasna, nie można jej było o nic winić, lecz Harry wiedział, że kiedy ktoś nosi w sobie takie uczucia przez dwadzieścia lat, niełatwo da się przekonać.

Wrócił do lektury raportów.

– Daj znać, jak dotrzesz do wzmianki o tamponach – powiedziała Soto.

Bosch spojrział na nią, przekonany, że się przesłyszał.

– O czym?

– O tamponach. Boki zrywać.

Harry kiwnął głową i znów zaczął studiować chronologię śledztwa. Po potwierdzeniu obecności zapalników Departament Straży Pożarnej zaprosił do udziału w dochodzeniu detektywów z Sekcji do spraw Przystępności Zorganizowanej, ale w ciągu kolejnych tygodni całkowicie straciło ono impet.

Śledczy skupili się na informacjach od mieszkańców, wskazujących, że pożar stanowił część przestępczej taktyki zastraszania, lecz całkowicie wymknął się spod kontroli. Kluczowym świadkiem był administrator kompleksu mieszkalnego, który potwierdził pogłoski o notorycznych groźbach ze strony gangu z Pico-Union. Cztery tygodnie po tragicznym pożarze policja dostała sądowy nakaz przeszukania domów i miejsc pracy dwudziestu dziewięciu członków gangu. Pewnego dnia, tuż przed świtem, zespół zadaniowy złożony z detektywów sekcji oraz funkcjonariuszy Zespołu Wywiadowczego do spraw Gangów dokonał kilku jednoczesnych nalotów. W ich wyniku zarekwirowano znaczną ilość narkotyków i broni oraz zabezpieczono potencjalne dowody na podłożenie ognia. Dwudziestu dwóch gangsterów aresztowano pod zarzutem handlu narkotykami i bronią.

Czytając kopię dokumentu przekazanego sądowi już po wydaniu nakazu przeszukania, Bosch zauważył, że niewiele zajętych przedmiotów miało związek z pożarem. Wyjątkiem był galonowy pojemnik varsolu, zabezpieczony w warsztacie samochodowym, w którym uczył się fachu członek gangu, Victor Chapa. Wszystkie pozostałe przedmioty wymienione na liście stanowiły jedynie fasadę. Narkotyki i broń porozkładano na jakimś stole, żeby media porobiły im ładne zdjęcia, ale nie przedstawiały one żadnej wartości dowodowej w sprawie pożaru na Bonnie Brae.

Mimo to gang La Raza wyraźnie odczuł, że ma problemy. Jego

członkowie w większości byli notowani i w razie najmniejszej wpadki groziły im długoletnie wyroki. Jack Harris i jego zespół uzyskali w ten sposób potężny instrument nacisku, którym mogli wymuszać współpracę i napuszczać jednych gangsterów na drugich.

Największej obróbce poddano Victora Chapę, gdyż jako jedyny spośród wszystkich zatrzymanych miał on bezpośredni dostęp do środków zapalających, których pozostałości znaleziono na miejscu zdarzenia. Chociaż administrator kompleksu na Bonnie Brae nie zidentyfikował Chapy jako jednego z członków gangu, którzy mu grozili, a sam podejrzany dostarczył niepodważalne alibi, wciąż widziano w nim człowieka, który zorganizował paliwo i skonstruował ładunek zapalający. Do takiego wniosku skłonił śledczych fakt, iż w czasie przeszukania w łazience Chapy znaleziono pudełko z tamponami, chociaż podejrzany nie mieszkał z kobietą. Eksperci policyjni twierdzili, że tampony stosuje się często jako lonty w koktajlach Mołotowa.

Chapa został aresztowany za posiadanie kokainy, której ślady wykryto podczas rewizji. Znajdowały się one w fajce wykonanej z kawałka anteny samochodowej, która spoczywała w popielniczce w salonie mieszkania zajmowanego przez czterech mężczyzn. Zarzut był mocno naciągany, szanse na wygranie w sądzie żadne, ale wystarczył, by zatrzymać podejrzanego na czterdzieści osiem godzin. Po bardzo długim przesłuchaniu Chapę zamknięto w celi razem z policjantem po cywilnemu, który udawał aresztanta. Chapa podał szczegółowe alibi, ale poza tym nie chciał rozmawiać ani z przesłuchującymi go oficerami, ani z kolegą z celi. Nie przyznał się do niczego. Miał wtedy dwadzieścia osiem lat i od dawna należał do gangu z Pico-Union. Wcześniej odsiedział wyrok w więzieniu stanowym za kradzież. Był pewny swego i po rozprawie wstępnej został zwolniony za poręczeniem – obrońca przedstawił sędziemu oświadczenie byłej dziewczyny gangstera, w którym ta zeznała pod przysięgą, że pudełko z tamponami znalezione w mieszkaniu Chapy należało kiedyś właśnie do niej.

– Stara sztuczka obrony – rzekł Bosch.

– Działa za każdym razem.

Bosch spojrział na ekran komputera Soto i ujrzał jakąś mapę.

– Co to jest?

– Znalazłam El Chihuahua. W Tulsie jest dzielnica zwana Małym Meksykiem. To tam.

- Dobrze. Skoczymy wieczorem.
- W tłumie Meksykanów będziesz się rzucał w oczy.
- No. Trudno.

Bosch wrócił do lektury. Według prowadzonej chronologicznie dokumentacji wszyscy gangsterzy zatrzymani podczas nalotów twierdzili, że nie mają zielonego pojęcia o przyczynach pożaru na Bonnie Brae. Zgodnie wyparli się wszelkiej odpowiedzialności, a nawet poczuli się urażeni, iż podejrzewa się ich o spowodowanie śmierci dziewięciorga mieszkańców terytorium gangu, i to w większości dzieci.

Cała akcja policji zakończyła się zatem fiaskiem, a na Harrisa i jego zespół zaczęto wywierać ogromną presję. Pożar na Bonnie Brae był sprawą roku i media nie zamierzały jej odpuścić, dlatego Biuro Prasowe Policji domagało się codziennych raportów ze śledztwa. Presja sprawiła, że Harris zaangażował się w grę, która skończyła się fatalnie. Śledczy zdecydował się przycisnąć Chapę i za pomocą sieci swoich informatorów w Pico-Union rozpuścił plotkę, że dzięki policyjnej akcji pozyskano chętnego do współpracy świadka, który niedługo stanie przed ławą przysięgłych.

Chodziło o to, by Chapa pękł. Nie miałyby wówczas innego wyboru, jak tylko skorzystać z koła ratunkowego rzuconego mu przez policję i pójść na współpracę. Oczekiwano, że przyzna się do wyprodukowania ładunku zapalającego oraz ujawni nazwisko człowieka, który wrzucił go do zsypu na śmieci.

Czekając na rezultaty, które musiała przynieść wywierana na mechanika presja, Harris kazał go na wszelki wypadek objąć ścisłą inwigilacją.

Detektywi nie musieli długo czekać. Drugiego dnia obserwacji, gdy wszyscy gangsterzy z Pico-Union dostali cynk o gotowym do współpracy świadku, Harris i jego ludzie zobaczyli, jak ich intryga pryska niczym bańka mydlana, a Chapa przypląca ją życiem.

Zespół detektywów ulokował się przy warsztacie samochodowym na Szóstej Ulicy, w którym podejrzany pracował jako mechanik stażysta. Wszystkich klientów i wszystkie auta wjeżdżające i wyjeżdżające z zakładu obserwowano z dachu sąsiedniego budynku. Na rogach ulic stali policjanci po cywilnemu, gotowi śledzić Chapę, gdyby ten zechciał się urwać wcześniej z pracy.

Ale Chapa nigdy nie opuścił warsztatu. Kiedy pod koniec dnia zakład zamknięto, Chapy nie było wśród wychodzących pracowników. Obawiając

się o jego życie, policja wdarła się do firmy bez nakazu, lecz mechanik zniknął. Wewnętrzne dochodzenie wykazało, że i członkowie gangu, i sam Chapa wiedzieli o intrydze. Mężczyzna musiał zostać wywieziony z warsztatu w bagażniku samochodu jakiegoś klienta, który tego dnia stamtąd wyjechał. Na zbiega wydano nakaz aresztowania za to, że nie stawiał się na rozprawie, na której miał usłyszeć zarzuty o handel narkotykami, lecz do tej pory nie udało się go odnaleźć.

Tak więc Chapa przepadł, a Harris i jego zespół, mając na głowie dochodzenie wewnętrzne z powodu utraty podejrzanego, stracili wiatr w żaglach i śledztwo zaczęło się ślimaczyć. W końcu grupę dochodzeniową rozwiązano i przez kolejne lata sprawę prowadzili coraz to nowi detektywi z Sekcji do spraw Przystępczości Zorganizowanej, aż wreszcie z rozwojowej zrobiła się zastojowa. Ilekroć aresztowano jakiegoś członka gangu La Raza – niezależnie od powodu zatrzymania – detektyw prowadzący akurat śledztwo pytał go o pożar na Bonnie Brae. Wysiłki te okazały się jednak daremne i akta w końcu odesłano do archiwum.

Na końcu przeglądanej przez Boscha teczki znajdował się duży składany wykres ukazujący hierarchię gangu z Pico-Union około roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Kiedy Bosch go rozkładał, zagięcia arkusza pękały, a brzegi się rozdzierały, jakby nie dotykano go od wielu lat. Soto nachyliła się w stronę Harry'ego, aby przyjrzeć się schematowi.

– Widziałaś to wcześniej? – spytał Bosch.

– Nie, nigdy nie dotarłam do tego miejsca – odpowiedziała.

Diagram zawierał nazwiska i zdjęcia najważniejszych gangsterów. Większość fotografii była wykonana po aresztowaniu. Przy każdej dodano informację, czy delikwent w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku przebywał w więzieniu i czym się zajmował w strukturze organizacyjnej gangu: dilerką, transportem, produkcją, bronią, wymuszeniami i tak dalej.

– To może być niezły punkt wyjścia – rzekł Bosch.

– To znaczy? – spytała Soto.

– Trzeba sprawdzić te nazwiska. Niektórzy pewnie nie żyją, ale inni wciąż siedzą za kratkami. Moglibyśmy ich odwiedzić. Zaoferować trochę słońca, wkurzyć. Jeżeli stał za tym gang, wciąż musi być ktoś, kto wie, co się stało. Może któryś z nich cholernie chce wyjść z kicia i skusi się na ofertę.

– Ciekawe, dlaczego Whittaker i Dubose tego nie spróbowali.

– Bo są leniwi. Jeżeli w jakiejś sprawie nie ma namacalnych dowodów, przechodzą do następnej. Nie muszą wychodzić z biura.

Bosch zaczął ostrożnie składać diagram z powrotem, starając się nie uszkodzić go jeszcze bardziej.

– Lepiej nie bierz z nich przykładu. – ciągnął. – Jak chcesz być dobrym detektywem, musisz wstać od biurka i zacząć pukać do drzwi potencjalnych świadków.

– Dobrze, Harry. Wezmę to sobie do serca.

Pilot ogłosił, że podchodzą do lądowania w Dallas, więc Bosch odłożył akta i pozwolił odpocząć wzrokowi. Wciąż miał wiele do przejrzenia, w tym koperty zawierające wycinki prasowe na temat tej sprawy. Wszystkie musiały poczekać do następnego razu, gdy znów będzie mógł poświęcić czas Bonnie Brae.

– A co z Chapą? – zapytał. – Myślisz, że nie żyje?

– Na pewno – odparła Soto. – W przeciwnym razie już by wypłynął. Pewnie leży zakopany gdzieś na pustyni.

Bosch tylko kiwnął głową. Pomyślał, że Soto ma rację. Facet nie ulotnił się z tego warsztatu z własnej woli. W gangu nie da się utrzymać dyscypliny, jeśli krew informatora nie wsiąknie w piasek.

Samolot opadał ku Dallas. Bosch zmienił temat.

– Lubisz jedzenie z grilla? – zapytał.

– Raczej tak. Czasami.

To nie była entuzjastyczna odpowiedź. Znów kiwnął głową.

– Czemu pytasz?

– Na lotnisku jest taki lokal, nazywa się Cousin's – rzekł Bosch. – Dają dobre żarcie. Chyba się tam wybiorę przed kolejnym lotem.

– W takim razie spotkamy się przy bramce. Może być?

– Jasne. Zagładałaś przed wyjazdem do biblii? Jest coś o Tulsie?

Harry miał na myśli prowadzony w ich wydziale dziennik, w których poszczególni detektywi wpisywali swoje uwagi na temat miast odwiedzonych w ramach prowadzonych śledztw. Uwzględniano w nim zwłaszcza dobre lokale gastronomiczne oraz hotele – ma się rozumieć te, na które można sobie pozwolić w ramach przysługującej diety. Dziennik zawierał również wskazówki dotyczące postępowania z miejscowymi stróżami porządku i wymiarem sprawiedliwości. Funkcjonował już prawie dziesięć lat i nie było miejsca w kraju, które nie zostało w nim opisane.



Opasłe tomiszczce pękało w szwach od porad i rozważano nawet jego publikację w celu pozyskania środków finansowych. Księga nosiła tytuł „Danie firmowe. Policyjny przewodnik po hotelach, lokalach gastronomicznych i cukierniach z pączkami”.

– Sprawdziłam – powiedziała Soto, otwierając notatnik. – Śniadanie w knajpie o nazwie Jimmy’s Egg, kolacja w Mahogany, chociaż wydaje mi się, że ten drugi to lokal ze striptizem. Jest jeszcze Brownie’s, gdzie dają dobre ciasta.

Bosch się uśmiechnął.

– Ten wpis musiał zrobić Rick Jackson, zanim jeszcze przeszedł na emeryturę. Zawsze uwielbiał słodkości.

– Zgadłeś. To Jackson.

– Jakież uwagi o tamtejszej policji?

– No tak, Jackson wspomina faceta, z którym współpracował w Tulsie. Ricky Childers. Detektyw z nocnej zmiany, przynajmniej tak było dwa lata temu. Jackson wpisał go pod nagłówkiem „Porządni gliniarze”.

– Okej, w takim razie uderzymy do niego.

# 15

Podróżujący służbowo detektywi z Sekcji Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych mieli obowiązek zameldować się u lokalnych przedstawicieli organów ścigania i poinformować ich o powodzie swojej wizyty oraz planowanych w związku z nią działaniach. Był to zwykle kurtuazyjny gest, po którym policjanci z Los Angeles mogli przystąpić do właściwej pracy, choć miejscowi funkcjonariusze często żądali, by któryś z nich towarzyszył przyjeźdnym w podejmowanych czynnościach śledczych. Niekiedy jednak to goście z Kalifornii potrzebowali pomocy – w namierzeniu przestępcy lub podczas jego aresztowania. Niestety, doświadczenie Boscha – o czym już napomknął partnerce – dowodziło niezbitie, że telefon uprzedzający o przyjeździe zawsze wiąże się z jakimiś problemami na miejscu.

Zdarzało się bowiem, że miejscowi wychodzili przed szereg i szukali podejrzanego na własną rękę, co niezmiennie kończyło się jego spłoszeniem. W niektórych przypadkach lokalna policja po prostu jechała i zatrzymywała poszukiwanych, zanim Bosch zdążył dotrzeć na miejsce i zadać im parę pytań, jeszcze przed oficjalnym aresztowaniem i postawieniem zarzutów. Zawsze istniało też ryzyko, że osoba, po którą Harry się wybierał, ma jakieś powiązania z funkcjonariuszem na drugim końcu linii telefonicznej. Pewnego razu Bosch zadzwonił do detektywa z St. Louis, gdzie zamierzał aresztować mordercę. Nie miał niestety pojęcia, że rozmawia z człowiekiem, którego żona jest krewną rzezonego przestępcy. Dowiedział się o tym dopiero po przyjeździe na miejsce, gdy się okazało, że podejrzany ulotnił się minionego wieczoru.

– Potem nigdy już nie dzwoniłem – podsumował Harry. – I teraz zawsze pojawiają się bez zapowiedzi.

Do komendy policji w centrum Tulsy dotarli tuż przed godziną dwudziestą. Najpierw jednak zameldowali się w pobliskim hotelu, ponieważ nie było wiadomo, co ten wieczór przyniesie. Bosch obawiał się, że mogą nie zdążyć przed północą, a nie chciał stracić rezerwacji.

Policyjne odznaki z Los Angeles nie zrobiły większego wrażenia na umundurowanym funkcjonariuszu siedzącym za ladą recepcyjną, który jednak zgodził się zadzwonić do biura detektywów i spytać o Childersa.

Mieli szczęście – Childers był u siebie i kazał dyżurnemu wpuścić Boscha i Soto na górę.

Wjechali windą na pierwsze piętro. Przed Wydziałem Śledczym znajdował się kolejny kontuar, tym razem pusty. Czekali minutę, zanim przez usytuowane za ladą drzwi wyszedł do nich jakiś mężczyzna.

– Jak tam Rick Jackson? – zapytał.

– Niedawno przeszedł na emeryturę – odpowiedział Bosch. – I gdziekolwiek teraz jest, to pewnie gra sobie w golfa.

– Mam nadzieję.

Detektyw wyciągnął rękę ponad kontuarem.

– Ricky Childers. Dziś w nocy ja tutaj rządę.

Detektyw podał rękę Boschowi, a potem do Soto. Następnie Harry pokazał Childersowi swoją odznakę – na dole ledwie nią machnął, lecz tu na znak szacunku przytrzymał ją znacznie dłużej. Soto poszła za jego przykładem.

– Dzwoniliście wcześniej? – spytał Childers. – Kapitan nic mi nie przekazał.

– Nie, po prostu przyjechaliśmy – odrzekł Bosch. – Dziś rano dostaliśmy namiary na faceta, z którym trzeba koniecznie porozmawiać, i od razu wskoczyliśmy do samolotu. Nie było jak zadzwonić.

Childers kiwnął głową, jednak Harry nie był pewny, czy tamten uwierzył w jego bajeczkę. Policjant sprawiał wrażenie bystrego i doświadczonego. Był po czterdziestce i wciąż w dobrej formie. Mówił, przeciągając samogłoski, a koniuszki długich wąsów opadały mu znad kącików ust, tak że przypominał rewolwerowca z Dzikiego Zachodu. Bosch sądził, że facet jest tego świadomy i że pielęgnuje ten wizerunek. Nie miał na sobie marynarki, a w kaburze pod jego pachą tkwił pistolet. To także pasowało do całości obrazu.

– Co to za facet? – zapytał Childers.

– Świadek w sprawie, nad którą pracujemy – odpowiedział Harry. – Zabójstwo. Musimy z nim porozmawiać raz jeszcze, bo wygląda na to, że nie powiedział nam wszystkiego.

– Zachował trochę dla siebie, co? Nieładnie. Gościu ma jakieś nazwisko?

– Angel Ojeda. Lat trzydzieści dziewięć. Podobno mieszka tu od

dziewięciu–dziesięciu lat – powiedziała Soto, podając Childersowi kopię wydanego w Kalifornii prawa jazdy Ojedy.

– Dziewięć–dziesięć lat? – powtórzył detektyw. – W takim razie pracujecie nad starą sprawą, co?

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Bosch. – Dostaliśmy cynk, że facet przyjechał tutaj do pracy w pubie o nazwie El Chihuahua. Znasz to miejsce?

– No pewnie, wszyscy je znają. Przy Garnett, we wschodniej części miasta, w okolicy zwanej Małym Meksykiem.

– Co to za lokal?

– Nora z bilardem. Kilka razy w tygodniu wysyłamy tam patrole, żeby uspokoiły gości. Mówisz, że facet tam pracuje?

– To informacja sprzed prawie dziesięciu lat. Zaledwie punkt zaczepienia.

– Zawiozę was do tego lokalu, jeśli chcecie. Ale najpierw chodźmy do biura. Zobaczmy, czy mamy coś na tego Ojedę. Dobrze wymawiam, pani detektyw Soto? „Jot” jak „cha”?

– Zgadza się – odrzekła Lucy.

Childers wskazał dzielone drzwi po drugiej stronie kontuaru i machnął ręką, żeby się tam udali. Praca w Sekcji Spraw Niewyjaśnionych sprawiła, że Bosch bywał w biurach policyjnych detektywów w całym kraju i miał okazję się przekonać, że wszystkie są do siebie podobne. To w Tulsie mogłoby równie dobrze znajdować się w Seattle, Baltimore albo w Tampie. Zagracone pomieszczenie pełne biurek, szaf na dokumenty stojących szeregiem pod ścianą i listów gończych przyklejonych do drzwi. Ze względu na późną porę sala była prawie pusta. Harry zobaczył tylko jednego mundurowego i detektywa po cywilnemu za biurkiem. Childers zaprowadził ich do swojego boksu.

– Weźcie sobie krzesła – powiedział.

Bosch i Soto odsunęli fotele od nieużywanych biurek, podjechali z nimi bliżej i cała trójka usiadła. Gospodarz wyłączył radio z budzikiem, z którego sączyła się cicho melodia country. Brzmiała jak utwór Hanka Williamsa juniora.

– Sprawdźmy, czy coś tu jest na tego gościa – rzekł Childers.

Zerkając na kartkę z kopią prawa jazdy, detektyw wpisał dane do komputera. Bosch przypuszczał, że jest to wewnętrzny bank informacji, który pozwoli stwierdzić, czy Ojeda kiedykolwiek wszedł w drogę policji w Tulsie.

Przed wyjazdem z Los Angeles Soto sprawdziła ogólnokrajowe bazy danych, ale nie uzyskała żadnych trafień.

Childers wcisnął klawisz enter i uniósł ręce, jakby przed chwilą wykonał jakąś magiczną sztuczkę. Po kilku sekundach u góry ekranu pojawiły się dwa słowa.

### *Brak danych*

– Cholera – powiedział Childers. – Gdyby pracował w tej knajpie, to już by wyskoczył jako świadek, ofiara, osoba zgłaszająca, cokolwiek. To pewna informacja?

– Była, jakieś dziesięć lat temu – odparł Bosch. – Może facet zmienił nazwisko? Wpisz po prostu „El Chihuahua”.

– Macie całą noc?

Childers wklepał nazwę pubu i tym razem na ekranie ukazały się dziewięćset siedemdziesiąt dwa trafienia.

– A ten system zawiera tylko dane z ostatnich siedmiu lat – powiedział. – Wcześniej wszystko robiliśmy ręcznie, na papierze. Chcecie to wszystko przejrzeć? Jeśli tak, proszę bardzo.

Bosch zaczął się zastanawiać, w jaki sposób sprecyzować kryteria wyszukiwania, lecz Soto była szybsza.

– Myślę, że lepiej dać sobie z tym spokój – oświadczyła. – Zobaczmy, czy jest na miejscu. Po to tu przyjechaliśmy.

– Jak dla mnie to brzmi rozsądnie – rzekł gospodarz.

Bosch kiwnął głową.

Childers prowadził. Mały Meksyk znajdował się we wschodniej części miasta, około dwudziestu minut jazdy samochodem od centrum. Zapadł już zmrok, lecz ulice były dobrze oświetlone i Bosch ze zdziwieniem stwierdził, że nie tego się spodziewał. Drogi były szerokie, z jezdniami rozdzielonymi szerokim trawiastym pasem, a domy, kościoły i zakłady rozlokowane w luźnej zabudowie. Choć owszem, niektóre zakłady usługowe najwyraźniej upadły. Zobaczył radiowóz miejscowej policji, zaparkowany na nieczynnej stacji benzynowej. Musiał jednak długo i usilnie się przyglądać, żeby dostrzec jakiegokolwiek graffiti.

– No proszę – powiedział. – Więc to jest wasze *barrio*.

– Owszem – odrzekł Childers.

Bosch odstąpił Soto miejsce na przednim fotelu, a sam usiadł z tyłu. Dzięki temu miałyby Ojedę obok siebie, gdyby go jednak znaleźli i zabrali do komendy na przesłuchanie.

Childers wolno przejechał obok pubu El Chihuahua. Bosch odniósł wrażenie, że kiedyś mieściła się w tym lokalu restauracja Pizza Hut. Pozostał po niej czerwony dach, okna były jednak zamalowane, a do fasady przytwierdzono mnóstwo kawałków dykty z wypisanymi ręcznie zachętami: *cervezas, chicharones, desportes*. Na wysokim maszcie umieszczono neon z nazwą pubu i wizerunkiem rasy pieska, której nazwa pochodzi od meksykańskiego stanu. Chihuahua miał wyszczerzone groźnie zęby, a na przednich łapach rękawice bokerskie.

Zbliżała się dwudziesta druga i parking był całkowicie zapełniony. Przy umieszczonych na obu końcach budynku drzwiach kręciły się grupki mężczyzn trzymających w rękach butelki i zapalone papierosy.

– No to mamy wykroczenie – powiedział Childers. – Spożywanie napojów alkoholowych z nieosłoniętego pojemnika. Na zewnątrz nie wolno pić.

– Dobrze – skomentował Bosch. – Możemy to wykorzystać.

Childers zatrzymał się na poboczu drogi, nieco za lokalem i wiedząc, że w tym duecie to Harry wie prym, spojrzał we wsteczne lusterko.

– Jaki jest plan? – zapytał.

Bosch zastanawiał się chwilę.

– Na nieczynnej stacji benzynowej, którą minęliśmy, widziałem orkę – rzekł. – Możemy ją tu sprowadzić?

– Orkę? – zdziwił się Childers.

– Wóz w czerni i bieli. Wyglądało, jakby facet pisał raport.

– Orka. Niezłe. No jasne, mogę go wezwać.

– Okej, no to wezwij. Potem wszyscy razem wejdziemy do środka i się rozejrzemy. Jeśli zobaczymy naszego klienta, wtedy mundurowy poprosi go, żeby wyszedł, bo przed lokalem goście nielegalnie spożywają alkohol. Jeśli się uda, zaprowadzimy faceta do samochodu, a potem Lucy i ja go przejmujemy. Ani słowa, że jesteśmy z Los Angeles. Odznak nie pokazujemy.

Childers kiwnął głową.

– W porządku.

Sięgnął między siedzenia po krótkofalówkę, połączył się z dyspozytorem

i kazał mu podesłać do pubu najbliższy patrol. Potem się rozłączył i odłożył mikrofon.

– Towarzystwo bywa tu bardzo niegrzeczne? – spytał Bosch.

– Nam nic nie grozi, ale kobiety do tego lokalu raczej nie chodzą – odrzekł Childers. – Detektyw Soto mogłaby stanowić dla nich... okazję, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

– Dam sobie radę – powiedziała Lucy. – Nie przyjechałam tutaj, żeby czekać w samochodzie.

Ton jej głosu nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

– Mnie pasuje – rzucił Childers.

Na przyjazd wozu patrolowego czekali dziesięć minut. Childers mrugnął mu światłami, kiedy ten nadjeżdżał od strony Garnett. Orka ustawiła się tak, żeby kierowcy mogli ze sobą rozmawiać przez otwarte okna. W środku siedział tylko jeden funkcjonariusz, co było typowe dla miast borykających się z problemami finansowymi. Childers go znał, ale nie zadał sobie trudu przedstawienia mu Boscha i Soto. Wyjaśnił jedynie, że są to detektywi z Los Angeles. Potem wprowadził mundurowego w plan, a policjant zgodził się go wykonać.

Childers zawrócił samochód, po czym ruszyli za radiowozem w kierunku pubu. Na parkingu nie było już wolnych miejsc. Przejechali wolno z jednej strony, wrócili i przejechali wolno z drugiej, po czym zatrzymali się przy drzwiach obok grupki mężczyzn z butelkami piwa i papierosami. Zapewne większość z nich miała już wcześniej kłopoty w związku ze spożywaniem alkoholu w miejscu publicznym, bo na widok radiowozu wszyscy zwiali do lokalu.

Policjanci wysiedli z auta i ruszyli ku drzwiom. Bosch usłyszał pulsującą wewnątrz muzykę. Był leworęczny, Soto natomiast praworęczna, więc zgodnie z procedurą wejścia do podejrzanego lokalu ustawił się przy jej lewym boku. W ten sposób mogli się względnie bezpiecznie dostać do środka.

Gliniarz z patrolu mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i miał potężną klatkę piersiową, a ukryta pod ubraniem kamizelka kuloodporna czyniła go jeszcze większym. Wszedł do pubu jako pierwszy i zaczął torować sobie drogę przez tłum. Tak jak się spodziewali, Soto zwracała na siebie powszechną uwagę, co było Boschowi na rękę, ponieważ mógł się uważnie przyjrzeć twarzom, szukając tej, która byłaby podobna do oblicza Angela

Ojedy na fotografii sprzed dziesięciu lat.

Miał szczęście, gdyż niemal od razu zauważył mężczyznę, który wyglądał jak Ojeda. Stał za barem, po prawej stronie pomieszczenia. Był jednym z trzech barmanów, ale nie przyjmował zamówień ani nie otwierał butelek z piwem, tylko opierał się o ladę tuż obok kasy fiskalnej i obserwował tłumek gości. Po chwili jego oczy zarejestrowały w morzu śniadych twarzy jedną białą i spotkały się ze wzrokiem Boscha. Harry zdał sobie natychmiast sprawę, że tamten rozpoznał w nim policjanta, wątpił jednak, żeby Ojeda – jeśli to faktycznie był on – domyślił się, że ma do czynienia z gliniarzem z Los Angeles.

Bosch i Soto nie szli już obok siebie. Ścieżka wiodąca przez tłum stała się zbyt wąska, więc poruszali się teraz gęsiego. Lucy była od Harry'ego znacznie niższa i zgromadzeni wokół ludzie całkowicie przesłaniali jej widok. Z głośników tętniła elektroniczna muzyka taneczna o latynoskim brzmieniu. Wysoko na ścianach oraz nad barem wisiały telewizory o płaskich ekranach, na których rozgrywały się mecze piłki nożnej i walka bokserska. Powietrze wypełniał niedający się z niczym pomylić zapach marihuany.

Bosch pochylił się i krzyknął prosto do ucha Soto:

– On tu jest. Za barem. Daj znać Childersowi.

Wiadomość została przesłana, a gdy niewielki oddział dotarł wreszcie do baru, policjant z patrolu wiedział już, co ma robić. Przywołał do siebie mężczyznę stojącego przy kasie fiskalnej i kazał mu wyjść na zewnątrz. Tamten zawahał się, wskazując na tłum, jakby chciał powiedzieć, że musi zostać i dbać o interes, lecz wtedy wielki gliniarz pochylił się nad barem i powiedział coś, co musiało mieć sporą siłę przekonywania. Mężczyzna uniósł ruchomą klapę lady i wyszedł zza baru, po czym dał sygnał jednemu z barmanów i ruszył w stronę najbliższego wyjścia. Umundurowany funkcjonariusz skierował go w przeciwną stronę, ku drzwiom, przez które weszli Bosch i spółka. Raz jeszcze przecięli całe pomieszczenie i wyszli na zewnątrz.

Człowiek, którego Bosch wypatrzył, natychmiast zaczął protestować, kierując swe pretensje pod adresem policjanta w mundurze, choć przecież powinien był wiedzieć, że ci, którzy wydają rozkazy, chodzą zwykle w garniturach.

– Czemu mnie nękasz, człowieku? Ja tu prowadzę interes.

– Proszę się uspokoić – powiedział mundurowy. – Jest pewna sprawa,



którą musimy...

– Jaka sprawa? Nie ma żadnej sprawy.

Bosch miał już pewność, że to Ojeda. Z zadowoleniem odnotował, że facet mówi po angielsku.

– Kevin, pozwól, że ja z nim pogadam – rzekł Childers.

Funkcjonariusz się cofnął. Detektyw podszedł bliżej i spojrzał barmanowi prosto w oczy.

– Jak się pan nazywa?

– Bo co? Po co wam moje nazwisko?

– Ponieważ mamy tu poważny problem, proszę pana, i jeśli nie zacznie pan współpracować, to zrobi się jeszcze poważniejszy. Nazwisko?

– Francisco Bernal. Okej?

– Ma pan jakiś dokument tożsamości, panie Bernal? Prawo jazdy?

– Nie prowadzę samochodu. Siedzę cały czas za barem.

– Szczęściarz z pana. A zielona karta? Paszport?

Mężczyzna spojrzał na Soto z wyrazem niesmaku na twarzy, że ona także uczestniczy w tej hucpie, i w końcu wyciągnął portfel, a z niego złożoną kartkę. Podał świsstek Childersowi, który rozłożył go, rzucił nań okiem, a następnie wręczył Boschowi. Potem cofnął się, aby Harry mógł wziąć sprawy w swoje ręce.

Bosch spojrzał na dokument. Policjant z radiowozu pomógł mu, zapalając latarkę. Była to kserokopia karty stałego pobytu wystawiona na Francisca Bernala. Teoretycznie każdy posiadacz zielonej karty powinien cały czas mieć ją przy sobie, jednak większość ludzi nosiła tylko fotokopie, ponieważ oryginalny dokument był zbyt cenny, a w razie zgubienia lub kradzieży władze niechętnie wydawały duplikat. Oryginał przechowywano więc w bezpiecznym miejscu. Podczas kontroli dokumentów policja z reguły akceptowała ksero. Ale Bosch wiedział, że o wiele łatwiej jest zrobić fałszywą fotokopię, niż podrobić oryginał zielonej karty.

Gdy analizował dokument, z pubu wyszło kilku klientów zaciekawionych sytuacją. Childers agresywnie ruszył w ich kierunku, wskazując na drzwi i każąc im wracać do środka. Tamci natychmiast wykonali polecenie.

Bosch podniósł wzrok znad dokumentu i spojrzał prosto w oczy mężczyzny, którego nadal uważał za Angela Ojedę.

– Wiesz, że brak oryginału to wykroczenie, prawda?

Mężczyzna potrząsnął głową, wyraźnie zdenerwowany.

– To jakaś bzdura – powiedział.

Harry podszedł bliżej i uniósł inną kartkę papieru.

– To też jest bzdura? – zapytał.

Mężczyzna wyrwał papier z dłoni Boscha i go rozłożył. Była to kserokopia prawa jazdy, wydanego w Kalifornii, ze starym zdjęciem Ojedy. Bosch dostrzegł w oczach barmana błysk zrozumienia. To ostatecznie utwierdziło go w przekonaniu, że mają do czynienia z Ojedą.

– Właśnie okłamałeś policjanta – stwierdził Bosch. – Posługujesz się sfałszowanym dokumentem i jesteś nielegalnym imigrantem. Wiesz, w jakie kłopoty się wpakowałeś?

Bosch cofnął się o jeden krok i kiwnął głową mundurowemu.

– Skuj go, Kevin – polecił.

Policjant zgasił latarkę i przystąpił do dzieła.

## 16

Nie tylko wszystkie sale zajmowane przez detektywów wydawały się Boschowi identyczne. Tak samo rzecz się miała z pokojami przesłuchań: były to surowo urządzone, zalane ostrym światłem kabiny, zaprojektowane tak, żeby pozbawić czekających na przesłuchanie wszelkiej nadziei. Z braku nadziei brała się bowiem skłonność do kompromisu i współpracy. Zanim Harry wkroczył do pokoju przesłuchań, pozwolono Ojedzie mięknąć przez prawie godzinę. Plan zakładał, że Bosch zaatakuje pierwszy, a jeśli mu się nie uda, ustąpi miejsca Soto, która zacznie pracować ze świadkiem innymi metodami. Tymczasem Lucy miała przyglądać się poczynaniom Harry'ego na monitorze w drugim pomieszczeniu.

Ojeda siedział przy niewielkim stoliku. W zimnym świetle pokoju przesłuchań Bosch zauważył, że dawny trębacz jest przystojnym mężczyzną o gęstych, kruczoczarnych włosach, gładkiej skórze i szczupłej budowie ciała. W jego ciemnych oczach malowało się znużenie, a może smutek. Bosch przysunął sobie krzesło po drugiej stronie stołu i rzucił Ojedzie fałszywą kserokopię zielonej karty.

– Jak mam się do ciebie zwracać, Angel czy Francisco? – zapytał.

– Wezwijcie mi adwokata – powiedział Ojeda. – Znam swoje prawa.

Harry pokiwał głową.

– Faktycznie, masz prawo do adwokata. Ale wiesz, co się stanie, jak go wezwiemy? Wsadzimy cię do aresztu i poszczujemy na ciebie urząd imigracyjny, a oni nie znają słowa „kaucja”.

Po twarzy Ojedy przebiegł cień bólu.

– No właśnie – ciągnął Bosch. – Sprawdziliśmy w imigracyjnym i wiemy, że ten twój wydruk to lipa. Możesz sobie nim podetrzeć dupę, tyle jest wart.

Harry blefował. Była północ, w dodatku piątek, i szanse na uzyskanie od urzędu imigracyjnego w Tulsie jakichkolwiek informacji oscylowały wokół zera. Jednak Bosch miał absolutną pewność, że Ojeda nie jest Franciskiem Bernalem i nie posiada ważnej zielonej karty. Wydanie tego dokumentu

wymagałoby pobrania odcisków palców, a wtedy wyszłoby na jaw jego prawdziwe nazwisko.

– Spędzisz za kratkami miesiąc, zanim wezmą cię do sądu na wstępną rozprawę – kontynuował Bosch. – Z góry będziesz miał przechlapane, bo posługiwałeś się fałszywymi dokumentami. Nikt cię nie wybroni, kolego. Odeślą cię z powrotem do Chihuahua.

Detektyw pozwolił, żeby jego słowa zawisły w powietrzu, i po chwili mówił dalej.

– Pytam cię więc: naprawdę chcesz to rozegrać w ten sposób? Jeśli tak, to kiwnij głową, a zaprowadzę cię do aresztu. Nawet dam ci ćwierć dolara, żebyś sobie zadzwonił po adwokata, który i tak w niczym ci nie pomoże.

Ojeda skrzyżował ręce na piersi. Kajdanki zdjęto mu wcześniej, przed wprowadzeniem do pokoju przesłuchań. Była to subtelna wskazówka, że policja czegoś od niego chce, że istnieje pole do negocjacji. Najwyraźniej okazała się jednak zbyt subtelna, skoro facet z miejsca zażądał prawnika.

– Tylko ja mogę ci pomóc – powiedział Bosch.

Do Ojedy jakby coś zaczęło docierać.

– Czego chcecie? – zapytał.

Harry odpiął od paska swoją policyjną odznakę i położył ją na stole, tak żeby Ojeda mógł ją dobrze zobaczyć. Facet pochylił się, nadal krzyżując ręce.

– Los Angeles? Po co tu przyjechaliście?

– Wiesz po co.

– Nie, nie wiem. Nigdy nie byłem w Los Angeles. W...

– Orlando Merced nie żyje.

Ojeda spojrzał na Boscha wzrokiem człowieka, który o niczym nie ma pojęcia.

– Zmarł trzy dni temu. Przyczyną śmierci był pocisk, który tkwił w jego kręgosłupie. Pocisk przeznaczony dla ciebie.

Ojeda usiadł prosto i wlepił w Boscha harde spojrzenie.

– Dziesięć lat temu nas okłamałeś. Nie powiedziałeś wszystkiego. Wiesz, co to znaczy, kiedy nie mówi się całej prawdy? Kiedy nie mówi się nam wszystkiego, co się wie?

– Ja nic nie wiedziałem.

– Owszem, wiedziałeś. O wszystkim. Ale nic nam nie powiedziałeś...

– Nie!

– ...a to się kwalifikuje jako utrudnianie śledztwa, mimo że miało miejsce dziesięć lat temu. A teraz prowadzimy już dochodzenie w sprawie zabójstwa. Jeżeli nam nie pomożesz, to będzie znaczyć, że pomagasz mordercy, a to ogromnie zmienia twoją sytuację. Fachowo nazywa się to „poplecznictwem”. Jesteś poplecznikiem zabójcy. A to znaczy, że odeślą cię do Chihuahuy dopiero, jak odsiedzisz wyrok w kalifornijskim więzieniu.

– To jakieś wariactwo.

– Kto do ciebie strzelał, co? Przed kim uciekłeś do Oklahomy? Dlaczego zmieniłeś nazwisko?

Ojeda potrząsał głową, jakby starał się nie dopuścić do siebie słów Boscha.

– Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Mylicie się. Zmieniłem nazwisko, bo właścicielem pubu był mój wujek, który chciał, żebym przyjechał i podawał się za jego syna. Dlatego przyjąłem jego nazwisko. To tyle.

Bosch niespiesznie podniósł odznakę ze stołu i wsunął ją z powrotem za pasek. W ten sposób zyskał chwilę, by się zastanowić nad dalszym sposobem postępowania. Przyszło mu do głowy nazwisko z książki meldunkowej hotelu Mariachi. Dzięki niemu mógł kupić sobie więcej czasu.

– Kto to jest Rodolfo Martin? – zapytał.

Ojeda znowu potrząsnął głową. Wyglądał na zdezorientowanego.

– Nie wiem. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

– Ten człowiek był w hotelu po drugiej stronie placu. To on oddał strzał, a ty go widziałeś. Mamy to na taśmie wideo, Angelu. Dlatego uciekłeś. Zobaczyłeś faceta z bronią, który mierzył do ciebie. Merced dostał kulkę *zamiast ciebie!*

– Nie. Nikogo nie widziałem. Ja...

– *Kim jest Rodolfo Martin?*

– *Nie wiem!*

Bosch opanował się i dalej mówił już spokojniejszym tonem.

– Albo opowiesz mi wszystko od początku, albo nie będę mógł ci pomóc. Mów, co się wtedy stało.

Po raz pierwszy, zamiast potrząsnąć głową, Ojeda nią kiwnął. Bosch wiedział już, że mu się udało. Facet zaraz się otworzył. Czekał. Wreszcie Ojeda się odezwał.

– Kiedy byłem muzykiem, miewałem sporo kobiet – powiedział ze wzrokiem wbitym w stół. – Ładnych kobiet. Teraz też mam kobiety, w pubie,

ale to już nie to.

Bosch nie spodziewał się usłyszeć czegoś takiego, jednak skinął głową. Rozumiał sytuację. Ojeda był uderzająco przystojny, w dodatku pracował jako muzyk – przynajmniej przed laty. Niedawno córka opowiadała Harry’emu o pewnych badaniach, na które natknęła się w Internecie. Wynikało z nich, że kobiety na ulicy były bardziej skłonne dać swój numer telefonu mężczyźnie z instrumentem w ręku niż z aktówką.

– Okej.

– Wtedy poznałem niewłaściwą kobietę. To wszystko przez to.

Bosch zakładał wcześniej, że chodziło o narkotyki. Nie o kobietę.

– No dobrze, opowiedz mi o tej kobiecie. Kim była? Gdzie ją poznałeś?

Ojeda zaczął mówić, cały czas drapiąc się w szyję.

– Graliśmy koncert. W jakimś wielkim domu. Wyglądał jak zamek na szczycie góry. Wydano kolację dla wielu osób, był jakiś gość specjalny. Tam ją poznałem. Pod koniec, kiedy pakowaliśmy instrumenty, wyszedłem na dwór na papierosa, rozumie pan. Ona tam stała i też paliła. Podała mi swój numer telefonu i kazała do siebie zadzwonić.

– Zadzwoniłeś?

– Była piękna. Zadzwoniłem.

– Mężatka?

Ojeda skinął głową.

– Jej mężem był właściciel tego domu. Bardzo potężny człowiek. Bardzo bogaty. Ludzie mówili, że to Król Betonu. To był ich dom.

– Wyszła za mąż za króla, który posiadał zamek, ale chciała, żebyś ty do niej zadzwonił.

Bosch nie powiedział tego w formie pytania, lecz po prostu lapidarnie streścił opowieść Ojedy, wydobywając jej absurdalność.

– Później powiedziała mi, że czuje się samotna, ale nie może od niego odejść, bo facet jest niebezpieczny. Bardzo wpływowy, z mnóstwem forsy. Kazał jej podpisać odpowiednie dokumenty.

– Intercyzę. Kiedy dokładnie odbył się ten koncert, na którym ją poznałeś?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Jak długo przed postrzałem?

– Nie jestem pewien. Ale tak, przed. Oczywiście.

– Grałeś wtedy z nowym zespołem? Los Reyes Jalisco?

– Tak, z nimi.

– Okej, więc pół roku przed incydem? Miesiąc?

– Raczej trzy miesiące.

– I powiadasz, że wdałeś się w romans z tą kobietą?

Ojeda kiwnął głową.

– Jak długo to trwało?

– Hm, wiele tygodni.

– Mąż się dowiedział?

Kolejne kiwnięcie.

– Przyjechał do mojego mieszkania. Groził mi. Mówił, że mnie zabije, jak nie przestanę. Wie pan, spotykać się z jego żoną.

– Przestałeś?

Ojeda przewrócił oczyma, a potem potrząsnął głową.

– Nie. Bardzo ją kochałem.

Zabrzmiało to fałszywie, jakby słowa te należały do całego systemu usprawiedliwień, który Ojeda zmontował i który przez wiele lat w sobie pielęgnował. To była miłość, wmawiał sobie, nie pożądanie, nie pragnienie każdego mężczyzny, by wziąć sobie coś z najwyższej półki życia. Pragnienie, które ostatecznie zniszczyło życie kogoś innego. Powód nie mógł być błahy.

– A co z nią? Jej też kazał się przestać z tobą zadawać?

– Tak, ale nie przestaliśmy.

Ojeda skłonił głowę, jakby przyznając, że jego decyzja miała fatalne konsekwencje.

– Ile minęło czasu między ostrzeżeniem od męża a postrzeleniem Merceda na placu?

– Niewiele. Miesiąc?

– Nie pytaj mnie. Odpowiadaj. Ile?

– Miesiąc.

Bosch odchylił się na krześle i popatrzył na Ojedę, próbując ocenić wiarygodność tego, co właśnie usłyszał.

– Jak się nazywała?

– Maria.

– Całe nazwisko.

– Maria Broussard. Ale była Meksykanką. Przed wyjściem za mąż nazywała się Fuentes.

– A imię męża?

- Bruce.
- Bruce Broussard. Na pewno?
- Tak o nim mówiła.
- Okej, a gdzie znajdował się ten wielki dom, w którym zorganizowano przyjęcie? Ten zamek?
- Na wzgórzu. Zajmował całe zbocze.
- Adres?
- Nie znam adresu. Byłem tam tylko raz. Kiedy tam jechaliśmy, siedziałem na pace furgonetki.
- Ale spotykałeś się z nią przy innych okazjach. Gdzie odbywały się schadzki?
- Głównie to ona załatwiała hotele. Raz przyjechała do mnie.
- Które hotele?
- Różne, wszędzie. Raz spotkaliśmy się w Universalu. I w takim hotelu w centrum, ze szklanymi windami, które kursują na zewnątrz budynku.
- Od początku wiedziałeś, kim ona jest? To znaczy: że jest mężatką i że to jest jej dom?
- Ojeda się zawahał.
- Nie kłam – ostrzegł Bosch. – Raz skłamiesz w dowolnej kwestii, a będziesz miał naprawdę poważne problemy.
- Tak – rzekł Ojeda.
- Czy pozostali członkowie zespołu wiedzieli o tobie i tej kobiecie?
- Nie, to był sekret. Tylko między nami.
- A mąż? Skąd się dowiedział?
- Nie wiem.
- Powiedziała mu?
- Nie. Myślę, że ją śledził. A raczej kazał ją śledzić.
- Kto to jest Rodolfo Martin?
- Powiedziałem prawdę. Nie wiem.
- Bosch zdawał sobie sprawę, że nazwisko to jest najprawdopodobniej fałszywe. Nikt nie podaje prawdziwego, gdy chce wynająć pokój w hotelu, który wykorzysta jako stanowisko snajperskie. Kontynuował przesłuchanie.
- Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Marią Broussard?
- Dziesięć lat temu. Po postrzeleniu Orlanda zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że wiem, co się stało. Potem już nigdy się nie widzieliśmy.
- Powiedziałeś jej, że wiesz, że kula nie była przeznaczona dla Merceda,



tylko dla ciebie.

– Tak.

– I co ona na to?

– Odparła, że mi nie wierzy. Że jestem kłamcą. To był koniec.

Bosch nie robił notatek. Wiedział, że Soto siedzi przed monitorem, gdzie zostawił ją Childers, i wszystko zapisuje.

Zadał ostatnie pytanie, przynajmniej na razie.

– Mówisz, że przyjęcie, na którym ją poznałeś, zorganizowano dla jakiejś szczególnej osoby. Kto to był?

– Nie pamiętam nazwiska. Facet startował w wyborach na burmistrza, a podczas kolacji zbierano pieniądze.

Bosch siedział nieruchomo i patrzył na Ojedę. Teraz lepiej rozumiał powody, dla których ten człowiek zniknął i zmienił tożsamość. Niezależnie od tego, czy uległ miłości, czy zwykłej żądzy, jego decyzje zaprowadziły go nad mętne wody polityki.

– Czy na tej kolacji był Armando Zeyas? To on był gościem specjalnym?

Ojeda potrząsnął głową.

– Nie, nie on.

– Na pewno? Pamiętasz, co mówiłem o kłamstwie?

– Na pewno. To nie był on. Jego znam. Graliśmy na jego weselu. To był inny facet, który chciał zostać burmistrzem. Biały.

Jeden z przeciwników Zeyasa. Powiązanie nie było już tak jednoznaczne, ale Bosch nadal czuł wzbierającą wokół mętną wodę.

Lucię znalazł w sali wideo, gdzie oglądała przesłuchanie Ojedy. Była sama. Przed nią leżała otwarta paczka ziemniaczanych chipsów z automatu. Ich widok przypomniawszy Boschowi, że nie jadł nic od czasu mięsnej kanapki w Dallas.

– Gdzie Ricky?

– Wyszedł w połowie. Mówił, że ma swoje sprawy do załatwienia, ale w razie czego będzie w pobliżu. Nieźle ci poszło.

Bosch wziął paczkę, zanurzył w niej rękę i wyjął jednego chipsa. Soto nie zaprotestowała.

– Dzięki.

– Ricky odczekał, aż złamiesz Ojedę. Powiedział, że jesteś „prawdziwym gatorem” i nie będziesz potrzebował jego pomocy. Co to znaczy?

Bosch wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Facet wygląda za młodo, żeby mógł być w Wietnamie.

– A co to znaczyło w Wietnamie? Mój dziadek tam był.

– Twój dziadek? Od razu czuję się lepiej.

Wyrwała mu paczkę chipsów, udając irytację, że sam jej nie oddał.

– Kup sobie. W holu są automaty. Mój dziadek był o wiele starszy od ciebie. Wierz albo nie, ale przez całe życie służył w piechocie morskiej. No więc? Co to znaczyło?

– „Gatorami” nazywano wtedy gości z CIA, taka gra słów: „interrogator” i „aligator”. Stosowali tak zwane „wzmocnione metody przesłuchań”.

– Na przykład wyrzucanie jednego z przesłuchiwanym z helikoptera, by złamać pozostałych? No tak, dziadek coś mi opowiadał.

Bosch poczuł, że za chwilę mogą się w nim obudzić makabryczne wspomnienia, co bynajmniej nie było mu teraz na rękę, dlatego skierował rozmowę na inne tory.

– Zapisałaś już końcową część przesłuchania?

– Jeszcze nie.

– To dobrze. Na razie niech to zostanie poza protokołem.

– Dlaczego?

– Ponieważ kłamka jest gorąca i musimy być ostrożni. Nigdy nie otwiera się drzwi do pokoju, w którym szaleje pożar. Należy zachować ostrożność i...

Nagle zdał sobie sprawę z tego, co mówi, i urwał w pół słowa.

– Przepraszam, to było głupie...

– W porządku, nic się nie stało – odrzekła Lucy. – Rozumiem. Możemy tego nie zapisywać w raporcie, ale co z nagraniem wideo? Czyba go nie zniszczysz?

– Nie, nagranie zabieramy, ale kapitan i tak go nie obejrzy. Przeczyta tylko raport. Na razie nie chcę, żeby poznał końcową część rozmowy.

– Rozumiem.

– To dobrze. A co z tym facetem? Bruce Broussard. Słyszałaś o nim?

Potrząsnęła głową.

– Z czymś mi się kojarzy, ale nie wiem, z czym – odpowiedziała. – A tobie?

– Nie.

– Facet wygląda na grubą rybę. Król Betonu. Wierzysz Ojedzie? W to, co

mówił o sobie i o miłości do tamtej mężatki?

Bosch zastanawiał się przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– Jak dotąd wierzę. Być może on naprawdę ją kochał. A ta kobieta? Jeszcze nie wiem. Ale nikomu ani słowa. Ani w raportach, ani kolegom, nawet tym z odznakami. Najpierw musimy się dowiedzieć czegoś więcej o Marii Broussard.

– Co w takim razie powiesz kapitanowi? Będzie chciał się dowiedzieć, co uzyskaliście za pieniądze, które wydał na delegację.

– Napiszę podsumowanie, w którym nie wspomnę nazwiska Broussardów. Na razie. Wiem, jak to zrobić, żeby uznał pieniądze za dobrze wydane. Musimy kupić bilety na pierwszy samolot, chcę wylecieć z samego rana.

– Sprawdzę w necie. A co z Ojedą?

Bosch musiał się nad tym chwilę zastanowić. Wypuszczenie Ojedy mogłoby skutkować jego ucieczką. Było to jednak ryzyko, które należało podjąć. Areszt za podrobioną zieloną kartę sprawiłby tylko, że potencjalny świadek zwróciłby się przeciwko organom ścigania. Bosch wskazał na sprzęt wideo na ścianie pomieszczenia.

– Mamy nagranie tego przesłuchania. Na tej podstawie spisemy zeznania, prawdziwe. Każemy mu podpisać i go wypuścimy. Jednak chwilowo zatrzymamy wszystko poza oficjalnym obiegiem. Na wszelki wypadek.

– Na przykład?

– Nie wiem, wszystko może się zdarzyć.

# 17

W sobotę rano Bosch i Soto złapali pierwszy lot do Dallas. Tam mieli czekać na rezerwowej liście pasażerów na szansę zabrania się samolotem do Los Angeles. W Tulsie spędzili nieco ponad dwanaście godzin, wydając z miejskich pieniędzy niespełna tysiąc dolarów. Biorąc pod uwagę to, czego dowiedzieli się od Ojedy, Bosch uważał ów wydatek za całkiem dobry interes.

W Dallas mieli szczęście i dostali się od razu na pierwszy lot. Potem los uśmiechnął się do nich ponownie, gdy kapitan maszyny – rutynowo poinformowany o dwóch uzbrojonych funkcjonariuszach policji na pokładzie – kazał ulokować oboje w pierwszej klasie, aczkolwiek w innych rzędach foteli. Bosch czuł pewne zażenowanie, wnosząc w tak luksusowe otoczenie swoją torebkę z jedzeniem na wynos z knajpki Cousin's. Stewardesa powiedziała mu, że za chwilę otrzyma bezpłatny posiłek. Widząc żołnierza w mundurze polowym, który szedł przejściem między siedzeniami na tył samolotu, Bosch wręczył mu torebkę, mówiąc, że to najlepsza kanapka z siekanym mięsem, jaką kiedykolwiek będzie miał szansę spróbować.

– To się dopiero zobaczy, proszę pana – powiedział żołnierz, przyjmując podarunek. – Pochodzę z Memphis.

Bosch kiwnął głową. Spędził kiedyś w Memphis cały tydzień w związku z jakąś sprawą i tamtejszy detektyw codziennie zabierał go do innej knajpy z grillem.

- Wolisz z sosem czy bez? – zapytał żołnierz.
- Bez, proszę pana.
- Tak podają dania z grilla w Rendezvous, prawda?
- Zgadza się.

Harry skinął na pożegnanie głową i żołnierz powędrował dalej. Kobieta siedząca za Harrym spytała, czy ma coś jeszcze do rozdania, na co on oblał się rumieńcem.

Miał miejsce w trzecim rzędzie foteli, a Soto w pierwszym. Pilot dopilnował, żeby dostali siedzenia zaraz przy przejściu, aby w razie czego

mogli działać szybko i bez przeszkód. Nie był to pierwszy raz, gdy Boscha traktowano w ten sposób. Większość załóg bardzo chętnie widziała w pobliżu kokpitu uzbrojonych policjantów.

Ponieważ start trochę się opóźniał, Harry założył słuchawki i wsłuchał się w muzykę z filmu dokumentalnego o saksofoniście Franku Morganie. Dokument zawierał nagranie koncertu na jego cześć zorganizowanego w więzieniu San Quentin, gdzie przed laty Morgan odbywał wyrok. Zespół składał się z jego byłych współpracowników oraz muzyków, którzy darzyli go szczególnym podziwem, a efektem ich kooperacji był znakomity koncert. Bosch odsłuchał dwa razy z rzędu standard Dizzy'ego Gillespiego „The Champ”, swój ulubiony utwór z udziałem Delfeaya Marsalisa i Marka „Kaznodziei” Grossa, którzy na zmianę grali po cztery takty na puzonie i saksofonie.

Kiedy samolot wreszcie wystartował, Bosch wyłączył muzykę i wziął się do pracy. Podzielili się z Soto aktami bieżącej sprawy, poza tym miał jeszcze do przeczytania dokumentację z pożaru na Bonnie Brae. Ponieważ obok siedziała jakaś kobieta, która wyglądała na młodą hollywoodzką menedżerkę, Bosch obawiał się otworzyć segregatory ze zdjęciami ofiar z miejsca zdarzenia lub po sekcji zwłok, dlatego wysunął tylko jedną, najgrubszą kopertę z wycinkami prasowymi i zaczął przeglądać stare artykuły dotyczące tragicznego pożaru.

Pakiet był pełen poskładanych, pożółkłych fragmentów gazet, równie kruchych co diagram ze strukturą organizacyjną gangu, który Bosch oglądał dzień wcześniej. Papier pękał na zgięciach, chociaż Harry rozkładał wycinki powoli i ostrożnie. Coś takiego często się zdarzało podczas analizowania akt dawnych śledztw. W takich wypadkach miał zwyczaj przyklejania wycinków do szarego papieru pakowego – w sali detektywów mieli całą rolkę – aby powstrzymać ich rozpad i zachować treść.

Jak należało się spodziewać, pożar na Bonnie Brae spotkał się z niezwykłym zainteresowaniem dziennika „Los Angeles Times”, który poświęcił tej tragedii cały szereg artykułów. Zawartość koperty podzielono z grubsza na dwie części. Pierwsza zawierała wycinki z publikacjami na temat samego pożaru i jego bezpośrednich następstw, druga zaś relacje ze śledztwa, które publikowano w regularnych odstępach czasu – po sześciu miesiącach, po roku, po pięciu i po dziesięciu latach od wydarzenia. Najwyraźniej redakcja gazety albo przegapiła dwudziestą rocznicę, albo

uznała, że nie warto już pisać na ten temat. Ostatni artykuł w kopercie powstał dziesięć lat po pożarze.

Ustaliwszy, co zawiera pakiet, Bosch zaczął czytać od samego początku. Numer „Timesa” wydany w dzień po tragedii był jej poświęcony niemal w całości. Harry rozłożył pierwszą stronę gazety, z trzema fotografiami i artykułem wstępnym. Dwa mniejsze zdjęcia ukazywały mieszkańców uciekających w popłochu z dymiącego budynku oraz dwie kobiety obejmujące się na ulicy. Twarze, na których malował się wyraz bólu i przerażenia, były pokryte sadzą i zalane łzami. Na większym zdjęciu, umieszczonym na prawo od dwóch pozostałych i bardziej pośrodku, widać było strażaka wychodzącego z budynku z małą dziewczynką na rękach. Kończyny dziecka wisiały bezwładnie. Strażak nie czekał z podjęciem reanimacji i zanim jeszcze wyszedł z płonącego gmachu, zaczął wdmuchiwać dziecku powietrze do ust. Bosch przeczytał podpis pod fotografiami, jednak nie zawierał on żadnych informacji o tożsamości strażaka i dziewczynki ani nie wspominał, czy dziecko przeżyło. Harry ponownie przyjrzał się zdjęciu, a potem podniósł oczy i spojrzał przed siebie. Dwa rzędy dalej nad oparciem fotela dostrzegł górną część głowy Soto. Zastanawiał się, czy to ona była tą dziewczynką na fotografii.

Bosch już wcześniej zauważył, że odkąd współpracuje z Lucy, co chwila ma fart. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin szczęście uśmiechnęło się do nich kilkakrotnie: przy załatwianiu nakazu Harry trafił na pełniącą właśnie dyżur Shermę Barthlett, sędzię życzliwą gliniarzom, potem w Tulsie zajął się nimi Ricky Childers, który też był akurat na służbie, a w drodze powrotnej dostali miejsca w pierwszej klasie. Bosch czuł, że pod wieloma względami jest na fali, że zasada sumy zerowej – raz się wygrywa, raz przegrywa – przestaje go dotyczyć. Wdał się w rozważania na temat szczęśliwego losu: czy fart zależy od przypadku, czy może idzie w ślad za pewnymi ludźmi przez całe ich życie. Są tacy, którzy nie tylko wychodzą cało ze strasznego pożaru, lecz także z tragicznej strzelaniny pod sklepem monopolowym. Być może Lucy Farciara to coś więcej niż tylko przezwisko. I może jej fart jest zaraźliwy.

– Ojej, te wycinki muszą mieć ze sto lat.

Bosch obrócił się w fotelu. Siedząca obok niego kobieta patrzyła na pozólką i popękaną kartkę, którą trzymał w ręku. Uśmiechała się z zakłopotaniem.

– Prawie – powiedział.

– Czym się pan zajmuje?

Bosch spojrział w oczy sąsiadki.

– Przepraszam. Jestem wścibska. Ale to mnie naprawdę zaciekało.

– Sprawdzam coś, co stało się bardzo dawno temu.

– Chodzi o tamten pożar.

Wskazała zdjęcia na pierwszej stronie gazety.

– No tak – potwierdził Bosch. – Ale nie mogę o tym rozmawiać. To sprawa prywatna.

– A może mi pan tylko powiedzieć – nalegała kobieta – czy ta dziewczynka żyje?

Zanim Bosch odpowiedział, przez chwilę patrzył na fotografię.

– Tak, żyje. Miała szczęście.

– Ogromne.

Bosch kiwnął głową i kobieta wróciła do lektury jakiegoś scenariusza. Skupił się na artykułach z pierwszej strony. W prawym górnym rogu widniał wstępniak, który opisywał całą historię w zarysach – a przynajmniej to, co wtedy wiadano o pożarze. Poniżej, z osobnym nagłówkiem, biegła pojedyncza kolumna:

### **Groźny pożar w nielegalnym przedszkolu**

Tekst sugerował, że pożar zebrał śmiertelne żniwo, ponieważ w podziemiach budynku prowadzono nielegalną placówkę (certyfikowane przedszkole miałyby zapewne wiele wyjść awaryjnych na wypadek zaproszenia ognia i dzieci zdołałyby uciec), jednak ton poniekąd obarczał odpowiedzialnością same małe ofiary.

Trzeci artykuł powstał jeszcze przed uznaniem pożaru za umyślne podpalenie i dotyczył śledztwa w sprawie inspekcji budowlano-przeciwożarowych liczącego dwieście dziesięć mieszkań bloku, które to inspekcje na przestrzeni ostatniej dekady przeprowadzono wręcz skandalicznie. Wspomniano w nim także o właścicielu kompleksu oraz o holdingu mieszkaniowym, który posiadał kilka innych wielkich budynków mieszkalnych w okolicy. Tam także czynsze były niskie, a warunki

bezpieczeństwa fatalne. Tekst niejako przygotowywał czytelników na nieuchronny wniosek: do zaproszenia ognia doszło, ponieważ złamano bądź zignorowano odpowiednie przepisy.

Temat pożaru zajmował również następne strony gazety, gdzie były wzbogacone o fotografie z miejsca zdarzenia. W czarnej ramce umieszczono nazwiska wszystkich dziennikarzy, którzy relacjonowali w gazecie przebieg pożaru i jego skutki. Bosch naliczył dwadzieścia dwie osoby i nagle zatęsknił za dawnym „Los Angeles Times”. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku było to wielkie, potężne medium, każdy numer gazety był gruby od ogłoszeń i reklam, a artykuły pisał zespół najbystrzejszych i najlepszych w swoim fachu reporterów. Teraz dziennik wyglądał jak po chemioterapii – cienki i wiotki, jakby świadomy, że jego żywot nie potrwa już zbyt długo.

Samo czytanie i studiowanie zdjęć w dziale miejskim gazety zajęło Boschowi prawie godzinę, jednak lektura ta nie podsunęła mu żadnego nowego pomysłu, co zrobić z tą sprawą dalej. Jedynym artykułem, w którym „Times” nawiązał bliżej do głównego obszaru pierwotnego śledztwa, była wkładka z charakterystyką dzielnicy. Wspomniano tam o groźnym gangu La Raza z Pico-Union oraz zacytowano anonimowe źródło policyjne, według którego ulica Bonnie Brae stanowiła rynek zbytu dla zmotoryzowanych, pełen cracku i najgorszej jakości heroiny z Meksyku.

Bosch zauważył, że Soto wstaje ze swojego miejsca z otwartym laptopem. Szybko złożył czytaną gazetę i wcisnął ją pod stos innych wycinków. Nie chciał, żeby zobaczyła fotografie.

Lucy podeszła do jego fotela, niosąc komputer, i zerknęła na kupkę pozólkłych papierów.

– Czytasz to wszystko? – spytała.

– Tak – potwierdził. – Nigdy nie wiadomo, czasem można wpaść na jakiś pomysł. Znaleźć jakiś cytat albo świadka. Spisałem sobie nazwiska paru osób, które były wtedy na miejscu, dziennikarzy i mieszkańców. Może warto byłoby do nich zadzwonić, zobaczyć, czy coś jeszcze pamiętają.

– Okej.

Bosch wskazał głową komputer.

– Co jest?

Soto ułożyła laptop na kupce wycinków, żeby Bosch mógł widzieć ekran.

– Skorzystałam z wi-fi i chyba znalazłam Broussarda.

Harry obrócił się w swym siedzeniu, blokując widok ciekawskim oczom



sąsiadki, po czym spojrział na monitor. Zobaczył internetowe wydanie gazety „Los Angeles Times”. Artykuł nosił datę sprzed dziewięciu lat i dotyczył mianowania Charlesa „Broussa” Broussarda na członka Komisji do spraw Parków i Rekreacji. Nominację wręczył mu nowo wybrany burmistrz Armando Zeyas. Tekst był krótki, ponieważ komisja nadzorująca miejskie parki nie stanowiła źródła najbardziej interesujących informacji. „Times” opisywał Broussarda jako miejscowego biznesmena, który od wielu lat odgrywał istotną rolę w pozyskiwaniu funduszy dla lokalnych polityków. Dołączone do artykułu zdjęcie zrobiono w noc wyborów. Przedstawiało Zeyasa, jak obejmuje Broussarda ramieniem. Obok nich stała uśmiechnięta kobieta, podpisana jako Maria Broussard. Wyglądała na znacznie młodszą od męża.

– Dobra robota – powiedział Bosch, nie odrywając oczu od ekranu.

Odchylił pokrywę komputera, by móc lepiej przyjrzeć się zdjęciu, i intensywnie studiował twarz przysadzistego mężczyzny w drogim garniturze. W czasie, kiedy zrobiono fotografię, Broussard mógł mieć jakieś czterdzieści lat. Nosił solidną brodę z dziwnym siwym wzorkiem, jakby z kącików jego ust wyciekło trochę wybielacza, pozostawiając jasny szlak na owłosieniu.

Soto pochyliła się, aby nie mówić zbyt głośno.

– Przecież Ojeda zeznał, że ta zbiórka pieniędzy, na której poznał Marię, nie dotyczyła Zeyasa.

Bosch kiwnął głową. W tym miejscu historia przestawała się kleić.

– Albo Ojeda kłamał, albo Broussard przeszedł na drugą stronę barykady – rzekł. – Musimy się tego dowiedzieć.

# 18

Poprzedniego dnia dotarli na lotnisko w Los Angeles osobno, ponieważ nie wiedzieli, jak będzie wyglądał ich powrót, a poza tym Soto mieszkała na południe od portu lotniczego, w Redondo Beach, natomiast Bosch na północy – na wzgórzach ponad przełęczą Cahuenga.

Wylądowali o dziewiątej trzydzieści. Idąc do drzwi wyjściowych terminalu czwartego, omawiali plan dalszych działań. Ustalili, że spotkają się w biurze nazajutrz o ósmej rano i przepracują tam połowę dnia. Boschowi pasowało to idealnie, ponieważ niedziela była dla jego córki dniem świętym, w którym musiała odespać zaległości. Jeśli nikt jej nie przeszkadzał, spała do południa, a potem domagała się śniadania. Harry miałby więc okazję solidnie popracować przez cztery godziny, nim spotka się z Maddie.

Przecięli pas jezdni, na który podjeżdżały autobusy i taksówki, a następnie weszli do wnętrza piętrowego parkingu i tam się rozdzielili. Bosch czuł ekscytację. Ta krótka wycieczka okazała się niezwykle opłacalna – uzyskali cenne informacje i nadali impet dochodzeniu. Owoce wydała nawet ich powrotna podróż samolotem, gdy Soto namierzyła ich kolejny cel: Charlesa Broussarda.

Jadąc Century Boulevard, Bosch doszedł do wniosku, że pewna rzecz nie powinna czekać – nawet do jutra rana. Wyciągnął telefon i zadzwonił do córki. Odebrała natychmiast.

– Co porabiasz? – zapytał.

– Właśnie wstałam.

– Masz jakieś plany na dzisiaj?

– Odrobić zadania domowe.

– Jest piękny dzień. Powinnaś się trochę rozerwać.

– To znaczy, że już wróciłeś?

– Przed chwilą wylądowaliśmy, ale muszę na chwilę skoczyć do pracy.

Będę w domu przed kolacją.

– Tato, mówiłeś, że wracasz w niedzielę.

– Bo tak myślałem. Coś nie tak, że jestem w domu dzień wcześniej?

– Dziś wieczorem mam randkę. Sądziłam, że cię nie będzie.

– Randkę w domu?

W jego głosie słychać było niepokój.

– Nie – odparła szybko. – To znaczy, zgodziłam się spotkać z tym chłopakiem, bo myślałam, że cię nie będzie w domu. Zadzwoń i powiem mu, że zmieniłam zdanie.

– Nie, słuchaj, nie rób tego. Idź. Zabaw się. Co to za chłopak? Jak się nazywa?

– Nie znasz go. Nazywa się Jonathan Pace, poznaliśmy się w Odkrywcach.

– Ale to chyba nie sierżant, który wami dowodzi, co?

Jakiś czas temu wybuchł skandal i Bosch wolał ostrzec córkę.

– Tato! On ma siedemnaście lat, tak jak ja.

– Ale wie, że twój ojciec jest gliną?

To nie była jej pierwsza randka, jednak nie chodziła na nie zbyt często. Bosch wymagał od córki informowania wszystkich chłopców, że jej ojciec jest policyjnym detektywem i zawsze nosi przy sobie broń. Za każdym razem przesyłał w ten sposób konkretną wiadomość.

– Tak, on świetnie wie, kim jesteś i czym się zajmujesz. Też chciałby zostać detektywem.

– Naprawdę? Facet idealny. Kiedy wychodzisz?

– Spotykamy się w Grove o dziewiętnastej, idziemy na film.

– Sami?

– Nie, będą inni Odkrywcy.

– Chłopcy i dziewczyny?

– Tak.

– Okej, wróć do domu, zanim wyjdiesz. I wiesz co?

– Co?

– Zaraz obok kina jest księgarnia. Może byście tam zajrzeli?

– Tato.

Osiągnęli już poziom, gdy wystarczyło jej powiedzieć po prostu *tato*, a Bosch od razu wiedział, że oznacza to *dość*. Tak właśnie stało się i tym razem.

– Sorry, myślałem, że książki są fajne.

– W sobotę wieczór nie będziemy siedzieć w księgarni i czytać. Chcemy się trochę zabawić. Książki czytamy przez cały tydzień w szkole. Na

przykład teraz mam lekturę na jutro.

– No dobrze, rozumiem. Czy Jonathan Pace też uczestniczy w tej prowokacji alkoholowej we wtorek?

– Tak, wszyscy bierzemy w niej udział.

– Okej. Może tam się z nim spotkam.

– Tato, mówiłeś, że nie przyjdiesz! Narobisz mi wstydu. Wszyscy będą się śmiać, że mój ojciec pilnuje nas jak małe dzieci.

– Dobra, dobra, załapałem. Jeśli nie chcesz, to nie przyjadę. Tylko uważaj na siebie, i we wtorek, i dziś wieczorem. Niedługo się zobaczymy.

Bosch się rozłączył i zadzwonił na infolinię, prosząc o numer pokoju działu informacyjnego „Timesa”. Telefonistka połączyła go sama. Czekaając na linii, zawrócił i wjechał na estakadę dojazdową do drogi numer 405 w kierunku północnym. Postanowił, że w zależności od tego, jak przebiegnie rozmowa, albo wybierze trasę przez przełęcz Sepulveda do Mulholland, albo pojedzie na wschód dziesiątką do centrum.

Osoba, która odebrała telefon, nie przedstawiła się, tylko rzuciła do słuchawki:

– Newsroom.

– Dzień dobry – powiedział Bosch. – Szukam Virginii Skinner.

– Ma wolny dzień. Przekazać coś?

– A może pan przekazać jej coś *od razu*? Nie mam przy sobie jej numeru telefonu, a muszę z nią pogadać jeszcze dzisiaj. Z pewnością jej też się to opłaci.

Nastąpiła krótka pauza, a potem padła odpowiedź.

– Spróbuję, ale nie mogę niczego obiecać. Co to za wiadomość?

Bosch podał swoje imię i numer telefonu. Wiadomość brzmiała: „Koniecznie się ze mną skontaktuj, bo inaczej stracisz świetny materiał”.

– To wszystko?

– To wszystko.

Bosch się rozłączył. Virginia Skinner należała to tych nielicznych weteranów dziennikarstwa, którzy wciąż jeszcze pracowali w newsroomie „Los Angeles Timesa”. Dwadzieścia lat wcześniej dostała wreszcie pracę w „Timesie”, choć aż do trzydziestki funkcjonowała jako dziennikarka drugorzędnej prasy. Jej pierwsze zadanie polegało na codziennym czatowaniu na posterunku policji. Nie miała większej ochoty pisać ani o życiu gliniarzy, ani o przestępczości, ale była to dogodna pozycja startowa.

Jako osoba niegłupia zdawała sobie sprawę, że im lepiej poradzi sobie z tym zadaniem, tym szybciej awansuje na lepsze stanowisko.

I się nie pomyliła. Była dobrą dziennikarką, dlatego po dwóch latach oddelegowano ją do nowych zadań: tym razem miała się zajmować ratuszem. Virginia od zawsze pragnęła pisywać o polityce stanowej i stanowych władzach, i tak już pozostało. Specjalizowała się w opisywaniu sylwetek różnych polityków i zwykle prześwietlała kandydatów na wylot, w wielu przypadkach niweczając ich szanse wyborcze.

W ciągu tych pierwszych dwóch lat jej kariery Bosch nabrał do Skinner sympatii – była uczciwa i bardzo rzetelna. Ich drogi kilka razy przecięły się przy okazji rozmaitych śledztw. Rozmawiali ze sobą zarówno oficjalnie, jak i poza protokołem, i Virginia nigdy Harry’ego nie zawiodła. Później ich kontakty ograniczały się właściwie do minimum, jednak od czasu do czasu w świecie polityki pojawiała się jakaś sprawa, w której policja miała do odegrania swoją rolę. Wówczas Skinner zgłaszała się do Boscha, a on mówił jej to, co wiedział i co mógł powiedzieć. Zdecydowanie nie podobał mu się pomysł zostania źródłem dziennikarskim, ale przynajmniej nigdy nie wzbudził w Virginii Skinner nieufności. Jej numer telefonu ukrywał w szpargałach biurka, ponieważ zapisanie go na liście kontaktów w komórce byłoby czystą głupotą. Gdyby aparat dostał się w niepowołane ręce i wyszłoby na jaw, że Harry ma bezpośredni kontakt z reporterką, konsekwencje ze strony pracodawcy mogłyby być bardzo poważne, z wydaleniem ze służby włącznie. Kierownictwo policji bardzo nie lubiło gliniarzy sympatyzujących z mediami – zwłaszcza tych sympatyzujących z gazetą „Los Angeles Times”.

Prowadząc samochód, Bosch próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz rozmawiał ze Skinner i o czym. Nie pamiętał. To musiało być zapewne dwa–trzy lata temu.

Nie oddzwoniła, nim dotarł do rozwidlenia dróg, i musiał coś postanowić. Skoro Maddie wybierała się dokądś na cały wieczór, uznał, że on też mógłby zrobić sobie małe wagary: pojedzie teraz do domu, żeby spędzić z nią trochę czasu, a potem wróci do komendy i popracuje w nocy. Widząc zbliżający się pas zjazdu na wschód, zmagął się z podjęciem decyzji. Uratował go dzwonek telefonu. Na wyświetlaczu zobaczył napis „numer prywatny”. Odebrał, przełączając aparat na głośnik.

– Harry, tu Ginny Skinner. Co aż tak ważnego się stało, że się dobijasz

w sobotni ranek?

– Dzięki, że oddzwoniłaś. Zacznę od tego, że wszystko, co powiem, jest poufne. Nie wolno ci napisać o tym ani słowa.

– Nie wiem, o co chodzi, dlatego trudno mi się na to zgodzić.

Był to typowy przykład dziennikarskiego paragrafu 22: nie zgadzali się zatrzymać danej informacji tylko dla siebie, dopóki jej nie poznali. Co by jednak było, gdyby po wysłuchaniu całej historii stwierdzili, że muszą się nią podzielić ze światem? Bosch bardzo uważnie dobierał teraz słowa.

– Wiesz chyba, że zajmuję się wyjaśnianiem zabójstw sprzed lat, prawda?

– Prawda, a poza tym czytam swoją gazetę. Wiem, że prowadzisz śledztwo dotyczące tego muzyka, *mariachi*.

Bosch spochmurniał. Miał nadzieję, że Skinner nie znała sprawy, nad którą właśnie pracowali z Soto.

– Zajmuję się wieloma rzeczami naraz, Ginny. Przecież wiesz.

– W takim razie przejdź od razu do sedna, Harry. Jest sobota, piękny dzień. Jutro kończę pięćdziesiąt lat i chcę przedtem wypić ostatnią margaritę. Czego sobie życzysz?

– Naprawdę? Ty? Kończysz pięćdziesiąt lat?

– Tak, naprawdę, i ani słowa więcej na ten temat. Nie powinnam ci była w ogóle mówić. Czego potrzebujesz?

– Cóż, często piszecie o finansowaniu kampanii wyborczych i tak dalej, prawda? Masz może archiwalne materiały na temat minionych wyborów?

– Zależy, jak bardzo minionych i których wyborów. O czym rozmawiamy?

– Chciałbym zobaczyć listę ofiarodawców w wyborach na burmistrza miasta sprzed trzech kadencji.

„Jeśli poszerzę zakres czasowy – pomyślał Bosch – trudniej jej będzie domyślić się, jaki jest mój prawdziwy cel”.

– Och – westchnęła. – Sporo żądasz. Mamy te materiały w komputerze, ale ty nie prosisz, żebym szukała igły w stogu siana, ty chcesz dostać *całe siano*. Musisz mi powiedzieć, o co ci naprawdę chodzi, Harry. Konkretnie.

Bosch zastanawiał się, czy nie zakończyć rozmowy i nie poczekać do poniedziałku, kiedy będzie mógł uzyskać niezbędne informacje kanałami oficjalnymi. Zwyciężyła jednak chęć kucia żelaza, póki gorące i raz jeszcze spróbował dobić targu.

– Nie mogę mówić konkretnie, dopóki nie zgodzisz się, że rozmawiamy poufnie. Przynajmniej na razie. Jak przyjdzie co do czego, będziesz oczywiście pierwsza.

– Sprawa jest polityczna? Ja się zajmuję polityką, nie przestępczością.

Zbliżała się sto dziesiątka i Bosch wjechał w korek tworzący się na wszystkich ośmiu pasach autostrady. „Może w centrum konferencyjnym organizowana jest jakaś większa impreza” – pomyślał. Było za wcześnie na mecz lub koncert w Staples Center.

– Chodzi o jedno i drugie – odpowiedział.

– Polityka i morderstwo to zawsze dobry materiał na artykuł – rzuciła. – No dobra, masz moje słowo. Rozmawiamy poufnie, twoje dane znam tylko ja. Nie zrobię z tą wiedzą nic, dopóki się nie zgodzisz.

Bosch był już prawie przekonany.

– Ani słowa swojemu wydawcy, nawet jemu – powiedział. – Nikomu.

– Nie ufam mojemu wydawcy – odparła Skinner. – Od razu by wszystkim powiedział na odprawie, udając, że to jego robota. Zgadzam się.

Bosch milczał przez chwilę. Jeśli chodzi o relacje z dziennikarzami, doszedł do granicy, zza której nie było powrotu. Czuł, że może zaufać Skinner, ale korytarze komendy głównej usiane były zwłokami gliniarzy, którzy sądzili, że mogą ufać mediom.

Powoli zjechał na boczny pas prowadzący na sto dziesiątkę. Zjazd z autostrady znajdował się jakieś półtora kilometra dalej, lecz czekało go zapewne piętnaście minut ślimaczenia się w zbitym strumieniu pojazdów.

– Jesteś tam, Harry?

– Tak, jestem. Okej, tego właśnie chciałem. Znasz niejakiego Charlesa Broussarda?

– Oczywiście. W skrócie nazywają go Brouss, co brzmi jak Bruce. Dziany facet. Ma firmę, która produkuje betonowe barierki ustawiane na autostradach w trakcie budowy, a przecież gdzieś zawsze trwa jakaś budowa. Co z nim?

– Znasz go osobiście?

– Nie, raz chyba z nim gadałam, prosząc o wypowiedź dla gazety. Za rządów Zeyasa był z nim w bliskiej komitywie. Myślę, że teraz jest z ratuszem na bakier, bo ostatnim razem postawił na niewłaściwego konia. Już rozumiem. Broussard był blisko Zeyasa, a Zeyas był blisko związany z tym muzykiem, którego postrzelono. Pisałam o nim w czasie pierwszej

kampanii wyborczej. Przydzielono mi Zeyasa, pamiętasz?

– Słuchaj, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Możemy się teraz spotkać? Chcę wiedzieć, komu Broussard dawał pieniądze podczas ostatnich kampanii. W ogóle chcę o nim wiedzieć wszystko. Cokolwiek ci przyjdzie do głowy.

– Spotkać się? Nie możemy poczekać do poniedziałku?

– W poniedziałek nie będziesz mi już potrzebna, Ginny. Sam sobie załatwię te informacje.

Teraz to Skinner chwilę milczała.

– Daj spokój. Nie każ się prosić – nalegał Bosch. – Zgódź się, a postawię ci margaritę w ostatni dzień pięćdziesiątego roku twojego życia. Gdzieś w Pueblo na pewno podają dobry trunek.

– Kuszące – odezwała się wreszcie dziennikarka. – Okej, spotkajmy się o pierwszej przy wejściu od Spring Street.

Bosch spojrział na zegarek. Miał jeszcze prawie dwie godziny.

– Będę – powiedział.



## 19

Siedziba „Timesa” znajdowała się przy Spring Street, dokładnie naprzeciw komendy głównej policji. Oba budynki stały tak blisko siebie, że jeden z poprzednich szefów Harry’ego opuszczał żaluzje w oknie swego gabinetu, święcie przekonany, iż dziennikarze „Timesa” obserwują go z naprzeciwka.

Bosch zaparkował wóz w podziemnym garażu komendy, ale nie poszedł na górę. Aby rozprostować trochę kości, ruszył Pierwszą Ulicą w stronę Mariachi Plaza. Nie miał tam do załatwienia nic, co wiązałoby się z dochodzeniem, zawsze jednak uważał, że bywanie na miejscu zdarzenia jest bardzo pomocne w śledztwie. Nazywał to „wsłuchiowaniem się”. Zawsze istniały jakieś niuanse i drobne detale, które dawało się wyłapać nawet wiele lat po fakcie. Poza tym Bosch wierzył w duchy: jakiś rodzaj obecności tych, którzy zostali zamordowani. Nie wszyscy jego koledzy ją czuli, ale on zawsze.

W porównaniu z temperaturą w okolicach terminalu lotniska, które leżało na samym brzegu chłodnego Pacyfiku, w centrum miasta powietrze było przyjemnie ciepłe. Słońce grzało w plecy i spacer Pierwszą Ulicą, a potem przez Małe Tokio sprawił Harry’emu prawdziwą radość. Idąc przez most na Pierwszej Ulicy, mniej więcej w połowie Bosch zauważył, że ktoś przywiązał do jednej z latarni bukiet kwiatów. Na kartonowym sercu wypisano słowa: „Odpoczywaj w spokoju, Vanesso”. Nie wiedzieć czemu, Harry wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie tej smutnej pamiątce po jakiejś kobiecie, a raczej dziewczynie, która popełniła samobójstwo, skacząc z mostu. Kamery ustawione na przesłach najwyraźniej nie wszystkich powstrzymywały.

Podszedł do poręczy, wychylił się i spojrział w dół. Zastanawiał się, czy Vanessa żałowała swojej decyzji w ciągu tych ostatnich paru sekund, kiedy spadała.

Zerknął na zegarek i ruszył dalej. Minąwszy kilka przecznic, dotarł do Mariachi Plaza. Była sobota i niewielki, trójkątny plac pękał w szwach od tłumu mieszkańców, *mariachis* oraz sprzedawców jedzenia i kwiatów. Bosch zdał sobie nagle sprawę, że w dzień postrzelenia Orlanda Merceda musiał tu

panować podobny ruch. Strzelec zapewne wziął to pod uwagę. Wiedział, że w sobotnim tłumie wybuchnie większa panika, więcej ludzi zacznie uciekać we wszystkie strony, łatwiej mu będzie się ukryć. Czy to właśnie zakładał jego plan?

Harry przeciął Pierwszą Ulicę i zaczął się przeciskać przez tłum. Na placu, nie wchodząc sobie nawzajem w paradę, grało kilka zespołów. Muzycy jakby się dopiero rozgrzewali przed większym koncertem, na który liczyli po południu lub wieczorem.

Bosch zauważył otwarte drzwi księgarni i spory tłumek wewnątrz. Przeczytał napis na banerze, który wisiał obok wejścia.

**LOS ANGELES JEST JAK TWÓJ MÓZG.  
WYKORZYSTUJESZ ZALEDWIE 20 PROCENT  
JEGO MOŻLIWOŚCI.  
WYOBRAŹ SOBIE, CO BY BYŁO,  
GDYBYŚMY KORZYSTALI Z NICH W PEŁNI.**

Harry skręcił na schody prowadzące do metra. Spacer zabrał mu więcej czasu, niż się spodziewał, a nie chciał się spóźnić na spotkanie ze Skinner, dlatego postanowił przejechać złotą linią przez most, wyskoczyć z wagonu na stacji Małe Tokio i resztę drogi przebyć pieszo. Oszczędziłby w ten sposób piętnaście minut.

Gdy podchodził do windy, ktoś go zawołał. Bosch się odwrócił i zobaczył Lucy Soto.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał.

– Właśnie miałam ci zadać to samo pytanie.

Harry wzruszył ramionami i zaczął obmyślać jakieś kłamstwo. Nie chciał mówić partnerce, że za chwilę będzie rozmawiał z pewną dziennikarką na temat Broussarda. Za wcześnie, by wtajemniczać Lucy w takie sprawy.

– Musiałem zobaczyć ten plac w sobotę. Wiesz, wtedy też była sobota. Chciałem poczuć atmosferę. Wsłuchać się.

– Ja też.

Bosch kiwnął głową. W tej chwili miał już pewność, że Soto będzie dobrym detektywem.

– Jedziesz metrem? – zapytała.

– Tak. Zaparkowałem pod komendą i trochę się przespacerowałem.

Metro pozwoli mi zaoszczędzić połowę czasu.

– Tylko mi nie mów, że Harry Bosch posiada bilet miesięczny – powiedziała z sarkazmem.

Zwykle żartowała z niego, że jest staroświecki i że chadza własnymi ścieżkami, a metro stanowiło nowość na mapie miasta i starsi mieszkańcy, zwłaszcza zmotoryzowani, mieli pewne trudności z przyzwyczajeniem się do tego środka transportu.

– No mam, faktycznie – odparł. – Nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

– Podwieźć cię? Zaparkowałam tu niedaleko.

Wskazała na stojące szeregiem furgonetki należące do meksykańskich zespołów. Na każdym widniała odpowiednia nazwa oraz numery telefonów. Przy samym końcu stał czerwony, dwuosobowy kabriolet z opuszczonym dachem.

– Dobry pomysł. Chyba.

Samochód był mały i miał niskie zawieszenie. Bosch musiał się długo obracać i manewrować ciałem, nim usadowił się w środku.

– Mam wrażenie, jakbym był w kajaku – powiedział.

– Och, spoko – rzuciła Soto. – To całkiem fajne auto. Założę się, że twoja córka też chciałaby mieć coś takiego.

– Nie ma mowy. Taki pojazd powinien być wyposażony w pałąk bezpieczeństwa.

– Siedź spokojnie. Za pięć minut będziemy na miejscu.

– Tu nie można siedzieć niespokojnie.

Soto włączyła się do ruchu, wbijając Boscha w oparcie fotela, śmignęła przez skrzyżowanie z Boyle, a potem przez most na Pierwszej Ulicy. Harry miał ochotę się uśmiechnąć, ale zdołał się powstrzymać.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co sądzisz o sprawie Bonnie Brae – krzyknęła Soto.

Bosch spojrzał na nią. Na nosie miała okulary przeciwsłoneczne, które również z boku osłaniały jej oczy.

– Bo jeszcze się z nią nie zapoznałem – odkrzyknął. – Dziś w samolocie przejrzałem wycinki prasowe, ale mam jeszcze mnóstwo do przeczytania.

Kiwnęła głową.

– Okej. Powiesz, kiedy będziesz gotowy.

Stanęli na sygnalizacji świetlnej na Alameda i Bosch nie musiał już

krzyczeć.

– Nie ma gwarancji, że coś znajdę – powiedział. – Mówiłem ci, że moglibyśmy odwiedzić paru facetów w więzieniu i zobaczyć, czy przypadkiem nie zmiękli, ale szanse są nikłe. Oni wiedzą, że jeśli padnie na nich choćby cień podejrzenia o współpracę z glinami, to ktoś ich załatwi na spacerunku. Trudno będzie znaleźć kogoś, kto chciałby mimo wszystko zaryzykować.

– Wiem – odrzekła Soto. W jej głosie pobrzmiwała nuta rezygnacji.

– Zobaczymy, jak będzie – zakończył Bosch.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Po dwóch minutach skręcili w lewo na Spring, a potem zatrzymali się przy krawężniku przed komendą główną policji. Soto nie zdawała sobie sprawy, że dostarczyła Harry'ego wprost na miejsce spotkania – pod samą siedzibę „Timesa”. Bosch ostrożnie uwolnił się z objęć fotela i wysiadł z wozu.

– Dzięki za podwózkę. Wracasz teraz do domu?

Kiwnęła głową i się uśmiechnęła.

– Tak, jadę do domu.

– W takim razie do jutra.

– No. Na razie.

Odjechała, a Bosch odprowadził ją wzrokiem, dopóki nie skręciła w boczną ulicę. Wtedy przeszedł na drugą stronę Spring i stanął na chodniku, który ciągnął się wzdłuż Los Angeles Times Building.

Na rogu Spring Street i Drugiej znajdowały się drzwi wejściowe. Harry przeniknął do wnętrza budynku i w poczekalni ujrzał Virginie Skinner, która właśnie pisała coś na telefonie. Wyglądała inaczej, niż ją pamiętał sprzed co najmniej dwóch lat, kiedy widzieli się po raz ostatni. Miała inne uczesanie i inne okulary, w obu przypadkach lepiej dopasowane.

– Cześć, Ginny.

Podniosła wzrok i na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Harry!

– Przepraszam, jeśli musiałaś czekać.

– Nie, nie. Jesteś punktualnie. Twój telefon tak mnie zaintrygował, że wyjechałam wcześniej, żeby pozająłtwiać parę spraw, a potem jak najszybciej przyleciałam do centrum. Chcesz wejść na górę?

– Pewnie.

Bosch był trochę stremowany. Chociaż od lat utrzymywał kontakty

z dziennikarzami „Timesa”, nigdy nie był w ich newsroomie. Na mocy niepisanej umowy pracownicy komendy głównej policji mieli swobodny dostęp do Times Building – wystarczyło jedynie pokazać identyfikator, wejść i skierować się do kafeterii na parterze – i Bosch często korzystał z tego przywileju, ponieważ w budynku zajmowanym przez stróżów prawa były tylko automaty z przekąskami. Jednak newsroom stanowił dla niego nowe, do tej pory zakazane terytorium. Na szczęście była sobota i zarówno komenda policji, jak i siedziba gazety świeciły pustkami. Harry wiedział, że im mniej osób zobaczy, jak przekracza czerwoną linię, tym lepiej dla niego.

Mieszczący się na drugim piętrze newsroom wielkością niemal dorównywał sali zajmowanej przez detektywów po przeciwległej stronie ulicy. I był równie opustoszały. Skinner zaprowadziła Boscha do swojego boksu, który bardzo przypominał jego miejsce pracy. Harry rozejrzał się i dostrzegł te same dekoracje na biurkach, nazwiska zapisane na oparciach foteli oraz beładnie porzucane stosy papierów i akt.

– Co jest? – spytała Skinner.

– Nic. Po prostu nigdy tu nie byłem.

– To tylko newsroom. Wygląda jak wymarłe miasto. Przysuń sobie fotel od tamtego biurka. Przy nim już nikt nie pracuje.

Mówiąc o „wymarłym mieście”, dziennikarka miała na myśli opłakany stan, w jakim znalazły się wszystkie gazety w ogóle, a „Times” w szczególności. Bosch słyszał, że obecnie połowa newsroomu jest niewykorzystana, gdyż czasopismo próbuje dostosować swój biznesowy format do spadku sprzedaży oraz masowego odpływu czytelników do Internetu.

Harry przysunął sobie fotel i usiadł obok Skinner, która wpisywała już do komputera jakieś liczby.

– Mówiłeś, że interesują cię trzy ostatnie wybory. Od których mam zacząć?

– Od trzecich od końca.

– Tak właśnie myślałam i to właśnie otworzyłam. Konkretnie interesuje cię Charles Broussard. Jak widzisz, facet zabezpieczał się na wszelkie sposoby. Płacił osobiście i przez firmę, a do tego przekazywał darowizny rzeczowe.

Bosch zbliżył twarz do ekranu monitora, ale to, co zobaczył, nie miało dlań większego sensu.

– To znaczy? – zapytał.

– Działał na rzecz dwóch kandydatów – powiedziała Skinner. – Zeyasa, który ostatecznie wygrał, oraz Roberta Inglina, który odpadł w przedbiegach.

Bosch słyszał o Robercie Inglinie. Były radny miejski, wieczny kandydat do lokalnych urzędów. Pochodził z Woodland Hills, a kiedy stanął do wyborów, miał za sobą silne poparcie mieszkańców Doliny Kalifornijskiej.

– Co masz na myśli, mówiąc o darowiznach rzeczowych? – zapytał.

– Żeby się tego dowiedzieć, będziemy musieli dostać się do archiwum, ale to dopiero w poniedziałek – odparła Skinner. – Normalnie oznacza to, że sponsor daje pieniądze na imprezę, podczas której zbiera się forszę dla danego kandydata.

– Na przykład organizuje kolację.

– Właśnie. Broussard zapewniał miejsce, obsługę oraz jedzenie, a wszystko razem musiało zostać zgłoszone jako darowizna na rzecz kandydata. Widać to w tych rachunkach. Dwunastego stycznia dwa tysiące czwartego roku Broussard dokonał darowizny na rzecz Inglina. A teraz popatrz na innych darczyńców. Pod tą samą datą pojawia się całe mnóstwo wpłat na kwotę dwustu pięćdziesięciu dolarów. Oczywiście, że była to kolacja wydana na cześć Inglina, a każdy, kto na nią przyszedł, musiał zostawić na talerzu dwieście pięćdziesiąt dolców.

Bosch wyciągnął notatnik i zapisał sobie datę. Podejrzewał, że wtedy właśnie zespół Los Reyes Jalisco grał na imprezie w domu Broussarda, a po koncercie Angel Ojeda poznał Marię Broussard. Gdyby się to potwierdziło, wzrosłaby wiarygodność Ojedy jako potencjalnego świadka. A to z kolei mogło mieć wielkie znaczenie, gdyby Bosch i Soto doszli do punktu, w którym zwróciliby się do prokuratury okręgowej z wnioskiem o sporządzenie aktu oskarżenia przeciwko konkretnej osobie.

– Okej – powiedział Harry. – Kiedy Broussard przekazał pieniądze Zeyasowi?

Skinner przewinęła wyświetlany dokument w dół.

– Niedługo potem – odrzekła. – Pierwsza darowizna miała miejsce w maju, tuż przed drugą turą wyborów.

Przesunęła palcem wzdłuż linii na ekranie. Bosch pochylił się, aby lepiej widzieć, po czym zapisał datę oraz kwotę w notatniku.

– To było maksimum? – zapytał.

– Na tamten moment tak – potwierdziła Skinner. – Tyle, ile mógł dać.

Bosch wyprostował się i spojrzął na zapiski. W styczniu Broussard angażował się po stronie Inglina, w maju działał już dla Zeyasa. Orlanda Merceda postrzelono dziesiątego kwietnia. Fakt ten zmuszał Boscha do zastanowienia się nad kilkoma sprawami: czy Broussard rzeczywiście grał na dwa fronty i w równej mierze wspierał obu kandydatów, czy może zwyczajnie zmienił sojusznika, z Inglina na Zeyasa? A jeśli tak, to dlaczego?

– Coś jeszcze, Harry? – zapytała Ginny.

– Co się działo w kolejnych wyborach?

Skinner znów zaczęła stukać w klawiaturę i na ekranie monitora ukazały się dane finansowe z wyborów w roku dwa tysiące ósmym. Wpisała w wyszukiwarce „darowizny od Broussarda”, a potem przyjrzała się uważnie wynikom. W końcu się odezwała.

– Znów poparł Zeyasa. Zaangażował się na całego.

– Grając przy tym na kilka frontów? – spytał Harry.

– Chodzi ci o to, czy zbierał też datki na innych kandydatów?

Bosch kiwnął głową. Skinner przez chwilę patrzyła na zestawienia i tabele, a potem odpowiedziała:

– Wcześniej angażował się w różne kampanie wyborcze, czasem popierając dwóch konkurujących ze sobą kandydatów. Ale jeśli chodzi o Zeyasa, to po jego pierwszym zwycięstwie w wyborach na burmistrza Broussard już nigdy nie grał na dwa fronty. Wspierał wyłącznie tamtego.

– No dobra – rzekł Bosch. – Zeyas startuje teraz na gubernatora. Zaczął już się ubiegać o dotacje? Widać tam, czy Broussard nadal go wspiera?

– Takie rozliczenia są w gestii stanu, więc daj mi chwilę...

Skinner otworzyła nowy arkusz i zaczęła go uważnie studiować.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Broussard nadal jest głównym donatorem. Pomógł sfinansować pierwszą kampanię wyborczą Zeyasa na stanowisko gubernatora.

Bosch kiwnął głową i zapisał parę słów.

– Coś jeszcze? – spytała Skinner.

– Chyba wystarczy. Na razie dziękuję.

– Wisisz mi margarytę. Ale wymienię ją za informację, o co tu chodzi.

Harry milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Musiał dziennikarce coś dać, ponieważ w przeciwnym razie mogłaby zacząć węszyć sama. A gdyby zwróciła na siebie uwagę Charlesa Broussarda, miałyby to katastrofalne skutki.

– Wiesz co? – odezwał się wreszcie Bosch. – Daj mi jeden dzień na przetrwanie tych danych, a potem wrócę i pogadamy. Nie chcę, żebyś zaczęła dziennikarskie śledztwo i robiła cokolwiek na własną rękę. To niebezpieczne.

Skinner powstrzymała uśmiech.

– Teraz naprawdę złapałeś mnie na haczyk. Musisz mi coś powiedzieć, Harry. Ładnie cię proszę.

– Słuchaj, naprawdę nie mogę. Bardzo mi pomogłaś, jestem twoim dłużnikiem, ale najpierw muszę posprawdzać kilka rzeczy. Co robisz jutro? Mógłbym... Och, zresztą nieważne, przecież masz urodziny. Zapomniałem.

– Jutro mam wolne. Myślisz, że zależy mi na informowaniu wszystkich wokół, że kończę pięćdziesiąt lat? W tej branży to zaproszenie do wręczenia ci wymówienia. Niepotrzebnie ci wspomniałam.

Teraz Bosch powstrzymał uśmiech. Zdał sobie sprawę, że czuje do niej pociąg. Skinner żyła pracą i bardzo mu się to podobało.

– Coś ci powiem – oświadczył. – Zjedźmy jutro razem kolację. Ani słowem nie wspomnimy o twoich urodzinach. Jutro będę mógł chyba powiedzieć ci więcej, o ile nadal rozmawiamy poufnie.

Ginny spojrzała podejrzliwie.

– Kolacja, urodziny, wszystko poufnie?

– Tak, wszystko. Ale musimy zacząć dość wcześnie. Mam córkę, która pracuje jutro do dwudziestej trzydzieści. Powiedzmy zatem, że spotkamy się o wpół do siódmej albo o siódmej. Umowa stoi?

Skinner się nie wahała.

– Stoi.



## 20

Na sobotni wieczór Bosch zabrał do domu wszystkie skoroszyty dotyczące pożaru przy Bonnie Brae. Uznał, że postępy w śledztwie w sprawie Merceda wymagają od niego pełnej uwagi. Dość skakania od jednej sprawy do drugiej. Skończy czytać dokumentację pożaru ze skutkiem śmiertelnym, a rano przekaże Lucy Soto swoje ostatecznie wnioski. Potem będą już mogli poświęcić się całkowicie kwestii Merceda i skupić na Charlesie Broussardzie. Wymagało tego dobro śledztwa, którego kierunek zdawał się teraz oczywisty.

Zanim Harry wziął się do roboty, porozmawiał jeszcze z Maddie, która właśnie przygotowywała się do randki. Oświadczył jej, że wolałby jednak poznać tego młodego człowieka, z którym jego córka umówiła się w galerii handlowej Grove. Maddie odparła, że w dzisiejszych czasach nikt tak nie robi, i przypomniała ojcu, że przecież nie spotyka się z chłopakiem sam na sam, ale będzie z nimi kilku innych Odkrywców z Hollywood. Po prostu obejrzą film i pójdą coś zjeść. Bosch uspokoił się nieco, nie wypuścił jednak córki z domu bez uścisku i obietnicy, że będzie mu regularnie przysyłać esemesy – oczywiście nie z sali kinowej. Wybierali się na jakiś film science fiction z Matthew McConaugheyem w roli głównej.

Gdy Maddie wyszła, Harry zasiadł do akt. Zrobił sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, rozłożył akta sprawy Bonnie Brae na stole w jadalni, a potem włączył dawno niesłuchaną płytę Rona Cartera. Nosiła tytuł „Dear Miles” i pochodziła z roku dwa tysiące siódmego. Bosch przypuszczał, że nagranie nawiązywało do lat sześćdziesiątych, gdy słynny kontrabasista grał w zespole Milesa Davisa. Harry nie wybrał jednak tej płyty ze względu na kontekst czy standardy Davisa, które zawierała. Chodziło mu o rytm, a wibrujący dźwięk prowadzącego kwartet kontrabasów niewątpliwie to zapewniał. Musiał się uporać z materiałami na temat pożaru przy Bonnie Brae w ciągu tego jednego wieczoru, by potem wrócić do sprawy Merceda, która właśnie nabrała tempa, a Ron Carter mógł mu w tym pomóc.

Podjął lekturę w miejscu, w którym ją przerwał. Wyciągnął zestaw artykułów prasowych, lecz tym razem, nieskrępowany panującą w samolocie

ciasnotą, porozkładał je na swym wielkim, prostokątnym stole, licząc, że ekspozycja zdjęć i krzyczących nagłówków natchnie go jakąś myślą. Że pojawi się nowy pomysł albo dostrzeże na jakiejś fotografii szczegół, na który wcześniej nie zwrócił należytej uwagi. A może jakieś słowo z nagłówka naprowadzi go na nowy trop?

Bosch wciąż pozostawał na etapie artykułów prasowych z pierwszego dnia po wydarzeniu. Czytał zawartość działu miejskiego „Timesa”. Utwór „Seven Steps to Heaven” pomógł mu złapać rytm, połowa kanapki zniknęła, a Harry przeszedł do artykułów z działu krajowego. Koncentrowały się one na ludzkim wymiarze tragedii, krótko opisywały młode ofiary pożaru, zawierały również dziennikarski portret Esther „Esi” Gonzalez, przedszkolanki, która zginęła, próbując ochronić dzieci przed dymem i płomieniami. Na zdjęciu, które zrobiono rok przed pożarem, widać było przedszkole i kobietę obejmującą dziecko. Fotografii towarzyszył tekst, który zdawał się sprzeczny z artykułem wstępnym na pierwszej stronie gazety: tamten surowo ganił coraz liczniej powstające w mieście nielegalne przedszkola, ten zaś przedstawiał kobietę jako troskliwą opiekunkę dzieci, która poświęciła własne życie, by je ratować. Bosch pomyślał, że autorzy obu tekstów nie dzielili się notatkami. Jeden pisał o tragicznych wadach systemu, drugi o bohaterce, którą ów system wydał. „Być może – uznał Harry – gazeta, dbając o obiektywizm, chciała przedstawić dwa punkty widzenia”.

Druga część artykułu znajdowała się na następnej stronie, lecz Bosch nie mógł jej znaleźć w stosie rozpadających się wycinków. Wrócił zatem do pierwszej strony działu krajowego, którą wcześniej czytał, i na odwrocie znalazł kontynuację tekstu. Kartkę obcięto dokładnie wzdłuż marginesów artykułu.

Skończył lekturę i nagle szczerze zapragnął rozwiązać tę sprawę. Śmierć dzieci stanowiła potworną tragedię, niewątpliwie, ale to opis sylwetki Esi Gonzalez sprawił, że Bosch w pełni odczuł potworność tej zbrodni.

Odwrócił kartkę, by jeszcze raz przyjrzeć się fotografii kobiety i znów przeczytał artykuł. Potem zagłębiał się w kolejne materiały, aż wreszcie coś przykuło jego uwagę. Rzecz nie miała związku z pożarem na Bonnie Brae. Była to kolumna kryminalna. Wzrok Harry’ego padł na pierwsze doniesienie.

## **Uzbrojeni bandyci napadli na agencję bankową w centrum miasta**

W piątek dwaj uzbrojeni po zęby i zamaskowani mężczyźni wpadli nagle do agencji bankowej przy Wilshire Boulevard i brutalnie sterroryzowali jej pracowników, a następnie uciekli z gotówką z utargu okolicznych firm – informuje policja z Los Angeles.

Do brawurowego napadu doszło w placówce EZBanku usytuowanej na skrzyżowaniu ruchliwych bulwarów Wilshire i Burlington. Jak powiedział nam detektyw Augustus Braley, rabusie przyjechali o godzinie 10.30 ciemnym sedanem. Obaj napastnicy wyszli z samochodu, pozostawiając jego drzwi otwarte, a następnie skierowali się do agencji bankowej.

Według detektywa Braleya z Sekcji Ciężkich Przestępstw rabusie nosili kominiarki, lecz mimo to oddali strzały do kamer monitoringu wewnątrz lokalu i je uszkodzili. Na podstawie zeznań świadków uważa się, że posługiwali się karabinami AR-15. Bandyci działali tak szybko, że zaskoczyli ochroniarza, który znajdował się w holu. Jeden z napastników wielokrotnie uderzył pracownika ochrony kolbą karabinu i przewrócił go na podłogę. Następnie wycelował broń w jej głowę, grożąc, że go zastrzeli, jeśli obsługa placówki nie otworzy stalowych drzwi i nie wpuści napastników za pancerną szybę. Gdy spełniono to żądanie, złodzieje zmusili dwóch pracowników banku do opróżnienia sejfów i trzech szuflad z gotówki, a następnie wyszli na ulicę i uciekli samochodem. Kwota skradzionych pieniędzy nie została jeszcze ustalona.

Jak powiedział nam detektyw Braley, zaraz po pojawieniu się napastników pracownicy banku włączyli cichy alarm, lecz całe zdarzenie przebiegło tak szybko, że podejrzani zniknęli przed przyjazdem policji.

W trakcie śledztwa rozważano wersję, zgodnie z którą napad ten mógł się wiązać z innymi rabunkami, których dokonano w Los Angeles w ostatnich miesiącach. Sześć tygodni wcześniej dwaj mężczyźni, również w kominiarkach i grożąc tym samym typem broni, obrabowali placówkę bankową w Paramount. Braley nie odpowiedział jednak na pytanie, czy między tamtym incydem a piątkowym napadem istnieje związek.

Pracownik ochrony, którego tożsamości policja nie podaje, został opatrzony przez służby medyczne na miejscu zdarzenia.

Pod tekstem podpisał się Joel Bremmer, członek zespołu redakcyjnego „Timesa”.

Bosch powtórnie przeczytał artykuł. Uzmysłowił sobie, że tamtego dnia, w piątek, pierwszego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, wezwanie do pożaru i napad dzieliło zaledwie piętnaście minut.

– „Dzień Matki” – mruknął.

Wstał i podszedł do ściennego regału w salonie. Znajdowały się tam głównie jego płyty z nagraniami i trochę krążków DVD, gromadzonych od kilku lat przez Maddie. A także stary, wydany przez Thomas Brothers atlas miasta Los Angeles, który przejechał w samochodzie Boscha setki tysięcy kilometrów. Teraz Harry miał w wozie jego aktualizowane wydanie, które nierzadko stanowiło ostatnią deskę ratunku dla jego uzależnionych od GPS-u partnerów.

Zaniósł atlas na stół i zaczął go kartkować, aż w końcu znalazł okolice Pico-Union i początek Wilshire Boulevard, ważnej arterii komunikacyjnej, która prowadziła aż do Pacyfiku. Ołówkiem zaznaczył miejsce pożaru na Bonnie Brae, między ulicami Siódmą i Ósmą, a następnie skrzyżowanie Wilshire i Burlington, gdzie doszło do napadu na placówkę EZBanku. Jak podejrzewał, oba miejsca znajdowały się blisko siebie. Do rabunku doszło o dwie i pół przecznicy na północ oraz o jedną przecznicę na zachód od Bonnie Brae Arms. Odległość tę można było pokonać w niecałe dwie minuty.

Bosch usiadł wygodnie i zaczął studiować mapę, rozważając możliwe scenariusze. „Dzień Matki” był terminem z ulicznego slangu i odnosił się do dnia – zwykle pierwszego w danym miesiącu – gdy w skrzynkach pocztowych mieszkańców dzielnicy lądują czek z wypłatą zasiłku. Nazwa wzięła się stąd, że wtedy właśnie drobni przestępcy odwiedzali w domach swoje matki.

Bosch wiedział również, że placówki bankowe w rodzaju EZBanku miały wówczas pełne sejfy pieniędzy, a w szufladach kasjerów czekała dodatkowa gotówka – wszystko po to, by sprostać zwiększonemu zapotrzebowaniu w „Dniu Matki” i zaraz po nim. Artykuł z „Timesa” nie wspominał, ile pieniędzy ukradziono, lecz Bosch uznał, że skoro sprawą zajęła się Sekcja Ciężkich Przystępstw, musiała być to kwota sześciocyfrowa.

O Gusie Braleyu słyshał jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, nigdy jednak z nim nie współpracował. Sekcja Ciężkich Przeszępstw już nie istniała i Bosch był prawie pewny, że Braley przeszedł na emeryturę przed końcem stulecia.

Harry wyłączył muzykę, wyjął telefon i przebiegł listę kontaktów. W dawnej Sekcji Ciężkich Przeszępstw znał tylko jednego faceta, świeżo upieczonego emeryta Ricka Jacksona. Miał nadzieję, że Rick nie zmienił numeru komórki, jak to czyniło wielu gliniarzy po odejściu ze służby. Jackson odebrał po dwóch sygnałach.

– Rick, słucham.

– Mówi Harry Bosch. Pamiętasz mnie?

Jackson się zaśmiał.

– O co się, kurna, rozchodzi, brachu? – zapytał.

Teraz roześmiał się Bosch.

– Kiedy wypadłeś z obiegu? W latach dziewięćdziesiątych? Gdybym się tak odezwał do mojej partnerki, pomyślałaby, że wysiadłem z wehikułu czasu.

– To były wspaniałe lata, Harry. Co porabiasz?

– Co porabiam? Jest sobotni wieczór, a ja pracuję i tak się zastanawiam, czy znałeś Gusa Braleya.

– Pewnie, że znałem. Stary Gus to był kawał sukinsyna. Twardziel.

– Żyje jeszcze?

– O, tak! Zapisalem się do klubu emerytowanych detektywów, raz w miesiącu spotykamy się na wspólnym lunchu. Nie bywam tam za każdym razem, ale się widujemy. Zdaje się, że mieszka w Palm Springs. A o co chodzi?

– Przyglądam się jednej z jego dawnych spraw i chciałbym z nim pogadać. Masz może jego numer?

– Tak, zaczekaj. Muszę go wydobyć z kontaktów w komórce. Znajdę go i głośno przeczytam, a potem dalej pogadamy, dobra?

– Jasne. Swoją drogą, co się stało ze staroświeckimi wizytownikami?

– Właśnie.

Bosch zaczął, aż Jackson znajdzie numer w kontaktach. Usłyszał, jak były detektyw wymawia głośno cyfry, i zapisał je na krawędzi mapy przedstawiającej okolice Pico-Union.

– Masz? – upewnił się Jackson, przyłożywszy telefon z powrotem do

ucha.

– Mam – potwierdził Bosch. – Dzięki. Jak często lądujesz ci w dołku?

Harry bardzo mało wiedział o grze w golfa, ale słyszał, jak takie pytania zadają sobie jego miłośnicy.

– Całkiem, całkiem – odparł Jackson. – Regularna gra i praktyka przynoszą efekty... No cóż, prowadzą niemal do ideału. Zszedłem do wyników jednocyfrowych.

Bosch nie miał zielonego pojęcia, co to może znaczyć, dlatego nie skomentował.

– Tęsknisz za nami? – spytał, kierując rozmowę na inny tor. – Za pracą?

– Jeszcze nie. I chyba nigdy nie zatęsknię. Ile ci zostało, Harry?

– Nie wiem. Pewnie z rok. Staram się o tym nie myśleć.

– Powinieneś zająć się golfem, stary. Któregoś dnia wezmę cię na pole.

– No tak. Golf. Dam ci znać.

Bosch nie mógł sobie tego wyobrazić, zwłaszcza chodzenia w szortach. Nie posiadał takiej sztuki odzieży.

– Słuchaj – rzekł, znów zmieniając temat. – Poznaliśmy twojego kolegę z Tulsy, Ricky’ego Childersa. Porządny gość. Przesyła pozdrowienia.

– Książka! – wykrzyknął Jackson. – Bardzo się przydaje. Zjedliście tam trochę ciasta?

– Nie, nie było na to czasu.

– W każdym razie trzeba by sprzedać tę książkę jakiemuś wydawnictwu, mówię ci. Tylko niech nie zapomną wymienić mnie wśród głównych autorów.

– Bez obaw, dostaniesz swój kawałek tortu.

Roześmiali się, po czym Bosch podziękował Jacksonowi i obiecał pozostać w kontakcie. Następnie się rozłączył i natychmiast zadzwonił pod otrzymany numer.

Braley nie odbierał i włączyła się poczta głosowa. Bosch zostawił swoje nazwisko i numer telefonu, dodając, że chce porozmawiać o sprawie, którą Braley prowadził w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Potem powtórzył swój numer i zakończył połączenie.

Wziął do ręki ołówek i postukał nim w blat stołu. Przeglądanie akt prowadziło go w zupełnie niespodziewanym kierunku. W tej sprawie coś śmierdziało i nie mógł tak tego zostawić. Miał nadzieję, że Braley zaraz się odezwie.

Ponownie włączył muzykę. Rozległ się kawałek „Stella by Starlight”. Harry wrócił do pracy i szybko skończył czytać artykuły z gazet. Po pierwszych dziesięciu dniach, gdy w prasie ukazywało się po kilka relacji dziennie, zainteresowanie pozarem spadło. Pisano o nim pobieżnie, podając jedynie najnowsze informacje dotyczące śledztwa. Śledztwa, które donikąd nie doprowadziło. Następnie Bosch zaczął się przedzierać przez kolejne akta, zerknął na raporty z sekcji zwłok, rzucił też okiem na zdjęcia martwych dzieci i dwójki dorosłych. Fotografie były okropne i bardzo do siebie podobne, ale Bosch wiedział, że musi na nie spojrzeć. Przypomniał sobie imiona wytatuowane na przedramieniu Lucy Soto i spróbował je dopasować do dzieci na zdjęciach. Nie potrzebował widzieć tatuażu, znał je na pamięć.

Godzinę później raz jeszcze wybrał numer Braleya, choć zdawał sobie sprawę, że skoro zostawił wcześniej wiadomość, to emerytowany detektyw oddzwoniłby, gdyby ją tylko odsłuchał. Z zaskoczeniem stwierdził, że telefon odebrano.

– Tak?

Bosch sięgnął po pilota i ściszył muzykę.

– Gus? Gus Braley?

– Tak, kto mówi?

– Harry Bosch. Z Zabójstw i Rozbojów. Parę chwil temu zostawiłem panu wiadomość.

– Dostałem ją, tak.

Bosch milczał chwilę.

– Zamierzał pan oddzwonić?

– Tak, tak, właśnie miałem dzwonić. Siedziałem i myślałem o roku dziewięćdziesiątym trzecim. Zastanawiam się, o jaką sprawę chodzi. To był pracowity rok.

– Sprawa EZBanku na Wilshire. Pamięta pan?

– EZBank... no, pamiętam. „Dzień Matki”. Dwóch facetów z AR-15.

– Tak jest. Jestem teraz w domu, nie mam dostępu do firmowego komputera i nie mogę sprawdzić danych. Były jakieś aresztowania w tej sprawie?

Na chwilę zapadło milczenie.

– Bosch. Pamiętam pana. Gliniarz od morderstw, zgadza się? Co pana obchodzi jakiś napad na bank sprzed dwudziestu jeden lat?

– Zgadza się, glina od morderstw. Pracuję nad starymi sprawami.

Aktualnie przyglądam się takiej, w której pańscy faceci mogli odegrać ważną rolę. Aresztował pan wtedy kogoś, Gus? Byli jacyś podejrzani?

Znów nastąpiła kilkusekundowa cisza. Braley najwyraźniej trawił usłyszane słowa.

– Skąd pan wziął mój numer, skoro pracuje pan w domu w sobotni wieczór?

– Od Ricka Jacksona. Niech pan do niego zadzwoni, jeśli pan chce. Powie panu, że jestem w porządku.

– No nie wiem, chłopie. Sobota wieczór, musisz przyznać, że to trochę podejrzane. Kto pracuje w wolne soboty nad starymi sprawami?

„Wolne soboty”. Braley używał jeszcze języka gliniarza z lat dziewięćdziesiątych.

– Podejrzane czy nie, Rick za mnie poręczy. Pomoże mi pan, Gus?

Bosch czekał. Wiedział, że szanse na zdobycie papierowej lub cyfrowej kopii akt napadu sprzed dwudziestu jeden lat są niewielkie. Przesłupstwo się już przedawniło i mało prawdopodobne, by wydział tak długo przetrzymywał papierową dokumentację. Skanowano i zapisywano tylko akta tych spraw, które miały status „aktualne” z punktu widzenia prokuratury, zresztą w związku z digitalizacją archiwów przemeblowano i przewietrzono całą policję. Bosch naprawdę potrzebował pomocy Braleya.

– Nigdy tego nie wyjaśniliśmy – powiedział wreszcie były detektyw.

– Coś pan pamięta? – zapytał Bosch.

– Nikt nie zapomina spraw, których nie rozwiązał, prawda? Ja też nie, do kurwy nędzy. Robiłem w rabunkach, ty w zabójstwach, ale niezamknięte śledztwa na zawsze z nami zostają.

– Pewnie, że tak. Ile wtedy ukradli?

– To akurat pamiętam co do grosza. Dwieście sześćdziesiąt sześć tysięcy trzysta dolarów.

Bosch cicho gwizdnął.

– Żartuje pan. W tej dzielnicy?

– W „Dniu Matki” realizują tam trzysta–czteryście czeków. To daje sporą sumkę.

– A ci faceci z AR–piętnaście o tym wiedzieli.

– Cóż, nie trzeba było geniusza, żeby to sobie obliczyć, ale podejrzewaliśmy, że pomagał im ktoś z wewnątrz. Tylko że nigdy tego nie potwierdziliśmy. Nasz typ na współnika zażądał adwokata szybciej, niż



zdołałbyś powiedzieć: „Masz prawo milczeć”.

– Ochroniarz?

– Jak się domyśliłeś?

– Nie wiem. Odniosłem takie wrażenie po przeczytaniu notatki w gazecie.

– Myślałem, że nie masz akt.

– Bo nie mam. To długa historia, Gus. Dysponuję tylko wycinkiem prasowym z tamtego dnia. Przeczytałem go i pomyślałem, że gdybym ja miał współnika wewnątrz, to musiałby to być ochroniarz. Pamięta pan, jak się nazywał?

– Nie. Rodney jakiś tam, tylko tyle pamiętam. Biały, tamci dwaj też byli biali. Facet, który mówił, nie miał obcego akcentu. Ten cały Rodney pieprzył się czasem z dziewczyną, na zapleczu. Tyle ustaliliśmy. Właśnie ona otworzyła napastnikom drzwi.

– Sądziście, że jest zamieszana?

– Nie, ponieważ to ona włączyła cichy alarm, zanim zmusili ją do otwarcia drzwi. Wcisnęła guzik, kiedy tylko zobaczyła facetów w kominiarkach, jak wysiadają z samochodu pod bankiem. W ten sposób znalazła się poza podejrzeniem. Ale i tak grillowaliśmy ją dość ostro i kazaliśmy jej myśleć, że naszym zdaniem brała w tym udział. Ale ona tylko otworzyła drzwi, bo tamci celowali w głowę jej chłopaka. Dlatego skupiliśmy uwagę na nim, uznając, że ją wykorzystał. Wiedział, że dziewczyna otworzy drzwi, jak zobaczy go pobitego, z lufą przy czaszce. Jednak nic z tego wszystkiego nie wyszło. Może Rodney był czysty, a może nie.

– Nie pojawili się inni podejrzani?

– Nie od razu. Ale kiedy kilka lat później w telewizji zaczęli mówić o dwóch facetach z Północnego Hollywood, zwróciliśmy na nich uwagę. Ci też byli biali, też pracowali razem, używali kominiarek i mieli karabiny AR-piętnaście.

Braley mówił o niesławnej strzelaninie, do której doszło w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku na ulicy przed oddziałem Bank of America w Północnym Hollywood. Dwóch uzbrojonych po zęby mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych wdało się w wymianę ognia z policją. Trwająca niemal godzinę strzelanina była najbrutalniejszą w dziejach Ameryki potyczką bandytów ze stróżami prawa. Pokazywały ją

na żywo telewizje całego świata. Po wszystkim znaleziono trzy tysiące łusek, osiemnastu gliniarzy i cywilów zostało zabitych lub rannych, a obaj napastnicy ponieśli śmierć. To krwawe popołudnie analizowano później w najdrobniejszych detalach i przedstawiano kolejnym rocznikom rekrutów, którzy przewijali się przez Akademię Policyjną. Po tym wydarzeniu, gdy niemal cała policja wielkiego miasta została sterroryzowana przez dwóch bankowych rabusiów dysponujących większą siłą ognia, funkcjonariusze w Los Angeles otrzymali nowocześniejszą i potężniejszą broń, którą mieli teraz prawo nosić zawsze przy sobie i zabierać do samochodu.

Bosch był wtedy na miejscu. Strzelanina sprawiła, że z całego miasta ściągali mundurowi i detektywi po cywilnemu. Bosch oraz jego ówczesny partner, Jerry Edgar, odpowiedzieli na sygnał zwany „kodem trzy”, nadany przez komendę w Hollywood, i przyjechali na barykadę na Laurel Canyon Boulevard tuż przed ustaniem strzelaniny. Gdy padła komenda „wstrzymać ogień”, przydzielono ich do grupy mającej zabezpieczyć miejsce zdarzenia i przeprowadzić szeroko zakrojone śledztwo.

– I co dalej? – spytał Harry.

– Nigdy nie doszukaliśmy się powiązania – odrzekł Braley. – Ale nie dlatego, że nie próbowaliśmy. Opowiem ci coś o tych dwóch facetach. W październiku dziewięćdziesiątego trzeciego, parę tygodni po napadzie na EZBank, zostali aresztowani w Glendale. Wpadli podczas zwykłej kontroli drogowej, gdy wyłapywano podejrzane typy kręcące się wokół banku. Gliniarz zauważył broń ukrytą pod kocem na tylnym siedzeniu. Tamci mieli w samochodzie cały pieprzony arsenał, w tym dwa karabiny AR-piętnaście, i właśnie zamierzali obrabować bank. Wytoczono im proces o próbę napadu i obaj trafili na dwa lata za kratki.

Bosch rozumiał już, dokąd zmierza ta opowieść.

– Ale wy nie mieliście wtedy żadnych informacji na ten temat? – zapytał.

– Absolutnie żadnych – potwierdził Braley. – Glendale zachowało je dla siebie. Dowiedzieliśmy się dopiero w dziewięćdziesiątym siódmym, gdy gównem rozprysło się przed Bank of America. Wtedy wróciliśmy do sprawy Glendale i okazało się, że tamci użyli karabinów AR-piętnaście niecały miesiąc po napadzie na nasz mały bank. Już nam się wydawało, *jasna cholera*, że coś mamy. Ale wiesz co?

– Karabiny AR-piętnaście zniknęły.

– Właśnie tak. W dziewięćdziesiątym szóstym ci z Glendale

skonfiskowali cały arsenał i te piętnastki poszły razem ze wszystkim innym do hutniczego pieca. Nigdy nie mieliśmy szansy sprawdzić, czy pasują do naszego śledztwa.

W głosie Braleya brzmiała uzasadniona gorycz. Bosch wiedział, że nie był to pierwszy raz – i z całą pewnością nie ostatni – gdy brak komunikacji między poszczególnymi jednostkami policyjnymi doprowadził do katastrofy. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim nie istniał jeszcze cyfrowy system identyfikacji broni i przyporządkowania jej do poszczególnych śledztw. Rewolucja informatyczna w organach ścigania, która miała uporządkować sytuację i poprawić komunikację wewnętrzną, dopiero się zaczynała.

– Dlatego sprawa nie została zamknięta – kontynuował Braley. – Potem mój partner, Jimmy Corbin, przeszedł na emeryturę, a pół roku po nim przyszła pora i na mnie. Nikt nie przejął od nas pałeczki, naszą sekcję zreformowano, wszyscy mieli w dupie sprawę jakiegoś napadu. Wiesz, jak to jest.

– Wiem.

Sekcja Ciężkich Przystępstw została rozwiązana, a jej zadania przekazano specjalnie utworzonej jednostce, która miała się zajmować wszystkimi śledztwami dotyczącymi ogólnie pojętego terroru oraz pozyskiwaniem informacji wywiadowczych. W całej tej historii o napadzie na bank w Północnym Hollywood było jednak coś, co Boscha uwierało. Coś, czego nie mógł sobie uzmysłwić ani umiejscowić w czasie.

Odłożył to na później.

– Mogę zadać panu jeszcze kilka kolejnych pytań, Gus?

– Pewnie, nie ma problemu – odrzekł Braley. – Ja nawet to lubię, Bosch. Wiesz, rozmyślać o tych dochodzeniach. Na początku emerytury wcale mi ich nie brakowało, ale teraz już tak. Przez cały dzień siedzę i piekę się na tym pierdolonym słońcu.

Bosch zapisał sobie w myślach tę skargę, à propos własnej przyszłej emerytury, i kontynuował rozmowę.

– Pamięta pan nazwisko dziewczyny, która otworzyła tym facetom drzwi? W ogóle jakieś nazwiska?

– Nie, przykro mi. Pamiętam tylko Rodneya. Dziewczyna była Meksykanką, z tej dzielnicy. Potrzebna była w placówce bankowej jako tłumaczka. Pracował tam jeszcze jakiś Ukrainiec. Jakże on się nazywał? Na

„be”. Chyba Boiko. Max Boiko.

– Więc w środku znajdowali się ochroniarz, dziewczyna i Ukrainiec. Nikt więcej?

– Nie. Był ranek, ruch się jeszcze nie zaczął, poczta miała nadejść do dzielnicy dopiero około południa. Potem obsada placówki byłaby liczniejsza.

– Okej, a co z tym Ukraińcem? Prześwietliliście go?

– Sprawdziliśmy wszystkich, Bosch. Pracowaliśmy dokładnie. Ukrainiec był współwłaścicielem dwóch albo trzech placówek bankowych rozrzuconych po całym mieście. Dlatego mieliśmy wątpliwości. Rozumiesz: po co miałyby kraść własne pieniądze? Z powodu „Dnia Matki” limit ubezpieczenia został wtedy znacznie przekroczony i facet poniósł poważne straty. Naszym zdaniem to nie miałyby sensu.

– Okej.

– Ale wiesz co, on też sypiał z tą dziewczyną.

– To znaczy z tłumaczką?

– No, z tą Meksykanką. Pieprzyła się z nimi oboma. Pamiętam, że Ukrainiec był żonaty i bardziej się martwił, że to się wyda, niż o ukradzioną gotówkę. Powiedział mi, że w razie rozwodu straciłby znacznie więcej.

Bosch notował wszystkie te informacje w pamięci, zastanawiając się, czy gdzieś pośród nich tkwił motyw, dla którego dokonano napadu. Trudno było jednak wychwycić wszystkie subtelności sprawy, która rozegrała się dwadzieścia jeden lat temu, w dodatku bez wglądu do akt.

– No dobrze – powiedział. – A wracając do rabunku, to według artykułu w gazecie napastnicy zaparkowali samochód pod samymi drzwiami agencji bankowej.

– No tak, żeby móc do niego wskoczyć i szybko odjechać.

– Wiem, że goście odstrzelili kamery, ale musi być jakieś nagranie sprzed tego momentu.

– Owszem, mieliśmy wideo, jakieś pięć do dziesięciu sekund, pozwalające ustalić markę samochodu, to wszystko. I tak się okazało, że był kradziony.

– Okej. Pamięta pan, z której strony przyjechali? Placówka mieściła się w północno-zachodnim narożniku skrzyżowania Burlington i Wilshire. Nadjechali od strony Wilshire czy Burlington?

Braley nie odpowiedział od razu. Musiał dokładnie przetrząsnąć zakamarki pamięci.

– Nie wymagaj ode mnie zbyt wiele – rzekł w końcu. – Pamiętam tyle, że pojawili się od strony Burlington i zatrzymali bezpośrednio przed filią banku. Pasażer znajdował się jakieś półtora metra od frontowych drzwi. Najpierw wysiadł facet właśnie z tej strony samochodu, wszedł do środka i zlikwidował kamery. Kierowca wyskoczył później i dołączył do niego, gdy obraz już zniknął.

– Czyli nadjechali od strony Szóstej i Burlington?

– Zgadza się.

Bosch zastanawiał się chwilę. Trasa z Bonnie Brae Arms do placówki EZBanku mogła obejmować południowy fragment Burlington Avenue, jadąc od Szóstej.

– No dobrze, kolejna sprawa – powiedział. – Pamięta pan, jak długo trwał napad? Najpierw zniszczyli kamery, potem wdali się w przepychankę z ochroniarzem, autentyczną lub nie, a następnie, jak podały gazety, zmusili obsługę do otwarcia sejfu i szuflad z gotówką. Jak długo to wszystko trwało?

– Najwięcej czasu zajęło im otwarcie sejfu – odrzekł Braley. – Musieli zaszantażować kierownika, ponieważ tylko on znał szyfr. Wykonali podobny numer co wcześniej, tyle że tym razem przystawili broń do głowy dziewczyny i zagrozili kierownikowi, że albo otworzy sejf, albo jej krew znajdzie się na ścianach. Facet otworzył, co jednak chwilę trwało, bo się cholernie bał i pomylił szyfr.

– A potem jeszcze opróżnili szuflady. Ile czasu w sumie?

Braley przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Powiedziałbym, że nie więcej niż sześć minut. Czyli dość długo jak na tego typu robotę.

– Słusznie. Mówił pan, że dziewczyna od razu włączyła cichy alarm.

– No tak, była niezła. Gdy tylko zobaczyła tych facetów w kominiarkach, jak podjeżdżają samochodem, wcisnęła guzik. Zostało to zweryfikowane na nagraniu wideo, przed zniszczeniem kamer. Prawidłowo oceniła sytuację i uruchomiła alarm. Bez wahania, bez żadnej zwłoki. Dlatego byliśmy prawie pewni, że nie miała z napadem nic wspólnego.

Bosch kiwnął głową. Rozumiał logikę, która doprowadziła Braleya do tego wniosku.

– Kiedy dokładnie funkcjonariusze zjawili się na miejscu przestępstwa?

– Późno. Czas reakcji wyniósł około ośmiu–dziewięciu minut. Wszyscy byli wtedy zajęci pożarem w Pico-Union. Pamiętasz, przy Bonnie Brea.

Chwila, chwila, ty się właśnie tą sprawą zajmujesz, prawda?

– A pan kiedyś się tym zainteresował, Gus?

– Sugerujesz, że ogień podłożono, aby odwrócić uwagę od napadu na bank? Tak, Jimmy i ja myśleliśmy o tym. Ale coś nam nie pasowało. Nawet po odkryciu, że było to umyślne podpalenie. Naszym zdaniem to była sprawka gangów narkotykowych. A my szukaliśmy dwóch białych facetów.

– Czy ktoś z Przystępczości Zorganizowanej w ogóle zajął się tą *waszą* sprawą?

– Nic takiego nie pamiętam.

Teraz to Harry zamilkł na chwilę. Próbował powiązać obie sprawy. Umyślne podpalenie i napad z bronią w ręku, które miały miejsce niemal równocześnie w odległości trzech i pół przecznicy od siebie. Z perspektywy czasu Bosch dostrzegał więcej, widział sytuację wyraźniej. Jeśli chodzi o pożar na Bonnie Brae, nigdy nie znaleziono żadnych bezpośrednich dowodów wskazujących na to, że podpalenie ma związek z działalnością gangów lub narkotykami. Była to tylko pogłoska podchwycona przez media i okolicznych mieszkańców. Ale to, co dwadzieścia jeden lat temu wydawało się wręcz oczywiste, dziś już tak oczywiste nie było.

– Właśnie coś mi się przypomniało o tym ochroniarzu, którego uważaliśmy za współnika bandytów – powiedział Braley.

– Co takiego? – spytał Bosch.

– Jak większość tych niedzielnych gliniarzy on także chciał być policjantem z prawdziwego zdarzenia, ale nie dał rady. Złożył wniosek o przyjęcie do Biura Szeryfa i do nas. Przyjęto go do akademii, a potem wyrzucono.

– Ustalił pan dlaczego?

– No, pamiętam, że wydało się to nam dosyć dziwne, bo przecież sypiał z tą laską z okienka, brązową jak melasa. Dziewczyna była Meksykanką, a gościa wylali za sprzeczkę na tle rasistowskim. Ściął się z kimś ze swojego roku. Tamten też był Meksykaninem.

– Kiedy go wylali?

– Cholera, chcesz, żebym wykonał całą robotę za ciebie? Nie pamiętam. Przynajmniej dwa lata przed napadem.

Bosch rozmyślał nad ostatnią informacją uzyskaną od Braleya. Zastanawiał się, czy w akademii lub w archiwum miejskim są jeszcze jakieś dane na temat tajemniczego ochroniarza. Żeby się tego dowiedzieć, musiał

poznać jego nazwisko. Kolejnym powodem do namysłu była pozorna sprzeczność między rasistowskim nastawieniem Rodneya w akademii policyjnej a jego późniejszym romansiem z Latynoską.

– Bardzo dziękuję, Gus – odezwał się w końcu Bosch. – Ogromnie mi pan pomógł.

– Hej, oddzwoń do mnie, jak się do czegoś dokopiesz, dobra? – powiedział Braley. – Chciałbym wiedzieć.

– Jasne, Gus.

## 21

Bosch dotarł do sali śledczych w niedzielę o ósmej rano i zastał Soto za biurkiem. Nim jednak zdążył jej opowiedzieć o teorii na temat pożaru przy Bonnie Brae, którą opracował poprzedniego wieczoru, Lucy okręciła się w obrotowym fotelu i zaczęła z ożywieniem mówić o swoich ustaleniach w sprawie Merceda.

– Wczoraj z Mariachi Plaza pojechałam spotkać się z Albertem Cabralem. Pozwolił mi zajrzeć do kalendarza zespołu z roku dwa tysiące czwartego. Znalazłam zapis, że będą grać u Broussarda. To była impreza poświęcona zbieraniu funduszy dla...

– ...Roberta Inglina.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Wiesz o tym?

– Wiem.

Bosch nie był pewien, czy powinien być zły na Soto, że rozmawiała z potencjalnym świadkiem bez niego, czy też raczej podziwiać ją za pasję i upór w drażnieniu sprawy – tak wielkie, że była gotowa poświęcać swój wolny czas.

– Szkoda, że nic mi nie powiedziałaś, Lucy. Podczas rozmowy ze świadkiem wiele rzeczy może pójść nie tak. Niekiedy staje się on podejrzanym, bywa, że przyjaźni się ze sprawcą, że kluczy, zmyśla, a potem przekazuje tamtemu wszystko, co się mu powie. Musisz być ostrożna. Powinnaś mnie była przynajmniej poinformować, dokąd się wybierasz, żebym mógł sam zdecydować, czy pojedę tam z tobą, czy nie.

– Lepiej się stało, że byłam sama. Facet się przede mną otworzył. I rozmawialiśmy po hiszpańsku.

– Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że powinienem wiedzieć, co robisz i gdzie jesteś. Następnym razem puść mi esemesa, to wszystko.

Spuściła oczy i kiwnęła głową.

– Tak jest – mruknęła, a po chwili spytała: – Więc jak się dowiedziałeś o Inglinie?



Bosch odłożył na biurko stos segregatorów, które przyniósł z domu, przyciągnął sobie fotel i odwróciwszy się twarzą do Soto, usiadł.

– Cóż, nie rozmawiałem z potencjalnym świadkiem. Dowiedziałem się z dokumentacji finansowej wyborów.

– W sobotę?

– Mam znajomą, która ma dostęp.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie drążyła.

– Dowiedziałeś się czegoś jeszcze?

– Owszem. W roku wyborczym Broussard najpierw w styczniu poparł Inglina, a potem w maju Zeyasa. Został przy Zeyasie do kolejnych wyborów. A teraz, gdy ten myśli o stolku gubernatora, jest jednym z jego głównych popleczników w tak zwanym rekonesansie wyborczym.

– Dlaczego zmienił front? Strzał do Merceda oddano między styczniem a majem.

Bosch wycelował w nią palcem.

– Pytanie za milion dolarów.

Nagle Soto wyprostowała się w fotelu.

– O mój Boże, właśnie coś mi się przypomniało. Jeden z tych telefonów z informacjami, który odebrała Sarah.

Okręciła się w stronę biurka i złapała stosik raportów, które przyniosła jej Holcomb. Przez chwilę przeglądała kolejne kartki, aż wreszcie znalazła to, czego szukała.

– Proszę. Donos z piątku, dziewięć minut po północy. „Dzwoniła kobieta, która powiedziała, że burmistrz wie, kto postrzelił Orlanda Merceda”. To wszystko. Telefon był anonimowy, ale zarejestrowano numer. Chcesz zadzwonić i zobaczyć, kto odbierze?

– Naprawdę sądzisz, że Zeyas zlecił strzał do jednego z *marichis* na placu?

Pytanie sprawiło, że Soto się zawahała. Wypowiedziane na głos podejrzenie zabrzmiało niedorzecznie.

– Sama miałam tam zadzwonić i zobaczyć, co kobieta ma do dodania – rzekła wreszcie.

– Śmiało. Ale to twoja wariatka. Mnie do tego nie mieszaj.

– Dobra, nie będę.

Wyjęła swoją komórkę.

– Zablokowałaś identyfikację numeru? – spytał szybko Bosch.

– Tak, zablokowałam.

Soto wybrała numer z kartki. Bosch obserwował ją, jak czeka z aparatem przy uchu.

– Nikt nie odbiera – powiedziała. – Zostawię wiadomość.

– Podaj telefon ogólny, ten od donosów, nie swojej komórki.

Soto skinęła głową.

– Dzień dobry, tu detektyw Soto z Departamentu Policji Los Angeles. Mam wiadomość dla pani, która telefonowała do nas w sprawie postrzelenia Orlanda Merceda. Czy mogłaby pani oddzwonić? Chcemy porozmawiać.

Soto podała numer linii, podziękowała anonimowej informatorce i się rozłączyła.

– Nie licz, że oddzwoni – rzekł Bosch. – Rozwiązanie każdej sprawy wymaga cierpliwości i posuwania się drobnymi krokami, Lucy. Grom z jasnego nieba nie zdarza się co dzień.

– Wiem.

– Zajmijmy się przez chwilę czymś innym. Chciałbym ci coś pokazać.

Pochylił się nad swoim biurkiem, z leżącego na samym wierzchu skoroszytu wyjął wycinek dotyczący pożaru na Bonnie Brae i podał go Soto.

– To charakterystyka pani Gonzalez, która znalazła się w „Timesie”. Pamiętasz ją, prawda?

– Tak, oczywiście.

Bosch widział, jak Lucy wbija wzrok w zdjęcie Esther Gonzalez.

– Przejdź dalej – powiedział.

Spojrzała na niego zbита z tropu.

– Na drugą stronę. Odwróć kartkę.

Zrobiła, co jej polecił. Harry przysunął bliżej fotel i postukał palcem w krótki artykuł o napadzie na placówkę EZBank.

– Przeczytaj.

Dał jej czas, a gdy znów podniosła na niego wzrok, zaczął mówić.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Gusem Braleyem i wyciągnąłem z niego wszystko, co pamięta o tej sprawie. On...

– Przecież sami możemy wydobyć akta. Tylko czego szukamy?

– Nie ma żadnych akt. Tę sprawę wyczyszczono podczas digitalizacji. Przedawnienie. Nigdy nikomu nie postawiono zarzutów. Ale stare kroniki kryminalne z Sekcji Ciężkich Przystępstw są teraz w biurze kapitana Sekcji Rozbojów. Zajrzemy tam. W tych rocznikach zwykle podaje się również

nazwiska ofiar. Od tego właśnie musimy zacząć.

– Co zacząć?

– Braley powiedział, że podejrzewali o współudział kogoś z wewnątrz, ale nie mogli tego uwodnić. A to znaczy, że na liście ofiar powinno być również nazwisko jednego ze sprawców. Namierzmy go i porozmawiamy sobie o Bonnie Brae. Zabójstwa się nie przedawniają.

– Chwileczkę. Bonnie Brae? To znaczy... Chyba się pogubiłam.

Bosch kiwnął głową. Zdawał sobie sprawę, że zbyt szybko podsuwa partnerce te wszystkie rewelacje.

– Napad zaczął się piętnaście minut od zgłoszenia o pożarze – powiedział. – Miał miejsce trzy i pół przecznicy dalej. Akcja została bardzo starannie zaplanowana. Najpierw napastnicy dostali się za pancerną szybę, a potem zmusili pracowników do otwarcia sejfu i trzech szuflad z gotówką. Wszystko to wymagało czasu. Sądzę, że kupili sobie ten czas, odwracając uwagę policji.

– Pożarem.

– Właśnie. Jednak w tej chwili nie mam dowodów na potwierdzenie tej hipotezy. Braley mówił, że też brali ją wówczas pod uwagę, ale ją odrzucili. Najpierw myśleli, że pożar wybuchł przypadkiem, a potem uznali, że był dziełem gangów. Poza tym podejrzany o dokonanie napadu okazał się biały, brakowało więc powiązań z okolicą Pico-Union, gdzie mieszkają tylko Latynosi. Dlatego zarzucili ten pomysł, lecz my go chyba odgrzejemy.

Soto siedziała w milczeniu, kiwając nieznacznie głową. Widać było, że rozmyśla nad scenariuszem śledztwa. Zrozumiała sugestie Boscha i podniosła na niego wzrok.

– Więc co robimy?

Harry wstał.

– Cóż, najpierw musimy zobaczyć kronikę Sekcji Rozbojów.

Przeszli przez salę detektywów, a potem do sąsiedniej, zajmowanej przez Sekcję Rozbojów. Była opustoszała, a biuro kapitana wyglądało na zamknięte. Przez szybę obok drzwi wejściowych Bosch zajrzał do ciemnego gabinetu. Ujrzał regały z kronikami w zniszczonych i popękanych skórzanych okładkach.

– Może wezwać konserwatora, niech otworzy nam drzwi? – zapytała Soto.

– Nie otworzy – odparł Bosch.

Spojrzał na klamkę. Łatwo byłoby ją sforsować. W komendzie policji nikt specjalnie nie dbał o bezpieczeństwo.

– Idź na korytarz – polecił. – Gdyby ktoś wysiadł z windy, daj mi szybko znać.

– Co zamierzasz zrobić?

– Leć już.

Kiedy Soto skierowała się ku drzwiom, Bosch ruszył przejściem między boksami detektywów, lustrując poszczególne biurka. Na jednym z nich zauważył magnes z masą spinaczy do papieru. Wziął dwa i wrócił pod gabinet kapitana. Tu wyprostował jeden spinacz, na końcu tworząc mały haczyk, i połączył go z drugim. Nie miał przy sobie wytrychów, bo trzymał je w marynarce, a tego dnia ubrał się luźno, sądząc, że spędzi niedzielny poranek na przeglądaniu akt.

Kucnął przed klamką i przystąpił do dzieła. Otwarcie zamka u drzwi zajęło mu zaledwie minutę. Wszedł do środka, wrzucił spinacze do stojącego obok biurka kosza na śmieci i skierował się ku regałom. Każda kronika miała wypisany na grzbiecie rok. W ciągu ostatnich czterdziestu lat na jeden rok przypadała jedna księga. Bosch szybko znalazł kronikę z napisem „1993” i zdjął ją z półki. Następnie przeszedł przez salę detektywów Sekcji Rozbojów do wnęki, w której znajdowała się kserokopiarka, i zaczął kartkować kronikę, aż wreszcie znalazł wpis o napadzie na placówkę EZBanku – zajmował zaledwie jedną trzecią strony.

Zrobiwszy kopię, Harry wrócił tą samą drogą, odłożył kronikę na miejsce, zamknął drzwi i pozostawił gabinet kapitana w takim stanie, w jakim go zastał. Idąc korytarzem w stronę drzwi, zaczął czytać notatkę. Była bardzo lapidarna, zawierała jednak nazwiska i daty urodzenia trzech ofiar napaści, w tym ochroniarza Rodneya Burrowsa.

Miał to, czego potrzebował.

Soto stała pod ścianą ze szkła i patrzyła na dzielnicę Civic Center. Był spokojny niedzielny poranek. Sylwetka ratusza lśniła w słońcu, które wspinało się po niebie za jej plecami. Ten monolityczny, wciąż najlepiej rozpoznawalny budynek w mieście, krył też w sobie najwięcej tajemnic.

– Mam – powiedział Bosch.

Podał Soto kserokopię, minął ją i skierował się do sali Otwartych i Niewyjaśnionych. Lucy szła za nim, czytając po drodze notatkę.

Kiedy wrócili do swojego boksu, Soto miała już gotowy plan działań.

– Wrzucę te nazwiska do bazy danych, a potem zaczniemy ich odwiedzać – powiedziała. – Od kogo mam zacząć, od ochroniarza? Nazywa się Rodney Burrows.

Bosch potrząsnął głową i usiadł.

– Nie będziemy nikogo odwiedzać, dopóki się nie dowiemy o tych ludziach czegoś więcej – oznajmił, studząc zapał partnerki. – W dziewięćdziesiątym trzecim Burrows nie pękł, choć wywierano na niego presję, nie ma więc powodu sądzić, że pęknie teraz. Musimy znaleźć coś, co faceci z Rozbojów przeoczyli. Coś, co da nam do ręki konkretne argumenty. Dopiero wtedy znajdziemy tych ludzi.

– Okej. W takim razie zbadam ich przeszłość. Coś jeszcze?

– Podobno Burrows wyleciał z Akademii Policijnej. Może nam się poszczęści i zachowali tam jego akta osobowe.

– Dobrze, sprawdzę.

Bosch spojrział na skoroszyty na swoim biurku, wybrał jeden z nich i podał go Soto.

– I jeszcze coś – zaczął. – W tych dokumentach jest lista mieszkańców Bonnie Brae. Przesłuchiwano wtedy każdego z nich. Weź ją i poszukaj powiązań z tamtymi trzema osobami, które pracowały w EZBanku.

Soto uniosła brwi zdezorientowana.

– Skoro pożar miał stanowić dywersję, to sprawcy zapewne nie wybrali tego konkretnego miejsca na chybił trafił – wyjaśnił Bosch. – Wiedzieli, jak się tam dostać, wiedzieli o zsypie na śmieci. Wystarczyło wrzucić do niego ładunek zapalający, wywołać w piwnicy pożar i sprawa gotowa. Wszyscy zajmą się płonącym blokiem mieszkalnym. Nie sądzę, żeby w grę wchodził przypadek. Oni wiedzieli. Przynajmniej jeden z nich. Któryś z bandytów był w tym bloku. Istnieje związek, a ty musisz go znaleźć, bo w przeciwnym razie nie będziemy mieli czym uderzyć.

Soto kiwnęła głową.

– Rozumiem – powiedziała. – Myślisz, że tamci wiedzieli, że w piwnicy jest przedszkole?

– Nie wiem, ale się tego dowiemy.

Bosch już miał się odwrócić do swojego biurka, lecz nagle o czymś sobie przypomniał.

– Byłaś wtedy dzieckiem, ale czy pamiętasz tę strzelaninę w Północnym Hollywood w dziewięćdziesiątym siódmym? – zapytał.

– W dzieciństwie raczej o niej nie słyszałam, ale uczyłam się o tym w akademii – odrzekła Soto. – Każdy zna tę historię. Czemu?

– Gus Braley powiedział, że próbowali ją powiązać z tamtymi facetami w EZBanku, ale brakowało punktów stycznych.

– O rany.

– No.

Bosch dostrzegł na twarzy Soto cień zawodu. Bandyci, którzy napadli na bank w Północnym Hollywood, nie żyli i Lucy musiała nagle uświadomić sobie, że jej długie poszukiwania podpalacza z Bonnie Brae mogą się skończyć niczym: nie będzie żadnego procesu, a kara nie zostanie wymierzona, ponieważ osoby odpowiedzialne za tragedię nie żyją i są poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości.

– Dasz sobie radę, jakby co? – zapytał Harry.

– Nie będę miała wyboru, prawda?

Bosch kiwnął głową.

– Gdzie byłeś tego dnia? – Soto chyba już otrząsnęła się z rozczarowania. – Przyjechałeś na miejsce? Słyszałam, że zjawił się tam każdy, kto tylko mógł.

– Przyjechałem z Hollywood, ale strzelanina właśnie się kończyła. Czasem sobie myślę, że dotarłem tam akurat w odpowiednim momencie, żeby potem mnie ciągnano po sądach.

– To znaczy?

– Rodzina jednego z tych facetów oskarżyła policję jako taką oraz kilku detektywów imiennie, twierdząc, że pozwoliliśmy, by się wykrwawił na ulicy. W pozwie napisali, że policjanci przez ponad godzinę nie dopuszczali karetki do ранego i dlatego zmarł.

– Wygrali?

– Nie, pozew oddalono. Nigdy nie wnieśli go ponownie.

– I co?

– Co: co?

– Rzeczywiście nie dopuściliście tej karetki? W akademii nigdy nam o tym nie mówiono.

– Sytuacja nadal była trudna i niebezpieczna. Nie wiedzieliśmy, czy gdzieś nie czają się inni strzelcy. Karetka dostała zakaz wjazdu, dopóki nie uzyskamy pewności, że wszystko gra. Niewykluczone, że w tym czasie paru z naszych powiedziało temu gościowi, który leżał na ulicy, że najlepiej zrobi,

jak wykituje. Śmiało, zdychaj. Pamiętaj, że mieliśmy kilku rannych policjantów, w różnych miejscach. Nie sądzę, żeby ktokolwiek żywił przesadne współczucie dla tego faceta. Najpierw pomoc lekarską musieli otrzymać wszyscy gliniarze, dopiero potem karetka mogła dojechać do tego bandyty.

Soto ściągnęła usta i kiwnęła głową. Rozumiała.

– Jak wiesz, nikt z naszych nie zginął, ale czterech rannych tego dnia gliniarzy nie powróciło do służby – powiedział Bosch. – Naprawdę mocno oberwali, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym.

– Wiem. Mówili nam w akademii.

Soto sprawiała wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiała. Bosch podejrzewał, że wspomnienie strzelaniny przypomniało Lucy śmierć jej partnera. Harry zdał sobie sprawę, że takie porównanie było nieuniknione. Ona również znalazła się pod ostrzałem. Z łatwością mogła wyobrazić sobie tamtą strzelaninę w Północnym Hollywood, mimo że doszło do niej, gdy była jeszcze dziewczynką.

– No dobrze – zakończył Bosch – ty zajmij się EZBankiem, a ja popracuję nad Mercedem. Działamy równolegle. W ten sposób kapitan się nie wkurzy i nikt się o niczym nie dowie.

Soto kiwnęła głową.

– Dziękuję, Harry.

– Jeszcze mi nie dziękuj. Szanse są ciągle niewielkie, i to w obu sprawach.

– Nieważne. Przecież nie musiałeś tego dla mnie robić.

– Ale ty nie odpuścisz. Ja też wiem, jak to jest.

– Któregoś dnia będziesz mi musiał o tym opowiedzieć.

– Opowiem.

Odwrócili się każde w stronę swojego biurka i zajęli pracą.

Bosch skupił teraz swoją uwagę na dochodzeniu w sprawie Merceda. Wątpił, żeby Broussard dostał się kiedyś w tryby wymiaru sprawiedliwości, bo gdyby tak było, politycy nie chcieliby mieć nic wspólnego ani z nim, ani z jego pieniędzmi, przynajmniej oficjalnie, lecz mimo to przepuścił nazwisko Króla Betonu przez komputer. Wyniki poszukiwań okazały się zerowe – Broussard miał czystą kartotekę. Nigdy nie dostał nawet mandatu za przekroczenie prędkości.

Bosch wynotował sobie jego domowy adres z prawa jazdy. Teraz już wiedział, że facet naprawdę mieszka przy Mulholland Drive – tam, gdzie Angel Ojeda poznał Marię Broussard i gdzie zaczął się ich romans.

Następnie Harry sprawdził bazę nieruchomości prowadzoną przez hrabstwo Los Angeles. Wpisawszy nazwisko Broussarda, natrafił na kilka działek, które stanowiły jego własność. Pojawił się adres na Mulholland Drive, a ponadto w spisie widniały parcele pod zabudowę komercyjną w Pacoimie oraz w City of Industry. Bosch domyślił się, że muszą mieć one związek z firmą produkującą beton, o której wspominali Virginia Skinner i Ojeda. Ostatnią nieruchomość znalazł przy Pacific Coast Highway w Malibu. Dom na plaży. Łączna wartość majątku, zarejestrowanego tylko w hrabstwie Los Angeles, musiała przekraczać dwadzieścia milionów dolarów.

Harry wyszedł z katalogu nieruchomości i zajął się przeszukiwaniem stanowej bazy danych o podmiotach prowadzących działalność gospodarczą. Po wpisaniu nazwiska Broussarda wyskoczyło kilka linków do rejestru spółek, niektóre dawno zdezaktualizowane, większość jednak całkiem aktualna. Jedna z firm, której Broussard był prezesem i dyrektorem wykonawczym, nazywała się Broussard Concrete Design. Bosch domyślił się, że właśnie to przedsiębiorstwo dostarczało betonowe barierki używane podczas robót drogowych. Odkąd tylko sięgał pamięcią, widywał na nich wypisane litery *B-C-D*.

Broussarda wymieniano jako dyrektora bądź członka zarządu jeszcze



kliki innych spółek akcyjnych działających na terenie Kalifornii. Żadna z nich nie przykuła uwagi Boscha, który jednak zapisał sobie wszystkie nazwy i adresy.

Nagle jego wzrok padł na firmę, która zakończyła swój żywot. Otóż Broussard był kiedyś prezesem zlikwidowanej już spółki o nazwie Tereny Myśliwskie i Strzelnica White Tail w hrabstwie Riverside, przylegającym do wschodniej granicy hrabstwa Los Angeles i sąsiadującym z należącą do Broussarda nieruchomością w City of Industry.

Chociaż w stanowym rejestrze spółek znajdowała się wzmianka, iż teren myśliwski i strzelnica prowadziły działalność tylko cztery lata i zostały zlikwidowane w dwa tysiące szóstym roku, po sprzedaży nieruchomości, Bosch skopiował sobie dane firmy. Doszedł do wniosku, że Broussard albo sam jest myśliwym, albo zna wielu myśliwych, a przecież Gun Chung zidentyfikował broń użytą do postrzelenia Orlanda Merceda jako strzelbę myśliwską.

Była już jedenasta, a Bosch chciał wrócić do domu, zanim jego córka się obudzi. Zaczął więc wyłączać komputer i spojrzał przez ramię na Soto. Siedziała przed ekranem całkowicie pochłonięta własną pracą.

– Idę – powiedział. – Chciałbym spędzić dziś trochę czasu z dzieckiem.

– Nie ma problemu. Ja jeszcze chwilę zostanę.

– Natrafiłaś na coś?

– Jeszcze nie. A ty?

– Chyba tak. W okresie, kiedy postrzelono Merceda, Broussard był właścicielem rancza myśliwskiego i strzelnicy w Riverside.

Soto oderwała wzrok od komputera i spojrzała prosto na Boscha.

– W takim razie pewnie znał ze stu facetów, którzy mogli oddać ten strzał – powiedziała.

– Też tak myślę.

– Powiedziałaś „był”. Już nie jest?

– Sprzedał ten teren półtora roku po incydencie z Mercedem.

– I zaraz po tym, jak przeniósł swoje poparcie z Inglina na Zeyasa.

Bosch skinął głową. Pojawiały się kolejne tropy, a jednocześnie wszystko stawało się coraz bardziej zagmatwane.

– Do jutra – powiedział.

– Okej, Harry. Do jutra.

Sto jedyńka była o tej porze stosunkowo pusta i Bosch szybko zmierzał

do domu. Zjechał z autostrady przy Barham, a potem wybrał Cahuenga Boulevard, którym dotarł do skrzyżowania i dalej w górę zbocza. Prowadziły tędy dwie drogi: Mulholland Drive w lewo oraz w prawo Woodrow Wilson Drive, przy której mieszkał. Skręcił w lewo, by wykorzystując zaoszczędzony w trasie czas, rzucić okiem na dom Broussarda.

Mulholland ciągnęła się wzdłuż grzbietu wzgórza, które przecinało miasto na dwie połowy. Adres Broussarda wskazywał, że dom jest zlokalizowany po północnej stronie ulicy, z widokiem na dolinę San Fernando, lecz gdy Bosch tam dotarł, nie dostrzegł żadnych zabudowań, tylko bramę z drogą dojazdową, która zniknęła za wzgórzem. Harry zatrzymał się przecznicę dalej w zatoczce parkingowej, z której można było podziwiać widok na miasto, zostawił samochód i wrócił pieszo po Mulholland. Kiedy dotarł pod bramę posiadłości Broussarda, spojrzął w dół, na betonową drogę, która wiała się ku czemuś w rodzaju garażu z trojgiem szerokich drzwi, wykonanych z aluminium i przyciemnionego szkła. Dopiero po chwili Bosch zdał sobie sprawę, że ów garaż na sześć samochodów to de facto najwyższe piętro wielokondygnacyjnego domu, który opadał kaskadowo po drugiej stronie wzgórza. Budowlę wzniesiono – jakże by inaczej – wyłącznie z betonu. Harry domyślił się, że właśnie tego typu aranżacje określa się mianem „industrialnej elegancji”.

Bosch oparł stopę na barierce biegnącej wzdłuż Mulholland, udając, że zawiązuje sznurówkę, i przyjrzał się uważnie domostwu. W narożnikach garażu zobaczył sześć kamer, a u zwieńczenia bramy jeszcze jedną. Posiadłość była prawdziwą fortecą. Nikt nieproszony nie mógł się tu dostać. Każdy, kto by się zbliżył, szybko zostałby zauważony. Harry zastanawiał się, przed czym Broussard musi się tak chronić.

Zdjął nogę z barierki i skierował się z powrotem do samochodu.

Kiedy Bosch wszedł do domu przez frontowe drzwi, Maddie już nie spała. Siedziała na kanapie, oglądając telewizję i jedząc płatki śniadaniowe z miski. Było piętnaście minut po południu.

– Cześć, kotku.

– Cześć, tato.

– Myślałem, że zjemy razem śniadanie albo lunch.

– Tak, ale nie mogłam się doczekać. To tylko przekąska.

Usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy. Wciąż ubrana była w swoją

„piżamę” – zwykle spodenki gimnastyczne oraz koszulkę z napisem „The 1975”. Bosch wiedział, że to nazwa ulubionego zespołu Maddie. Rok temu kupił bilety na ich koncert w Henry Fonda Theatre, by mogła pójść z koleżankami.

– Co masz ochotę zrobić? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Coś poza domem.

Bosch kiwnął głową.

– O której wychodzisz wieczorem?

– Wpół do szóstej.

Harry zerknął na zegarek. Jego plan zakładał ściśle dopasowanie wszystkich elementów w czasie. Uznał, że mimo wszystko warto spróbować.

– Tak sobie pomyślałem... W Riverside jest strzelnica, którą chciałbym zobaczyć. Co ty na to? Już dawno nie strzelałaś.

Jeszcze kilka lat temu Madeline brała udział w zawodach strzeleckich i w paru z nich zdobyła nawet nagrody, lecz jej zainteresowanie tym sportem spadło, gdy szkoła i zajęcia pozalekcyjne zaczęły zabierać coraz więcej czasu. Poza tym ważne miejsce w jej życiu zajmowali teraz chłopcy.

– Super – powiedziała. – Gdzie jest Riverside?

– No właśnie w tym rzecz. Na wschód od nas, w sąsiednim hrabstwie. Będziemy musieli wyjechać wcześniej, żebyś zdążyła wrócić na te swoje Obiady na Kółkach.

– Tylko się przebiorę. Mogę odrobić zadanie domowe w samochodzie?

– Pewnie. Idź się ubrać, a ja wyjmę broń.

Kwadrans później siedzieli już w samochodzie. Bosch zabrał pistolet, którego Maddie używała na zawodach sportowych, a także Glocka model 30, czyli swoją aktualną broń służbową, oraz pistolet Kimber Ultra, który nosił pod pachą dawniej. Ponieważ strzelnica White Tail wchodziła w skład rancza myśliwskiego, domyślał się, że przeznaczono ją głównie do strzelania z broni długiej, nie posiadał jednak ani karabinu, ani strzelby. W razie czego mógł jednak coś wypożyczyć na miejscu.

Ruch w niedzielę był stosunkowo niewielki, więc posuwali się całkiem szybko. Mimo to dotarcie do celu zajęło im ponad godzinę, wliczając postój na przekąskę w West Covina. Maddie odrabiała pracę domową i mało się odzywała, z wyjątkiem chwil, gdy za pomocą telefonu komórkowego wyszukiwała przy drodze fast foody. Sprawa była niełatwa, ponieważ kilka miesięcy wcześniej Madeline zrezygnowała z jedzenia czerwonego mięsa,

podczas gdy tego typu lokale jeszcze do niedawna serwowały prawie wyłącznie dania w rodzaju hamburgerów. W końcu znalazła lokal o nazwie Johnny's Shrimp Boat, znajdujący się w Glencora, zaraz przy zjeździe z dziesiątki. Maddie zamówiła smażone krewetki, a Bosch dostał ryżowe chili. Potrawy były znakomite. Gdy usiedli w samochodzie, by zjeść, Madeline odłożyła podręczniki na bok.

– Jak tam było wczoraj wieczorem? – spytał Bosch.

– Dobrze – odparła. – Świetny film, fajni ludzie.

– Czy Jonathan Pace okazał się dżentelmenem?

– Tak, tato. To bardzo miły facet.

– Dużo was było?

– Cóż, w sumie tylko ja i Jon.

– Wydawało mi się, że mówiłaś o całej grupce.

– Bo tak miało być, ale wiesz, jak jest. Po prostu nie przyszli. Dlatego byliśmy tylko we dwoje, ja i Jon, i wszystko było w porządku, okej?

– Dla mnie okej, jeżeli dla ciebie jest okej.

Harry pozbierał puste kartoniki po jedzeniu i zaniósł je do parkingowego kosza na śmieci. Kiedy wrócił do samochodu, o dalszej dyskusji nie było już mowy, bo Maddie wróciła do książek. Ruszyli ku Riverside.

Mimo zmiany właściciela ranczo myśliwskie i strzelnica White Tail działały dalej pod tą samą nazwą. Obiekt znajdował się w okolicach miasteczka o nazwie Hemet. Strzelnicę usytuowano w prywatnym rezerwacie przyrody u stóp góry San Jacinto. Otaczało ją kilka budynków użytkowych, w których mieściły się biuro, barak dla myśliwych oraz miejsce do skórowania i oprawiania zwierzyny. Bosch wszedł z córką do biura, gdzie powitał ich szereg wiszących na ścianie fotografii ukazujących myśliwych i ich trofea: jelenie, górskie kozły, liczne dziki leżące na ziemi. Łowcy pozowali do zdjęć ze swoją bronią.

– O mój Boże – szepnęła Maddie na widok zdjęcia martwego dzika o wielkich krzywych szablach i paskudnym ryju.

Bosch syknął na córkę, bo z bocznej części biura, umieszczonej za ladą, wyszedł do nich jakiś mężczyzna. Miał na sobie robocze ubranie i czapkę z postrzępionym daszkiem, na której widniało logo firmy Smith&Wesson.

– Czym mogę służyć? – spytał.

– Właśnie przejeżdżaliśmy tędy z córką i zobaczyliśmy to miejsce – powiedział Bosch. – Trzeba być członkiem, żeby trochę postrzelać?

– Owszem, ale sprzedajemy jednodniowe karty członkowskie. Po dwadzieścia pięć dolarów.

– A macie strzelnicę na broń krótką? Dysponujemy tylko pistoletami.

– Oczywiście.

– W takim razie proszę o karty na jeden dzień.

Bosch zapłacił, podpisał oświadczenie, że zapoznał się z regulaminem, po czym wzięli broń oraz pudełka z amunicją i poszli na strzelnicę. Krótkodystansowa była wyposażona w osobne stanowiska i zadaszona. Wybrali odległość trzynastu metrów i włożyli zatyczki do uszu. Bosch, ustąpiwszy córce pierwszeństwa, załadował jej broń. Pierwszy strzał oddała niecelny, poza tarczę, potem już jednak zacieśniła krąg, powoli wracając do dawnej formy. Harry miał przy sobie lornetkę, którą wyjął wcześniej ze schowka w samochodzie, i kiedy Maddie strzelała, obserwował uważnie tarczę i podawał jej wynik. Nie musiał się już martwić o strzelecką dyspozycję córki.

Maddie korzystała po kolei z wszystkich trzech pistoletów. Zresztą głównie to ona strzelała, podczas gdy Bosch rozsiadł się wygodnie na ławce, którą ustawiono w pobliżu stanowiska, i przyglądał się córce i otoczeniu.

– Tato, ty już nie chcesz strzelać?

– Nie, wystarczy mi. Popatrzę na ciebie.

– Jest jakiś inny powód, że tu przyjechaliśmy?

– Tak jakby. Powiem ci później.

W całym obiekcie oprócz Boscha i Maddie przebywało jeszcze tylko trzech innych amatorów strzelectwa. Wszyscy korzystali ze stanowisk dla broni długiej, oddzielonych od strzelnicy krótkodystansowej i nieosłoniętych. Bosch przyglądał się tym mężczyznom. Dwóch strzelało razem, jeden przyjechał tu sam. Ten ostatni używał celownika optycznego. Cała trójka zdawała się dobrze znać to miejsce, dlatego Bosch doszedł do wniosku, iż nie są to jednodniowi goście, lecz stali bywalcy.

Po czterdziestu minutach, gdy Maddie zużyła całą amunicję, Harry zdjął ze stojaka szczotkę i podał ją córce. Kazał jej wyczyścić łuski, by można je było oddać do recyklingu, a następnie oznajmił, że zaczeka na nią w biurze, gdzie zamierzał porozmawiać z facetem, który stał za ladą.

W biurze Harry podszedł do ściany z fotografiami trofeów. Przyglądał się zdjęciom, szukając myśliwego, który trzymałby w rękach strzelbę myśliwską marki kimber, gdy nagle z tylnej części pomieszczenia wyszedł ten sam

mężczyzna co przedtem.

– Podobało się? – zapytał.

– Owszem – odrzekł Bosch. – Dziękuję. Chciałem zapytać o polowania. Czy można się na nie zapisać na podstawie jednodniowego karnetu?

– Do polowań wymagana jest przepustka dwudniowa, nawet jeśli impreza trwa tylko jeden dzień. Trzeba też uzyskać pozwolenie na odstrzał dzików i jeleni.

– Jasne.

Bosch odwrócił się do fotografii. Mówił, nie patrząc na mężczyznę.

– Moja córka pobiera tylko nasze łuski i zaraz jedziemy.

– Kupił pan członkostwo na cały dzień, możecie zostać, jak długo chcecie.

– Bywałem tu już kiedyś, wie pan. Jakies dziesięć–dwanaście lat temu. Przyjeżdżałem do Broussa, zaraz jak otworzył tę strzelnicę, upolowałem nawet dzika. Ciekawe, czy jest tu gdzieś moje zdjęcie.

– Fotografie z tak zamierzchłych czasów, jeśli jeszcze zostały, są tam, po drugiej stronie drzwi.

– Okej.

Bosch skierował się na prawo od drzwi i zaczął się uważniej przyglądać zdjęciom.

– Niewiele się zachowało z tamtego okresu – mówił mężczyzna. – Po sprzedaży tego miejsca pan Broussard zabrał większość fotek. Zdjął ze ściany każde zdjęcie z Dave’em. Chyba nie chciał, żeby mu przypominało.

Bosch nie odrywał wzroku od fotografii. Starał się mówić swobodnie.

– Przypominało o czym?

– O wypadku. Dlatego sprzedał ten teren. Nie chciał ciągle rozpamiętywać.

Harry odwrócił się od ściany i spojrzał na mężczyznę.

– O jakim wypadku pan mówi?

Tamten długo lustrował Boscha, nim odpowiedział.

– Nie ma co rozdrapywać dawnych ran. Pan Broussard sprzedał mi ten teren i nie mieliśmy potem żadnych problemów. Tyle na ten temat.

– Przepraszam. Córka mówi, że nie powinienem być taki wścibski.

– Mądra dziewczyna. I cholernie dobrze strzela. Widziałem.

– Tak, strzela świetnie.

## 23

W poniedziałek Bosch przyjechał do komendy o godzinie siódmej rano i zastał Soto za biurkiem. Zauważył, że miała na sobie to samo ubranie co dzień wcześniej.

– Spędziłaś tutaj całą noc?

– Szukałam stycznych i straciłam poczucie czasu. Przekimałam parę godzin na dole. Nie warto już było wracać do domu.

Bosch kiwnął głową. Na poziomie garażowym wygospodarowano pomieszczenie z łóżkiem, które działało na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”. Mogli z niego korzystać funkcjonariusze obojga płci, ale Bosch nigdy wcześniej nie słyszał, żeby pokój okupowała kobieta. Zaangażowanie Soto w rozwiązanie tej sprawy i w ogóle w pracę wprawiało go nieodmiennie w zdumienie.

– Co to są styczne? – zapytał.

– Tak nazywam ewentualne związki między trzema osobami z EZBanku a mieszkańcami bloku przy Bonnie Brae.

– I co? Znalazłaś jakieś?

– Jeszcze nie. Ale jestem dopiero w połowie listy lokatorów. Mam nadzieję, że dzisiaj skończę.

Bosch rzucił akta na swoje biurko i opadł ciężko na fotel. Soto prawidłowo odczytała mowę jego ciała.

– Co się dzieje?

Harry potrząsnął głową, po czym z jednego z segregatorów wyjął złożoną kartkę papieru i podał ją Lucy. Była to kserokopia artykułu z „Riverside Press-Enterprise” z dnia dwudziestego trzeciego marca dwa tysiące piątego roku. Tekst był krótki i Soto przeczytała bardzo szybko.

– Jaki z tego wniosek? – spytała.

– Chyba taki, że Broussard pozacierał za sobą ślady – odparł Bosch. – Nie dorwiemy go.

– Nie rozumiem. W tym artykule nie ma żadnych nazwisk. Przypadkowy postrzał?

– Według notatki prasowej. Jeszcze dzisiaj poproszę szeryfa z Riverside o akta.

– Skąd to wzięłeś?

– Pojechałem wczoraj z córką na strzelnicę, która kiedyś należała do Broussarda. Trochę tam postrzelaliśmy. Obecny właściciel wspomniał, że kupił ten teren od Broussarda po jakimś wypadku.

Bosch ruchem głowy wskazał na kopię, którą Lucy trzymała w ręku.

– Moja mała znalazła to w cyfrowym archiwum tej gazety. Żadnych nazwisk, tylko informacja o tym, że facet, który prowadził strzelnicę Broussarda, zginął w nieszczęśliwym wypadku na polowaniu. W nagłówku napisali tylko, że „myśliwy przypadkowo zastrzelił swojego najlepszego przyjaciela”. Zakład, że z akt dowiemy się, że tym myśliwym był Broussard?

– A później nie ukazał się już żaden artykuł na ten temat?

– Właśnie. To kolejny problem. Po tej krótkiej notatce już kompletnie nic. Moim zdaniem ktoś wpływowy zatuszował sprawę.

Soto pokiwała głową, jakby głęboko się nad tym wszystkim zastanawiając.

– Skąd pewność, że nie dorwiemy Broussarda?

Bosch rozłożył szeroko ręce.

– Jeśli założymy, że osoba, która strzelała wtedy na Mariachi Plaza, miała związki z Riverside, to albo została do tego namówiona przez zarządcę strzelnicy, albo to sam zarządca oddał strzał. Tak czy owak, człowiek ten łączył Broussarda z Mercedem, a teraz tych powiązań już nie ma. Facet nie żyje od dziewięciu lat.

Jakby na potwierdzenie swoich słów Harry ponownie wskazał na kserokopię.

– Ale musi być jakiś... – zaczęła Soto. – Mamy jeszcze Ojedę.

– To za mało – odparł Bosch. – Żaden prokurator tego nie tknie. Sąd by go wyśmiał. Nie mamy żadnych dowodów. Ani broni, ani naocznego świadka, ani...

Bosch przerwał, jakby nagle coś mu przyszło do głowy.

– Czego? – zapytała Soto.

– Sprawa jest śliska – powiedział. – Ale jeśli ustalę nazwisko człowieka, który prowadził tę strzelnicę, podobno miał na imię Dave, wrzucę dane do systemu komputerowego Agencji do spraw Broni. Może nam się poszczęści i znajdziemy potwierdzenie, że był właścicielem strzelby kimber montana.



To i tak by było za mało, żeby iść do prokuratora, ale zawsze krok naprzód.

Bosch wziął od Soto kartkę i obrócił się do swojego biurka. Rozmyślał nad dalszymi posunięciami. Zwrócenie się z prośbą o pomoc do innej agencji zawsze było sprawą delikatną, zwłaszcza gdy leżała ona tak blisko Los Angeles. Między służbami istniały rozmaite związki oraz nieformalne relacje i ktoś nieświadomy tych kwestii łatwo mógł oberwać rykoszetem. W takich sytuacjach lepiej było wejść bocznymi drzwiami zamiast główną bramą, czyli skorzystać z pomocy kogoś znajomego.

Harry miał do wyboru kilka osób, z którymi mógł się skontaktować. W ostatnich latach, odkąd pracował w Otwartych i Niewyjaśnionych, prowadził sporo śledztw, w których tropy wiodły do hrabstwa Riverside. Powoli przejrzał w głowie swój wirtualny wizytownik i zatrzymał się na literze R. Postanowił zacząć od Steve'a Bennetta, który w Biurze Szeryfa Hrabstwa Riverside zajmował się poszukiwaniem osób zaginionych. Nikt wprawdzie nie zniknął, ale ponieważ Bennett pracował dla szeryfa od bardzo dawna i w swojej karierze prowadził też inne śledztwa, Bosch miał pewność, że doświadczony detektyw będzie umiał mu pomóc.

Po wymianie typowych uprzejmości i wykrzykników w rodzaju „kopa lat” Bosch poprosił Bennetta o informacje w sprawie wypadku ze skutkiem śmiertelnym, który wydarzył się przed dziewięcioma laty na ranczu myśliwskim White Tail. Usłyszawszy dokładną datę, Bennett odparł, że szybko powinien znaleźć stosowne akta, i obiecał, że oddzwoni, jeśli tylko na coś natrafi. Bosch podziękował i poprosił Bennetta o dyskrecję. Lepiej, żeby nikt o tej sprawie nie wiedział.

Harry zakończył rozmowę i oznajmił Soto, że idzie do Starbucks na Pierwszej Ulicy, o jedną przecznicę od komendy. Był poniedziałek, a on zamierzał rozpocząć nowy tydzień pracy od czegoś lepszego niż produkt serwowany przez automat w holu komendy.

– Przecież wiesz, że z maszyny wszędzie wychodzi to samo – odparła Soto. – Kawa to kawa. Po prostu jedno miejsca są bardziej eleganckie niż inne.

– To prawda – zgodził się Bosch. – Ale od czasu do czasu lubię, gdy kawę poda mi ktoś, kto nie jest automatem.

Był to cytat, który pożyczył sobie od córki. Soto nie zareagowała.

– Chcesz, żebym ci coś przyniósł, czy nie?

– Nie, nie trzeba. Godzinę temu zeszłam na dół. Mnie wystarczy automat.

– Rozumiem.

Bosch wyszedł z budynku i był już w połowie drogi do kawiarni, gdy odezwała się jego komórka. Dzwonił Bennett z hrabstwa Riverside, coś znalazł.

– Nie ma tego wiele – powiedział. – Sprawę zamknięto bardzo szybko. Wszystko wskazywało na tragiczny wypadek. Facet zabił swojego najlepszego kumpla. Wziął go za jelenia czy dzika, czy co tam jeszcze mogło się czaić w krzakach.

Bosch podszedł do ławki na przystanku autobusowym. Usiadł i trzymając telefon między ramieniem a szyją, zaczął robić notatki.

– Okej – rzucił. – Masz nazwiska sprawcy i ofiary?

– Strzelcem był Charles Andrew Broussard. Pisze się be, er...

– Wiem, jak to się pisze. A ofiara?

– David Alexander Willman. Zwyczajna pisownia wszystkich członów, gdybyś nie wiedział. Lat czterdzieści dwa. Był kierownikiem tego rancza, a Broussard jego właścicielem. Tu jest napisane, że byli najlepszymi przyjaciółmi od czasów liceum, wychowywali się w Hemet. Tamtego dnia wybrali się na polowanie i rozdzielili w tak zwanym Dzikim Jarze, pisze się przez „rz”, czyli wąskim kanionie na terenie rancza. Nagle Willman pojawił się w miejscu, którego Broussard zupełnie nie brał pod uwagę. Uznał go za dzika, którego tropili, i strzelił z trzydziestu metrów. Kula przebiła szyję i wyszła drugą stroną. Willman zginął na miejscu. Wykrwawił się.

Bosch zanotował kilka słów, które miały stanowić streszczenie rozmowy.

– Z czego Broussard strzelał? – zapytał.

– Hm, zobaczmy... z encore pro hunter – odrzekł Bennett. – Kaliber .308.

– A Willman? Jest tam napisane, jaką broń miał przy sobie?

– Yyy... nie, ani słowa.

– Dobra. Czy do raportu dołączono jakieś dowody rzeczowe?

– Tylko broń Broussarda.

Tym samym nadzieja, że strzelba Willmana została zatrzymana jako dowód albo przynajmniej opisana, rozwiązała się niczym mgła.

– Kto prowadził śledztwo?

– Bill Templeton – odpowiedział Bennett. – Nadal u nas pracuje. Jest teraz kapitanem.

– Znasz go?

– Znam, ale tak naprawdę nie znam. Rozumiesz?

– Ta.

Bosch musiał się chwilę zastanowić nad sformułowaniem następnego pytania. Na przystanku zatrzymał się autobus, wstał więc i odszedł jak najdalej, żeby uniknąć hałasu.

– Jesteś na ulicy? – zapytał Bennett.

– Ta, idę po kawę. Słuchaj, Steve, co wiesz o Templetonie jako o śledczym? Zastanawiam się, czy należał do facetów, którzy szybko zamykają dochodzenie, ponieważ są leniwi, czy też bywał podatny na naciski, aby wyciszyć sprawę?

Nim Bennett odpowiedział, zapadło długie milczenie.

– Na podstawie tego raportu trudno to stwierdzić, poza tym nigdy z nim bezpośrednio nie pracowałem. Ale słyszałem, że Templeton jest golfistą i przed każdym uderzeniem piłeczki wyrzuca w powietrze garść trawy, by sprawdzić wiatr.

Bosch zrozumiał. Możliwe, że Templeton był uległy wobec zachęty do szybkiego zamknięcia jakiegoś śledztwa, zwłaszcza gdy zachęty te szły z góry.

– Harry, chcesz numer raportu inspekcji pracy? – zapytał Bennett. – Samego raportu nie mam, ale musiał zostać sporządzony. Zdobyłem numer.

Bosch wrócił na ławkę na przystanku autobusowym, żeby zapisać dane. Poprosił również o datę urodzenia i adres domowy Willmana oraz namiary na jego żonę, po czym podziękował za szybko udzieloną pomoc.

– Zachowaj te słowa o golfie dla siebie, dobrze? – powiedział Bennett. – Nie chcę, żeby Templeton dobrał mi się do tyłka.

– Oczywiście – odrzekł Bosch. – Jestem twoim dłużnikiem.

Harry rozłączył się, zawrócił i skierował się do komendy. Nie potrzebował już kofeiny.

Wprowadziwszy do baz danych w swoim komputerze personalia Davida Alexandra Willmana, Bosch uzyskał zero wyników. Willman miał czystą kartotekę, przynajmniej o tyle, o ile Harry zdołał to ustalić.

Następnie Harry otworzył internetowy rejestr broni, prowadzony przez Agencję do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, i ponownie spróbował znaleźć Willmana. Wiedział, że mimo zgonu poszukiwanego w banku danych powinien się zachować spis wszystkich legalnie dokonanych przez Willmana transakcji kupna lub

sprzedaży broni. Tym razem Bosch uzyskał trafienia. Willman figurował w bazie jako certyfikowany handlarz bronią. Jego licencja federalna wygasła sześć lat temu, ponieważ – wskutek śmierci posiadacza – nie została odnowiona.

Harry domyślił się, że domniemany zabójca Merceda musiał działać na dwóch frontach: handlować bronią i jednocześnie zarządzać ranczem myśliwskim i strzelnicą. Przeszukanie banku danych agencji zaowocowało również spisem licznych transakcji dokonanych w okresie ośmiu lat przed śmiercią Willmana. Facet kupował i sprzedawał dziesiątki sztuk broni. Bosch przeanalizował listę i znalazł ślady zakupu dwóch różnych strzelb kimber model 84. Willman nabył je w roku dwutysięcznym i dwa tysiące drugim, na długo przed postrzeleniem Orlanda Merceda.

Przejrzawszy zestawienia handlowe Willmana, Harry stwierdził, że odsprzedano tylko jedną ze strzelb. Znaczyło to, że przed swoją śmiercią Willman wciąż był właścicielem kimber montany. W każdym razie – mówiąc precyzyjniej – strzelba pozostawała zarejestrowana na jego nazwisko.

Bosch poczuł przypływ nowej energii. Być może znalazł nić prowadzącą do broni, z której oddano strzał na Mariachi Plaza. Od śmierci Willmana minęło jednak dziewięć lat i strzelba mogła już dawno zapaść się pod ziemię. Jeśli Willman nie wyrzucił jej gdzieś zaraz po postrzeleniu Merceda, to zapewne pozbył się jej Broussard, zabiwszy Willmana. Harry zdawał sobie sprawę, że to wszystko zaledwie domysły, istniała jednak szansa, że Willman był lepszym cwaniakiem i postanowił zachować broń, by móc wpływać na swojego kumpla Broussarda. Mógł na przykład twierdzić, że pozbył się strzelby, lecz tak naprawdę trzymać ją w bezpiecznym miejscu na wypadek, gdyby ich drogi się kiedyś rozeszły.

Bosch zapisał w notatniku numer seryjny broni, a następnie rozpoczął kolejne poszukiwania, tym razem w katalogu nieruchomości hrabstwa Riverside. Gdy znalazł to, czego potrzebował, odwrócił się do Soto.

– Wracam do Riverside – oznajmił.

Lucy okręciła się w fotelu i patrzyła na swego partnera, siedząc plecami do komputera.

– A co tam jest?

– Miałem telefon. To Broussard wtedy strzelał. Zabił swojego kumpla Davida Willmana, sprawę uznano za wypadek. Ale ten cały Willman był handlarzem bronią, wcześniej kupił strzelbę kimber montana i nigdy nie

odsprzedał jej dalej. Być może gdzieś ją ukrył.

– Gdzie?

– Jeszcze nie wiem. Mam adres w Rancho Mirage, pod którym Willman kiedyś mieszkał. Jego żona sprzedała ten dom dwa lata po jego śmierci. Myślę, że od tego zacznę. Kto wie, może broń ciągle tam jest, a mnie dopisze szczęście.

Soto zamyśliła się na chwilę, a potem powiedziała:

– Jadę z tobą.

– A co ze stycznymi?

– Mogą poczekać. Chyba nie będziesz szukać broni sam.

Bosch kiwnął głową.

– Lubisz chili z ryżem? – zapytał. – Znam fajne miejsce, gdzie je podają, mniej więcej w połowie drogi.

Jazda zajęła im znacznie więcej czasu, niż trwała niedzielna przejażdżka Boscha i jego córki. Przede wszystkim dlatego, że na drodze panował spory ruch, a Rancho Mirage leżało o prawie godzinę dalej na wschód, w dolinie Coachella. Pierwszą część podróży wykorzystali na omówienie obu spraw, nad którymi tak aktywnie pracowali, oraz zaplanowanie kolejnych posunięć. Bosch wierzył, że broń, z której postrzelono Orlanda Merceda, może ciągle znajdować się w rękach rodziny Davida Willmana, jednakże to jego przekonanie nie wystarczało, by wystąpić z wnioskiem o sądowy nakaz rewizji w domu Willmanów. Jedyne, co Bosch i Soto mogli zrobić, to zapukać do drzwi i liczyć na chęć współpracy domowników lub taki rozwój wypadków, który pozwoli im uczynić kolejny krok naprzód.

Zatrzymali się w West Covina na wczesny lunch i zgodnie z planem zjedli chili z ryżem. Pokonując drugą część trasy, prawie już nie rozmawiali. Harry wrócił myślami do kolacji, którą poprzedniego wieczoru zjadł z Virginią Skinner. Rozmowa była przyjemna i zajmująca. Drzwi do romansu zdawały się stać otworem – przynajmniej z perspektywy Boscha. Z ekscytacją myślał, dokąd to wszystko może go doprowadzić. I nie chodziło tylko o szansę na nowy związek. Harry musiał przyznać sam przed sobą, że jego szanse na ostatni w życiu poważny związek kurczą się niemal z każdym dniem. Rok wcześniej rozwiały się nadzieje, że drugim podmiotem owej finalnej relacji będzie Hannah Stone. Jej syn odsiadywał karę więzienia za gwałt i gdy Bosch odmówił poparcia jego wniosku przed komisją zwolnień warunkowych, Hannah nagle zerwała, pozostawiając Harry'ego z podejrzeniem, czy aby jej wcześniejsze zainteresowanie nie było przypadkiem podyktowane wyłącznie sytuacją syna.

Rozmyślając o Virgini Skinner, Bosch uświadomił sobie, że myśl o możliwym związku budzi w nim ukryty dreszcz, także ze względu na jej pozycję w świecie mediów. Romans z dziennikarką byłby obarczony takimi komplikacjami, że zdecydowanie należało się go wystrzegać – lecz właśnie to ryzyko ekscytowało Boscha. Niezależnie, jaki kształt przybrałaby ich

relacja, wszystko musiałyby pozostać w tajemnicy. Gdyby ich związek wyszedł na jaw, władze policji uznałyby go za akt zdrady, za „sypianie z wrogiem”. Komendę główną policji i siedzibę „Los Angeles Timesa” dzieliły zaledwie cztery pasy jezdni na Spring Street, lecz pomiędzy tymi dwiema instytucjami wznosił się niewidzialny mur, dwakroć wyższy od miejskiego ratusza. Gdyby rzeczywiście miało do czegoś dojść, Harry musiałyby zachować ogromną ostrożność. Podobnie zresztą jak Virginia Skinner.

– Nauczyłeś swoją córkę strzelać? – odezwała się Soto.

Pytanie wyrwało Boscha z zamyślenia. Lucy musiała chyba analizować w głowie jego sprawozdanie z niedzielnego popołudnia.

– A... tak, owszem.

– To trochę niezwykle, nie sądzisz?

– No wiesz, mamy w domu broń i tak dalej. Chciałem, żeby się nauczyła, jak się z nią w bezpieczny sposób obchodzić. Parę razy zabrałem ją na strzelnicę i okazała się naprawdę dobra. Ma naturalny talent. Zdobyła szereg nagród, w jej pokoju stoi kilka pucharów. A teraz, możesz mi wierzyć albo nie, twierdzi, że chce być gliną.

Soto skinęła głową. Bosch zastanawiał się, czy Lucy dostrzega jakiś związek między faktem, że jego córka uczyła się strzelać, a własnymi doświadczeniami z incydentu, w którym zginął jej partner.

– Chciałabym ją poznać.

Bosch kiwnął głową.

– A ja chciałbym, żeby ona poznała ciebie.

– Gdzie jest jej mama?

– Zmarła kilka lat temu. Po jej śmierci Maddie zamieszkała ze mną.

– I nauczyła się strzelać.

– Ta.

Aż do Rancho Mirage nie powiedzieli już ani słowa.

Dom, do którego Audrey Willman wprowadziła się po śmierci męża, znajdował się na ogrodzonym osiedlu mieszkaniowym o nazwie Desert View Estates. Bosch pokazał odznakę ochroniarzowi przy bramie i dwie minuty później znalazł budynek, którego szukali. Miał trzy kondygnacje i stał na ćwierćhektarowej parceli w sąsiedztwie identycznych domów i działek. Przed domem znajdował się kolisty podjazd otaczający skalny ogródek z samotnym

drzewem Jozuego. Bosch i Soto podeszli do drzwi i nacisnąwszy guzik dzwonka, czekali.

– Wiesz, skąd się wzięła nazywa „drzewo Jozuego”? – spytała Soto.

Bosch zerknął za siebie na rosnącą pośrodku podjazdu jukkę krótkolistną, której gałęzie rozbiegały się niczym kandelabr.

– Nie bardzo – odpowiedział.

– To zasługa mormonów. Widok tych gałęzi przywodził im na myśl biblijną scenę, w której Jozue wznosi ręce do nieba w modlitwie.

Bosch w zamyśleniu skinął głową i w tym samym momencie tuż za nim otworzyły się wielkie dębowe drzwi domu. Odwróciwszy się, ujrzał pokojówkę w fartuszku, która kazała im zaczekać na progu, dopóki nie dowie się, czy pani Willman zechce ich przyjąć. Zirykowało to Boscha, ponieważ ochroniarz z pewnością zadzwonił do domu z wyprzedzeniem, aby poinformować jego mieszkańców o wizycie detektywów, więc pani Willman miała sporo czasu, żeby się do niej przygotować.

Tyle dobrego, że stali w cieniu. Skwar pustyni nie działał na Boscha najlepiej. Czuł, że wargi zaczynają mu pierzchnąć i pękać. Z nudów zaczął się przyglądać wspaniale wykonanym drzwiom frontowym, a potem jego wzrok powędrował w górę, na drewnianą konstrukcję wewnętrznej części portyku. Wartość tej nieruchomości istotnie odbiegała od wyceny starego domu Davida Willmana, czego Bosch nie omieszkał przed przyjazdem sprawdzić. Wdowa miała obecnie znacznie lepsze lokum niż kiedyś.

– Coś ci powiem – odezwał się Harry. – Albo Willman miał cholernie wysoką polisę na życie, albo ktoś tu komuś próbował zamknąć usta. To nie jest miejsce, w którym osiedla się typowy przewodnik myśliwych.

– Może jego żona pozwała Broussarda – odrzekła Soto. – O zadośćuczynienie czy coś takiego.

Bosch kiwnął głową na znak, że nie wyklucza i takiej możliwości. W końcu drzwi się otwarły, lecz tym razem stanęła w nich kobieta koło pięćdziesiątki, która przedstawiła się jako Audrey Willman. Była wysoka, chuda i miała na sobie mnóstwo złotej biżuterii.

– Czym mogę służyć państwu detektywom? – spytała.

Bosch uznał, że najlepiej będzie mówić bez owijania w bawełnę.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego w Los Angeles, które może mieć związek ze śmiercią pani męża. Czy możemy wejść?



– Mój mąż nie żyje od prawie dziesięciu lat. W jaki sposób mógłby mieć cokolwiek wspólnego z zabójstwem w L.A.?

– Wszystko wyjaśnimy, jeśli pozwoli nam pani wejść.

Pani Willman wprowadziła ich do środka. Usiedli w salonie, Bosch i Soto na kanapie, dokładnie naprzeciwko Audrey Willman, która spoczęła na czymś, co wyglądało na zabytkowy skórzany fotel klubowy.

– W takim razie proszę wyjaśniać.

– W chwili śmierci pani mąż był posiadaczem kilku sztuk broni palnej – zaczął Bosch.

– Oczywiście – przerwała mu Willman. – Był licencjonowanym handlarzem. Kupował i sprzedawał broń.

– To jest jasne. Staramy się zlokalizować jeden z egzemplarzy, który wówczas należał do pani męża.

Audrey Willman pochyliła się lekko do przodu, ścigając podejrzliwie brwi.

– Pan sobie ze mnie żartuje, prawda?

– Nie, proszę pani – odparł Bosch, naśladowując niewzruszoną minę i sposób mówienia Joego Fridaya. – Nie żartujemy. To bardzo poważna sprawa. Co się stało z bronią po śmierci pani męża?

Pani Willman rozłożyła ręce, jakby sygnalizując, że odpowiedź jest przecież oczywista i niewarta dwuipółgodzinnej jazdy z Los Angeles.

– Sprzedałam ją. Wszystko, absolutnie legalnie. Sądzi pan, że po tym, co się stało, chciałam mieć w domu jakąkolwiek broń?

Bosch tylko czekał na taką odpowiedź.

– A co się dokładnie stało? – zapytał. – Czytałem tylko stenogram raportu w Biurze Szeryfa w Riverside. Jak to możliwe, że pani mąż zginął z ręki swojego najlepszego przyjaciela?

Willman machnęła lekceważąco ręką.

– Biuro Szeryfa to ostatnie miejsce, w którym próbowałabym się czegokolwiek dowiedzieć – oznajmiła.

Bosch czekał, ale nie dodała nic więcej.

– Zapozna nas pani ze swoją wersją wydarzeń?

– Bardzo chętnie, tylko że nie mogę. Doszło do procesu sądowego. Pozwałam go, ale nie mogę o tym rozmawiać.

Znów uczyniła ten sam gest, jakby wskazywała dłońmi otaczającą ją bogactwo. Sens był jasny: otrzymała pokaźne odszkodowanie, lecz częścią

umowy był nakaz milczenia w tej sprawie.

– Chce pani powiedzieć, że ugoda zawierała klauzulę poufności?

– Zgadza się.

– Okej, rozumiem. A może mi pani przynajmniej powiedzieć, jakie zarzuty zawarła pani w pozwie, zanim doszło do ugody i zawarcia klauzuli poufności?

Potrząsnęła głową.

– Nie wolno mi powiedzieć ani słowa na ten temat.

Przecięła ręką powietrze, dając do zrozumienia, że uważa dyskusję za zakończoną.

Bosch kiwnął głową. Wyglądało na to, że kobieta nie piśnie słówkiem na temat procesu, dlatego wrócił do pytań o broń.

– Dobrze, rozumiem. Zajmijmy się w takim razie bronią palną. Twierdzi pani, że ją sprzedała, jednak strzelba, o którą nam chodzi, nigdy nie została zarejestrowana jako odsprzedana i wciąż figuruje w bazach danych przy nazwisku pani męża.

– Niemożliwe. Sprzedałam wszystko, całkowicie legalnie. A właściwie zrobił to Ted Sampson. Kupił ranczo i sprzedał całą broń, posługując się własną licencją handlową.

Bosch przypuszczał, że Ted Sampson to mężczyzna, z którym rozmawiał dzień wcześniej w biurze strzelnicy White Tail.

– No cóż, jeśli chodzi o tę konkretną sztukę, to brak informacji, żeby została komukolwiek sprzedana. To strzelba myśliwska marki kimber. Model montana. Czy ta nazwa coś pani mówi?

– Nie znam się na broni. Nienawidzę pistoletów i karabinów. W tym domu ich nie ma. Po przeprowadzce zostawiłam całą przeszłość za sobą. Prowadziłam jednak szczegółowe rejestry, ponieważ przedtem...

Znów machnęła ręką, pokazując majątek, który przyniosła jej ugoda z Broussardem.

– ...sądziłam, że zostały mi tylko pieniądze ze sprzedaży broni. Plus dwadzieścia pięć tysięcy dolarów z polisy ubezpieczeniowej.

– No dobrze – powiedział Bosch. – W takim razie, skoro Ted nie sprzedał tej konkretnej sztuki broni, to gdzie ona może być?

Potrząsnęła głową, jakby była faktycznie zaintrygowana.

– Nie mam pojęcia! Mąż całą broń trzymał w garażu w starym domu, ale go posprzątałśmy. Jestem tego pewna. Ted niczego tam nie zostawił, a ja

wpisałam do inwentarza każdą sztukę broni, jaką znaleźliśmy.

– Ma pani jeszcze ten inwentarz?

Kobieta przez chwilę się zastanawiała.

– Szczerze mówiąc, chyba tak.

– Możemy go zobaczyć, pani Willman? To ważne.

– Proszę tu poczekać. Mam go w dokumentacji podatkowej. Na pewno.

Wstała i przeszła przez pokój do francuskich drzwi z zasłonkami. Prowadziły do gabinetu, w którym Harry dojrzał biurko, regały na książki oraz rower stacjonarny, ustawiony przed telewizorem z płaskim ekranem. Willman zamknęła za sobą drzwi.

Nie było jej pięć minut. Bosch i Soto popatrzyli na siebie, ale milczeli. Oboje zdawali sobie sprawę, że inwentarz, o ile wdowa po Willmanie nadal go posiada, może stanowić solidny materiał dowodowy w przypadku, gdyby – mimo braku narzędzia zbrodni – zdecydowali się wykonać kolejny krok w śledztwie i skierowali sprawę do prokuratury.

Audrey Willman wyłoniła się z gabinetu, niosąc żółty notatnik z kilkoma zawiniętymi do tyłu kartkami. Był spięty gumową opaską.

– Znalazłam.

Podeszła bliżej i zdjęła gumkę, która pękła jej w rękę, prawdopodobnie ze starości. Kobieta usiadła i zaczęła po kolei przewracać kartki, sprawdzając ich zawartość. Przy czwartej się zatrzymała.

– Tu jest spis broni. – Podała notatnik Boschowi.

Harry wyjął własny notes, gdzie wcześniej zapisał numer seryjny strzelby kimber model 84, która według rejestrów Agencji do spraw Broni należała do Davida Willmana. Soto nachyliła się, aby zajrzeć do notatnika, i przez chwilę oboje studiowali widniejącą w nim listę. Zawierała osiemnaście sztuk broni długiej i krótkiej, a także kwoty uzyskane z ich sprzedaży. Nigdzie nie pojawiała się nazwa marki kimber ani żaden z numerów seryjnych nie odpowiadał zapisanemu przez Boscha. Strzelba marki kimber, którą miał kiedyś Willman, nie została sprzedana. Harry zwrócił uwagę, że na liście zaznaczono również dwa pasy z amunicją, nieodpowiadające żadnemu modelowi broni.

– Możemy to pożyczyć, pani Willman? – spytał Bosch.

– Wolałabym nie. Zrobię wam kopię. Mam ksero.

– Lepiej byłoby, gdybyśmy dostali oryginalny dokument. Otrzyma pani pokwitowanie. Zwrócimy go tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Nie rozumiem. Po co wam to?

– Lista może odegrać ważną rolę w naszym śledztwie. Jeżeli tej broni użyto do dokonania zabójstwa, którym się zajmujemy, będziemy musieli udokumentować jej pochodzenie. Dzięki temu spisowi udowodnimy, że strzelba zaginęła co najmniej dziewięć lat temu, ponieważ w momencie wykonania przez panią inwentaryzacji po śmierci męża, już jej tam nie było.

– Okej – zgodziła się niechętnie kobieta. – Weźcie to sobie, ale chcę zrobić kopię, a oryginał ma do mnie wrócić.

– Wróci – powiedział Bosch. – Obiecuję.

– Wypiszę pokwitowanie – dodała Soto.

Gdy Lucy zajęła się papierkową robotą, Harry zadał pani Willman pytanie, które zachował sobie na sam koniec rozmowy.

– Jaką broń pani mąż miał przy sobie w chwili wypadku?

Zamiast odpowiedzieć, pani Willman w pierwszej chwili prychnęła z niedowierzaniem. Zachęcenie prawdopodobnie nie było adresowane do Boscha, lecz stanowiło raczej wyraz emocji dotyczących treści pytania. A przy okazji potwierdzało żywione przez Harry'ego podejrzenie, że pozew sądowy i zobowiązanie do milczenia nie były rutynowym rozwiązaniem sprawy o zadośćuczynienie. Bosch domyślił się, że Audrey Willman kwestionowała fakt, iż śmierć Davida Willmana nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku.

– Miał ze sobą strzelbę gładkolufową, dwudziestkę, jak zawsze – powiedziała.

– Strzelba gładkolufowa do polowania na dzika? To normalne?

– To nie on polował na dzika, tylko tamten drugi facet. Poprosił Dave'a, by był jego przewodnikiem. Mąż wziął broń na wypadek, gdyby dzik wypadł na niego z zarośli i zaatakował. Wtedy miałby się czym bronić.

Ani razu nie wymieniła nazwiska Broussarda. Bosch zastanawiał się, czy wynikało to z zawartej przed sądem ugody, czy po prostu nie mogła się zmusić do wymówienia nazwiska człowieka, który zabił jej męża. Raz jeszcze spróbował zburzyć mur zobowiązań prawnych.

– Jeżeli wie pani o swoim mężu oraz o Charlesie Broussardzie coś, o czym wolno pani mówić, chętnie posłuchamy.

Audrey Willman długo patrzyła na Boscha, a potem potrząsnęła głową.

– Nie mogę o nim rozmawiać w ogóle – powiedziała. – Nie wolno mi nawet wymieniać jego nazwiska. Moglibyście dać mi już to pokwitowanie

i sobie pójść? Mam parę spraw do załatwienia.

„Prawie” – pomyślał Bosch. „Prawie się otworzyła”.

## 25

Kiedy kwadrans później wyszli z domu, w aktówce Boscha spoczywał zabezpieczony notes. Zamiast pojechać dziesiątką, która stanowiła najszybszą trasę do Los Angeles, Harry skierował wóz ku Hemet.

– Dokąd jedziemy? – spytała Soto.

– Do domu, w którym mieszkał kiedyś Willman.

– Broń?

Bosch kiwnął głową.

– To tylko przeczucie, ale strzelba musi gdzieś tam być. Chcę sprawdzić garaż, w którym według Audrey jej mąż trzymał broń.

– Nie sądzisz, że ma ją Broussard? To by tłumaczyło, dlaczego uznał, że może się oczyścić z wszelkich podejrzeń i wyeliminować Willmana. Wiedział, że po śmierci tamtego nikt nie znajdzie strzelby.

– Możliwe. Ale może po strzale na Mariachi Plaza Willman powiedział mu, że pozbył się strzelby? Broussardowi tylko się wydawało, że jest poza podejrzeniem.

– I co? Willman wolał wziąć te podejrzania na siebie? Ukrył gdzieś broń?

Bosch skinął głową.

– Możliwe. Jako swoją polisę ubezpieczeniową. Pewnie schował ją tak, że żona nie miała pojęcia, gdzie szukać, gdy już Broussard go zabił.

Wyraz twarzy Soto świadczył, że zgadza się z Harrym.

– Okej. Potrzebujemy nakazu rewizji?

Bosch potrząsnął głową.

– Jeśli dostaniemy zgodę właścicieli, to nie.

Jechali chwilę w milczeniu, po czym Soto zadała następne pytanie.

– Co sądzisz o Audrey? Zdaje się, że bardzo chciała nam powiedzieć o tej ugodzie.

– Owszem. Czuje się winna.

– Z jakiego powodu?

– Wzięła pieniądze i trzyma gębę na kłódkę. Ona wie, że za tę forszę, pewnie nie miała, Broussard po prostu kupił sobie bezkarność. Pewnie wraz

z upływem czasu coraz trudniej jest jej z tym żyć. Nieważne, ile cyferek widnieje na jej koncie. Wszystkie te pieniądze to przekupstwo, sposób na zamknięcie ust. W każdym razie musimy znaleźć jakiś sposób, by się dowiedzieć, co zapisano w ugodzie.

– Bardzo chętnie bym sobie ją poczytała.

– Może pogadamy z prokuratorem okręgowym i zobaczymy, czy da się jakoś podważyć klauzulę poufności?

Pół godziny później dotarli do Hemet. Po drodze Bosch odebrał telefon od kapitana Crowdera, który zażądał informacji o postępach w śledztwie. Harry odparł, że właśnie trafili na ślad narzędzia zbrodni i mają nadzieję, że jeszcze dzisiaj lub jutro z samego rana przedstawią mu solidny raport. Zapewnienie to najwyraźniej uspokoiło kapitana, przynajmniej chwilowo, bo zakończył rozmowę, nie zadając więcej pytań.

Dawny dom Willmanów stał w dzielnicy zamieszkaniej przez przedstawicieli klasy średniej. Miał podwójny garaż i starannie utrzymane podwórko, a ściany zostały świeżo odmalowane, lecz mimo to w porównaniu z nową siedzibą pani Willman prezentował się bardzo skromnie. Zgodnie z rejestrem nieruchomości, do którego Bosch wcześniej zajrzał, należał obecnie do niejakiego Bernarda Contrerasa.

Na pukanie do drzwi zareagowała kobieta około trzydziestki. Była w ciąży, co najmniej w siódmym miesiącu.

– Pani Contreras?

– Tak?

Bosch wyciągnął odznakę i przedstawił siebie oraz Soto.

– Jesteśmy z Wydziału Zabójstw, szukamy broni, która może mieć związek z prowadzoną przez nas sprawą – zaczął.

Kobieta położyła dłoń na wystającym brzuchu, jakby chroniąc nienarodzone dziecko przed samym słowem „broń”.

– Nie rozumiem – powiedziała. – W tym domu nie ma żadnej broni.

– Nie chodzi o panią ani o pani męża – uspokoił ją Bosch. – Przyjechaliśmy ze względu na poprzedniego właściciela domu. On miał spory arsenał.

– Ten, którego zabito?

– Tak jest, ten, którego zabito. Handlował bronią. Szukamy jednej z jego strzelb.

– To przecież było tak dawno. Kupiliśmy z mężem ten dom...

– Wiemy. Dlatego prosimy o drobną przysługę w nadziei, że zechce pani nam pomóc w śledztwie.

Kobieta, wciąż stojąc w pozycji obronnej, spojrzała podejrzliwie na Boscha.

– To znaczy?

– Chcemy zajrzeć do garażu.

– Po co mielibyście zaglądać do mojego garażu?

– Ponieważ poprzedni właściciel, ten, którego zabito, trzymał w nim przynajmniej część swojej kolekcji. Chcemy tylko rzucić okiem i sprawdzić, czy nie ma tam poszukiwanej strzelby.

– Mieszkamy tu już sześć lat. Chybabyśmy znaleźli jakąś broń, gdyby ją zostawił.

– Pewnie ma pani rację, pani Contreras. Ale jako gliniarze musimy przekonać się o tym na własne oczy, żeby zamknąć wątek. Poza tym ta broń, jeśli tam w ogóle jest, musiała zostać dobrze schowana.

Kobieta zdjęła dłoń z brzucha. Sprawiała teraz wrażenie nieco spokojniejszej i Bosch pomyślał, że pewnie poczuła zaciekawienie.

– Potrzebny jest wam nakaz przeszukania czy coś takiego? – spytała.

– Nie, jeśli uzyskamy pani zgodę – odrzekł Bosch.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem kiwnęła głową.

– Otworzę bramę – powiedziała. – Ale mamy tam trochę pudeł. Rzeczy do wywiezienia. Nie chcę, żebyście tam zaglądali.

– Bez obaw, proszę pani. Nie będziemy myszkować po pani posesji.

Cofnęła się i zamknęła drzwi. Bosch i Soto poszli wykładaną płytkami ścieżką na podjazd i stanęli przed garażem. Brama pozbawiona była okienek, prawdopodobnie, jak domyślił się Harry, ze względów bezpieczeństwa, ponieważ Willman przechowywał w tym garażu broń.

Brama zaczęła się powoli unosić. Pani Contreras czekała już w środku, a jej dłoń znów spoczywała na górnej części brzucha.

Bosch wszedł do pomieszczenia i się rozejrzył. Był to typowy garaż na dwa samochody, ze stołem warsztatowym zajmującym wnękę oraz regałami i bojlerem na tylnej ścianie. Garaż nie został wykończony i wszędzie widać było drewnianą konstrukcję i izolację. Pewnie właściciel lub firma budowlana chcieli oszczędzić podczas budowy.

W pobliżu stołu warsztatowego stał kompaktowy samochód. Bosch nie miał wątpliwości, że z garażu korzysta raczej pani Contreras, podczas gdy jej



mąż parkuje wóz na podjeździe lub na ulicy.

Pod odsłoniętymi krokwiemi dachowymi widać było platformę magazynową z kilkoma pudłami. Bosch pokazał je ręką.

– Te kartony należą do państwa?

– Tak. Są nasze. Kiedy się tu wprowadziliśmy, dom i garaż stały kompletnie puste. Gdyby była tu jakaś broń, tobyśmy ją zauważyli.

Po obu stronach warsztatu do belek konstrukcyjnych ściany przytwierdzono ciężkie, stalowe szafki, jedną obok drugiej, zamykane na klucz, z dodatkowymi klamrami na kłódki.

– To skrzynki na broń – rzekł Bosch. – Były tutaj, kiedy się państwo wprowadzili?

– Tak, pani Willman je nam zostawiła, kiedy już kupiliśmy ten dom.

– Są zamknięte na klucz?

– Nie, nie zamykamy ich – odpowiedziała Contreras. – Niech pan sam sprawdzi.

Bosch otworzył szafki. W środku były zwykłe domowe rupiecie i ani śladu strzelby. Wspiął się po drabinie stojącej obok warsztatu i zlustrował wierzch skrzynek. Zobaczył tylko kurz i martwe owady.

Podszedł do długiego na dwa metry stołu warsztatowego. Na jednym z jego krańców zobaczył imadło z wyściełanym uchwytem. Drugie, mniejsze, przymocowano pośrodku stołu. Harry zbliżył się i poczuł słaby zapach rozpuszczalnika oraz oleju do czyszczenia broni – dwóch produktów, które każdy handlarz bronią musi mieć pod ręką.

– Ten stół także tu był, prawda? W imadłach umieszcza się strzelbę, kiedy się ją nawierca i mocuje celownik.

– Tak, stół został, uznaliśmy, że będziemy z niego korzystać. Ale zajmuje sporo miejsca. Mąż musi parkować samochód na podjeździe, choć właściwie nie ma nic przeciwko temu. W soboty lubi tu sobie pomajstrować.

Bosch tylko kiwnął głową. Patrzył na stół, którego powierzchnię pokrywały ślady oleju. Niewątpliwie był własnej roboty, zbudowano go z kantówek i sklejki. Pod blatem biegła pojedyncza półka. Obie powierzchnie wykonano z grubej na cal płyty ułożonej na ramie z kantówki. Na tej solidnej, ciężkiej konstrukcji spoczywały różne narzędzia elektryczne i inny sprzęt.

Bosch oparł się dłonią o stół i kucnął, żeby zajrzeć pod blat. Pod spodem, w narożniku ramy, zobaczył przytwierdzony opaskami zaciskowymi

przedmiot.

– Tu jest jakaś broń – powiedziała. – Pistolet.

– O matko! – wykrzyknęła pani Contreras.

Harry wyjął z kieszeni marynarki parę gumowych rękawiczek i je założył. Następnie sięgnął po swój telefon, kucnął i zrobił zdjęcia ukrytego pod blatem pistoletu. Błysk fleszu rozświetlił ciemność pod stołem.

Po udokumentowaniu znaleziska Bosch wybrał spośród rozmaitych narzędzi nożyk do wykładzin i przeciął nim plastikowe opaski. Wydobywszy pistolet, wstał i wraz z Soto zaczęli go dokładnie oglądać. Był to glock P17. Pani Contreras również nachyliła się, żeby lepiej widzieć. Na jej twarzy malował się wyraz zaniepokojenia.

Po chwili Bosch podał pistolet partnerce, która również włożyła gumowe rękawiczki, a sam zdjął marynarkę. Aby zajrzeć pod półkę stołu, musiał położyć się na powalanej olejem posadzce. Widząc to, pani Contreras wyciągnęła z szafki na tyłach garażu brezentową płachtę, rozłożyła ją na podłodze i wygładziła.

– Zniszczy pan sobie ubranie – powiedziała.

Bosch położył się na posadzce i ekranem telefonu oświetlił niszę pod dolną półką. Zobaczył kolejną sztukę broni palnej – tym razem dłuższej. Ponownie zrobił komórką zdjęcia, po czym poprosił o podanie nożyka i przeciął nim plastikowe zaciski.

Podał ciężki przedmiot Soto i wstał.

– O mój Boże – powiedziała pani Contreras.

Teraz już obiema dłońmi zasłaniała swoje nienarodzone dziecko.

Nie był to kimber model 84. Bosch rozpoznał karabin maszynowy M60. Z czasów wojny w Wietnamie, ładowany amunicją z pasów. Takie pasy amunicyjne znajdowały się na liście broni, którą żona Willmana sprzedała po jego śmierci. Przeznaczone do karabinu, który właśnie znaleźli. Bosch zastanawiał się, czy Willman ukrył go razem z glockiem, ponieważ obie sztuki broni zostały skradzione, czy może dlatego, że stanowiły cenne dla niego pamiątki.

– Czy to jest to, czego szukaliście? – spytała pani Contreras.

– Nie, to nie to – odrzekł Bosch.

Wziął karabin od Soto, gdyż ta ledwie była w stanie go utrzymać. Młodzi chłopcy, którzy dźwigali tę broń przez wietnamską dżunglę, kochali ją i jej nienawidzili. Nie bez powodu żołnierze, którzy musieli taszczyć ten karabin

podczas patrolów, nazywali go „świnia”. Jednak w razie wymiany ognia trudno było sobie wymarzyć lepszą broń.

Bosch delikatnie umieścił karabin w szczękach dwóch imadeł, a następnie cofnął się i ponownie zlustrował wnętrze garażu. Znaleźisko dodało mu energii. Nie było to wprawdzie to, czego szukali, jednak teza, że Willman ukrył gdzieś broń, okazała się słuszna. Miał wielką nadzieję, że kimber montaną uda się jednak znaleźć.

Skierował wzrok do góry, na belki stropowe.

– Może pan tam wejść, jeśli pan chce – powiedziała pani Contreras, która okazywała im teraz wszelką pomoc w poszukiwaniach. Najwyraźniej chciała się pozbyć broni z domu, w którym wkrótce miała wychowywać swe dziecko.

Na haku z drugiej strony garażu wisiała rozkładana drabina z włókna szklanego. Bosch zdjął ją, po czym ostrożnie, by nie uderzyć samochodu, okrężną drogą zaniósł w okolicę stołu. Tu rozłożył drabinę na całą długość, oparł ją o jedną z belek stropowych i mocno przytrzymał, gdy Soto wspięła się na górę. Harry wszedł za nią i chwilę później oboje kucali pod niskim sufitem na ułożonej na jętkach prowizorycznej platformie z desek.

Bosch zaczął szukać miejsc, gdzie można by coś ukryć, ale nie znalazł takiego, w którym zmieściłaby się strzelba. Już miał zrezygnować z poszukiwań, kiedy raptem Soto przywołała go na skraj platformy. Podszedł, wspierając się jedną ręką o krokwie.

Soto wskazała na dół. Przez otwór między dwiema jętkami widać było górną część jednej ze skrzynek na broń. Bosch nie od razu zobaczył to, co mu chciała pokazać.

– Gdzie? – zapytał.

– Za szafką. Jest przymocowana do dwóch belek, więc z tyłu zostało trochę miejsca.

Miała rację. Między dwiema belkami widać było trzydziestocentymetrowej szerokości pionowy kanał. Poupychano weń fragmenty pianki izolacyjnej, które można było z łatwością usunąć, i stworzono skrytkę na strzelbę. Boschowi nie przyszło to do głowy, kiedy wcześniej lustrował z góry powierzchnię skrzynek.

– Trzeba zdjąć te szafki – powiedział.

Opróżnienie obu szafek zajęło im pół godziny. Następnie Bosch – za pomocą

narzędzi Bernarda Contrerasa – poluzował śruby mocujące pierwszą ze stalowych szafek do belki. Aby dokończyć dzieła, musiał przekazać Soto klucz do nakrętek, a sam spróbował unieść metalowe pudło.

Kiedy Lucy, stojąc na drabinie, odkręciła cztery poluzowane śruby, Harry poczuł na sobie cały ciężar szafki. Ciężar ponad jego siły.

– Uwaga!

Bosch puścił skrzynkę, która zsunęła się po belkach na posadzkę i z głuchym łoskotem uderzyła o beton.

– Nic wam się nie stało?

– Nie – odparły jednogłośnie kobiety.

Harry spojrzał na pustą ścianę, którą wcześniej zasłaniała szafka. Faktycznie, między belkami widać było wolną przestrzeń o głębokości dziesięciu centymetrów. Pomędzy dźwigarami przybito do ściany poziomą belkę, tak aby powstała dolna podpórka pod schowek. Zamiast broni palnej spoczywał w nim miecz w pokrytej kurzem pochwie. Bosch wyjął go, by się lepiej przyjrzeć. Wyglądał na samurajski. Jego długie, lekko wygięte ostrze pozostało czyste i lśniące.

Harry oparł znaleźisko o warsztat i przeszedł do drugiej szafki.

Miał już wprawę, więc potrzebował zaledwie dziesięciu minut, aby poluzować śruby i ustąpić Soto miejsca na drabinie. Tym razem wiedział, czego się spodziewać, dlatego dociskając pudło ciężarem swojego ciała do ściany, powoli zsunął je na podłogę. Zanim zdążył się wyprostować, Soto oznajmiła, że w drugim schowku widzi broń.

Na widok strzelby Bosch poczuł gwałtowny wyrzut adrenaliny. Chciał jak najszybciej dostać broń w swoje ręce i przekonać się, czy to kimber, musiał jednak poczekać, aż Soto zrobi zdjęcia telefonem. Wtedy wyjął strzelbę ze schowka i trzymając ją poziomo w wyciągniętych rękach, zaczekał, aż Soto odczyta nazwę producenta.

– Nie mam okularów – wyjaśnił.

– Jest! – zawołała Lucy z ekscytacją, wskazując na lewą stronę kolby. – „Kimber model osiemdziesiąt cztery”. Mamy ją!

Na lewo od znaku firmowego Soto zlokalizowała numer seryjny i poprosiła Boscha, by porównał go z tym, który zapisał w swoich notatkach. Harry, oddawszy Soto strzelbę, ruszył po marynarkę, w której spoczywały zarówno jego okulary, jak i notes. Otworzył notatnik na stronie z numerem seryjnym i przeczytał go na głos.

– Pasuje – powiedziała Soto.

Jej głos lekko drżał.

A zatem znaleźli zaginioną strzelbę Davida Willmana. Teraz należało sprawdzić, czy była to ta sama broń, z której postrzelono Orlanda Merceda.

Bosch włożył marynarkę i spojrzał na stojące na posadzce garażu skrzynki. Nie było szans, by zdołał je zamontować z powrotem.

– Pani Contreras, będziemy musieli zarekwirować tę broń – powiedział.

– Proszę bardzo – odrzekła. – Mój mąż nie uwierzy, jak mu o tym opowiem.

– Cóż, pewnie nie będzie zadowolony, ponieważ nie jestem w stanie podnieść tych szafek i zainstalować ich na miejsce.

– Niech się pan tym nie martwi. Poprosi kolegów, to mu pomogą. Przesiadują tutaj często, długo będzie miał o czym opowiadać.

– Od razu mi lepiej. Zaraz wypiszemy pani pokwitowanie.

Załadowali broń do bagażnika samochodu, kładąc ją na kocu, którego Bosch czasem używał podczas obserwacji podejrzanego. Na koniec podziękowali pani Contreras i wręczyli jej pokwitowanie.

Wreszcie mogli ruszyć w drogę powrotną do Los Angeles. W wozie panowała atmosfera ekscytacji. Jeszcze rano Bosch miał poczucie, że sprawa utknęła w ślepym zaułku, ponieważ Broussard dla własnego bezpieczeństwa zdecydował się na ostateczne rozwiązanie, teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Harry znalazł to, czego szukał, i miał nadzieję, że strzelba, którą wieźli w bagażniku, okaże się narzędziem zbrodni. Co za niespodziewany zwrot akcji.

Bosch zerknął na zegarek i pomyślał, że gdy wróci do miasta, będzie już prawie siedemnasta. Wyjął telefon i zadzwonił do Zespołu Analiz Batalistycznych w laboratorium kryminalistycznym. Poprosił o połączenie z Gunem Chungiem.

– Jak długo będziesz jeszcze w pracy? – zapytał, gdy technik podniósł słuchawkę.

– Według rozkładu dyżurów do czwartej – odpowiedział Chung. – A co?

– Mamy broń z tego zabójstwa na Mariachi Plaza. Przynajmniej tak podejrzewamy. Tylko że nie zdążymy przed twoim wyjściem, bo jesteśmy w Riverside.

– O której powinieneś wrócić?

– Myślę, że przed piątą.

– W porządku, zaczekam. Przynies broń od razu do mnie, wykonam analizę porównawczą.

– Poza kolejką?

– Załatwię to w swoim czasie wolnym. Wtedy mogę robić, co chcę.

– Naprawdę doceniam to, stary. Postaramy się być jak najszybciej. Mogę mieć jeszcze jedną prośbę?

– Tak?

– Zadzwoń do Sekcji Daktyloskopijnej i spytaj, czy ktoś od nich mógłby się z nami spotkać. Chciałbym się dowiedzieć, czy zdołają zdjąć z tej broni odciski palców.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Bosch rozłączył się i przekazał Soto, że jadą od razu do laboratorium, gdzie Gun Chung dokona analizy porównawczej pocisku z kręgosłupa Orlanda Merceda i kuli ze strzelby leżącej w bagażniku.

– Powiedzmy, że to ta sama broń – rzuciła Soto. – Że mamy narzędzie zbrodni.

– Okej – zgodził się Harry.

– Opracujmy więc scenariusz zdarzeń. Chcę zobaczyć, jak to działa.

Bosch skinął głową. W sumie było to dobre ćwiczenie. Co prawda śledczy nie powinien nigdy najpierw tworzyć gotowego scenariusza, a potem dopasowywać do niego materiału dowodowego, jednak przesłanka, iż właśnie odkryli narzędzie mordu, siłą rzeczy nasuwała konkretne wnioski.

– W takim razie zacznij od naszej pierwotnej teorii, opartej na analizie balistycznej i dowodach z nagrań wideo – powiedział.

– Że kula, która trafiła Merceda, była przeznaczona dla Ojedy?

– Tak. Załóżmy, że uzyskaliśmy potwierdzenie, iż broń należała do Davida Willmana. Czy to on strzelał? Tego nie wiemy. Czy posiadał odpowiednie umiejętności? Tak. Czy znał kogoś, komu mógł dać swoją strzelbę, żeby ten oddał strzał? Myślę, że tak.

Kilka minut jechali w milczeniu. Bosch układał w głowie dalszy ciąg, po czym znów się odezwał.

– No dobra, jeżeli zatem narysujemy linię łączącą Ojedę i Willmana, to kto znajdzie się między nimi?

– Broussard.

– Broussard. Wychowywał się razem z Willmanem, prowadzili wspólny interes.

– A jego żona miała romans z Ojedą.

Bosch kiwnął głową.

– Patrząc na sytuację z punktu widzenia Broussarda, wygląda ona tak: Broussard ostrzega Ojedę, żeby trzymał się z dala od jego żony, lecz ten ma to gdzieś. Zatem Broussard idzie do Willmana i mówi: „Jest pewna robota, którą trzeba wykonać”. Willman przyjmuje zlecenie i umawia się ze strzelcem albo postanawia wykonać je sam, osobiście. Obstawiam to drugie, bo im mniej ludzi jest w coś zamieszanych, tym lepiej.

– Zgadza się. Też uważam, że to Willman.

– Willman oddaje strzał, ale zamiast Ojedy trafia Merceda. Wszystko idzie nie tak. Wiedzą, że gdyby załatwili jeszcze Ojedę, zrobiłaby się poważna afera, ponieważ policja przestałaby traktować incydent na placu jako przypadkowy postrzał albo skutek wojny gangów. Domyśliłaby się, że coś tu śmierdzi. Dlatego Broussard nie ma wyboru i każe Willmanowi zniknąć, przynajmniej na jakiś czas.

– A tymczasem Ojeda składa swoje gówno warte zaznania i ulatnia się z miasta.

– Czyli że strzał spełnił swoją funkcję. Trafili nie tego gościa, ale ten właściwy jednak znika.

– Ale Willman staje się dla Broussarda zagrożeniem, bo zna jego tajemnicę.

– Pytanie, dlaczego Willman w ogóle zgodził się wybrać tamtego dnia na polowanie z Broussardem. Prawdopodobnie powiedział mu wcześniej, że zachował sobie polisę ubezpieczeniową.

– Czyli broń.

– Tyle że Broussard zapewne uznał, że jest bezpieczny: po śmierci Willmana broń nigdy nie ujrzy światła dziennego i nikt nie połączy Króla Betonu ze strzałem na Mariachi Plaza.

Soto obróciła się w bok, żeby popatrzeć na Boscha, po czym podjęła jego myśl.

– Masz rację. Co prawda została jeszcze kula w *ciele* Merceda, jednak Broussard musiał dojść do wniosku, że skoro Merced przeżył, a dowód rzeczowy znajduje się w kręgosłupie muzyka, to as w rękawie Willmana nie jest już taki cenny. Nie ma znaczenia, czy schował gdzieś tę broń, czy nie, ponieważ brakuje pocisku, z którym można by ją porównać. Przecież nikt nie wyjmie kuli z żywego Merceda. Nikt nie udowodni, że posłużono się tą

konkretną strzelbą.

Bosch kiwnął głową.

– A Willman myślał, że jest bezpieczny i może pójść sobie z uzbrojonym Broussardem do lasu. Pomylił się.

Po tych słowach siedzieli chwilę w milczeniu. Harry analizował w myślach to, co zostało powiedziane, i nie potrafił znaleźć słabych punktów. Z drugiej strony była to jednak tylko teoria. Trzymała się wprawdzie kupy, ale to nie oznaczało, że wypadki przebiegły dokładnie tak, jak je opisali. W każdej sprawie pozostawały jakieś pytania, na które brakowało odpowiedzi, niewyjaśnione wątki dotyczące ludzkich motywów i działań. Bosch zawsze uważał, że skoro uznajemy zabójstwo za czyn nieracjonalny, to trudno oczekiwać jego w pełni racjonalnego wyjaśnienia. Z tego właśnie powodu nie lubił i nie oglądał filmów oraz programów o detektywach. Były one pozbawione realizmu, ponieważ ich jedynym celem było schlebienie gustom widowni, a to wymagało udzielenia odpowiedzi na wszystkie pytania.

Podniósł wzrok na umieszczone wysoko nad autostradą znaki. Zbliżali się do zjazdu na Cal State, gdzie w laboratorium czekał na nich Gun Chung.



## 26

Robocza teoria Boscha i Soto potwierdziła się, gdy Gun Chung zidentyfikował przywiezioną strzelbę marki kimber jako tę, z której dziesięć lat wcześniej strzelano do Orlanda Merceda.

Po sprawdzeniu broni na obecność odcisków palców Chung wykonał z niej pojedynczy strzał do specjalnej wanny z wodą, wydobył kulę, a następnie porównał ją pod mikroskopem z pociskiem wyjętym z Merceda. Choć materiał porównawczy był poważnie zdeformowany, po niespełna minucie Chung ogłosił wynik: dopasowanie nie budzi wątpliwości i jest gotów zeznać to w sądzie.

Bosch poprosił technika, aby oddał również strzały z karabinu M60 oraz pistoletu – w celu sprofilowania tych sztuk broni i wrzucenia ich danych do bazy. Oczywiście gdy tylko Chung znajdzie wolną chwilę. Być może pozostałe sztuki broni nie miały nic wspólnego ze sprawą Merceda, wypadało jednak to sprawdzić. Willman ukrył je przecież nie bez powodu. Nasuwały się pytania, na które należało znaleźć odpowiedź.

Sprawdzenia i analizy wymagał również samurajski miecz, tyle że broń biała nie była domeną Chunga. Harry planował przeszukać bazy danych pod kątem kradzieży mieczów oraz zbrodni popełnionych z ich użyciem – ale dopiero, gdy zamknie oba prowadzone śledztwa i będzie mieć więcej czasu.

Kiedy Bosch i Soto wrócili na komendę, nie było w niej nikogo, komu mogliby przekazać najnowszy raport. Crowder i Samuels już dawno wyszli, podobnie jak prawie wszyscy śledczy. Harry zaniósł więc znalezione w Hemet trzy sztuki broni palnej oraz miecz do zbrojowni, znajdującej się w sali archiwum. Nazajutrz rano planował sprawdzić bazy Agencji do spraw Broni pod kątem M60 i glocka.

Gdy wrócił do boksu, Soto czytała najnowszy zestaw informacji przekazanych telefonicznie w związku z obiecaną nagrodą, które Sarah Holcomb zostawiła jej na biurku.

– Nie masz przypadkiem zgłoszenia, że strzelał niejaki Dave Willman? –

zapytał Bosch. – I że poprosił go o to Charles Broussard?

– Chciałbyś – odparła Soto.

Harry usiadł zmęczony za biurkiem. Ostatnio długa jazda samochodem pozbawiała go energii.

– Jest tam coś ciekawego? – spytał.

– Nie bardzo. Oddzwoniła nasza anonimowa dama, która sądzi, że były burmistrz zna wszystkie odpowiedzi, ale Sarah akurat nie było i kobieta zostawiła wiadomość o podobnej treści co poprzednio: pogadajcie z Zeyasem. Tym razem Sarah sprawdziła jej numer. Niezarejestrowana komórka, karta prepaid.

– Zupełnie mnie to nie dziwi. Jeśli kobieta nie ma obywatelstwa, nie ma też dokumentów tożsamości i konta w banku, aby kupić sobie komórkę z abonamentem. Większość nielegalnych imigrantów w tym mieście używa kart jednorazowych. Są tanie i dostępne na każdym kroku.

Soto znów spróbowała się połączyć z numerem anonimowej informatorki. Rozmawiając z Boschem, trzymała słuchawkę przy uchu.

– Muszę powiedzieć, że jej determinacja daje do myślenia.

– Do myślenia? Na temat tego, czy eksburmistrz był zamieszany w postrzelenie Merceda?

– Nie, nie tego. To dość naciągane. Ale kto wie, może facet rzeczywiście dysponuje jakąś wiedzą.

– Okej, w takim razie to ty go przepytasz w tej sprawie. Powołaj się na anonimowe zgłoszenie. Zobaczmy, czy potem pozwolą ci zachować medal za odwagę.

– Wiem. Wariactwo.

– Wcale nie wariactwo. Po prostu niepotrzebna brawura, jeśli nie ma się mocniejszych przesłanek, a naprawdę nie sędzę, żeby się pojawiły.

Soto odłożyła słuchawkę.

– Znów poczta głosowa.

Bosch przysunął swój fotel bliżej Lucy i oświadczył, że chciałby zmienić temat i omówić ich kolejne posunięcia. Jego zdaniem rzeczą konieczną było teraz uzyskanie kompletnych *dossier*, zarówno Broussarda, jak i Willmana. Wykorzystując swój status starszego partnera, Harry wziął na siebie sprawdzenie Broussarda, Willmana przydzielił zaś Soto. Według Boscha nadszedł już czas, aby udać się do prokuratury okręgowej i porozmawiać o zebranych materiale dowodowym oraz o dalszych krokach niezbędnych do

postawienia podejrzanego w stan oskarżenia. Postanowił, że spróbuje się umówić na następny dzień, licząc, że dyżur pełnić będzie wówczas prokurator John Lewin albo ktoś inny, komu Bosch mógłby zaufać. Lewin zawsze szukał dróg porozumienia i dobrej współpracy z policją. Zależało mu na takich sprawach, które mogłyby wygrać przed sądem, podczas gdy niektórzy z jego kolegów na szesnastym piętrze budynku sądów sprawiali często wrażenie, że interesuje ich raczej szukanie powodów, aby postępowań nie wszczynać.

– A co z Bonnie Brae? – spytała Soto, gdy Bosch skończył mówić.

– Chyba musi zaczekać – odrzekł Harry. – Przynajmniej na razie. Trzeba iść za ciosem w sprawie Merceda. Poza tym należy przyjąć, że Broussard będzie chciał nam zaszkodzić w śledztwie. Na pewno wie o śmierci Merceda i zdaje sobie sprawę, że mamy już pocisk. Niewykluczone, że nas obserwuje. W tej sytuacji najlepiej się skupić na Mercedzie i posuwać dochodzenie szybko do przodu.

Soto była wyraźnie rozczarowana, ale zaakceptowała decyzję Boscha.

– A gdybym zajmowała się tym w czasie wolnym? – spytała.

Harry zastanawiał się chwilę.

– Nigdy nie zakazałbym ci pracy na własną rękę – odrzekł. – Tutaj mówimy na coś takiego „hobby”. Ale w tym wypadku nie jest to adekwatna nazwa, bo wiem, ile ta sprawa dla ciebie znaczy. Rozumiem, że też chcesz pójść za ciosem, dokończyć sprawdzanie stycznych i tak dalej. Chcę mieć jedynie pewność, że zasadniczą uwagę poświęcisz sprawie Merceda.

– Oczywiście, że tak, Harry. Obiecuję.

– Okej, w takim razie rób, co uważasz za konieczne.

Wracając do domu, Harry znów pojechał Mulholland Drive, zamiast Woodrow Wilson. Chciał raz jeszcze zobaczyć dom Charlesa Broussarda, choć sam nie wiedział, na co właściwie liczy. Szansa na ujrzanie podejrzanego – tak, Bosch doszedł już do punktu, w którym uważał tamtego za podejrzanego – była bliska zeru.

Mimo wszystko coś go ciągnęło do tej betonowej fortecy, w której Broussard tak długo skrywał się przed oczami ludzi i przed wymiarem sprawiedliwości.

Było już ciemno, gdy Harry zatrzymał się w zatoczce przy północnym punkcie widokowym. Znaki informowały, że okoliczny rezerwat przyrody od

zmierzchu do świtu jest nieczynny, ale przed wjazdem stały samochody i widać było ludzi, którzy podziwiali rozległy kobierzec świateł w Dolinie Kalifornijskiej. Bosch podszedł do punktu widokowego i skierował wzrok na prawo, wzdłuż grzbietu wzgórze. Ujrzał sterczącą krawędź betonowego domu, która wyraźnie wyłamywała się z linii budynków pomiędzy nim a platformą. W wysokich, sięgających od podłogi do sufitu oknach paliło się światło, a daleko w dole gołego zbocza Bosch dostrzegł podświetlony na niebiesko basen w kształcie nerki. I ani żywego ducha.

Usiadł na ławce, podziwiając widok. Wyglądał tak jak inni turyści na platformie, rozmyślał jednak o morderstwach i ludziach, którzy płacili innym za zabijanie swych wrogów i konkurentów. O absolutnych narcyzach, którzy sądzili, że świat kręci się tylko wokół nich. Zastanawiał się, ilu ich tam jest, w dole, pośród miliarda świateł jarzących się we mgle.

Nagle usłyszał za sobą czyjś władczy głos i odwróciwszy się, ujrzał strażnika parkowego. Facet świecił ludziom latarką po twarzach, informując, że teren jest zamknięty i że jeśli nie chcą narobić sobie problemów, muszą go natychmiast opuścić. Zachowywał się ordynarnie, jak kawał chama, a przy tym miał na głowie kapelusz z szerokim rondem w stylu Dudleya Doskonałego, który bynajmniej nie przydawał mu autorytetu. Gdy zbliżył się, by przegonić Boscha – jedyne, który nie spieszył się z odjazdem – Harry wyciągnął odznakę i oznajmił, że jest tu służbowo.

– I tak musi pan jechać – powiedział strażnik. – Park jest nieczynny.

Bosch zauważył na jego mundurze plaketkę z nazwiskiem Bender.

– Po pierwsze, nie świeć mi po oczach. Po drugie, prowadzę śledztwo i obserwuję pewien dom, a to jest jedyne miejsce, z którego go widać. Za dziesięć minut znikam.

Bender opuścił latarkę. Sprawiał wrażenie człowieka nieprzywykłego do takiego tonu.

– Naprawdę każą wam coś takiego nosić? – zapytał Bosch.

Bender przez chwilę mierzył go wzrokiem, na co Harry odpowiedział nie mniej hardym spojrzeniem. W poświacie bijącej z doliny Bosch widział, jak tamtemu pulsują żyły na skroniach.

– Ma pan jakieś nazwisko?

– Pewnie, że mam. Bosch. Wydział Zabójstw i Rozbojów. Dzięki, że pytasz.

Bosch czekał. *Twój ruch.*

– Dziesięć minut – powiedział Bender. – Wrócę sprawdzić.

Harry kiwnął głową.

– Od razu mi lepiej.

Strażnik odszedł w kierunku schodów prowadzących na parking, a Bosch znów skupił uwagę na betonowej fortecy. Zauważył, że światła przy basenie zostały zgaszone. Wstał i podszedł bliżej krawędzi platformy widokowej, którą chroniła sięgająca bioder bariera. Oparłszy się o nią, Harry wychylił się najdalej, jak tylko mógł, i spojrział na dom Broussarda. Z kieszeni kurtki wyciągnął małą lornetkę. Teraz widział także to, co znajdowało się za oświetlonymi oknami: salon z wysokimi na sześć metrów ścianami i dużym abstrakcyjnym malowidłem wiszącym na jednej z nich oraz kuchnię, w której za kontuarem krzątała się jakaś kobieta. Prawdopodobnie wyciągała naczynia ze zmywarki. Miała ciemne włosy, ale Bosch nie widział jej zbyt dobrze. Domyślał się, że to Maria Broussard, żona Króla Betonu, której małżeńska niewierność stała się zarzewiem tragedii.

Nagle zabrzęczała komórka Boscha. Harry cofnął się znad czeluści, schował lornetkę do kieszeni i odebrał telefon. Dzwoniła Virginia Skinner.

– Przede wszystkim jeszcze raz dziękuję za wczorajszą kolację – powiedziała. – Było mi naprawdę miło, świetnie się bawiłam.

– Ja też. Powinniśmy to powtórzyć.

Nastąpiła krótka pauza na przetrwanie wypowiedzianych słów, po czym Virginia przeszła do rzeczy:

– Chciałam cię spytać, czy nadal interesuje cię Charles Broussard.

Nim Bosch odpowiedział, przez chwilę gapił się na betonowy dom.

– Dlaczego pytasz?

– Bo mam dzisiaj leniwy poniedziałek, dlatego przejrzałam te wszystkie śmieci, które zebrały mi się na biurku. Wiesz, konferencje prasowe, zaproszenia od polityków i tak dalej. Tak naprawdę starałam się ustalić, co mogę wyrzucić, żeby zrobić sobie trochę miejsca na blacie, i natrafiłam na notatkę prasową na temat zbiórki funduszy na rzecz tymczasowego komitetu wyborczego Zeyasa. Impreza ma się odbyć jutro, a współgospodarzem jest Broussard.

– Jutro? W jego domu?

– Nie, w hotelu Beverly Hilton. Nie wiadomo nawet, czy Zeyas tam będzie, ale należy się spodziewać, że wpadnie na chwilę powiedzieć kilka słów.

– Trzeba mieć jakiś bilet albo zaproszenie?

– No cóż, ja niczego takiego nie potrzebuję. Jestem przedstawicielką mediów. Wszyscy inni płacą za wejściówkę pięćset dolców.

– Wybierasz się?

– Raczej nie... chyba że... jeśli ty idziesz, to może ja też się skuszę.

Bosch zastanawiał się nad sytuacją. Nazajutrz wieczorem jego córka miała uczestniczyć w policyjnej prowokacji związanej ze sprzedażą alkoholu nieletnim. Nie chciała, żeby ojciec jej w tym przeszkadzał i narobił jej wstydu, on jednak planował być na miejscu i czuwać nad Maddie tak, by niczego nie zauważyła. Miał poczucie, że sierżant odpowiedzialny za tę akcję nie będzie równie czujny, jak byłby on sam – nawet obserwując córkę z daleka.

– O której godzinie jest ta impreza?

– O dziewiętnastej, w Sali Merva Griffina.

– Być może będę w okolicy, wpadnę i się rozejrzę. Pozwolisz, że dam ci znać jutro?

– Pewnie. Czyli nadal się nim interesujesz?

– Nie mogę rozmawiać o śledztwie. Zawarliśmy układ, pamiętasz?

– Oczywiście. Obiecałam ci, że nie napiszę nic, dopóki nie dasz mi zielonego światła, więc spokojnie możesz mi o wszystkim powiedzieć. Nie wykorzystam tego.

Bosch zaczął iść w kierunku schodów prowadzących do zatoczki. Po tym, jak Skinner precyzyjnie streściła umowę, którą zawarli przed wczorajszą kolacją i o której od tamtej pory nie wspominali, rozmowa nagle stała się nieco niezręczna.

– Harry? Jesteś tam?

– Tak, jestem. Załatwiam pewną sprawę. Zadzwoń do ciebie jutro i powiem, czy będę na tej imprezie.

– Okej, świetnie. Wtedy pogadamy.

Bosch rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Miał już zejść po schodach do samochodu, lecz raz jeszcze rzucił okiem na dom Broussarda i zobaczył jakąś postać stojącą na jednym z balkonów. Wrócił więc na sam kraniec platformy widokowej i ponownie wyciągnął lornetkę.

Na balkonie stał przysadzisty mężczyzna z gęstą brodą. Ubrany był w szorty i koszulkę oraz coś, co wyglądało na rozpięty szlafrok, a w jego ręku jarzył się papieros.

I sprawiał wrażenie, że z uwagą przygląda się Boschowi.

Maddie siedziała za stołem w jadalni – na krześle, które Harry zwykle zajmował, wykonując jakąś pracę. Najwyraźniej pisała szkolne wypracowanie, bo stał przed nią otwarty laptop.

– Hej, mała, co na kolację? – zapytał Harry, po czym nachylił się i pocałował córkę w czubek głowy.

– Nie wiem. Dziś ty gotujesz.

– Nie, wczoraj wieczorem wypadała twoja kolej, a ponieważ zajmowałaś się Obiadami na Kólkach, przechodzi na dzisiaj.

– Wcale nie. To zbyt skomplikowany system, żeby mógł funkcjonować. Każdy powinien wiedzieć, kiedy wypada jego dzień. Poniedziałki są twoje.

Bosch zdawał sobie sprawę, że Maddie ma rację, zwłaszcza że już wcześniej dyskutowali na ten temat. Jednak wzrokowa konfrontacja z mężczyzną, którym musiał być Charles Broussard, wytrąciła go z równowagi. Harry wycofał się pierwszy i wrócił do samochodu.

– W takim razie nie mamy nic do jedzenia – powiedział. – Do kogo zadzwonimy? A może chcesz, żebym gdzieś skoczył?

– Do Poquito Más?

– Nie ma sprawy. To, co zwykle?

– Poproszę.

– Zaraz wracam.

Restauracja Poquito Más usytuowana była dosłownie pod ich domem, u stóp wzgórza. Gdyby Bosch się przyłożył, mógłby trafić kamieniem ze swojego tarasu w jej dach. Czasami wyczuwał nawet zapachy dolatujące z tego meksykańskiego lokalu. Jednakże dotarcie tam nie było już takie proste. Harry musiał zjechać wijącą się w dół zbocza Woodrow Wilson Drive, skręcić w Cahuenga Boulevard, a następnie wspinać się do restauracji przez prawie półtora kilometra. Była to jedna z owych dziwacznych sprzeczności cechujących to miasto: jeśli nawet jakiś obiekt wydawał się blisko, to zawsze leżał daleko.

Kiedy Bosch czekał na realizację swojego zamówienia, zadzwonił kapitan Crowder.

– Znasz strażnika parkowego nazwiskiem Bender?

Bosch zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Poznałem go dziś wieczór.

– No cóż, jemu się to spotkanie nie podobało.

– Chyba żartujesz? Dudley Doskonały złożył na mnie skargę?

– Chcę, żebyś jutro napisał notatkę z przebiegu tej rozmowy.

– Nie ma sprawy.

– Naprawdę naśmiewałeś się z kapelusza tego faceta?

– Tak, kapitanie, chyba tak.

– Harry, Harry, Harry... daj spokój, wiesz, że ci goście nie mają poczucia humoru.

– Człowiek uczy się całe życie, kapitanie.

– A właściwie to co ty tam robiłeś?

– Po prostu podziwiałem widoki.

– Cóż... Nie sądzę, żeby była z tego afera, ale napisz mi tę notatkę, dobrze?

– Zrobi się.

– Coś nowego w sprawie Merceda?

Bosch nie był jeszcze gotowy, aby wspomnieć szefowi o Broussardzie. Dlatego nie wspomniał.

– Znaleźliśmy broń – powiedział.

– Co?! – wykrzyknął Crowder. – Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Kiedy wróciliśmy, już pana nie było w biurze. Miałem zamiar powiedzieć rano.

– Gdzie ją znaleźliście?

– W domu pewnego umarlaka.

– To znaczy, że nasz strzelec nie żyje?

– Na to wygląda.

– Świetnie. Nie będzie procesu sądowego. W tym tygodniu możemy zamknąć sprawę i obwiązać ją wielką różową wstążką.

– Nie bardzo, kapitanie. Jeśli rzeczywiście strzelał ten facet, to ktoś go musiał do tego nakłonić. I tego kogoś powinniśmy dorwać.

Kobieta za kontuarem wywołała numer Boscha. Kolacja na wynos była gotowa.

– Znamy jego tożsamość? – zapytał Crowder.

– Pracujemy nad jej ustaleniem – odrzekł Bosch. – Jutro będę wiedział więcej.

Bosch wyczuwał, że Crowder chciałby usłyszeć coś jeszcze, ale zdawał też sobie sprawę, że kapitan jest wtyczką szefostwa. Nie mógł pozwolić, żeby



nazwisko Broussarda zaczęło krążyć po gabinetach, w których zajmowano się bardziej polityką niż policyjną robotą. Crowder dał za wygraną.

– Okej, Harry. Do jutra. Chcę wiedzieć to, co ty.

– Tak jest, kapitanie.

Bosch rozłączył się i chwycił leżącą na kontuarze torebkę z jedzeniem.

We wtorek po południu, po dwudziestu minutach siedzenia w poczekalni prokuratury okręgowej na szesnastym piętrze Centrum Sprawiedliwości im. Clary Shortridge Foltz, Bosch i Soto zostali przyjęci przez dyżurnego prokuratora. Harry domyślił się, że kazano im czekać, ponieważ poprosił o rozmowę z Johnem Lewinem, którego chciał zapoznać z dotychczasowymi ustaleniami w sprawie – a Lewina nie było. Zamiast niego siedział przed nimi młody ważniak, niejaki Jake Boland, którego gabinet wielkości trzy metry na trzy zdobił dyplom wydziału prawa na Harvardzie. Po pracowitym poranku, spędzonym na przygotowywaniu aktów oskarżenia, prokurator miał zakasane rękawy koszuli, a jego marynarka wisiała na wieszaku na drzwiach. Bosch i Soto usiedli w fotelach po drugiej stronie biurka.

– Nie przychodzimy w żadnej oficjalnej sprawie – powiedział Bosch.

– To znaczy? – zapytał Boland. – Pełnię teraz dyżur prokuratorski. Moim zadaniem jest stawianie podejrzanych przed sądem.

– Nie wiemy jeszcze, czy są ku temu podstawy. To chciałbym usłyszeć od pana. Ale bez wpisywania danych do rejestru. Wolałbym porozmawiać nieoficjalnie, bo jeśli teraz odrzuci pan nasz wniosek, później obrońca wyciągnie przed ławą przysięgłych fakt, iż początkowo prokurator odmówił wszczęcia procesu. Ustalmy więc, że przychodzimy tylko po radę.

Boland odchylił się w fotelu, jakby dystansując się od detektywów i ich sprawy.

– W takim razie nie mogę poświęcić wam zbyt wiele czasu. Moim obowiązkiem jest przygotowywanie aktów oskarżenia i jeśli nie będę go wypełniał, nigdy nie zostanę dopuszczony do prowadzenia spraw na sali rozpraw.

– W takim razie musi mieć pan solidnie przygotowane akta. Inaczej nikt pana nie dopuści przed oblicze sędziego.

– Proszę posłuchać. Niech mi pan po prostu powie to, co chce mi powiedzieć, żebym mógł się zająć kolejną sprawą. Mamy tu poczekalnię pełną detektywów, którzy przyszli z prawdziwymi wnioskami o wszczęcie

procesu. Być może dla was dwojga to pewna nowość, ale proszę mi wierzyć, że to się zdarza.

W tym momencie Bosch miał ochotę sięgnąć ręką na drugą stronę biurka i złapać Bolanda za ten jego fioletowy krawacik. Ostatek sił zdołał jednak nad sobą zapanować. Na przemian z Soto zaczął wprowadzać młodego prokuratora w swoje ustalenia – w tym główne odkrycie poczynione tego ranka, czyli to mianowicie, iż dwie pozostałe sztuki broni znalezione pod stołem warsztatowym Davida Willmana i zbadane przez Guna Chunga zostały użyte do popełnienia zabójstw w Las Vegas oraz w San Diego. Z jednej strzelano przed incydentem z Mercedem, z drugiej po. Co więcej, na strzelbie powiązanej z morderstwem Merceda wykryto odciski palców Davida Willmana.

Kiedy skończyli, Boland znów odchylił się w swoim fotelu, lecz tym razem postukał długopisem w wysunięty do przodu podbródek, jakby zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– Więc macie strzelca, który pracował na tym ranczu, a także broń, którą można powiązać z trzema zabójstwami – powiedział. – Ale między samymi zabójstwami nie ma żadnych związków?

Bosch potrząsnął głową.

– Poza faktem, że facet miał u siebie wszystkie trzy sztuki broni, z której dokonano morderstw? Nie. W Vegas zastrzelono jakiegoś rapera. Został zabity jak Tupac Shakur: z karabinu maszynowego, we własnym wozie. Zrobiono to tak, żeby policja uznała to za porachunki gangów, ale prawdopodobnie chodziło o jakiś nieudany biznes. Z kolei w San Diego pewien mąż kazał sprzątnąć żonę dla pieniędzy z polisy. Tak wówczas podejrzewano, ale facet miał alibi, a gliniarze żadnych tropów. Aż do dzisiaj.

Boland przestał na chwilę bębnić długopisem.

– A miecz?

– O nim nic jeszcze nie wiadomo.

– Domyślcie się, dlaczego ci ludzie w ogóle zgłaszali się do Willmana i zlecali mu zabójstwa? To znaczy: ogłaszał się w Internecie czy jak?

– Jeszcze nie wiemy, ale pracują już nad tym odpowiednie służby.

Boland kiwnął głową.

– Nawiasem mówiąc, mieliście nakaz rewizji, kiedy szukaliście tej broni? – zapytał.

– Nie – odrzekł Bosch. – Obecna właścicielka nieruchomości udzieliła

nam zgody.

Boland zmarszczył brwi.

– Mimo wszystko nie wygląda to najlepiej.

– Ale odbyło się zgodnie z prawem. – Bosch nie ustępował. – Właścicielka nie miała nic przeciwko. Sześć lat temu kupili z mężem tę posesję od Willmana. Po co mieliśmy prosić sędziego o podpis na przeszukanie garażu, skoro sama nas o to poprosiła, a znaleziona broń została tam bez wątpienia pozostawiona przez poprzedniego właściciela?

– Ponieważ przed sądem obrońca wyciągnie każdą wątpliwość. Zawsze trzeba mieć ze sobą nakaz. Detektywie, przecież to absolutne podstawy.

– Ale tu nie ma żadnych wątpliwości. Przeszukanie odbyło się we właściwy sposób. Na pewno studiował pan na Harvardzie?

Twarz Bolanda oblała się szkarłatem.

– Wie pan, co jeszcze jest absolutnie podstawową rzeczą, detektywie? – zdołał w końcu zapytać. – Powstrzymanie się od inwektyw pod adresem prokuratora, który ma przygotować akt oskarżenia w prowadzonej przez pana sprawie.

– Gdyby zachowywał się pan jak prokurator, nie byłoby żadnych inwektyw. I wcale jeszcze nie zamknąłem śledztwa. Przyszedłem spytać, czy czegoś nie pominęliśmy. Nie prosiłem, żeby pan naszczał na nasze dotychczasowe ustalenia.

Soto położyła dłoń na ramieniu Boscha, próbując go powstrzymać. Również Boland podniósł uspokajająco rękę i rzekł:

– Dobra. Zaczniemy od początku. Mniejsza o okoliczności przeszukania, da się z tym żyć. Moim zdaniem mamy tu do czynienia ze śledztwem dotyczącym wyłącznie nieżyjącego płatnego zabójcy, nie Broussarda lub kogokolwiek innego. W najmniejszym stopniu.

– Żona Broussarda miała romans z człowiekiem, który był celem zamachowca – rzuciła Soto.

– Kto tak twierdzi?

– Dysponujemy świadkiem, którego zeznania trzymają się kupy. Poza tym facet, który oddał strzał, prowadził interesy z Broussardem. I był jego najlepszym kumplem od czasów liceum. Pańskim zdaniem to nie wystarczy?

Boland odłożył długopis i pochylił się w fotelu.

– Oczywiście, że nie wystarczy – rzekł. – Jeśli zaczniecie drążyć to, co już macie, możecie być pewni kilku rzeczy. Po pierwsze, możecie być pewni,

że Broussard dysponuje żelaznym, niewzruszonym alibi. Założę się, że był wtedy w innym stanie i ma na to co najmniej dziesięciu świadków. Ci ludzie tak właśnie działają. Po drugie, możecie być pewni, że jego żona wszystkiemu zaprzeczy. Nie miała romansu, nie zna tego całego Ojedy, jej mąż nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Obrona przedstawi ją jako wierną małżonkę, solidnego świadka. I po trzecie, możecie być pewni, że *wasz* świadek, Ojeda, wycofa się, zanim w ogóle stanie przed sądem. Oni dotrą do niego pierwsi i kupią sobie jego milczenie albo go śmiertelnie wystraszą. Jedno z dwojga.

Soto z frustracją potrząsnęła głową. Boland nie przestawał podważać wartości ich ustaleń.

– Nie macie żadnych dowodów na to, że Broussard poprosił Willmana o dokonanie zabójstwa ani że mu zapłacił. Jak wspomniałem, być może udałoby się wam doprowadzić do skazania Willmana, lecz on już nie żyje. Żeby się dostać do Broussarda, musicie wykazać bezpośredni związek pomiędzy nim a popełnioną zbrodnią, a nie tylko między Broussardem i Willmanem. To, że się znali od czasów liceum, nie wystarczy. W oczach przysięgłych to żaden dowód.

– A co ze śmiertelnym postrzeleniem Willmana? – zapytał Bosch.

Boland wzruszył ramionami.

– Władze hrabstwa Riverside uznały to za wypadek. Tak orzekła ta cholerna inspekcja pracy. Jeżeli nie potraficie dowieść, że było inaczej, wszystko na nic. Brak znamion przestępstwa.

– A ugoda sądowa, którą Broussard zawarł z wdową po Willmanie? Jest szansa dowiedzieć się, czego dotyczyła?

– Prawdopodobnie nie. Broń, którą znaleźliście, nie ma z tym nic wspólnego, prawda?

Bosch niechętnie pokiwał głową. Nikt nie lubi się dowiadywać, że poniósł porażkę – zwłaszcza od tak nadętego kutasa. Jednak Harry’emu udało się wreszcie oddzielić irytujące cechy charakteru Bolanda od treści jego słów i rozumiał, że młody prokurator prawdopodobnie ma rację. Zrozumiał, że ta sprawa nadal wymyka im się z rąk. Dlatego gdy Soto chciała zaprotestować przeciwko krytyce, tym razem to Bosch położył jej rękę na ramieniu.

– W takim razie czego panu potrzeba? – zapytał prokuratora.

– No cóż, zawsze mile widziane jest podpisane zeznanie – odparł Boland. – Ale biorąc rzecz realistycznie, chciałbym dostać coś lub kogoś,

dzięki komu mielibyśmy wgląd w ten tajny układ. Gdyby Willman żył, moglibyśmy napuścić obu zainteresowanych na siebie i zobaczyć, który pierwszy zacznie mówić. Ale to oczywiście niemożliwe.

Bosch uświadomił sobie, że Boland chętnie machnie ręką na tę sprawę, a myśl, iż Broussard może się wywinąć od odpowiedzialności za postrzelenie Merceda, wprawiała go w przygnębienie.

– Okej – powiedział. – Zobaczmy, co da się zrobić.

– Powodzenia. I wiercie mi, nie lubię odrzucać aktów oskarżenia. Dużo bardziej wolę je sporządzać. Jednak, jak sam pan powiedział na początku, trzeba to robić we właściwy sposób, tak aby wygrać proces. W przeciwnym razie utknę w tym pokoiku do końca swojej kariery.

Bosch wstał, szykując się do wyjścia. Osobowość Bolanda była wprawdzie odpychająca, jednak Harry czuł, że ta pewność siebie oraz umiejętność przewidywania i strategicznego podejścia do spraw uczynią zeń kiedyś solidnego prokuratora. Gdy w końcu przełożeni docenią jego służalczość i wyślą go na salę sądową.

Wyszli z Soto na Spring Street i ruszyli pieszo do komendy. Kolejnym przystankiem na ich drodze miał być gabinet Crowdera, gdzie kapitan i jego zastępca czekali na obiecany raport. Biorąc pod uwagę reakcję Bolanda na dotychczasowe wysiłki śledczych, Bosch zdawał sobie sprawę, że także to spotkanie nie przebiegnie najlepiej. Rano Crowder powiedział mu, że ci z dziewiątego piętra mocno na niego naciskają, dlatego oczekuje konkretnych rezultatów. Bosch poprosił o jeszcze kilka godzin i teraz nadeszła chwila, kiedy nie mógł już dłużej unikać spotkania z kapitanem. Góra się niecierpliwiła i domagała, aby kapitan przekazał jej najnowsze informacje.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – spytała Soto.

– Chyba dam sobie radę sam – odrzekł Bosch.

– Co dalej?

– Jeszcze nie wiem. Jak sądzisz, powiedzieć im, że zaczniemy wywierać na Broussarda presję, żeby się przekonać, jak zareaguje?

– Jaką presję masz na myśli?

– Ciągle się nad tym zastanawiam. Może zapukamy do jego drzwi, a może damy jakiś przeciek do gazety.

– Zapukaj do jego drzwi, a na pewno od razu wezwie adwokatów.

– Jeśli to zrobi, da nam od razu do myślenia.

– A o czym miałyby być ten artykuł?

– Nie wiem. Może o tym, że wytypowaliśmy podejrzanego. Bez wymieniania nazwisk, za to z podkreśleniem, że udało się odnaleźć narzędzie zbrodni.

– Wtedy Broussard z całą pewnością będzie wiedział, że jesteśmy już blisko.

– Na tym właśnie polega ryzyko. Czy chcemy aż tak odkryć swoje karty? To desperacki ruch. Może jeszcze na niego za wcześnie? Sam nie wiem.

Boschowi nie podobała się myśl, że miałyby działać w desperacji. Tego rodzaju posunięcie oddałoby następny ruch w ręce przeciwnika. Oznaczałoby utratę kontroli nad śledztwem i uruchomienie mediów, co zawsze wiąże się z ryzykiem. Musieliby czekać na reakcję podejrzanego, co do której nigdy nie ma pewności i której nie da się w pełni przewidzieć.

Z doświadczeń Boscha wynikało, że takie rozpaczliwe posunięcie prowadzi czasem do bardzo pożądanых skutków, ale niekiedy też do straszliwych konsekwencji. Harry uczestniczył kiedyś w dochodzeniu, podczas którego szef zespołu dochodzeniowego postanowił podrzucić prasie fałszywą informację, jakoby policja siedziała już na karku seryjnemu gwałcicielowi i zabójcy. Ujawniono jeden dowód, który miał przekonać podejrzanego – szanowanego męża i ojca, człowieka na wysokim stanowisku – że gliny zacieśniają wokół niego krąg. Wkrótce potem rozdzwoniły się telefony. Facet porwał swojego szefa, zamknął się w magazynie i przystawił zakładnikowi nożyczki do szyi. Policja wkroczyła do środka, ale zbyt późno, by zapobiec morderstwu i samobójstwu. Dlatego absolutnie nie można było przewidzieć, co zrobiłby Broussard, gdyby się dowiedział, że śledztwo w sprawie Merceda coraz bardziej koncentruje się właśnie na nim.

Bosch pomyślał o imprezie połączonej ze zbiórką środków na fundusz wyborczy, która miała się odbyć tego wieczora w hotelu Beverly Hilton. Tam prawdopodobnie mogliby wyrzucić na Broussardzie lekką presję bez konieczności angażowania mediów. A przynajmniej byłaby okazja po raz pierwszy przyjrzeć się z bliska człowiekowi, który prawdopodobnie stał za śmiercią Merceda.

– Cokolwiek planujesz – powiedziała Soto – jestem z tobą, Harry.

– Co robisz dziś wieczorem?

– Dziś wieczorem? Nie wiem. Chcesz pojechać do domu Broussarda?

– Nie, ale facet właśnie organizuje przyjęcie ze zbiórką pieniędzy, poza

swoim lokum. Tak sobie pomyślałem, że może byśmy tam skoczyli. My byśmy się przyjrżeli jemu, a on nam. Dzięki temu mógłbym mieć Crowdera z głowy na jeszcze jeden dzień. Powiem mu, że spotkamy się jutro.

– Niezły plan. Wchodzę w to.

– No to jedziemy.

Resztę drogi przebyli w milczeniu.



Hotel Beverly Hilton był rozległym kompleksem o kilku wejściach. Dysponował wieloma różnej wielkości salami, w których odbywały się wesela, konferencje, zbiórki pieniędzy na cele polityczne i inne imprezy. W ciągu ostatnich lat Bosch bywał tam kilkakrotnie, zarówno w sprawach zawodowych, jak i osobistych.

Zaparkowali samochód w podziemnym garażu, a potem przeszli przez główny hol, poruszając się w tłumie gości. Znaki zawiodły ich do ruchomych schodów prowadzących do sal bankietowych. Po drodze minęli kilku hotelowych ochroniarzy w niebieskich blezerach, którzy, porozstawiani w całym holu ze słuchawkami w uszach, skanowali wzrokiem tłum. Harry domyślił się, że na kolację za minimum pięćset dolarów Zeyas zaprosił wiele grubych ryb.

Wjechali na pierwsze piętro i ruszyli długim korytarzem z mnóstwem drzwi prowadzących do sal balowych. Wspaniała Sala Merva Griffina znajdowała się na końcu. Jej podwoje stały otworem, wyczekując przybycia gości. Na ścianie między drzwiami umieszczono trzymetrowej wysokości plakat z czarno-białym zdjęciem Armanda Zeyasa, wykonanym w chwili, gdy wymieniał uściski dłoni z otaczającą go grupą uśmiechniętych zwolenników. Zrobiono je za pomocą obiektywu szerokokątnego, dzięki czemu widz odnosił wrażenie, iż Zeyas stoi pośrodku tłumy. Na widok wypisanego na plakacie hasła Bosch stanął jak wryty. Ponad wianuszkami ludzi – kobiet, mężczyzn i dzieci w różnym wieku i różnych ras – wypisano słowa:

ALBO LICZY SIĘ KAŻDY, ALBO NIE LICZY SIĘ NIKT!  
ZEYAS 2016

Pod plakatem znajdował się długi, przykryty obrusem stół, za którym siedziały trzy kobiety sprawdzające tożsamość gości i przyjmujące od nich pieniądze na rzecz kandydata do fotela gubernatora. Po obu stronach każdego

wejścia do sali balowej stało dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w niebieskich blezerach.

Bosch nie chciał się od razu ujawniać, dlatego skierował Soto na lewo od stołu powitalnego i krótkim bocznym korytarzem poprowadził partnerkę do szklanych drzwi wiodących na zewnętrzny taras. Wiedział, że miejsce to funkcjonuje jako nieformalna palarnia.

– Dokąd idziemy? – zapytała Lucy, kiedy przecisnęli się przez drzwi.

– Mamy strategiczną przewagę – odrzekł Bosch. – Trzeba ją utrzymać tak długo, jak tylko się da.

Wyszli na balkon, po którym hulał wiatr i z którego rozpościerał się widok na Wilshire Boulevard, zapakowany po brzegi pojazdami. Hotel znajdował się na skrzyżowaniu dwóch głównych i wiecznie zakorkowanych arterii komunikacyjnych – Wilshire i Santa Monica Boulevard.

Bosch oparł łokcie o balustradę i spojrzał w dół. Dawniej na pewno paliłby w takiej chwili papierosa.

– Na czym polega nasza przewaga? – zapytała Soto.

– Oni nie wiedzą, kim jesteśmy. Nie chciałem tak od razu podejść i machnąć odznaką. Byłoby nam trochę trudniej się tu poruszać.

– Myślałam, że chcemy tylko rzucić okiem na Broussarda i pozwolić jemu zerknąć na nas.

– Zgadza się. Ale trzeba to zrobić subtelnie. Dać mu do myślenia. Niech się zastanawia. Wiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak.

Lucy odwróciła się plecami do ulicy i spojrzała na potężną fasadę budynku.

– Więc to tutaj zmarła Whitney Houston – powiedziała.

– Tak. W wannie.

– W moim liceum podczas rozdania dyplomów puszczono jedną z jej piosenek.

– Którą?

– „Greatest Love of All”.

Bosch kiwnął głową.

– Dokąd chodziłaś? Do Garfield?

– Nie, wtedy mieszkałam w dolinie. Skończyłam Liceum San Fernando w Pacoimie.

– Zapomniałem, że stamtąd pochodzisz.

– A ty?

– Ja chodziłem do ogólniaka w Hollywood, ale go nie skończyłem. Bardzo wcześnie powołano mnie do wojska, po powrocie musiałem zrobić maturę.

– No tak. Wietnam. Studiowałeś?

– Dwa lata na City College. Potem wstąpiłem do policji. A ty co robiłaś po szkole średniej?

Lucy uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Odpowiedź wprawiła ją w lekkie zawstydzenie.

– Poszłam do Mills. To uczelnia dla dziewcząt w Oakland.

Bosch gwizdnął.

– Fajnie.

Teraz, gdy jego córkę dzielił od college'u tylko rok, Harry nieźle orientował się w ofercie edukacyjnej, zwłaszcza w Kalifornii. Do Mills bardzo trudno się było dostać, a jeszcze trudniej w niej utrzymać.

– Wiem, wiem – powiedziała Soto. – Jakim cudem dziewczynę z Pacoimy było stać na Mills?

– Raczej: dlaczego dziewczyna po Mills wylądowała w policji Los Angeles? – odparł Harry.

Kiwnęła głową. Dobre pytanie.

– No cóż, dostałam sowite stypendium i wybrałam Mills, ponieważ w tamtym czasie wydawało mi się, że chcę zostać prawnikiem. Wiesz, prawa człowieka, pomoc prawna, te rzeczy. Ale potem, kiedy wyjechałam z L.A. i zaczęłam na serio się zastanawiać nad życiem, uznałam, że będę policjantką, rozumiesz, że może to najlepszy sposób, aby pomagać ludziom z mojej społeczności.

Bosch skinął głową, zdając sobie sprawę, że Lucy nie mówi mu wszystkiego.

– No i była jeszcze kwestia Bonnie Brae – powiedział.

Soto także pokiwała głową, trochę w odpowiedzi, a trochę w zadumie.

– No właśnie, to też – odrzekła.

Wydawało się, że Lucy zarzuciła rozmowę, więc Bosch znów zaczął się zastanawiać, na co właściwie liczył, przychodząc na tę imprezę. Nie miał przecież żadnego planu – poza tym, aby przyjrzeć się Broussardowi. Był jak trener rozpracowujący przeciwnika. Miał nadzieję, że pozna człowieka, którego wziął na celownik, ale dopiero teraz, kiedy już się znaleźli na

miejscu, próbował wymyślić jakiś sposób na wejście do Sali Merva Griffina i dotarcie do Broussarda. Harry zaczynał sobie uświadamiać, że to był poroniony pomysł. Podczas wydarzeń politycznych tej rangi zawsze stosowano wzmocnione środki bezpieczeństwa. Niedorzecznością było myśleć, że aby przejść przez drzwi, wystarczy się wtopić w tłum. Bosch zaczął rozważać, czy nie zrezygnować i nie wrócić do Hollywood, żeby dyskretnie czuwać nad bezpieczeństwem córki.

– Harry? – odezwała się Soto.

– Co?

– Chyba za chwilę stracimy naszą strategiczną przewagę.

Bosch oderwał oczy od ruchu ulicznego w dole i odwróciwszy się, podążył za wzrokiem Lucy. Soto patrzyła na drugi koniec tarasu widokowego, na oddalone o jakieś dwadzieścia metrów drzwi. Właśnie wyszło przez nie dwóch mężczyzn w smokingach, którzy osłaniając ogień przed podmuchami wiatru, próbowali zapalić papierosy. Kiedy się wyprostowali, Bosch rozpoznał Connora Spivaka, prawą rękę kandydata Zeyasa. Również drugi mężczyzna wydał się Harry'emu znajomy. Był wielki i miał gęstą brodę.

– Czy to nie...? – odezwała się Soto, lecz Bosch wszedł jej w słowo.

– Broussard. Chyba tak.

Harry widział wcześniej tylko zdjęcia Broussarda i jego ciemną sylwetkę na balkonie domu poprzedniego wieczoru.

– Namierzyli nas.

Spivak zauważył detektywów i wraz z drugim mężczyzną szedł już w ich stronę.

– Co im powiemy? Dlaczego tu jesteśmy? – szepnęła Soto.

– Załatwię to – odrzekł Bosch. – Ty się nie odzywaj.

Spivak zbliżał się z uśmiechem. Drugi facet szedł nieco wolniej, kilka kroków z tyłu.

– Detektywi Bosch i Soto! – zawołał Spivak. – Tak właśnie myślałem. A to niespodzianka!

Uściskał dłonie policjantów.

– Co państwa tu sprowadza? – zapytał.

– Cóż – zaczął Bosch – usłyszeliśmy o tej kolacji i uznaliśmy, że wpadniemy na chwilę, może udałoby się zamienić parę słów z kandydatem. Wie pan, aby przekazać mu informacje o śledztwie, skoro angażuje w nie

własne pieniądze.

– Bardzo rozsądnie. Będzie pod wrażeniem. Ale jeszcze nie dotarł. Ma spotkanie w synagodze w Westwood. Pojawi się po kolacji i powie kilka słów do zebranych. – Spivak zerknął na zegarek. – Czyli za ponad godzinę. Ale ja chętnie posłucham najnowszych wiadomości i potem mu je przekażę.

Bosch spojrział przelotnie na Broussarda i ponownie wbił wzrok w doradcę Zeyasa.

– Och, oczywiście – zreflektował się Spivak. – To sprawa poufna i taką powinna zostać. Przy okazji, oto jeden z hojnych sponsorów dzisiejszego bankietu, pan Charles Broussard.

Broussard wyciągnął do Boscha dłoń, a Harry uścisnął ją, nawiązując z nim kontakt wzrokowy.

– Przyjaciele mówią mi Brouss – powiedział człowiek, którego Bosch uważał za odpowiedzialnego za śmierć Orlanda Merceda, po czym podał rękę Lucy. – Wykonujecie świetną robotę w bardzo trudnych warunkach. Życzę wam jak najlepiej. Uważajcie na siebie.

– Dziękujemy – odpowiedziała Soto.

– Brouss, mógłbyś poczekać na mnie w środku? – zasugerował Spivak.

– Nie ma problemu – odrzekł Broussard. – Tylko raz się zaciągnę. Papierosem, bo oczywiście do polityki zaciągnąłem się wcześniej.

Bosch uśmiechnął się, a Spivak roześmiał odrobinę zbyt głośno.

Broussard odchylił głowę do tyłu i wydmuchał dym w powietrze. Następnie rzucił papierosa na posadzkę i przydeptawszy go, żartobliwie kuksnął Spivaka w ramię.

– To na razie, Elektryk – powiedział. A potem, zwracając się do Boscha i Soto, dodał: – Miło było poznać.

To powiedziawszy, ruszył w kierunku drzwi, przez które wcześniej wyszedł na taras.

– To jakby tutejsze kulisy – wyjaśnił Spivak. – Czasem się tutaj wmykamy.

– Ile trzeba zapłacić, żeby zostać gospodarzem takiej imprezy? – spytał Bosch.

– Sto patyków – odrzekł doradca Zeyasa bez chwili wahania.

Harry gwizdnął.

– Stać go na to – ciągnął Spivak. – Ale mówił pan, że ma najświeższe informacje w sprawie Merceda.

– Tak, dla kandydata – odparł Bosch. – Jakie są szanse na pięć minut rozmowy, kiedy już się pojawi?

– Powiem szczerze, że niewielkie. Natychmiast po przyjeździe będzie musiał wejść na scenę. A zaraz po tym, jak go stamtąd ściągnę, zawożę go na lotnisko i wsadzę do samolotu. Jutro rano ma śniadanie modlitewne w San Francisco.

– A co z jego dewizą? Albo liczy się każdy, albo nie liczy się nikt. Nie poświęci nam chociaż kilku minut?

Spivak potrząsnął głową, jakby żałując, że nie może udzielić Boschowi lepszej odpowiedzi.

– Przykro mi, detektywie, ale to nie jest odpowiedni moment. Przekażę mu jednak wszystko, co mi powiecie, oczywiście z zachowaniem wszelkiej poufności. Tylko dla uszu kandydata.

Bosch przez chwilę kiwał energicznie głową, jakby rozważając możliwość skorzystania z oferty Spivaka, i w końcu odparł:

– To może poczekać. Proszę tylko powiedzieć kandydatowi, żeby trzymał swoją książeczkę czekową w pogotowiu.

Harry zamarkował ruch w kierunku drzwi.

– Czyli zbliżacie się do rozwiązania sprawy? – zapytał Spivak.

Bosch wyczuł ekscytację w głosie mężczyzny.

– To informacja dla kandydata – odparł, przyglądając się Spivakowi. – Nie dla nas. Jasne? Nie chcę, żeby pojawiła się w dzisiejszym przemówieniu albo w jutrzejszych gazetach.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdził Spivak. – Rzecz absolutnie poufna.

Bosch i Soto zostawili go i ruszyli ku drzwiom, przez które wcześniej weszli.

– Myślisz, że powie Broussardowi? – zapytała Soto, kiedy znów znaleźli się w budynku.

– Nie wiem. Może.

– Chciałabym zobaczyć minę tamtego.

– Chodźmy. Muszę się dostać do Hollywood.

Przeszli krótkim korytarzem. Stół przed drzwiami sali balowej już opustoszał. Bankiet się zaczął i panie sprawdzające zaproszenia weszły do środka. Zniknęli również ochroniarze, zapewne przeniesieni na posterunki po drugiej stronie drzwi, gdzie mieli czuwać nad bezpieczeństwem gości.

Bosch rozejrzał się dokoła. W pobliżu nie było nikogo prócz Soto. Szybko wsunął się za stół powitalny, zdjął ze ściany plakat i zaczął go zwijać w ciasny rulon.

– Harry, co ty wyprawiasz? – spytała Lucy teatralnym szeptem.

– On ukradł moje hasło – odparł Bosch. – Chcę je odzyskać.

Harry skończył zwijać plakat i odwrócił się w stronę korytarza. Doszli już prawie do ruchomych schodów, kiedy nagle zza rogu wyłoniła się Virginia Skinner. Miała spuszczone głowę, próbując wyjąć z torebki jakiś większy przedmiot.

– Ginny?

Dziennikarka podniosła wzrok i zatrzymała się gwałtownie, żeby nie zderzyć się z Boschem.

– Harry, tu jesteś.

Bosch podał swojej partnerce rulon, po czym wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu.

– Proszę – zwrócił się do Soto. – Idź po wóz. Odbierzesz mnie od frontu.

– Jasne.

Gdy Lucy zniknęła na schodach, Bosch skierował całą uwagę na Skinner.

– Mówiłaś chyba, że nie zajmujesz się tego typu imprezami – zagaił.

– A mnie się wydawało, że miałeś mi powiedzieć, gdybyś się na nią wybierał – odparowała dziennikarka.

– To się stało nagle, pod wpływem chwili. Nie planowałem tu dłużej zostać, dlatego nie zadzwoniłem.

– Ja też podjęłam decyzję dość impulsywnie – powiedziała Skinner. – Masz rację, nie zajmuję się takimi imprezami. Zazwyczaj. Ale pomyślałam sobie, że wpadnę, a potem może napiszę akapit lub dwa w mojej rubryce. Jeśli chodzi o Zeyasa, wszystko jest już jasne. Facet z całą pewnością wystartuje w wyborach, a ta cała gadka o „rekonesansie wyborczym” to kwestia czysto semantyczna.

– Czyli że twoja obecność nie ma nic wspólnego ze mną ani z tym, o czym rozmawialiśmy?

– Nie, absolutnie. Zawarliśmy umowę i ja jej dotrzymuję. Obiecałam.

– Okej, w porządku.

– Co to był za rulon? Ten, który dałeś tej dziewczynie? To twoja partnerka? Bardzo młoda.

Bosch nie wiedział, na które pytanie odpowiedzieć najpierw.

– Tak, to moja partnerka. W policji zawsze dobierają nas w pary typu stary wyga–młodziak. A ten zwój to po prostu pamiątka.

– Pamiątka po czym?

– Nic takiego. Nieważne.

– Widziałeś tu Broussarda?

– Widziałem. A nawet się z nim spotkałem. Przypadkowo, pojawił się razem ze Spivakiem.

– Ach, Spivak. Jedyne dziecko w świecie Zeyasa, którego szczerze nie znoszę. Oślizły typ. Myślę, że Zeyasowi wyszłoby na dobre, gdyby się go pozbył, zwłaszcza teraz, kiedy chce wejść na arenę stanową. Spivak to nie jest gracz z pierwszej ligi. To drobny lokalny cwaniak, który wyrósł ponad swój poziom kompetencji. Tak uważam.

– Broussard mówi do niego Elektryk.

– Tak, to stara ksywka. Kiedyś napisał dla jednego z kandydatów odezwę programową. Zawierała deklarację, że wyrok śmierci wykonywany w drodze zastrzyku powinno się zastąpić krzesłem elektrycznym. Zgodnie z tezą, że krzesło stanowi lepszy czynnik odstraszający. Pomysł, oczywiście, upadł, ale potem Spivaka zaczęto nazywać Elektrykiem.

Bosch pokiwał głową.

– No cóż – powiedział. – Muszę iść.

– A ja powinnam wejść do środka – oświadczyła Skinner.

– Będziemy w kontakcie.

– Jasne. Tylko pamiętaj, Harry, nasza umowa obowiązuje obie strony. Lepiej, żebym się od ciebie czegoś dowiedziała, zanim usłyszy to ktokolwiek inny.

– Bez obaw. We właściwym czasie dowiesz się wszystkiego.

Bosch zbiegł po ruchomych schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kiedy przez automatycznie otwierane drzwi wyszedł na hotelowy podjazd, Soto już czekała na niego w fordzie. Wskoczył do środka i ruszyli.

– Kim była ta kobieta na korytarzu? – zapytała Lucy.

– Och, zwykła znajoma – odrzekł Bosch. – Dziennikarka.

– Odniosłam wrażenie, jakby chciała być dla ciebie kimś więcej niż tylko znajomą.

– Serio? Nie zauważyłem.

Bosch wysadził Soto przed komendą, a sam skierował się z powrotem ku



Hollywood. Przełączył krótkofalówkę na policyjną częstotliwość i niebawem wiedział już, gdzie ma zostać przeprowadzona prowokacja z udziałem Odkrywców. Aktualnym celem był sklep spożywczy przy La Brea Avenue, na południe od Sunset Boulevard. Bosch pojechał na miejsce, ale nie za blisko. W jego zwykłym, poobijanym fordzie łatwo było rozpoznać nieoznakowany radiowóz. Gdyby zepsuł akcję, Maddie spaliłaby się ze wstydu.

Dwie następne godziny Harry spędził głównie na słuchaniu komunikatów z operacji, którą przeprowadzano równocześnie w kilku różnych miejscach Hollywood. Nikogo nie aresztowano. Zatrzymania miały nastąpić później, po przekazaniu wyników prowokacji prokuraturze i przygotowaniu aktów oskarżenia przeciwko konkretnym osobom bądź właścicielom sklepów z licencją na sprzedaż alkoholu.

Usłyszawszy, jak dowodzący akcją podaje kod oznaczający jej zakończenie, przynajmniej na ten wieczór, Bosch pojechał do domu przez Laurel Canyon aż do Mulholland, a następnie skręcił na wschód. Dzięki temu mógł minąć dom Broussarda. Ponownie zatrzymał się przy punkcie widokowym i rzucił okiem na betonową budowlę i basen, lecz nie zobaczył żadnych świateł ani postaci na balkonie, więc wrócił do wozu. Na szczęście tym razem udało mu się uniknąć spotkania z Benderem.

Do domu dotarł przed córką. Wysłał do niej esemesa z pytaniem, o której wróci, lecz ona nie odpisała, tylko po prostu zjawiała się pięć minut później. Bosch zapytał o przebieg akcji, nie zdradzając się, że właściwie zna już odpowiedź, ponieważ podsłuchiwał całą operację.

– Było świetnie – powiedziała Maddie. – Założyłam ten fałszywy kolczyk w nosie. Niezły ubaw.

– Ilu sklepikarzy sprzedawało wam alkohol? – spytał Harry.

– Prawie wszyscy. Wybór miejsc nie był przypadkowy. Wszystkie te sklepy miały już wcześniej problemy albo przynajmniej składano na nie skargi. Jeden ohydny facet powiedział, że sprzeda mi sześciopak, jeśli pójde z nim na zaplecze i zrobię mu dobrze ustami. Obel, no nie?

– Taa.

Bosch nie słyszał o tym incydencie podczas nasłuchu policyjnej częstotliwości, lecz postanowił, że nie zada już ani jednego pytania więcej. Po prostu przytulił córkę.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział.

– Dzięki, tato. Wiesz co, jestem strasznie zmęczona, a jutro mam szkołę.

– No to idź spać.

– Idę. Dobranoc.

– Dobranoc.

Patrzył, jak Maddie zmierza w stronę sypialni.

– Hej, Mads.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Co to właściwie znaczy „obel”?

– No... Oblech, zbok.

Harry kiwnął głową.

– Tak myślałem. Dobranoc.

– Dobranoc.

## 29

Soto znów pojawiła się w pracy przed Boschem. Harry zaczął się zastanawiać, czy Lucy nie rzuca mu przypadkiem wyzwania, by się przekonać, które z nich jest bardziej zaangażowane w swoją robotę, kto jest w stanie przyjść wcześniej i zostać dłużej. Żaden z dotychczasowych partnerów Boscha nie zachowywał się w ten sposób, toteż Harry był pod wielkim wrażeniem tej niezwyklej postawy.

Lucia nie zauważyła jego obecności, dopóki nie położył aktówki na swoim biurku, wydając przy tym głośny stukot. Wtedy odwróciła się w fotelu i powitała Boscha szeroko otwartymi oczyma oraz wielkim uśmiechem.

– Harry! Znalazłam styczną!

– W sprawie Bonnie Brae?

– Tak. Przyszłam wcześniej rano i usiadłam nad listą lokatorów. Miałam rację. Istnieje powiązanie między Bonnie Brae a napadem na EZBank. I to jednoznaczne.

Bosch przyciągnął sobie fotel i usiadł przed Soto.

– Okej, mów.

Lucy wskazała otwarty segregator na swoim biurku.

– Przejrzałam listę lokatorów z roku dziewięćdziesiątego trzeciego. Zaczęłam od parteru i szłam w górę, aż coś znalazłam. Mieszkanie trzy-G, dwupokojowe. Zajmowała je niejaka Stephanie Perez.

– Pamiętasz ją z tamtych czasów? Znałaś ją?

– Nie, to za duży blok, a ja byłam jeszcze małym dzieckiem. Nie miałam kontaktu z żadną osobą dorosłą poza rodzicami i opiekunkami z przedszkola, na przykład panią Esi.

Bosch kiwnął głową.

– Okej, przepraszam, że przerwałem. Mów dalej.

– No dobra, więc ta Stephanie Perez została wtedy przesłuchana. Straż pożarna i policja maglowały wszystkich, zeznania są tutaj, w segregatorze numer trzy. Śledczy oceniali wiarygodność świadków oraz wartość udzielanych przez nich informacji w skali od jednego do pięciu. Pięć

oznaczało najwyższą wartość. Stephanie Perez przyznano ocenę jeden w obu kategoriach. Szybko o niej zapomniano, ponieważ nie wniosła niczego istotnego. Miała wtedy dwadzieścia cztery lata, była niezamężna, pracowała jako kasjerka w supermarkecie Ralphs. Żadnych związków z gangami, nienotowana. Kiedy wybuchł pożar, przebywała w miejscu pracy.

– Okej.

– Ale ponieważ sama zajmowała mieszkanie z dwiema sypialniami, zapytano ją o ten jeden niewykorzystany pokój. Odpowiedziała, że miesiąc wcześniej wyprowadziła się od niej współlokatorka, a ona szuka właśnie kogoś nowego.

Bosch instynktownie wszedł partnerce w słowo.

– Jeden z pracowników EZBanku szukał pokoju do wynajęcia?

– Nie, ale też pomyślałam o takiej możliwości. Dlatego skontaktowałam się ze Stephanie Perez, żeby się dowiedzieć, czy cokolwiek jeszcze pamięta. W protokole z przesłuchań lokatorów znajdowały się numery praw jazdy oraz daty urodzenia. Nietrudno ją było odszukać.

– Gdzie teraz mieszka?

– Nadal w tej samej dzielnicy, tylko w budynku przy Wilshire. I ciągle pracuje w supermarkecie Ralphs, już jako zastępca kierownika. Wyszła za mąż, rozwiodła się, ma dwoje dzieci.

– Kiedy do niej dzwoniłaś?

– Mniej więcej pół godziny temu. Zaczekałam do siódmej.

Bosch spochmurniał. Tak wczesny kontakt telefoniczny stanowił ryzyko. Mógł zdenerwować osobę, która została właśnie obudzona i zarzucona pytaniami o to, co wydarzyło się dwie dekady wcześniej. Soto pojęła te obawy.

– Nie, absolutnie jej to nie przeszkadzało. Już dawno nie spała, szykowała się do pracy.

– Miałaś fart – rzekł Bosch. – Co ci powiedziała?

– Wyprowadziła się zaraz po pożarze, więc nigdy nie miała współlokatora na drugi pokój. Nie zdążyła się też spotkać z żadnym kandydatem. Ogłoszenie dała w „La Opinión”.

– Czyli chodzi o osobę, która wcześniej zajmowała pokój w jej mieszkaniu?

– Właśnie. Nazywała się Ana Acevedo i pracowała w EZBanku. To ona otworzyła napastnikom drzwi.

Bosch kiwnął głową. Trop był wyraźny, powiązanie oczywiste. W jednej chwili zrozumiał, że śledztwo dotyczące pożaru na Bonnie Brae nabrało właśnie tempa i muszą kuć żelazo, póki gorące. A to oznaczało, że należy obłaskawić kapitana Crowdera w sprawie Merceda, co mogło się okazać niełatwe.

– Jest coś więcej? – zapytał. – Co ci jeszcze powiedziała?

– Sprawy idą do przodu, Harry – odrzekła Soto. – Potwierdza się to, co do tej pory ustaliliśmy. Stephanie Perez była główną najemczynią zajmowanego lokalu. Poprosiła Anę, żeby ta się wyprowadziła, ponieważ dziewczyna sypiała z dwoma facetami na zmianę. Jednym z nich był biały chłopak, paskudny typ, rasista, mimo że spotykał się z Aną. Stephanie nie chciała mieć z nim nic wspólnego, zwłaszcza gdyby ten chłopak dowiedział się o drugim mężczyźnie, bo wtedy, jej zdaniem, na pewno doszłoby do użycia przemocy. Kilkukrotnie ostrzegła Anę, że sytuacja wymknie jej się spod kontroli, ona jednak nic z tym nie zrobiła. Dlatego Stephanie kazała się Anie wyprowadzić i tak się stało. Wyniosła się na miesiąc przed pożarem.

Bosch przypomniał sobie nazwisko, które przeczytał w kronice wypożyczonej z gabinetu kapitana Sekcji Rozbojów.

– Rodney Burrows?

– Tak właśnie myślę. Kobieta nie pamiętała nazwisk, ale kiedy wymieniłam Rodneya, potwierdziła: tak, jeden z nich miał na imię Rodney. Spytałam: „Rodney Burrows?”. Nazwisko nic jej nie mówiło. Powiedziała, że jeśli przyniosę jej do sklepu jakieś zdjęcia, chętnie spojrzy.

– Okej, a co z tym drugim facetem?

– To samo. Spytałam: „Maxim Boiko?”, a ona pamiętała tylko imię, Max, ale nazwiska już nie. Też chętnie zerknie na fotki.

– Mówiła, jak długo ci faceci przychodzili do jej mieszkania? Nocowali tam, wynosili śmieci i tak dalej?

– Nie wdawałam się w takie szczegóły, ale to pytanie o śmieci jest bardzo dobre. Odniosłam wrażenie, że oni faktycznie tam nocowali i że Stephanie się ich bała. Bała się, że któryś może niespodziewanie przyjść i zastać Anę z tym drugim.

– No tak.

Bosch zastanawiał się przez chwilę nad sytuacją. Faktycznie, wyglądało na to, że znaleźli powiązanie, którego szukali.

– Myślę, że złapaliśmy wiatr w żagle, Harry – powiedziała Soto.

Bosch kiwnął głową, lecz jego umysł wciąż przeskakiwał z jednej ewentualności na drugą.

– Czy Perez przyszło kiedykolwiek do głowy, że to Ana podłożyła ogień? Wiesz, w ramach zemsty za wyrzucenie z mieszkania?

– Nie pytałam. A powinnam.

Harry znowu skinął głową.

– Dobra – rzekł. – Weźmy zdjęcia całej trójki i zacznijmy od Stephanie Perez w markecie Ralphs. Tylko szybko, zanim wpadnie tu kapitan i zażąda najnowszych informacji o Mercedzie.

– Jasne.

– Przy okazji: sprawdzałaś, czy któryś z pracowników EZBanku był notowany?

– Już w niedzielę, jak tylko zdobyliśmy ich nazwiska z kroniki, zaczęłam wyszukiwać adresy i wszelkie informacje z przeszłości. Acevedo i Boiko są czyści. Natomiast Burrows w dwa tysiące szóstym roku poszedł do więzienia federalnego za przestępstwa fiskalne.

– Przestępstwa fiskalne?

– No. W latach dziewięćdziesiątych przez jakieś sześć lat nie składał zeznań podatkowych i federalni go przyskrzynili. Poszedł na współpracę w zamian za skrócenie odsiadki. Zamknęli go w Lompoc, gdzie spędził za kratkami dwadzieścia dwa miesiące.

– Fajnie. Coś jeszcze?

– To wszystko, co znalazłam.

– Gdzie teraz mieszka?

– Gdzieś na pustyni. To miejsce nazywa się chyba Adelanto. Obejrzałam sobie jego dom na Street View. Straszna rudera, ogrodzona płotem pośrodku zadupia.

Bosch kiwnął głową. Adres na odludziu, unikanie płacenia podatków, relegowanie z akademii policyjnej i pozbawione wszelkiej wrażliwości rasistowskie odzywki – Harry zaczynał sobie wyrabiać opinię o Rodneyu Burrowsie.

– Poprosiłaś o akta tej sprawy podatkowej? – spytał.

– Nie, nie było czasu – zaczęła się tłumaczyć Lucia. – Wczoraj mieliśmy pełne ręce roboty z Mercedem.

– Wiem, wiem – uspokoił ją Bosch. – Tak tylko pytam. Mamy jakieś policyjne zdjęcie od federalnych?

- Jedno jest w Internecie. Muszę je tylko wydrukować.
- Okej, natomiast jeśli chodzi o Acevedo i Boiko, to skoro są nienotowani, wykorzystamy fotki z praw jazdy.
- Dobrze, tylko czy to są aktualne zdjęcia? Kobieta może ich nie rozpoznać na fotografiach zrobionych dwadzieścia lat później. Stephanie mówiła, że od tamtych czasów ich nie widziała.

Bosch namyślał się przez chwilę, rozważając ryzyko. Każda próba identyfikacji zakończona błędnym wskazaniem mogła się odbić negatywnie podczas rozprawy przed sądem.

– Mimo wszystko chcę, żeby Perez spojrzała na te zdjęcia. Zbierz je do kupy, a ja zadzwonię do znajomej u federalnych. Może uda nam się zajrzeć do akt sprawy Burrowsa. Chciałbym już sporządzić jego profil.

- Tak jest.
- Kapitan przychodzi o ósmej. Zbieramy się.
- Już.
- Dobra robota, Lucy, naprawdę.
- Dzięki.

Bosch zaczął odpychać się w fotelu z powrotem w stronę swojego biurka, lecz nagle zatrzymał się i spojrzał na Soto.

– Wiesz co, muszę powiedzieć, że cię nie doceniłem. Jeszcze dwa tygodnie temu nie byłem pewny, czy w ogóle nadajesz się do tej pracy. Teraz już nie mam wątpliwości.

Soto nie odpowiedziała. Bosch skinął jej głową i odwrócił się do biurka.

W komórce otworzył listę kontaktów i wybrał prywatny numer Rachel Walling z FBI. Minęły co najmniej dwa lata, odkąd ostatnio rozmawiali. Mimo to Harry liczył, że numer jest nadal aktualny i że Rachel odbierze. No i że wciąż pracuje w oddziale Biura w Los Angeles. Jeśli chodzi o FBI, nigdy niczego nie można być pewnym. Dziś przydział tu, w Miami lub w Dallas, a jutro na przykład Filadelfia. Pamiętał, że przed L.A. Walling pracowała w Minot w Dakocie Północnej.

Odebrała telefon.

– No, no, no. Harry Bosch. Człowiek, który dzwoni tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebuje.

Bosch się uśmiechnął. Zasłużył na tę uszczypliwość.

- Jak się masz, Rachel?
- W porządku. A ty?

– Nie narzekam, poza tym, że chcą mi wkrótce wyciągnąć stołek spod tyłka. Jestem na kontrakcie emerytalnym.

– Przynajmniej możesz jeszcze chwilę zostać i popracować... do kiedy? Do sześćdziesiątego piątego roku życia?

– Hej, chwilunia. Nie jestem jeszcze taki stary!

– Wiem, miałam na myśli to, że u nas wywalają z roboty, kiedy dobijesz do pięćdziesięciu siedmiu. Tu nie istnieje nic takiego, jak Opcjonalny Plan Odroczenia Emerytalnego.

– To nie fair. Hej, ale jeszcze przez dwie dekady nie musisz się o to martwić, prawda?

Prawie usłyszał, jak Rachel się uśmiecha.

– Pochlebca z ciebie, Harry. Musisz bardzo, ale to bardzo czegoś ode mnie chcieć.

– Cóż, dzwonię tylko, żeby się dowiedzieć, jak ci leci, ale jeśli naprawdę chcesz, żebym cię o coś spytał, to spytam. Znasz w skarbowce kogoś, kto mógłby sprawdzić dla mnie pewną starą sprawę?

Nastąpiła pauza, lecz niezbyt długa.

– Wiesz, że urząd skarbowy nie dzieli się informacjami z nikim, nawet z nami. Co to za sprawa?

– Unikanie płacenia podatków, z roku dwa tysiące szóstego. Facet uchylał się przez kilka lat. Teraz mieszka sobie na pustyni, ale moim zdaniem to typowy „ista”. Rozumiesz: ekstremista, separatysta, surwiwalista, biały rasista. Do wyboru. A kto wie, może nawet poligamista? Co gorsza, przez sześć lat nie płacił podatków. Nie dlatego, że zapomniał. Tak postanowił.

– Skoro tak, to prawdopodobnie będzie coś o nim też u nas. Czym się teraz zajmujesz? Starymi sprawami, tak?

– Tak, i myślę, że ten facet należał do trzyosobowej grupy, która w dziewięćdziesiątym trzecim roku napadła na małą placówkę bankową, rabując ćwierć miliona dolarów. Moim zdaniem był ich wtyczką w banku. Chcę się czegoś o nim dowiedzieć, ale byłoby też miło ustalić tożsamość jego ówczesnych współników.

– Ktoś zginął?

– Podczas napadu nikt, ale kilka ulic dalej wybuchł pożar, który miał odwrócić uwagę policji. Dziewięć ofiar śmiertelnych, w większości dzieci. To działo się chyba przed twoim przyjazdem do Los Angeles. Wtedy jeszcze zwiedzałaś Dakotę Północną.



– Nie przypominaj mi tego. Przekaż mi dane, a ja zobaczę, co się da zrobić.

Bosch wahał się, lecz tylko przez chwilę. Przedstawiając jej zarys prowadzonego przez siebie śledztwa, nawet w tak zawołowany sposób, odsłonił przed nią swoje miękkie podbrzusze. Gdyby teraz podał jeszcze wszystkie nazwiska i szczegóły dochodzenia, to teoretycznie nic nie mogło powstrzymać agentki od zajęcia się tą sprawą, a być może nawet odebrania jej Departamentowi Policji Los Angeles. Ale przecież to była Rachel Walling, znali się od bardzo dawna. Harry czuł się bezpieczny.

– Rodney Burrows – powiedział.

– Masz jakiś numer sprawy, datę urodzenia, cokolwiek?

– Poczekaj chwilkę.

Bosch okręcił się w fotelu, zasłonił dłonią telefon i poprosił Soto o informacje na temat Burrowsa. Wyciągnęła notatnik z zapiskami. Harry zdjął rękę z aparatu i odczytał je agentce.

– Nie ustaliliście żadnych współników przestępstwa?

– Żadnych. Mam nadzieję, że ty mi w tym pomożesz.

Bosch odwrócił się w stronę biurka, jednocześnie sprawdzając godzinę na ściennym zegarze. Zdawał sobie sprawę, że muszą jak najszybciej wyjść z sali detektywów, w przeciwnym razie czeka ich konfrontacja z Crowderem i rozmowa o sprawie Merceda. Wstał.

– W porządku? – zapytał. – Wystarczy ci to, czy potrzebujesz czegoś więcej?

– Potrzebuję śniadania, a ty jesteś teraz moim dłużnikiem – odrzekła Walling. – Może spotkamy się o dziewiątej w Dining Car?

Bosch pomyślał o zaplanowanej rozmowie ze Stephanie Perez w supermarkecie Ralphs, który znajdował się niedaleko Pacific Dining Car. A potem uświadomił sobie, że z powodu nieudanej próby przyjscia do pracy wcześniej niż Soto sam też nie jadł śniadania.

– Może o dziesiątej?

– Za późno. Dziewiąta trzydzieści.

– Chyba da się zrobić. Czy mógłbym przyprowadzić ze sobą...?

– Przyjdź sam, Bosch. Nie chce mi się poznawać kolejnego gliniarza.

– Hm, okej. Jasne.

Uzmysłowił sobie, że mówi już do głuchoj ciszy w słuchawce.

Jechali do supermarketu Ralphs samochodem, Bosch jak zwykle prowadził. Milczał, rozważając kolejne ruchy w śledztwie, które właśnie ruszyło z kopyta. Wiedział, że będą mieli tylko jedną szansę i że należy ją dobrze wykorzystać. Wszystko wskazywało na to, że trzeba będzie wsadzić Rodneya Burrowsa do aresztu i spróbować go złamać. W tej chwili brakowało im jednak potrzebnych do tego narzędzi. Nie mieli świadków ani namacalnych, niepodważalnych dowodów. Bazowali wyłącznie na poszlakach i zbieżności czasowej. I na przeczuciu.

– Zanim zaczniemy z tą kobietą rozmawiać, powinniśmy zrobić przegląd sytuacji – rzekł Bosch.

– Okej – zgodziła się Soto.

– Wiemy już, że jeszcze miesiąc przed pożarem Ana Acevedo, pracownica EZBanku, mieszkała na Bonnie Brae Arms.

– Zgadza się.

– I miała romans z Maximem Boiką i z Rodneyem Burrowsem, którzy również pracowali w EZBanku.

– Tak.

– Od tego zaczniemy rozmowę z Perez. Musimy potwierdzić, że na pewno chodzi o te trzy osoby oraz że obaj faceci Any regularnie bywali w jej mieszkaniu. Trzeba dowieść, że ten cały Rodney Burrows pokazywał się na Bonnie Brae.

– Właśnie. I dlatego Perez wyrzuciła Anę z mieszkania. Jej zdaniem cała sytuacja zmierzała w złym kierunku i bała się, że w jej domu dojdzie do jakiegoś nieszczęścia.

– Okej, dobra, musimy ją jeszcze raz dokładnie wypytać. Konkretnie: czy facet wynosił z mieszkania śmieci, co wiedział o tym bloku.

– Jasne.

– Trzeba również dowiedzieć się jak najwięcej o Anie i rozważyć ewentualność, że to ona podłożyła ogień.

– Z zemsty. No tak.

– Chciałbym, żebyś to ty prowadziła rozmowę. Już z nią gadałaś, nawiązałaś kontakt. Poza tym obie mieszkałyście kiedyś w tym samym kompleksie. W razie czego możesz to wykorzystać.

– Okej. Wcześniej rozmawialiśmy po hiszpańsku.

– Dobrze, niech tak zostanie. Ja będę się trzymał na uboczu, a jeśli coś mi przyjdzie do głowy, odwołam cię na stronę.

– Okej.

– I jeszcze dwie sprawy. Powinniśmy się przede wszystkim dowiedzieć, jak poznały się z Aną Acevedo. Rozumiesz: jak to się stało, że wspólnie zamieszkały. I czy w ciągu ostatnich dwudziestu lat Perez utrzymywała kontakty z którąś z trzech wymienionych osób.

– Jeśli chodzi o to drugie, już mi mówiła, że nie, ale zapytam jeszcze raz.

Bosch zerknął na Soto. Zapisywała sobie pytania w notesie, bardzo podobnym do tego, którego sam używał. Musiał być nowy, bo wcześniej go nie zauważył.

Pięć minut później zatrzymali się na parkingu przed supermarketem Ralphs, na skrzyżowaniu Trzeciej i Vermont Avenue. Panował tu zaskakujący jak na tę porę dnia ruch. Bosch domyślił się, że wiele osób pracujących na nocną zmianę robi właśnie zakupy w drodze powrotnej do domów.

W biurze usytuowanym we frontowej części sklepu zapytali o Stephanie Perez. Skierowano ich do sekcji owocowo-warzywnej, którą kierowała. Perez okazała się małeńka i okrągła, miała na sobie za duży fartuch. Mimo że rozmawiała już z Soto, sprawiała wrażenie zdenerwowanej pojawieniem się detektywów w jej miejscu pracy. Kiedy Lucy spytała, czy mogliby zamienić parę słów na osobności, kobieta zaprowadziła ich do pokoju socjalnego na tyłach supermarketu. Było za wcześnie na drugie śniadanie, mieli więc całe pomieszczenie tylko dla siebie.

Perez poprosiła, by rozmawiali po hiszpańsku, na co Bosch skinął głową i przekazał pałeczkę Soto. Najważniejszą rzeczą było uspokoić świadka. Lucy zaczęła od pytania, czy mogą nagrywać zeznania. Perez nie miała nic przeciwko temu, więc Soto położyła na stoliku swój telefon i włączyła dyktafon. Bosch zanotował sobie w pamięci, aby później powiedzieć partnerce, że pytanie o zgodę na rejestrowanie zeznań nie jest konieczne.

Kobiety zaczęły konwersację. Bosch, który rozumiał hiszpański całkiem nieźle – o wiele lepiej, niż potrafił się w nim wysłowić – próbował nadążyć. Niestety, szybko stracił wątek i rozpoznawał tylko poszczególne wyrazy, a potem, gdy zawibrowała jego komórka, zupełnie się pogubił. Wyciągnął telefon z kieszeni, rzucił okiem na ekran i stwierdził, że dzwoni kapitan Crowder. Odczekał, aż włączy się poczta głosowa, i znów próbował skupić uwagę na rozmowie, niczego jednak nie rozumiał.

Po dwudziestu minutach Soto spojrzała na Harry’ego i rzekła:

– Chciałaby zobaczyć te zdjęcia.

Bosch się zawahał. Stał przed poważnym dylematem, bo gdyby Perez nie rozpoznała pracowników EZBanku, mogli mieć później niemały problem. Musieli podjąć decyzję, a Soto najwyraźniej pozostawiała dokonanie wyboru bardziej doświadczonemu partnerowi.

– Okej – rzekł wreszcie. – Zróbmy to.

Lucy przyniosła ze sobą trzy „sześciopaki”, czyli zestawy sześciu umieszczonych w rzędzie fotografii. W każdym komplecie figurowało zdjęcie pracownika EZBanku, umieszczone pośród pięciu innych, wybranych losowo fotografii osób w podobnym wieku i tej samej rasy. Wsunęto je w odrębne okienka kartonowej obwoluty. Policjantka zaczęła od łatwego zestawu – z Aną Acevedo. Soto nie udało się znaleźć jej aktualnego zdjęcia z prawa jazdy, ani w Kalifornii, ani w żadnym z sąsiednich stanów. Fakt ów był sam w sobie niepokojący, ponieważ oznaczał, że miejsce pobytu Acevedo pozostaje nieznane, a ponadto zmuszał Soto do użycia fotografii z czasów, gdy Ana pracowała w EZBanku. Dlatego było to najłatwiejsze z zadań, przed którymi stanęła Perez.

Lucy otworzyła zestaw sześciu zdjęć kobiet pochodzenia latynoskiego i Perez w ciągu dwóch sekund położyła palec na fotce Acevedo.

– To Ana – powiedziała.

– Okej – odrzekła Soto, po czym wyciągnęła zdjęcie z kartonowej obwoluty i poprosiła Perez, żeby na znak potwierdzenia identyfikacji podpisała się na odwrocie. Następnie włożyła je z powrotem na miejsce, odsunęła na bok i sięgnęła po kolejny zestaw zdjęciowy, z fotografiami sześciu mężczyzn o rysach wschodnioeuropejskich. Perez pochyliła się niżej i chwilę studiowała zdjęcia, a następnie postukała w to przedstawiające Maxima Boikę.

– To Max – powiedziała.

Nastąpił ten sam proces podpisywania wybranego przez Perez zdjęcia.

W końcu nadeszła pora na najważniejsze. Soto otworzyła ostatni zestaw i położyła fotografie na stoliku, nie mówiąc ani słowa. Zdawała sobie sprawę, że świadkowi nie wolno komunikować ani werbalnie, ani przez język ciała niczego, co mogłoby mu zasugerować rozpoznanie. W oczach sądu i ławy przysięgłych tego rodzaju dowód byłby bowiem wątpliwy.

Perez znów się pochyliła i przyglądała zdjęciom – tym razem sześciu białych mężczyzn po czterdziestce. Wszyscy byli Amerykanami. Bosch

wiedział, że istnieje całe multum teorii na temat identyfikacji międzyetnicznej i że procedura, którą teraz przeprowadzają, daleka jest od ideału, ale jedyne, co mogli zrobić, to przedstawić kobiecie zdjęcia, nie ukierunkowując jej ani słowem, i po prostu czekać. Najważniejsze, aby rozpoznała obiekt. Później niech prawnicy toczą już te swoje boje.

Perez studiowała fotografie przez prawie minutę, po czym powoli położyła palec na jednej z nich.

– Ten – orzekła. – To jest Rodney.

Bosch i Soto wymienili spojrzenia. Lucy kazała świadkowi podpisać wybrane zdjęcie. Zdjęcie Rodneya Burrowsa.

– Muszę oddzwonić do kapitana – powiedział Harry do partnerki. – Ty dokończ. Spotkamy się w samochodzie.

Bosch podziękował Perez za poświęcony czas i współpracę i przez sklep wrócił do czekającego na parkingu wozu. Po drodze wysłuchał wiadomości głosowej, którą pozostawił mu Crowder.

„Harry, mówi kapitan Crowder. Chcę najświeższych informacji i nie dam się, kurwa, zbyć. Oddzwoń. Ale już”.

Harry usiadł za kierownicą i włączył silnik. Poranek był chłodny i musiał się trochę ogrzać. Zadzwoił na numer stacjonarny kapitana.

– Gdzie ty się podziewasz, Harry? – rzucił Crowder zamiast powitania.

– W terenie – odpowiedział Bosch. – Coś mi wyskoczyło.

– Nie chcę nawet tego słyszeć. Interesuje mnie najnowszy raport w sprawie Merceda. Co dla mnie masz? I lepiej, żeby to było coś konkretnego.

## 30

Kiedy Soto wróciła do samochodu, Bosch ruszył w kierunku komendy. W drodze wymienili się nowinami. Lucy streściła Harry'emu rozmowę ze Stephanie Perez, on zaś opowiedział jej o wymianie zdań z Crowderem: z początku kapitan zirytował się na wieść, że śledztwo w sprawie Merceda utknęło chwilowo w martwym punkcie. Potem jednak uspokoiła go nieco wiadomość, że dzięki linii telefonicznej przeznaczonej dla dzwoniących w sprawie Merceda pozyskano przełomową informację. Dotyczyła ona innego głośnego przestępstwa, to znaczy pożaru przy Bonnie Brae, i była tak istotna, że detektywi zbliżają się do zamknięcia tego dochodzenia.

– Skoro o Crowderze mowa – ciągnął Harry. – Muszę cię teraz wysadzić pod komendą, a sam idę na śniadanie. Kapitan powiedział, że wydział prasowy zgodził się, żebyś udzieliła wywiadu dziennikarzowi z „La Opinión”. Od śmierci Orlanda Merceda minął już ponad tydzień, media chcą poznać najnowsze ustalenia. Zasugerowałem, żeby zorganizować to jak najszybciej, najlepiej od razu, abyśmy mieli dla siebie resztę dnia. Ja się spotkam z kimś z federalnych, a ty zajmij się tym wywiadem.

– Okej – odrzekła Soto. – Ile mogę powiedzieć dziennikarzowi?

Bosch skierował samochód na estakadę ponad sto dziesiątką i rozważając pytanie Soto, spojrział w dół. Na wszystkich dziesięciu pasach jezdni tłoczyły się unieruchomione pojazdy.

– Cóż, na pewno nie wymieniaj nazwiska Broussarda – powiedział w końcu.

– Jasne. A co ze strzelbą?

Bosch znów musiał się zastanowić.

– Zapytaj Crowdera. Niech on zdecyduje. Mamy ją i możemy z niej zrobić jakiś użytek. Na przykład wyrzucić lekką presję na Broussarda.

– Dobrze, zapytam. Crowder wie o Broussardzie?

– Przekazanie mu tej wiadomości zostawiłem sobie na później.

– Ale czy wie, że mamy kogoś na oku?

– To także przemilczałem.

– Rozumiem.

– Dobrze. Jeżeli nie wrócę, zanim skończysz udzielać wywiadu, postaraj się jeszcze ustalić miejsce pobytu Any Acevedo. Najbardziej interesuje nas chyba Burrows, ale musimy pogadać też z Acevedo, żeby domknąć całą tę historię. No i z Boiką.

– Okej.

– Nawiasem mówiąc, pytałaś Perez, czy podejrzewała Anę o podłożenie ognia?

– Pytałam, odpowiedziała, że nie. Podobno Ana nie była najlepszą współlokatorką, ale dobrą osobą i nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Bosch zastanowił się nad tą odpowiedzią. Mimo wszystko należało brać pod uwagę ewentualność, że Ana Acevedo mogła mieć bezpośredni związek z pożarem albo przynajmniej z ludźmi, którzy go zainicjowali. A także z napadem na bank, który był z tą tragedią ściśle związany.

– Harry – odezwała się Soto. – Chcesz, żebym przełożyła sesję z psychologiem na inny termin?

Bosch ocknął się z zamyślenia i spojrzał na Lucy. Zapomniał, że jest środa i Soto ma na ten dzień umówione spotkanie z doktor Hinojos z Ośrodka Nauk Behawioralnych.

– Tak. Zobacz, czy w tym tygodniu pozwoli ci na wagary. Mamy sporo do zrobienia. Nie traćmy impetu.

– Zadzwońię do niej.

– A ja wrócę za godzinę. Może wtedy będziemy już wiedzieć o Burrowsie trochę więcej.

– Co to za agent? Ten, z którym się spotykasz?

– Znajoma z jednostki wywiadowczej. Zarzucają sieci, rozumiesz, a potem analizują to, co w nie wpada.

– Byłam pewna, że to kobieta. Twój głos całkowicie się zmienił, kiedy rozmawiałeś z nią przez telefon. Jak wtedy, kiedy dzwonisz do swojej córki. Łagodniejesz.

Bosch spojrzał na partnerkę. Nie wiedział, czy pochwalić jej spostrzegawczość, czy poradzić, aby zajęła się swoimi sprawami.

– No cóż. Dawne dzieje.

– Poza tym chciała się spotkać tylko z tobą, sam na sam.

– Ona taka po prostu jest. Powie mi więcej, gdy będę w pojedynkę.

– Byle do przodu, Harry.

Bosch kiwnął głową i zmienił temat.

– No dobrze, zanim polecisz do roboty, wróćmy jeszcze na chwilę do Stephanie Perez. Dzięki niej mamy całą tę trójkę z EZBanku i związek ze sprawą na Bonnie Brae.

– Wszystko gra, absolutnie. Rozpoznanie ze zdjęć plus informacje o Burrowsie potwierdzające, że był rasistą.

– Okej, a co z Aną? Jak się poznały z Perez? Jak długo mieszkały razem, nim Perez kazała się Anie wyprowadzić?

– Według Stephanie Ana mieszkała u niej przez rok. Odpowiedziała na ogłoszenie, które Perez umieściła na tablicy w blokowej pralni.

– Ana tam wtedy mieszkała?

– Nie, tylko w dzieciństwie. Kiedyś przyszła odwiedzić znajomych, zobaczyła ogłoszenie i skontaktowała się z Perez. Twierdziła, że chce tam mieszkać, bo zna ten kompleks i może stąd chodzić do pracy na piechotę. Nie miała samochodu.

Bosch skinął głową. Wszystko pasowało. W swojej wcześniejszej relacji z rozmowy z Perez Lucy wspomniała, że Burrows spędzał w mieszkaniu Acevedo przynajmniej dwie noce w tygodniu. Chodziło o trzymiesięczny okres poprzedzający wyprowadzkę Any. Boiko odwiedzał ją rzadziej, choć także czasem nocował. Gdy Perez zaczęła się na tę sytuację skarżyć, Acevedo zareagowała w ten sposób, że skłoniła obu mężczyzn do dbania o mieszkanie. Mieli wykonywać drobne prace domowe, na przykład wyrzucać śmieci.

Wszystkie te informacje pochodziły ze wspomnień Stephanie Perez sprzed dwudziestu jeden lat, jednak dla śledztwa miały istotne znaczenie. Bosch i Soto musieli teraz potwierdzić jej zeznania, a w tym celu należało przesłuchać Acevedo, Burrowsa i Boikę.

– Musimy koniecznie znaleźć Anę Acevedo – rzekł Harry.

– Jasne. Pracuję nad tym.

Zatrzymali się na światłach na skrzyżowaniu Pierwszej i Hill, kilka przecznic od komendy głównej.

– Gus Braley powiedział, że na nagraniu widać, jak dziewczyna włącza alarm, jeszcze zanim napastnicy dostali się do środka – powiedział Bosch. – Na tej podstawie uznano wówczas, że nie miała z napadem nic wspólnego.

– A ty jesteś odmiennego zdania?

– Jeszcze nie. Ale teraz patrzę na to wideo nieco inaczej.



– Czyli?

– Czyli tak: gdybyś wiedziała, że kamera jest ustawiona na ciebie, wtedy pewnie musiałabyś założyć, że jeśli nie włączysz alarmu, zostaniesz uznana za podejrzaną.

Soto zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym skinęła głową.

– Rozumiem – powiedziała.

– Dlatego musimy ją znaleźć i przesłuchać – dokończył Bosch. – Mówiłaś, że zniknęła. Brak prawa jazdy, danych w rejestrach, miejsce pobytu nieznane. Nie podoba mi się to.

– Mnie też. Sądzisz, że nie żyje? Może tamci ją wykorzystali, a potem zakopali gdzieś na pustyni.

Bosch pokiwał głową. Istniała taka ewentualność.

– Poza tym nie wiemy nic o dwóch pozostałych napastnikach – powiedział. – Cała trójka, o której rozmawiamy, pracowała w placówce EZBanku. Nie brała bezpośredniego udziału w napadzie.

– Ani nie podłożyła ognia.

– Jeżeli jedna z tych osób była wtyczką bandytów, to doprowadzi nas do współników.

– Możemy się cofnąć i porozmawiać o tym, jak przebiegł sam napad?

Na sygnalizatorze zapaliło się zielone i Bosch ruszył.

– Mamy dwóch facetów w samochodzie – podjął Harry. – Ich pierwszym krokiem jest Bonnie Brae. Jeden wchodzi do budynku i wrzuca do zsypu na śmieci koktajl Mołotowa.

– Podkładają ogień, a potem jadą do banku – dodała Soto.

– Tak. Mają w samochodzie radio nastawione na policyjną częstotliwość. Podjeżdżają jak najbliżej celu i nasłuchują informacji o wybuchu pożaru. Kiedy słyszą komunikat „do wszystkich jednostek”, wchodzi do banku. A może nie byli aż tak cwani? Po prostu stali na poboczu i czekali na dźwięk syren. Słyszą je, wchodzi, mają sporo czasu, zanim policja zdoła zareagować.

Bosch zajechał przed budynek komendy i Soto wyskoczyła z samochodu.

– To chyba ma ręce i nogi – rzuciła przez ramię.

Bosch kiwnął głową.

– Zobaczymy się za godzinę – rzekł.

Rachel Walling czekała na Harry’ego w boksie na tyłach restauracji przy

Szóstej Ulicy. Pomieszczenie, zarezerwowane dla ważnych gości oraz stałych bywalców, mieściło trzy okrągłe stoły przeznaczone na większe przyjęcia oraz trzy odosobnione boksy na pomniejszych spotkania i teraz pękało w szwach. Bosch rozpoznał twarze połowy obecnych tu osób, głównie pracowników ratusza. Nie wiedział, czym się dokładnie zajmują, ale musieli piastować stanowiska co najmniej średniego szczebla, w przeciwnym bowiem razie nie jedliby tu śniadania w zwykły dzień roboczy.

Rachel Walling sprawiała wrażenie, jakby od ich ostatniego spotkania nie postarzała się nawet o jeden dzień. Zarys szczęki miała nadal ostry, skórę na szyi napiętą, a w kasztanowych włosach połyskiwały kruczoczarne pasemka. Lecz na Boschu zawsze największe wrażenie robiły jej oczy. Ciemne, świdrujące, nieprzeniknione. Zbliżając się, czuł w sobie wibrację, wspomnienie przeszłości. Był czas, kiedy zdobył tę kobietę, a potem wszystko poszło nie tak. Jeśli chodzi o kobiety w jego życiu, żałował tylko paru. Wśród nich właśnie Rachel.

Agentka uśmiechnęła się i odsunęła na bok złożoną gazetę, którą wcześniej czytała. Bosch wśliznął się do boksu.

- Cześć, Harry.
- Przepraszam za spóźnienie.
- Nie ma sprawy. Coś się dzieje?
- Zaczyna.

Walling pokazała odsuniętą na bok gazetę.

– W zeszłym tygodniu pisali tu o tobie, zaraz po śmierci tego *mariachi*. Wolno spytać, czy twoje zainteresowanie Rodneyem Burrowsem dotyczy tej sprawy?

- Raczej nie dotyczy. Prowadzę też inne dochodzenia. Wiesz, jak to jest.
- No pewnie. Byłam tylko ciekawa, czy trafiłam.
- Nie. Jak już ci mówiłem przez telefon, interesuje mnie ten pożar, w którym zginęły dzieci. Udało ci się coś znaleźć? Widzę gazetę, ale żadnych akt ani protokołów.

Uśmiechnęła się, tym sposobem odparowując jego uszczypliwość.

- Wiesz, że nie wynosimy akt na zewnątrz. I nie robimy kopii.

Podszedł do nich kelner z dzbankiem kawy, Bosch dał znak, że się napije. Kelner spytał, czy są gotowi złożyć zamówienie, czy może woleliby dostać menu. Harry'emu jadłospis nie był potrzebny, gdyż bywał w Pacific Dining Car od dwudziestu pięciu lat. Spojrzał na Rachel.

– Zjemy coś, czy rozmowa będzie krótka i na temat? – zapytał.

– Zjemy – odrzekła. – Mówiłam ci, jestem głodna.

Złożyli zamówienie, nie korzystając z karty, po czym kelner odszedł. Bosch pociągnął łyk gorącej kawy i wbił w Walling wzrok, dając do zrozumienia, że chciałby już dostać to, po co przyszedł.

– No więc – zaczął. – Rodney Burrows...

Pokiwała głową.

– Okej, rzecz wygląda następująco. Miałeś rację z tym Rodneyem Burrowsem. Od dłuższego czasu był na naszym radarze, ale potem trafił do paki za przestępstwo fiskalne i wszystko ucichło. Przynajmniej tak sądziliśmy. Dlatego muszę wiedzieć, czy to, co zamierzasz zrobić, nie wpędzi mojej agencji w kłopoty.

Bosch potrząsnął głową. Rozumiał jej obawy.

– Nic wam nie grozi, chyba że agencja schrzaniła sprawę w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Chodzi wyłącznie o stare, zamrożone śledztwo. Facet mieszka teraz w jakimś Adelanto i, o ile wiem, siedzi tam cicho jak mysz pod miotłą.

– Okej, w takim razie ci zaufam.

– Powiedz, co ustaliłaś. Kiedy znalazł się na radarze FBI?

– W połowie lat dziewięćdziesiątych zaczęliśmy obserwację wielu tego rodzaju typków. Wiesz, sympatyków różnych milicji, organizacji Posse Comitatus czy Christian Identity. Wszystkich tych antyrządowych grup, które nienawidzą władzy i roją o ideałach z czasów wojny o niepodległość. W ciągu dwóch lat doszło do wydarzeń w Waco i w Ruby Ridge. Dodaj do tego zamieszki z dziewięćdziesiątego drugiego, które wybuchły tu, w Los Angeles. To wszystko stało się swego rodzaju wezwaniem do chwycenia za broń, na które odpowiedziało wielu nawiedzonych. Niektórzy z nich, tak jak ten twój gość, uważali, że zamieszki stanowią pierwszy sygnał zbliżającej się wojny ras. Zaczął się tworzyć luźny ruch, zrzeszający wszystkich przeciwników władzy, twardych zwolenników posiadania broni, rasistów i mnóstwo innych „istów”, o których wspomniałaś. Zaobserwowaliśmy to w różnych miejscach w całym kraju. Oczywiście wiele też umknęło naszej uwadze, na przykład podłożenie bomby w Oklahoma City w dziewięćdziesiątym piątym.

– A co z Burrowsem?

– Razem z kilkoma innymi palantami założył ugrupowanie o nazwie

WAVE. Niewinnie brzmiący akronim od White American Voices Everywhere, tak jakby biali nie mieli w Ameryce głosu. Wchodzili w skład ogólnokrajowego zrzeszenia, które domagało się zamknięcia granic i wszczęcia przygotowań do obrony białych mieszkańców Ameryki, kiedy wybuchnie wojna ras.

– Charlie Manson głosił kiedyś to samo.

– Właśnie. Ale wtedy nikt nie obserwował Mansona. My natomiast mieliśmy na oku Burrowsa i jego grupę.

– Od kiedy?

– Trafiliśmy na nich dopiero w dziewięćdziesiątym czwartym, gdy zaczęli wtykać swoje ulotki za wycieraczki samochodów od Los Angeles po San Diego, które, nawiasem mówiąc, nazywali *Ban Diego*.

– Ślicznie – powiedział Bosch. – Ale moja sprawa wydarzyła się rok wcześniej.

– Wiem. Dlatego nie mogę ci pomóc. Pytałeś, co mamy na Burrowsa. Niczego przed dziewięćdziesiątym czwartym.

– Robili coś jeszcze poza drukowaniem ulotek?

– Niewiele. Mieli swoje obozowisko niedaleko Castaic. Ćwiczyli strzelanie do celów, szkolili rekrutów, słuchali dużo speed metalu. Typowa grupa frustratów: dużo gadania, mało robienia. Ich największym wyczynem było wydrukowanie rasistowskiego manifestu i rozrzucenie ulotek z zaproszeniem do zwiedzenia obozu szkoleniowego i klubu. Obserwowaliśmy ich z oddali. Mieliśmy swoje wtyki, dzięki czemu wiedzieliśmy, że ci faceci tylko gędzą, nic więcej. Nie zamierzali wszczynać żadnej wojny, po prostu chcieli być cheerleaderkami, kiedy już wybuchnie.

– Wtyki? Mieliście u nich swoich ludzi?

– Nie, tajnego informatora. Jeden z członków WAVE zaliczył wpadkę w innej sprawie i zgodził się donosić.

– Skąd brali pieniądze na to swoje obozowisko?

– Zanim tu przyszłam, przeczytałam trochę akta. Wynika z nich, że ci ludzie dysponowali sporymi funduszami, których źródła nigdy nie ustalono. Wielu z nich pracowało jako ochroniarze i kierowcy ciężarówek. Ale to i tak za mało, żeby sfinansować obóz ze składek.

– Podczas napadu, o którym ci mówiłem, zrabowano dwieście sześćdziesiąt tysięcy. Kilka miesięcy wcześniej doszło do innego ataku, który mógł mieć z nim związek.

– Cóż, to by wiele wyjaśniało, ale w aktach niczego takiego nie znalazłam.

– Burrows był tam ważną figurą?

– Nie, szeregowym członkiem. Organizację założył niejaki Garret Henley, kierowca ciężarówki. To on rekrutował członków.

Bosch wyjął notatnik i zapisał sobie to nazwisko.

– Nie porozmawiasz z nim – powiedziała Walling. – Zmarł dwanaście lat temu. Popełnił samobójstwo po tym, jak oskarżono go o niepłacenie podatków. Wiedział, że pójdzie siedzieć. Właśnie w ten sposób wyłapujemy większość tych ludzi. Wsadzamy ich, kiedy przestają płacić podatki.

– Kto jeszcze? – zapytał Bosch. – O kim wiadomo, że współpracował z Burrowsem? W prowadzonej przeze mnie sprawie oprócz niego jest jeszcze dwóch uzbrojonych bandytów.

Walling sięgnęła po gazetę i rozłożyła ją na stoliku. Marginesy były pokryte zapiskami. Bosch uświadomił sobie, że pierwszy raz w życiu widzi, by Rachel robiła notatki. Przebiegła je wzrokiem, po czym znów złożyła dziennik.

– W aktach wspomina się o dwóch braciach, blisko związanych z Burrowsem. Matt i Mike Pollardowie. A jeżeli szukasz kierowcy, który uczestniczył w tym napadzie, to był w tej grupie pewien niedoszły rajdowiec nazwiskiem Stanley Nance. Ksywka Nascar Nance. Możliwe, że to on wtedy prowadził samochód.

Wyglądało na to, że wszystko do siebie pasuje, więc Bosch się wyraźnie ożywił. Walling właściwie odczytała jego ekscytację.

– Zanim zaczniesz skakać i odstawiać irlandzki taniec, powiem ci tylko, że sprawdziłam sobie tych trzech facetów. To ci się nie spodoba.

– Co takiego? – zdziwił się Bosch.

– Nascar Nance ściga się już po torach niebieskich. Zabił się w dziewięćdziesiątym szóstym roku. Uderzył w podporę mostu z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, na drodze numer pięć. A jeśli chodzi o Pollardów, to skazano ich za przestępstwa fiskalne na pobyt w więzieniu federalnym, ale żywy wyszedł tylko jeden. Mike Pollard siedział w zakładzie karnym Coleman na Florydzie. Zadźgano go na śmierć w bibliotece więziennej w dwa tysiące szóstym. Sprawcy nigdy nie ustalono, chociaż podejrzewano przestępstwo na tle rasowym.

– A ten drugi?

– Matt Pollard odsiadywał wyrok w Lewisburgu, wyszedł warunkowo w dwa tysiące dziewiątym. Przez pięć lat musiał się meldować u kuratora w Filadelfii, ale dwa miesiące temu zniknął i miejsce jego pobytu jest nieznane. Ci antyrządowi reakcyjniści lubią wymykać się spod kontroli i gdzieś się zaszywać. Nie mają prawa jazdy, ubezpieczenia społecznego, nie płacą podatków i tak dalej.

Bosch zmarszczył brwi, przypomniał sobie, że również Ana Acevedo zniknęła z pola widzenia. Potem przyszło mu do głowy, że członków organizacji WAVE potraktowano z różną surowością.

– Burrows poszedł do więzienia dopiero w roku dwa tysiące szóstym – rzekł. – Wypuszczono go po dwudziestu dwóch miesiącach.

– Cóż ci mogę powiedzieć? Procedury są powolne – odparła Walling. – Nie znam szczegółów każdej z tych spraw, ale zajmowano się facetami po kolei, Burrows był ostatni. Chyba.

Zdaniem Boscha coś tu jednak nie grało.

– Okej, lecz Burrowsa wsadzono do sielskiego country klubu w Lompoc – powiedział. – Dlaczego on znalazł się w Lompoc, a Pollardowie w Lewisburgu i w Coleman? To ciężkie więzienia. Wygląda na to, że Burrows poszedł na układ.

Walling kiwnęła głową.

– Musiałbyś zobaczyć akta wszystkich trzech spraw, a przekonałbyś się, że każda była inna. Nie proszę mnie o to. Pytałeś tylko o Burrowsa. Kto wie, może popełnione przez niego przestępstwa nie były aż tak poważne. Poza tym poszedł na ugodę, dzięki czemu tamci dwaj stanęli przed sądem. Te różnice w traktowaniu można tłumaczyć na różne sposoby.

– Wiem, wiem. Tak się tylko zastanawiam, czy to nie była zapłata za usługi tajnego informatora, które świadczył przez wiele lat na rzecz Biura.

Walling potrząsnęła głową.

– W aktach nie znalazłam żadnej wzmianki o współpracy podejrzanego z organami ścigania – powiedziała.

– Co jeszcze nie znaczy, że nie miała ona miejsca – skwitował Bosch.

– Tak czy owak, pytasz mnie teraz o rzeczy, które wykraczają poza moje kompetencje. Nie mam dostępu do listy tajnych informatorów. Z oczywistych powodów pozostaje ściśle tajna.

– Zapisalaś może numery ewidencyjne tych spraw? Mógłbym porozmawiać z prokuratorem.

– Zapisalam.

– A co z agentem, który prowadził dochodzenie przeciwko WAVE? Kto to był?

– Nick Yardley. Nadal pracuje w biurze w Los Angeles.

– Myślisz, że zechce ze mną pogadać?

– Być może, ale musisz pamiętać, że Burrowsa wsadzono za kratki z powodu przestępstw skarbowych. Technicznie rzecz biorąc, my tylko w tym asystowaliśmy. Nick może cię zignorować i skierować do tamtych, a wtedy zapomnij. Agenci skarbowki nie gadają z policją.

– Wiem.

– Jeżeli będziesz rozmawiał z Nickiem, nie mów mu, że kontaktowałeś się ze mną. Powiedz, że wszystkie twoje informacje pochodzą z akt sądowych.

– Oczywiście.

Kelner przyniósł im jedzenie. Bosch miał ochotę wstać i od razu zająć się sprawą, wiedział jednak, że byłoby to niegrzeczne wobec Rachel, która mogłaby już nigdy więcej mu nie pomóc. A tego by nie chciał.

Zaczęli jeść, prowadząc niezobowiązującą rozmowę.

– Co porabia Jack? – zapytał Harry.

Jack McEvoy, były dziennikarz „Timesa”, był od kilku lat partnerem Rachel. Bosch znał go osobiście.

– Trzyma się – odrzekła. – Jest zadowolony. Ma szczęście, biorąc pod uwagę dzisiejszy rynek medialny.

– Nadal pracuje w tym internetowym portalu śledczym?

– Ostatnio przerzucił się na coś, co nazywa się Fair Warning. Chodzi o ochronę konsumentów. Prowadzą dziennikarskie śledztwa, piszą na ten temat artykuły. Powinieneś rzucić okiem. Rząd, media, tak naprawdę nikt już się nie troszczy o nasze prawa obywatelskie. Oni robią tam bardzo ciekawe rzeczy. Jack znów kocha swoją pracę.

– To świetnie. Rzucę okiem. Fair Warning kropka com?

– Kropka org. To działalność typu non profit.

– Okej, na pewno zajrzę.

Bosch chciał zapytać Rachel, czy w pracy musi bardzo balansować na linii, pozostając w stałym związku z dziennikarzem, ale nie zdążył się odezwać, gdyż poczuł wibrację telefonu w kieszeni. Odłożył widelec i sięgnął po komórkę. Esemes od Soto.

Jestem gotowa do wyjazdu.

Niezbyt delikatne przypomnienie, że obowiązki wzywają. Harry spojrział na Walling, która niespiesznie smarowała bagietkę topionym serkiem.

– Musisz lecieć, co? – powiedziała, nie odrywając wzroku.

– Tak jakby – przyznał Bosch.

– Mną się nie przejmuj. Idź.

– Dzięki, Rachel. Za wszystko. Zapłacę rachunek po drodze.

– Dziękuję, Harry.

Bosch wziął z talerza muffinkę i zaczął wysuwać się z boksu.

– Nie zapomnij tego – powiedziała Rachel.

Podawała mu złożoną gazetę. Bosch chwycił ją i wstał.

– Powiedz Jackowi, że jest *prawdziwym* szczęściarzem.

– Masz na myśli pracę?

– Nie, mam na myśli ciebie, Rachel.

<



## 31

Bosch nie miał ochoty wracać do komendy i wdawać się w dyskusje z Crowderem lub Samuelsem, napisał więc esemesa do Soto i czekał w tym samym miejscu, w którym wysadził ją godzinę wcześniej. Po niecałych dziesięciu minutach Lucy wyłoniła się z budynku i przecięła placyk. W rękę trzymała swojego iPada.

Wsiadła do samochodu, ale Bosch nie ruszył. Musieli jeszcze ustalić plan działań na resztę dnia, a poza tym chciał wiedzieć, co Soto powiedziała Crowderowi o obu prowadzonych przez nich sprawach.

– No dobra, jak wygląda sytuacja? – zapytał.

– Udzieliłam tego wywiadu. To było łatwe – odrzekła. – Dziennikarz nie zadawał zbyt trudnych pytań, powiedziałam mu tylko o broni. Wydawał się z tego naprawdę zadowolony. Kapitan i porucznik też nie robili problemów i dali nam wolną rękę w sprawie Bonnie Brae.

– Co powiedziałaś Crowderowi o tym dochodzeniu?

– Tylko tyle, że badamy ten pożar jako próbę odwrócenia uwagi policji od napadu na placówkę EZBanku, ponieważ w pierwotnym śledztwie pominięto ten wątek. Dodałam, że znaleźliśmy jednoznaczne powiązanie między tymi dwoma miejscami i jeśli chcemy mieć wyniki, musimy działać jak najszybciej, najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Doskonale. Teraz trzeba odwiedzić Burrowsa i Boikę. Ciągłe brak danych o miejscu pobytu Any Acevedo?

Soto potrząsnęła głową.

– Nie mogę jej znaleźć. Próbowałam wszędzie, w każdym programie i w każdej bazie danych. AutoTrack, Departament Pojazdów Mechanicznych, Lexis/Nexis, usługi komunalne, rejestr wyborców, wypożyczalnie samochodów, co tylko chcesz.

– Myślisz, że nie żyje?

– Jeżeli zmarła, to także nigdzie tego nie odnotowano. A przynajmniej ja nie znalazłam.

– Może po prostu zmieniła nazwisko.

Powiedział to z nadzieją w głosie, chociaż coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Anę Acevedo zabito i zakopano gdzieś na pustyni. Jeżeli została wykorzystana przez Burrowsa i dwóch pozostałych rabusiów, to zaraz po skoku stała się dla nich obciążeniem. Biorąc jeszcze pod uwagę śmiertelne ofiary pożaru na Bonnie Brae, kobieta musiała być dla nich poważnym zagrożeniem.

– Tu też na nic nie natrafiłam – powiedziała Soto. – Urzędy stanu cywilnego, rejestr małżeństw, wnioski o zmianę nazwiska. Jeżeli to zrobiła, to nielegalnie, albo wyjechała gdzieś daleko i tam zmieniła tożsamość.

– Może w Meksyku?

– Cóż, być może nigdy tu nie wróciła, nie wyrobiła sobie prawa jazdy, nie założyła konta w banku ani nie zamówiła kabłówki. Po prostu zniknęła. Nikt nie zgłosił jej zaginięcia, przynajmniej w Kalifornii.

Bosch nie miał podstaw kwestionować rzetelności działań Soto, która od zeszłego tygodnia nieustannie poszukiwała Any Acevedo.

– W porządku – powiedział. – Może obrócimy ten fakt na swoją korzyść. Najpierw zajmiemy się Burrowsem i Boiką. Powiemy im, że to jej szukamy. Podejmiemy gości od tej strony.

Soto kiwnęła głową.

– Dobry pomysł. Od którego zaczniemy?

– Od Burrowsa – oświadczył Bosch. – Po tym, co właśnie usłyszałem przy śniadaniu, on jest najważniejszy. Facet należał do organizacji białych rasistów, a celem napadu na EZBank było zdobycie forsy na jej działalność.

– Niezły gość. Nie mogę się doczekać, kiedy sobie z nim pogadamy.

– No. Zaczynamy z niego obywatel.

Bosch włączył się do ruchu i pojechał Pierwszą w kierunku Los Angeles Street, żeby dostać się na autostradę. Od Adelanto dzieliła ich łatwa, dwugodzinna przejażdżka po pustyni Mojave. Harry miał wystarczająco dużo czasu, żeby przekazać Soto wszystko to, co usłyszał od Walling na temat Rodneya Burrowsa.

Adelanto leżało przy drodze numer 15, niemal w połowie drogi do Las Vegas. Bosch prowadził wóz w milczeniu, zamyślony, podczas gdy Soto kontynuowała poszukiwania Any Acevedo za pomocą tabletu. W ostatnim dziesięcioleciu nastąpiła prawdziwa eksplozja, jeśli chodzi o witryny internetowe umożliwiające odnajdywanie ludzi. Większość takich serwisów

korzystała z podstawowych danych identyfikacyjnych, takich jak imię i nazwisko, data urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego, ale istniał również szeroki wachlarz innych możliwości namierzenia poszukiwanej osoby. Niektóre witryny bazowały na informacjach z rejestrów nieruchomości, inne zaś na danych bankowych lub sądowych. Jeszcze kolejne specjalizowały się w dostarczaniu informacji finansowych oraz tych dotyczących zakupu samochodu. Solidny poszukiwacz, jeśli chciał uzyskać sensowne rezultaty, nie mógł polegać tylko na jednym źródle, czy nawet dwóch. Zawsze należało sprawdzać w innych bazach danych.

Od czasu do czasu Soto przeklinała bądź mamrotała pod nosem coś w rodzaju „To nie ona!” i „No litości”. Bosch powoli zaczynał uświadamiać sobie powagę sytuacji, w którą się wpakował. Do dzisiejszego ranka sprawa Bonnie Brae wydawała się obarczona niewielkim ryzykiem, a zachęcając Soto do jej rozwiązania i pomagając jej w dochodzeniu, Harry zacieśniał więzy łączące ich jako partnerów. Teraz, dzięki solidnej pracy wykonanej przez Lucy, mieli stanąć oko w oko z człowiekiem, który prawdopodobnie odpowiadał za śmierć dziewięciu osób, w tym przyjaciół Soto z dzieciństwa. Bosch rozumiał, że absolutnie nie powinien jej dopuścić do tego mężczyzny, jednak okoliczności czyniły to spotkanie nieuniknionym. A on sam przyłożył do tego rękę. Wiedział, że jeśli dojdzie do konfrontacji, będzie musiał zachować maksymalną ostrożność – zarówno w odniesieniu do Soto, jak i Burrowsa.

– Jak się czujesz, Lucy? – zapytał.

Soto nadal wpatrywała się w ekran tabletu. Gdy oderwała od niego oczy, Harry spojrzał z powrotem na drogę.

– Przecież jesteśmy razem od rana – powiedziała. – Dlaczego teraz o to pytasz?

– Bo wiesz, ten cały Burrows... to może być nasz sprawca. Zachowasz spokój, prawda?

– Zachowam spokój, Harry. Bez obaw.

Bosch oderwał wzrok od jezdni i przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

– No co? – spytała.

– Chcę mieć pewność, że nie muszę się o ciebie martwić.

– Harry, jestem policjantką i zachowam się jak policjantka. Absolutnie profesjonalnie. Nie wpadnę w szal na widok tego gościa, okej? Tu chodzi o sprawiedliwość, nie o zemstę.

– Między tymi dwiema rzeczami przebiega bardzo cienka granica. Mówię tylko, że jeśli zaczniesz świrować, będę musiał zareagować. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Mogę już wrócić do pracy? – zapytała, unosząc tablet.

– Pewnie. Podczas rozmowy z facetem postępuj zgodnie z moimi wskazówkami. Najpierw poczęstuję go tą bajeczką, że szukamy osoby zaginionej, Any. Ciekawe, czy coś nam o niej powie. A potem zobaczymy.

– Dobry plan.

– No to fajnie.

Adres Rodneya Burrowsa doprowadził ich do skupiska niewielkich domów położonych na wąskich, lecz długich działkach. Nie rosły na nich żadne drzewa ani krzewy. Bosch nigdzie nie dostrzegł nawet trawnika. Ziemia była wypalona, pokryta pyłem, jałowa od słońca pustyni.

Posesję Burrowsa otaczał zwieńczony drutem kolczastym płot z metalowej siatki, który nie różnił się chyba zbyt od ogrodzenia wokół federalnego zakładu karnego, w którym Burrows odsiadywał wyrok. Bosch zastanawiał się, czy facet zdaje sobie sprawę z tego podobieństwa.

Przyglądając się domowi należącemu do tego człowieka, Harry nie mógł nie dostrzec pewnej ironii losu. Burrows, jak wielu ludzi o podobnych przekonaniach i kolejach losu, przeprowadził się na pustynię, ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od wielkiego miasta, zapewne po to, aby uciec przed wszystkim, co uważał za złe w nowoczesnym społeczeństwie i wielkich aglomeracjach miejskich. Żywił przekonanie, że źródłem wszelkich problemów są takie zjawiska jak imigracja oraz coraz większy przyrost naturalny wśród mniejszości etnicznych, które osłabiają infrastrukturę kraju i żyją na garnuszku rządu. Czmychnął zatem, jak powiada się w kręgach rasistów, ku otwartym przestrzeniom i bielszym twarzom. Znalazł sobie nowy dom w Adelanto, lecz po to tylko, by się przekonać, iż to miasteczko niczym się nie różni od metropolii. Było jak chochla zanurzona w garnku, w którym gotują się dokładnie te same składniki. Także w Adelanto mieszkała mniejszość, dlatego Boscha zupełnie nie zdziwił fakt, że Burrows odgrodził się od niej dwumetrowym płotem – niczym ostatnią linią obrony przed światem. Ironię tę potęgował jeszcze fakt, że *adelanto* znaczy po hiszpańsku „postęp”.

Ogrodzenie otaczające dom Burrowsa tworzyło przy bramie wąską niszę, tak aby można było w nią wjechać samochodem i przez okno sięgnąć do

domofonu. Urządzenie, na którym znajdowały się klawiatura, obiektyw kamery oraz przycisk dzwonka, przymocowano do słupka z tabliczką „Uwaga, zły pies” oraz znakiem przedstawiającym czarny zarys pistoletu, a poniżej widniał napis: „Nie mamy zwyczaju wzywać policji”.

Widok ten nie podzielał krzepiąco na Boscha, który zdał sobie sprawę, że Burrows może z łatwością kontrolować sytuację i decydować o przebiegu konfrontacji. Soto też się poczuła niepewnie.

– Co robimy? – spytała.

– Nie mamy wielkiego wyboru – odparł Bosch. – Zobaczymy, czy uda nam się skłonić go do otwarcia bramy.

Sięgnął ręką przez okno i wcisnął dzwonek domofonu. Musiał zrobić to dwukrotnie, nim ktoś zareagował. Głos był męski i szorstki.

– O co chodzi?

Bosch przytrzymał odznakę przed obiektywem kamery, lecz celowo ujął ją tak, aby jeden palec zasłonił litery „Los Angeles”.

– Policja. Prosimy, żeby podszedł pan do bramy.

– Niby dlaczego miałbym to zrobić?

– Prowadzimy śledztwo. Potrzebna jest nam pańska pomoc.

– Jakie śledztwo?

– Czy zechciałby pan wyjść?

– Nie, dopóki się nie dowiem, co jest grane.

– Poszukujemy osoby zaginionej. To zajmie tylko parę minut.

– Kto zaginął? Ja nikogo tutaj nie znam. Jeśli o mnie chodzi, mogliby wszyscy zaginąć.

Dotychczasowe podejście prowadziło donikąd. Bosch postanowił zagrać ostrzej.

– Proszę, żeby pan podszedł do bramy. W razie odmowy będzie pan miał problemy.

Nastąpiła długa przerwa, po czym głos znów zabrzmiał w domofonie.

– Trzymajcie konie na wodzy. Potrzebuję kilku minut.

– Dziękuję panu.

Bosch cofnął samochód na tyle, by móc otworzyć drzwi i z niego wysiąść. Przełączył bieg na tryb parkingowy i spojrzał na Soto. Wciąż nie wiedział, jak Lucy zareaguje na widok człowieka, który być może ponosił odpowiedzialność za tragedię jej dzieciństwa, a może nawet całego życia.

– Okej, teraz wysiądę i zaczekam na niego. Będę się zachowywał na

luzie – powiedział Bosch. – Ty zostań w wozie. Dam ci znać, gdybym cię potrzebował.

– Dobrze – odrzekła Soto. – Co zamierzasz?

– Sam jeszcze nie wiem. Będzie, co ma być.

– Słusznie.

Bosch odpiął pas, wysiadł z samochodu, podszedł do maski i oparł się swobodnie o grill chłodnicy, kładąc na niej dłonie. Dom stał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Harry wkrótce zobaczył, jak otwierają się drzwi garażu, a na podjazd wyjeżdża pikap. Wóz ruszył w jego stronę i gdy był już blisko, brama zaczęła się automatycznie przesuwac. Za kierownicą samochodu siedział mężczyzna, a obok niego pies. Nad głową kierowcy na stelażu spoczywał karabin. Boscha ogarnął niepokój, ale starał się go nie okazywać. Auto zatrzymało się siedem metrów od bramy i mężczyzna wysiadł, zostawiając pojazd na jałowym biegu. Bosch słyszał, jak gospodarz każe psu zachować spokój.

Gdy mężczyzna zamknął drzwi wozu, pierwszą rzeczą, która rzuciła się Harry'emu w oczy, była staromodna kowbojska kabura, przytwierdzona do paska i owinięta rzemieniami wokół prawego uda. Tkwił w niej pistolet. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Bosch porzucił swoją luzacką pozę i stanął wyprostowany przed samochodem. Wskazał mężczyźnie ręką i wydał polecenie.

– Proszę się natychmiast zatrzymać!

Mężczyzna przystanął i zaczął się rozglądać, jakby zaskoczony. Był niższy, niż Bosch się spodziewał. Z jakiegoś powodu wyobraźnia podsuwała mu zawsze obraz potężnych adwersarzy, potem zaś, gdy dochodziło do próby sił, najczęściej okazywało się, że ludzie ci nie odpowiadają jego wyobrażeniom. Burrows, ubrany w kraciastą koszulę i dżinsy, wydawał się jednak muskularny. Nosił bujną rudą brodę i starą czapkę bejsbolówkę z napisem „John Deere”.

– O co chodzi? – zapytał.

– Po co panu ta broń w kaburze? – zawołał Harry.

– Jest mi potrzebna. Mam, do cholery, prawo nosić broń na swojej posesji.

– Jak się pan nazywa?

– Rodney Burrows.

– Dobrze, panie Burrows, niech pan sięgnie lewą ręką do kabury po

pistolet i położy go na masce samochodu.

Wyczuwszy groźbę w głosie Boscha, pies zaczął szczekać i przeskoczył na miejsce kierowcy, żeby być bliżej swojego pana.

– Niby dlaczego? – spytał Burrows. – Jestem na swoim terenie.

– Dla mojego bezpieczeństwa, panie Burrows – odparł Bosch. – Niech pan kładzie broń na masce.

Wskazał ręką pikapa, wywołując kolejny paroksyzm szału. Pies miotał się po kabinie, przeskakując z jednego fotela na drugi. Bosch usłyszał, jak otwierają się drzwi jego forda, i domyślił się, że Soto wysiada z samochodu. Nie chciał jednak odrywać wzroku od uzbrojonego mężczyzny.

Kiedy zobaczył, że Burrows podnosi ręce do góry, zrozumiał, że jego partnerka sięgnęła po broń.

– Proszę pana! – wrzasnęła Lucy głosem wysokim i pełnym napięcia. – Proszę położyć pistolet na maskę wozu!

– Soto, ja się tym zajmę – powiedział Bosch. – Odpuść.

– Proszę pana! – zawołała ponownie, ignorując Boscha. – Pistolet!

– Okej, okej – rzekł Burrows. – Już się robi.

Zaczął przesuwając prawą rękę w stronę kabury.

– Lewą ręką! – wrzasnął Bosch. – Lewą!

– Sorry – powiedział Burrows od niechcienia. – Lewą ręką. Jezu!

Wyjął pistolet z kabury i niedbale rzucił go na maskę pikapa. Uderzył o stal z głuchym łoskotem, sprawiając, że pies rozszczekał się jeszcze bardziej i jeszcze gwałtowniej zaczął się miotać po kabinie.

– Zamknij się, Lola! – krzyknął Burrows.

Pies nie posłuchał. Widząc pistolet leżący na masce samochodu, Bosch poczuł się na tyle bezpiecznie, by się odwrócić w stronę Soto. Lucy stała wsparta o otwarte drzwi od strony pasażera w pozycji bojowej, z obiema rękami na broni, wciąż wycelowanej w środek ciała Burrowsa.

– Spokojnie, Soto – powiedział Bosch. – Panuję nad sytuacją.

– Po prostu cię osłaniam, partnerze – odparła.

– Wycofaj się – rzekł Bosch półgłosem. – I schowaj broń.

Zaczął, aż Soto wykona polecenie, a potem odwrócił się do Burrowsa i zrobił krok do przodu, ustawiając swoje ciało na linii pomiędzy mężczyzną a Lucy.

Harry odepchnął mężczyznę od półciężarówki i zaciągnawszy go do swojego wozu, położył twarzą na masce i zaczął obszukiwać. Ponad głową

tamtego obrzucił Soto twardym spojrzeniem.

– Udzielę ci rady – zwrócił się do Burrowsa. – Kiedy gliniarze pukają do twoich drzwi, nie otwieraj im z bronią za pasem i strzelbą w samochodzie.

– Człowieku, nie mam pojęcia, o co wam chodzi, czego się czepiasz – zaprotestował Burrows. – Jestem na swoim terenie. Wolno mi...

– Jesteś skazanym prawomocnym wyrokiem przestępcą, który posiada broń palną – przerwał mu Bosch.

– Mam gdzieś wasze wyroki i waszych sędziów.

– Taa? Proszę cię bardzo, tylko że sędziowie nie mają gdzieś ciebie. Posiadasz jeszcze inną broń?

– Nóż – odrzekł Burrows. – W tylnej kieszeni. To jakaś kpina. Nękanie niewinnego człowieka. A ta blacha jest, kurwa, cholernie gorąca!

Bosch nie odpowiedział. Nie obchodziła go temperatura maski samochodu. Wyjął z kieszeni tamtego nóż sprężynowy. Kiedy zwolnił blokadę, wyskoczyło dziesięciocentymetrowe ostrze. Harry uniósł nóż wysoko, żeby Soto mogła go zobaczyć i odeprzeć ewentualną skargę, iż to Harry go podrzucił. Schował ostrze i umieścił sprężynowiec na masce wozu, poza zasięgiem mężczyzny.

Następnie położył się całym swoim ciężarem na Burrowsie, przygniatając go jeszcze bardziej do karoserii. Poczuł gorąco, na które wcześniej skarżył się tamten. Trzymając przedramię na kręgosłupie mężczyzny tak, by go unieruchomić, dobrze wyćwiczonym ruchem wyjął zza paska kajdanki i jedną z obręczy zacisnął na lewym nadgarstku Burrowsa.

– Hej, co pan wyprawia? – zapytał Burrows.

Policjant wygiął lewą ramię mężczyzny za jego plecy i przeniósł ciężar ciała na drugie przedramię, tak by dociągnąć prawy nadgarstek tamtego i dokończyć zakładanie kajdanek. Potem postawił Burrowsa na nogi i odwrócił twarzą do siebie.

– Nie wolno wam tego robić. Nie macie prawa aresztować mnie na mojej własnej posesji.

– Mylisz się, Burrows – odrzekł Bosch. – Poza tym ty nie uznajesz naszych praw. Ktoś jest w budynku?

– Że co? Nie, nikogo nie ma.

– Masz jakieś inne psy oprócz tego w samochodzie?

– Nie. O co chodzi? Czego wy chcecie?

– Już ci mówiłem. Chcemy porozmawiać o osobie zaginionej.



– O kim?

– O Anie Acevedo.

Bosch obserwował reakcję tamtego. Chwilę trwało, zanim Burrows skojarzył to nazwisko.

– Nie widziałem jej od, hm, wielu lat.

– Dobra. O tym też pogadamy. Teraz musisz podjąć bardzo ważną decyzję, Rodney. Chcesz rozmawiać w domu czy wolisz jechać z nami do Los Angeles i złożyć zeznania na komendzie?

– Jesteście z L.A.?

– Zgadza się. Chyba zapomniałem o tym wspomnieć. Będziesz odpowiadał na pytania tutaj czy tam?

– A może po prostu zażądam obecności prawnika i nie zdołacie mnie, kurwa, o nic zapytać?

– To także twój wybór. Zabierzemy cię do miasta i natychmiast udostępniemy telefon. Obiecuję.

– Nie, teraz chcę prawnika. Tutaj. Mój prawnik tu mieszka. L.A. to zasrana dziura. Nie chcę tam więcej jeździć.

– W takim razie zdecyduj się. Pogadasz z nami tutaj albo zadzwonisz do swojego prawnika z Los Angeles. Na pewno do rana cię wyciągnie. Ale noc spędzisz w zoo.

Burrows potrząsnął głową i milczał. Bosch wiedział, że niebezpiecznie zbliżają się do momentu, w którym zatrzymany skorzysta z prawa do udzielenia mu pomocy prawnej.

– Dobra – powiedział Bosch.

Odciągnął Burrowsa od samochodu i zaczął prowadzić go w kierunku tylnych drzwi pojazdu.

– Psu zapewnimy opiekę straży dla zwierząt – oznajmił.

Burrows natychmiast się spiął i próbował stanąć w miejscu.

– Okej, okej. Możemy wejść do środka, ale ja nic nie wiem o Anie Acevedo.

– Przekonamy się – rzekł Bosch.

– A co z moim psem? I z pikapem?

Bosch obejrzał się na półciężarówkę. Silnik wciąż pracował. Pies oparł przednie łapy na desce rozdzielczej i wpatrywał się intensywnie w Harry'ego.

– Nic im nie będzie – odpowiedział.

Obrócił Burrowsa w stronę domu, jedną dłonią ściskając ramię tamtego,

drugą zaś dając sygnał Soto, żeby wzięła pistolet i nóż.

– Musicie zamknąć bramę – zaprotestował Burrows. – Bo tamci wleżą.

– Kto wlezie? – spytał Bosch.

– Tutejsi. Dzieciaki z ulicy.

– Jak mamy ją zamknąć?

– W samochodzie jest pilot.

– Samochodu nie będziemy otwierać.

– Pies jest niegroźny. Tylko szczeka.

– Okej, otworzę wóz. Ale jak pies się na mnie rzuci, to cię zastrzelę.

– Nie rzuci się.

Bosch przywołał Soto, żeby zajęła się Burrowsem, a sam podszedł do pikapa. Wyciągnął broń i trzymał nisko przy boku. Kiedy otworzył drzwiczki, przywitało go wściekłe ujadanie, ale pies cofnął się na fotel dla pasażera. Bosch sięgnął ręką do zatkniętego za osłoną przeciwsłoneczną pilota i wcisnął przycisk. Brama przed posesją Burrowsa zaczęła się zamykać.

– Lola, do nogi – krzyknął Burrows.

Pies wyskoczył z wozu, mijając Boscha szarą smugą. Nim Harry zdążył unieść broń, suka warowała już na ziemi obok swego pana.

– Grzeczna sunia – powiedział Burrows. – Może pan zgasić silnik? Tutaj benzyna nie jest tania.

– Nigdzie nie jest tania – odrzekł Bosch.

Wyłączył silnik, a potem zdjął ze stelaża strzelbę.

Bosch zaprowadził zakutego w kajdanki gospodarza do domu, po czym dokładnie sprawdził, czy nikogo w nim nie ma. W kuchni znajdowały się stół i kilka krzeseł, więc usadził Burrowsa pod ścianą udekorowaną nazistowską flagą, a obie sztuki jego broni położył na kuchennym blacie. Następnie odwrócił się do mężczyzny, rozkuł go i zajął miejsce z drugiej strony stołu. Soto stanęła po prawej, tuż obok leżącej na kontuarze broni. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia i szklanki. Lucy wyjęła komórkę, włączyła dyktafon i umieściła aparat na blacie, podczas gdy Burrows demonstracyjnie rozcierał nadgarstki, by odzyskać czucie w dłoniach.

Pies podszedł do tylnych drzwi i zaczął głośno chleptać wodę ze stojącej tam miski. Oczekali, aż przestanie hałasować.

– Co to za rasa? – spytał Bosch.

– Mieszaniec pitbulla i rottweilera – odpowiedział Burrows.

Bosch skinął głową w kierunku flagi.

– Ładnie to tak?

Burrows nie zareagował. Pies znalazł sobie miejsce przy drzwiach, dwa razy okręcił się w kółko i legł na podłodze.

– Mieszkasz tu sam? – zapytał Bosch.

– Owszem. Możemy sobie darować pogawędki? Chcę mieć to już za sobą.

– Pewnie. Skąd wzięłeś broń?

– Pistolet kupiłem w Tucson, kiedy tam mieszkałem. Wszystko legalnie.

– Zapomniałeś tylko wspomnieć, że byłeś skazany prawomocnym wyrokiem.

– Kupiłem broń od osoby fizycznej, która nie musiała mnie o nic pytać. Poza tym mój adwokat złożył wniosek do sądu o zatarcie wyroku. Odsiedziałem swoje, zwolnienie warunkowe też upłynęło.

– No, życzę powodzenia. Masz w domu jakieś inne egzemplarze broni palnej?

Burrows nie odpowiedział od razu.

– Tylko nie kłam – rzekł Bosch. – Bo przetrzepiemy to miejsce tak, że go nie poznasz.

– Obok łóżka mam strzelbę – zaczął Burrows. – Dziwne, że jej pan nie zauważył, łażąc po domu. Zawahałem się, bo pytał pan o broń palną na chacie. Mam też czterdziestkę piątkę w schowku w samochodzie, ale o samochód pan nie zapytał.

Bosch kiwnął głową do Soto, która wyszła z kuchni po obie sztuki broni. Harry sprawdził, czy jej telefon na kuchennym blacie wciąż ma włączony dyktafon, a następnie wrócił do Burrowsa.

– No dobra, teraz odczytam ci twoje prawa.

– To znaczy? Myślałem, że mieliśmy tylko porozmawiać?

– Owszem. Ale jeszcze nie zdecydowałem, co zrobić z tą bronią. Sprężynowiec też jest nielegalny. Zobaczmy, czy się dogadamy. Potem załatwimy wszystko, jak należy.

Nie odrywając wzroku od siedzącego przed nim mężczyzny, Bosch wyciągnął portfel z policyjną odznaką. Następnie, co chwila zerkając na kartkę, odczytał Burrowsowi jego prawa.

– Rozumiesz to, co ci właśnie przeczytałem? – zapytał Harry.

– Nie uznaję tych praw – odrzekł Burrows.

– Mam gdzieś, czy je uznajesz, czy nie. Rozumiesz, co ci przeczytałem?

– Tak, ale ja nie...

– Założę się, że teraz już płacisz podatki, co?

– Pod przymusem.

– Okej, jak każdy. To były prawa, które przysługują ci w tym kraju. Możesz występować przeciwko jego rządowi, ale takie są zasady. Będziemy rozmawiać dalej, czy wolisz wsiąść na tylne siedzenie naszego samochodu i pojechać do Los Angeles?

– Rozumiem swoje prawa. Porozmawiam z wami bez obecności adwokata.

– Dobrze, czyli robimy postępy. Gdzie jest Ana Acevedo?

Słyszając to pytanie, Burrows cofnął się całym ciałem na krześle, jakby Bosch uderzył go jakimś twardym przedmiotem.

– Słuchajcie, przecież mówię wam od samego początku – zaprotestował. – Nie mam zielonego pojęcia, gdzie ona jest. Nie widziałem dziewczyny od dwudziestu lat.

– Kiedy i w jakich okolicznościach spotkałeś ją ostatni raz?

Zanim Burrows zdążył odpowiedzieć, do kuchni wróciła Soto. Położyła dwie kolejne sztuki broni obok pozostałych, a potem znów stanęła przy blacie.

Harry spojrzał na Burrowsa i powtórzył pytanie.

– Mów, kiedy ostatni raz widziałeś się z Aną Acevedo.

– Ja nie... Przecież rozmawiamy o latach dziewięćdziesiątych. Jak miałbym pamiętać, kiedy dokładnie...

– Mieszkałeś z nią. Powinieneś sobie z łatwością przypomnieć, kiedy...

– Nie, nie mieszkałem. Kto tak twierdzi? Nigdy bym...

Nagle zamilkł.

– Nigdy byś co? – spytała Soto. – Nigdy byś nie zamieszkał z osobą o śniadej karnacji?

Bosch rzucił Soto ostrzegawcze spojrzenie. Chciał wziąć Burrowsa z zaskoczenia, a to zawsze łatwiej uzyskać, gdy tylko jedna osoba kieruje rozmową.

– Może i z nią nie mieszkałeś, ale na pewno ją odwiedzałeś, na Bonnie Brae – powiedział Harry. – Mamy świadków.

– Tak, tak, to się zgadza – potwierdził Burrows. – *Odwiedzałem ją*. Ale tam nie mieszkałem. Nigdy razem nie mieszkaliśmy.

Plan zakładał wykorzystanie osoby Any Acevedo tak, by Burrows przyznał się do czegoś, czego można by użyć przeciwko niemu w śledztwie dotyczącym pożaru na Bonnie Brae. Bosch odhaczył właśnie pierwszą i najważniejszą kratkę. Burrows jednoznacznie zeznał, że składał Acevedo wizyty w Bonnie Brae Arms. Tym samym detektywi dostali do ręki dowód na to, że znał ów kompleks mieszkalny, a zapewne wiedział również, gdzie się znajduje zsymp na śmieci.

– W takim razie na czym polegała wasza znajomość?

– Pracowaliśmy razem. Leciła na mnie. To było niezgodne z przepisami, ale to ona mnie poderwała. No i się zaczęło. Trwało niecałe pół roku.

Soto prychnęła szyderczo. Bosch zignorował jej reakcję.

– Mówisz o tej placówce bankowej? – spytał. – Romanse były tam wbrew regułom?

– Tak, oboje tam pracowaliśmy – potwierdził Burrows. – Rok. Ja odpowiadałem za ochronę. Potem ona rzuciła i robotę, i mnie i nigdy więcej jej nie widziałem. Przysięgam.

– Dlaczego odeszła?

– Doszło do napadu. Mnie pobili, ją sterroryzowali. Przystawili jej pistolet do głowy. AR-piętnaście. Cholernie się wystraszyła, nie chciała już tam pracować. Zespół stresu pourazowego czy coś, chociaż wtedy jeszcze nie używano tej nazwy. Potem nigdy już jej nie widziałem. Po napadzie odwiedziła mnie tylko raz w szpitalu i koniec.

– Dokąd wyjechała?

– Mówiłem, nie wiem.

– A ty nigdy nie starałeś się jej znaleźć?

– Nie. Nie byłem... słuchajcie, to był tylko seks, żadna tam miłość. Dałem sobie spokój.

– Twoi kołesie z WAVE wiedzieli o niej?

W oczach Burrowsa pojawił się błysk zaskoczenia. Bosch wiedział o WAVE. Burrows milczał, więc Bosch naciskał dalej.

– Mówiłeś im? Chwaliłeś się kumplom w tym waszym klubie, że pieprzysz Meksykankę? Jak tacy jak ty je nazywają? „Małpka znad granicy”?

– Nie, nie mówiłem – odpowiedział Burrows. – Nikomu o tym nie wspomniałem i wcale jej tak nie nazywałem.

Bosch taksował go przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad kolejnym ruchem.

– Ile nocy spędziłeś na Bonnie Brae? – zapytał.

– Nie wiem. Trzydzieści, czterdzieści. Dużo. My...

– Wy co? Byliście zakochani?

– Nie, w życiu. To nie była miłość.

– Trzymałeś u niej swoje ubrania?

– No, parę mundurów do pracy, żeby były pod ręką.

– Robiłeś tam pranie, wynosiłeś śmieci?

– Pomagałem trochę, no tak. Ale to nie znaczy, że my...

– Wynosiłeś śmieci kobiecie, której nie kochałeś?

– Słuchaj, człowieku, coś ci się kompletnie pokręciło.

– Tak? Wynosiłeś śmieci czy nie?

– Wynosiłem, ale to gówno znaczy, bo i tak nie miałem od niej żadnych wiadomości od dwudziestu lat i nie wiem, gdzie ona, kurwa, jest!

Bosch przerwał na moment. Pozwolił, żeby emocje trochę opadły, choć w środku mu się kotłowało – usłyszał od Burrowsa wszystko, co chciał usłyszeć.

– Jak zarabiasz na życie, Rodney? – zapytał.

– Jestem kierowcą ciężarówki, sprzedaję części – odpowiedział Burrows.

– Jakie części?

– Do amerykańskich samochodów.

– Gdzie jest Ana Acevedo? Co z nią zrobiłeś?

– Co? Nic jej nie zrobiłem! Nie wiem, gdzie ona jest!

Krzyczał. Pies uniósł z podłogi łeb.

– Wiecie co? – powiedział Burrows. – Już mi wszystko jedno. Zabierzcie mnie do L.A. Chcę się spotkać ze swoim adwokatem.

Zaczął wstawać z miejsca, ale Bosch tylko na to czekał. Zerwał się, sięgnął przez stół i położywszy Burrowsowi rękę na barku, usadził go z powrotem na krześle.

– Siedz. Wstaniesz dopiero, jak ci pozwolę.

Harry usłyszał ciche warczenie psa.

– Naruszacie moje prawa obywatelskie – zaprotestował Burrows. – Nie możecie wchodzić na moją posesję, do mojego domu, i mówić mi, co mam robić.

Bosch spojrzał na Soto i wskazał jej głową telefon. Burrows poprosił o prawnika, w sensie technicznym przesłuchanie było więc zakończone. Wyłączyła dyktafon.

Bosch zwrócił oczy na Burrowsa.

– Zabawne, że tacy jak ty zawsze mówią to samo – powiedział. – Nie chcecie mieć nic wspólnego z tym krajem i jego prawami, a potem nagle domagacie się od nas, żebyśmy postępowali według zasad, które sami kwestionujecie.

– Żądam prawnika.

– Zaprosił nas pan do swojego domu, panie Burrows. Miał pan wybór i zdecydował się pan nas zaprosić. Skoro domaga się pan obecności adwokata, natychmiast przerywamy tę rozmowę i zabieramy pana do Los Angeles, do aresztu.

Burrows położył łokcie na stole i przesunął dłonią po twarzy.

– Albo – dokończył Bosch – opowiesz nam teraz o tym napadzie na EZBank.

Burrows potrząsnął głową jak człowiek, który nie ma wyjścia.

– Dwóch facetów – powiedział. – Weszli, zamknęli drzwi na klucz, przywalili mi kolbą w głowę. Miałem pęknięcie czaszki i wstrząs mózgu, nie bardzo pamiętam, co się dalej działo. Podobno leżałem na podłodze, a oni

trzymali broń przy mojej głowie, grożąc, że ją rozwalą, jeśli ktoś nie otworzy drzwi pancernych.

– I co? – spytał Bosch.

– Ana otworzyła te drzwi. Już wcześniej uruchomiła cichy alarm. Wiedziała, że policja przyjedzie, więc otworzyła drzwi. Potem napastnicy weszli do środka i zmusili obsługę do otwarcia skarbca i szuflad z gotówką.

– Kogo konkretnie zmusili do otwarcia skarbca?

– Kierownik placówki był na miejscu. Jego zmusili.

– Jak się nazywał?

– Hm, nazywał się... Nie pamiętam. Jakieś ruskie nazwisko.

– Może ukraińskie?

– Wszystko jedno.

– Nie miał na imię Maxim?

– No, właśnie tak. Mówiliśmy do niego Max.

– On też pieprzył Anę na boku, prawda?

Mężczyzna znów wydawał się zaskoczony.

– Nie, to bzdury – rzekł Burrows. – Wcale tak nie było.

– Jesteś pewien?

– Wiedziałbym o tym.

– Serio? Mówiłeś, że nie mieszkaliście razem. Że nie bywałeś u niej każdej nocy. Przed chwilą tak mi powiedziałeś.

– Ale wiedziałbym, gdyby...

– Ile dni w tygodniu u niej spędzałeś?

– Trzy, cztery. Byłbym częściej, ale jej sublokatorka mnie nie lubiła. Poza mną nie było nikogo innego.

– Twierdzisz więc, że po tym napadzie Ana Acevedo rzuciła pracę i jednocześnie ciebie?

– Bo tak się stało. Cierpiała na zespół stresu pourazowego.

– Jeśli chodzi o pracę, rozumiem. Ale dlaczego zostawiła ciebie?

– Mówiła, że przypominam jej to, co się stało w sklepie.

– W jakim sklepie?

– W EZBanku. Nazywaliśmy go sklepem.

– Po odejściu Any widziałeś się z nią jeszcze?

– Ile razy mam powtarzać? Przyszła do mnie do szpitala się pożegnać. Potem nigdy jej nie spotkałem.

– Czyli cię rzuciła. Jak policja podchodziła do ciebie po napadzie?



– No właśnie, to ich powinniście przesłuchać. Tych gnojów, którzy starali się zwalić wszystko na mnie. Gadali, że to moja ustawka. Jakby, kurna, do tego mistrzowskiego planu należało rozwalenie mojej czaszki.

– Zostałeś aresztowany?

– Nie postawiono mi zarzutów. Wiecie czemu? Ponieważ nie miałem z tym nic wspólnego. Doznałem pierdolonego wstrząsu mózgu, ale kiedy leżałem w szpitalu, ci goście wmawiali mi, że ja to wszystko ustawiłem. Co za gówno!

Bosch nie zareagował. Oceniał sytuację. Wszystkie kwadraciki miał już oznaczone ptaszkami. Burrows sam stwierdził, że dobrze znał blok przy Bonnie Brae i wiedział, gdzie znajduje się zsyp – wynosił przecież śmieci. Nadszedł czas decydującego uderzenia, chwila prawdy. Harry rzucił okiem na Soto, która lekko skinęła głową. Dyktafon znów działał. Przydatność procesowa nagrania była wątpliwa, ale Bosch chciał mieć zarejestrowaną także dalszą część rozmowy.

– Opowiedz mi o pożarze – polecił.

Burrows wyglądał na zdezorientowanego.

– Jakim pożarze?

– W bloku na Bonnie Brae.

– Tym, który wybuchł tego samego dnia? Nic o nim nie wiem. Ana już tam nie mieszkała, wyrzuciła ją współlokatorka. Ogień musiał podłożyć ktoś z gangu, który rządził tą ulicą. Rok wcześniej, jak wybuchły zamieszki, też spalili całą swoją dzielnicę, zabili własne dzieci. Jak trzeba być popierdolonym? Właśnie o to nam chodziło, że są popierdoleni.

Kątem oka Bosch zauważył, że Soto, dotąd swobodnie oparta o blat, zmienia pozycję ciała. Odwrócił się i posłał jej kolejne ostrzegawcze spojrzenie. Cofnęła się. To nie był odpowiedni moment na dawanie upustu emocjom i starcie z tym rasistą. Przyjechali tu w innym celu, a im więcej pozwalali Burrowsowi mówić, tym bliżej owego celu się znajdowali.

– Nie rozumiem – zwrócił się do Burrowsa. – O kim ty mówisz? Komu i o co chodziło?

– O WAVE, człowieku – odpowiedział Burrows. – Wiedzieliśmy, że się zbliża. To tylko kwestia czasu.

– Wojna ras?

– Można to tak określić. Zwał jak zwał, ważne, że się zbliża.

– Który z braci Pollardów przygotował bombę zapalającą?

– Jaką znowu bombę?  
– Tę, którą wrzucili do zsypu na śmieci w bloku przy Bonnie Brae.  
Burrows był tak zdumiony, że zapomniał języka w gębie.  
– Zanim obrabowali EZBank – dodał Bosch.  
– Oszalałeś? – wykrzyknął Burrows. – Myśmy nie stosowali przemocy. Nigdy nikogo nie skrzywdziliśmy. Nie możecie nam tego przypiąć. Właściwie to nawet nie znałem wtedy tych facetów. Spotkałem ich dopiero później.

Bosch pochylił się nad stołem.

– Gówno prawda. Zaraz mi powiesz, że zaledwie wczoraj się zaciągnąłeś do tego białego wojska. Znałeś tych ludzi, wszyscy zdawaliście sobie sprawę, o co tu chodzi. Potrzebowaliście pieniędzy na budowę swojego klubu w Castaic.

– Nie! To jakiś obłąd. Mam już tego dość, koniec rozmowy. Zabierzcie mnie i zamknijcie, albo wypad z mojego domu. Ale już!

Bosch wstał i dał sygnał Burrowsowi, żeby zrobił to samo.

– Wstawaj.

– Po co? Co ty wyrabiasz?

– Jedziemy do Los Angeles.

– Daj spokój, chyba nie mówisz serio?

– Proszę wstać.

– Przecież rozmawialiśmy! Pomogłem wam! Czego jeszcze chcecie? Nic nie wiem o Anie Acevedo! Nie miałem nic wspólnego z tym pożarem, a wy nie macie żadnych dowodów. Pollardów poznałem rok później, w Castaic.

Bosch postanowił przycisnąć przesłuchiwanego. Obszedł stół i zbliżył się do Burrowsa, a Soto stanęła obok.

– Okej, okej – rzekł Burrows, unosząc ręce. – Kapuję. Wy macie w dupie prawdę. Potrzebny wam tylko kozioł ofiarny i to ja nim jestem. Zawsze byłem, kurwa, łatwym celem.

– Zgadza się – powiedział Bosch. – Dobrze rozumiesz.

Burrows wstał i Soto skuliła mu ręce za plecami.

Harry wyprowadził zatrzymanego z domu, podczas gdy Lucy zabrała zarekwirowaną broń. Zamknęli drzwi, zostawiając psa w środku, i ruszyli podjazdem. Bosch otworzył pikapa i pilotem przesunął bramę.

Burrowsa wsadzili na tylną kanapę fordą, broń zaś – zawiniętą w koc – umieścili w bagażniku. Gdy się ze wszystkim uporali, Bosch odprowadził

partnerkę w stronę półciężarówki, by mogli porozmawiać w cztery oczy.

– I co o tym myślisz? – zapytał.

– Myślę, że to rasistowski śmieć, o czym zresztą wiedzieliśmy od początku – odpowiedziała. – A ty?

– To fakt, z pewnością. Ale nie wydaje mi się, żeby był zamieszany w napad.

– Dlaczego? Mówił, że bywał na Bonnie Brae. Przyznał się, że wiedział, gdzie jest zsymp na śmieci. Miał dostęp. Miał motyw. I zupełnie go nie obchodziło, że ktoś z mieszkańców mógłby ucierpieć.

Harry milczał dłuższy czas, spoglądając ponad głową Lucy na forda. Burrows siedział chyba ze spuszczoną głową. Bosch nie widział go wyraźnie.

– Ważne jest nie tyle to, co *słyszałem* – rzekł wreszcie. – Ale to, co *widziałem*. Wyraz twarzy. Ruchy. On nie wiedział o Boice i Anie. W ogóle niewiele wiedział.

– Czyli że co, wierzysz mu?

– Lucy, czytam w ludziach od prawie czterdziestu lat. Człowiek osiąga etap, w którym zaczyna ufać własnym instynktom. W tym wypadku jestem zdania, że to nie jest nasz podejrzany.

Lucy skrzyżowała ramiona na piersi.

– Szkoda, że ja nie jestem tak dobra w czytaniu ludzi. Nigdy się nie pomyliłaś?

– Pewnie, że się myliłem. Nikt nie ma stuprocentowych trafień. Co nie zmienia faktu, że teraz mam takie, a nie inne odczucia.

– W takim razie, co powinniśmy zrobić? Zwolnić go? Przecież miał na udzie pistolet, jak jakiś kowboj.

– Nie, nie chcę go zwolnić. Chcę go przekazać szeryfowi z San Berdo pod zarzutem posiadania broni. Niech zrobi z facetem porządek. A potem spadamy stąd i jedziemy do następnego.

– Do Boiki.

– Tak. Jest jeszcze Ana, którą koniecznie musimy znaleźć. Słuchaj, nie mówię, że zamykamy rozdział z Burrowsem. Będziemy mieć na niego oko. Może wpadniemy na coś, co zmieni obraz sytuacji. Ale na razie...

Znów spojrzał na forda. Burrows siedział teraz wyprostowany. Bosch widział, że gapi się na nich przez szybę.

– Mam zadzwonić do Biura Szeryfa?

– Tak, byłoby dobrze. Powiedz im, że powinni też sprowadzić straż dla

zwierząt.

Soto z ponurą miną skinęła głową.

– Robi się, Harry.

## 33

Prawie godzinę czekali na radiowóz z Biura Szeryfa Hrabstwa San Bernardino. Kolejne pół godziny zajęło im wyjaśnienie sytuacji i przekazanie Burrowsa funkcjonariuszowi, który przejął zatrzymanego z wyraźną niechęcią. Gdy znów znaleźli się na autostradzie, było późne popołudnie. Bosch czuł irytację spowodowaną stratą czasu oraz faktem, że znaleźli się w ślepej uliczce. Soto milczała. Wpatrywała się w ekran tabletu, nie mówiąc ani słowa.

– Jesteś głodna? – zapytał Harry. – Możemy się gdzieś zatrzymać.

– Nie, nie teraz – odparła Lucy. – Jedźmy od razu pogadać z Boiką.

– Okej, gdzie to jest? W Północnym Hollywood?

– Tak, ale teraz pewnie jest w pracy. Pełni funkcję dyrektora generalnego EZBanku, którego centrala znajduje się w Północnym Hollywood, na skrzyżowaniu Lankershim i Oxnard.

– Jasne.

Centrala sieci placówek czekowo-gotówkowych okazała się niepozornym budynkiem stojącym przy Oxnard Street, pełnej drobnych firm i zakładów usługowych. Dotarcie na miejsce zajęło im prawie dwie godziny. Bosch znowu musiał podjechać samochodem pod bramę i pokazać do kamery swoją odznakę.

Tym razem brama otworzyła się natychmiast i wjechali na parking. Nim wysiedli z auta, Harry poinstruował Lucy, żeby włączyła dyktafon już teraz i dopilnowała, aby ich rozmowa z Boiką nagrała się w całości, o ile tylko uda im się z nim spotkać. Przez drzwi oznaczone napisem „Wejście” detektywi dostali się do wnętrza budynku. To tu mieściło się centrum operacyjne firmy, której placówki zajmowały się przede wszystkim wymianą czeków na gotówkę. Na ścianach niewielkiej poczekalni wisały popolite landszafty, za kontuarem siedziała recepcjonistka, a obok drzwi, które – jak zauważył Bosch – nie miały klamki, stał umundurowany ochroniarz.

– Chcemy się widzieć z Maximem Boiką – powiedział Harry.

Recepcjonistka spojrzała na leżący na biurku kalendarz i zmarszczyła

brwi.

– Jesteście państwo umówieni? – spytała.

Bosch wyczuł delikatny obcy akcent. Wschodnioeuropejski. Jeszcze raz wyciągnął odznakę i pokazał dziewczynie.

– W ten sposób się umawiam – rzekł. – Proszę powiedzieć Maksowi, że przychodzimy w sprawie napadu.

Mars nie zniknął z czoła recepcjonistki, kiedy podniosła słuchawkę telefonu, wykręciła numer i powiedziała coś krótko w języku, który Bosch uznał za ukraiński. Otrzymałszy instrukcje, dziewczyna rozłączyła się i spojrzała na ochroniarza.

– Zaprowadź ich do gabinetu pana Boiki – powiedziała.

Strażnik odwrócił się, popatrzył w górę, na obiektyw zamontowanej nad drzwiami kamery. Kiwnął głową, po czym drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem. Mężczyzna przytrzymał je, aby Soto i Bosch mogli wejść do służu, gdzie zaczekali, aż drzwi za nimi się zamkną, a te przed nimi – otworzą. Stamtąd ochroniarz poprowadził ich korytarzem obok kilku zamkniętych drzwi aż do końca holu. Mieścił się tam gabinet z dwoma biurkami ustawionymi bok w bok, zwróconymi ku ścianie z ekranami telewizyjnymi. Monitory przedstawiały widok wewnątrz różnych placówek kasowych, a także to, co się działo w centrali. Bosch zauważył, że jeden z ekranów nastawiono na CNN International. Ponad rzędem monitorów wisiał czerwono-biały plakat z napisem RĘCE PRECZ OD UKRAINY! oraz mozaika zdjęć, ukazujących walki uliczne pomiędzy oddziałami milicji a ukraińskimi demonstrantami w kominiarkach. Na jednej z fotografii widać było mężczyznę, który strzela z procy do uzbrojonych po zęby milicjantów.

Pierwsze biurko było puste, a za drugim siedział mężczyzna około pięćdziesiątki, o rzadkich, kruczoczarnych włosach, zaczesanych do tyłu i napomadowanych tak, że oblepiały jego czaszkę. Skinął głową strażnikowi, sygnalizując, że nie będzie już potrzebny.

– Maxim Boiko? – zapytał Bosch.

– Tak, to ja – odrzekł mężczyzna. – Przychodzicie w sprawie Van Nuys czy Whittier?

Mimo kilku dziesięcioleci spędzonych w Los Angeles, Boiko wciąż mówił z silnym akcentem. Bosch domyślił się, że Van Nuys oraz Whittier to adresy placówek EZBanku, na które niedawno dokonano napadów. W drodze powrotnej z pustyni Soto podzieliła się z nim niektórymi informacjami na

temat pana Boiki i jego interesów. EZBank dysponował obecnie trzydziestoma ósmioma placówkami kasowymi w całym regionie, z czego ponad dwie trzecie koncentrowało się w aglomeracji Los Angeles.

– Ani w jednej, ani w drugiej – powiedział Bosch. – Chcemy porozmawiać o Westlake. Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci. Pamięta pan?

– A niech mnie diabli – zawołał Boiko. – Pamiętam. Byłem tam. Znaleźliście tych gnojków, którzy mnie obrobili?

Bosch nie odpowiedział. Demonstracyjnie rozglądał się po niewielkim pomieszczeniu, jakby szukał miejsca, gdzie mógłby usiąść. Nie było tu innych foteli poza dwoma przy biurkach. Jeden z nich zajmował Boiko.

– Możemy gdzieś usiąść i porozmawiać? – zapytał Bosch.

– Tak, oczywiście – odrzekł Boiko. – Proszę za mną.

Wyprowadził ich z gabinetu z powrotem na korytarz, po czym przez jakieś drzwi wyszli do strefy załadunkowej, gdzie Bosch zobaczył trzy białe furgonetki z wymalowaną na bokach reklamą całodobowych usług hydraulicznych.

– Musimy maskować nasze wozy dostawcze, żeby nikt nie wiedział, że transportujemy gotówkę, rozumie pan – powiedział Boiko. – Poza tym hydraulik płaci nam za darmową reklamę na tych vanach.

Bosch pokiwał głową z uznaniem dla przemysłowości Boiki. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego pancerne ciężarówki są tak łatwo rozpoznawalne, jakby obwieszczały wszem wobec: „Tutaj są pieniądze”. Uwagę, że skoro hydraulik płaci za reklamę, to nie jest ona darmowa, zachował dla siebie.

Przecięli strefę załadunku i Boiko otworzył drzwi prowadzące do innego biura, w którym mieściły się długi stół i cztery krzesła.

– Proszę usiąść przy stole – powiedział. – Może kawy?

Bosch i Soto grzecznie podziękowali i zajęli miejsca, po czym Harry oficjalnie przedstawił siebie i swoją partnerkę. Postanowił zastosować tę samą taktykę co wcześniej wobec Burrowsa: wykorzystać Anę Acevedo do uzyskania informacji na temat pożaru przy Bonnie Brae. Jednak Boiko był nienotowany, miał czystą kartotekę, co dawało Boschowi mniejszą przewagę i zmuszało do większej finezji. Harry dobrze pamiętał informację otrzymaną od Gusa Braleya, że Boiko bardziej niż stratą pieniędzy martwił się groźbą ujawnienia jego romansu z pracownicą. Fakt ten dawał Boschowi pewne pole manewru. Niezbyt wielkie, ale zawsze.

– Zajmujemy się, między innymi, napadem z dziewięćdziesiątego trzeciego roku i mamy nadzieję, że będzie mógł nam pan pomóc – zaczął Harry.

– Oczywiście – odrzekł Boiko. – Straciliśmy wtedy bardzo dużo pieniędzy. Ale to już dwadzieścia jeden lat. Dlaczego teraz?

– Ponieważ sprawa ma związek z innym śledztwem, bieżącym, o którym jednak nie mogę mówić.

– W porządku. Dostanę pieniądze?

Bosch nie przypominał sobie, żeby oferowano wówczas jakąś nagrodę pieniężną.

– Jakie pieniądze? – zapytał.

– Te skradzione przez bandytów – odpowiedział Boiko.

– Ach, tak. Jak pan zauważył, minęło dwadzieścia jeden lat. Nie liczyłbym na odzyskanie jakichkolwiek pieniędzy. Chociaż nigdy nie wiadomo.

– Okej.

– Ubezpieczalnia wypłaciła panu odszkodowanie, prawda?

– Nie całe. Ponieśliśmy straty. Dostaliśmy też nauczkę, jak działają firmy ubezpieczeniowe. Nigdy nie trzymaj więcej niż opiewa kwota na polisie, rozumie pan? Potem już nie było takich problemów.

– Miło to słyszeć. Ale pan się nieźle rozwinął. Wtedy miał pan zaledwie kilka punktów kasowych, a teraz jesteście wszędzie.

– Tak, moja firma odniosła spory sukces.

– Gratuluję. Domyślam się, że żona i dzieci muszą być z pana dumne.

– Żona tak, dzieci nie mam. Zbyt jestem zajęty. Praca, praca, praca.

– No właśnie. Cóż, nie chcemy pana od niej odrywać. Złożyliśmy panu wizytę, ponieważ poszukujemy pewnej osoby, a powiedziano nam, że pan może nam pomóc.

– Okej. Kto to jest?

– Ana Acevedo.

Boiko zmarszczył brwi, starając się za wszelką cenę udać, że nazwisko to nic mu nie mówi.

– Co to za osoba? – zapytał.

– Na pewno pamięta pan Anę – powiedział Bosch. – Pracowała razem z panem, w sklepie. Była tam w dniu napadu. Kiedy bandyci przyłożyli broń do jej głowy, otworzył pan sejf.



Boiko pokiwał głową z ożywieniem.

– Och, Ana, oczywiście, tak. Przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, to było tak dawno. Już u nas nie pracuje. Odeszła po napadzie.

– Zgadza się, słyszeliśmy, że się zwolniła.

– Tak, na własną prośbę. Mówiła, że to dla niej za duży stres. Bała się, że bandyci mogą wrócić.

– Mówiono nam również, że była pańską dziewczyną, dlatego liczyliśmy...

– Nie, nie, nie, nie. Ona nie jest moją dziewczyną.

Boiko uniósł obie ręce, jakby odpierał atak.

– Cóż, może nie teraz – powiedział Bosch. – Ale wtedy była. Odwiedzał ją pan w jej mieszkaniu przy Bonnie Brae. To chyba pan pamięta.

Boiko ponownie przyjął pozę „otwarte usta, oczy wbite w sufit”, mającą sugerować amnezję.

– Nie, jej chłopakiem był ochroniarz, który pilnował tamtej placówki – oświadczył. – Byli ze sobą, tak.

Bosch pochylił się nad stołem, jakby chciał coś konfidencjonalnie szepnąć Boice, i ściszył głos.

– Słuchaj, Maxim, to jest w aktach – powiedział. – O tobie i Anie. Właśnie dlatego otworzyłeś sejf.

– Nie, proszę – zareagował Boiko. – Wyrzucicie to z akt. To nieprawda. Jestem żonaty. Kocham żonę.

Machnął w stronę drzwi, jakby po drugiej stronie stała jego połówica. Bosch zaczął się zastanawiać, czy żoną Boiki nie jest przypadkiem kobieta, która ich przyjęła i rozmawiała przez telefon w obcym języku.

– Słuchaj, Max – rzekł Harry. – Nie przyszliśmy tu po to, żeby stawiać cię w niezręcznej sytuacji albo stwarzać ci jakieś problemy, więc się trochę uspokój. Ale akta są, jakie są. Według świadków regularnie odwiedzałeś Anę w bloku na Bonnie Brae, a nawet sam się do tego przyznałeś detektywowi Braleyowi.

– Okej – wyszeptał Boiko. – Może wtedy tak powiedziałem, ale teraz tak nie mówię.

– W porządku. – Bosch postanowił nieco odpuścić. – Widzisz, to nie było trudne. Wszystko działa się przecież bardzo, bardzo dawno, prawda? Zdarza się. Więc mówisz, że wiedziałeś o drugim facecie, tym ochroniarzu?

Boiko przez chwilę potrząsał głową, zdawszy sobie sprawę, że jego

przyznanie się do romansu uruchomiło całą lawinę pytań.

– Najpierw nie wiedziałem, potem się dowiedziałem – odparł. – Więc dałem sobie spokój.

– Przestałeś chodzić do Any na Bonnie Brae? – dopytywał Bosch.

– Tak, taka jest prawda.

– Dlaczego nie zakazałeś jej spotykać się z ochroniarzem? Przecież byłeś tam szefem. Dlaczego to ty zrezygnowałeś?

– Miałem żonę, rozumiesz. Bardzo chciałem przestać. Ona, to znaczy Ana... to ona wszystko zaczęła, a ja popełniłem wielki błąd.

– Czyli to ona pierwsza cię poderwała?

– Tak, było dokładnie, jak mówisz.

Bosch kiwnął głową na znak, że doskonale rozumie, iż Max został wykorzystany.

– Dobra, a wcześniej jak często bywałeś w jej mieszkaniu?

– Niezbyt często.

– Gdzie jest teraz Ana Acevedo, Maximie?

Boiko uniósł ręce w niemal błagalnym geście.

– Tego nie wiem. Mówiłem, odeszła.

– I odtąd już jej nie widziałeś? Mamy świadków, którzy...

– Nie! To kłamstwo. Jakich świadków? Tak wam powiedział ten ochroniarz? Burrows?

Boscha zainteresował fakt, że Boiko wciąż dość dokładnie pamięta nazwisko strażnika, z którym pracował dwadzieścia jeden lat temu.

– Nie mogę ci zdradzić tożsamości świadka – powiedział. – Ale twierdzisz, że od tamtej pory Any nie widziałeś, zgadza się?

– Tak.

– A może rozmawiałeś z nią przez telefon? Miałeś z nią jakikolwiek kontakt?

– Tylko w sprawie podatków.

– Co to znaczy? Jakich podatków?

– Kiedy chciała złożyć wniosek do urzędu skarbowego o zwrot nadpłaty, miała już nowy adres i poprosiła mnie, żeby przesyłać tam dokumenty.

– Masz na myśli na przykład formularz W-dwa lub tysiąc dziewięćdziesiąt dziewięć?

– Tak, właśnie.

– Więc po napadzie się wyprowadziła i podała ci nowy adres?

– Tak, tak właśnie było.

Bosch starał się mówić spokojnie, ale przychodziło mu to z ogromnym trudem. Odpowiedź Boiki sprawiła, że odżyła w nim nadzieja na odnalezienie Any Acevedo.

– Prowadzisz ewidencję pracowników, prawda? – zapytał.

– Oczywiście – odrzekł Boiko.

– Okej. Są w niej jeszcze papiery Any Acevedo? Kartoteka z adresem?

– Ale to było dwadzieścia lat temu.

– Wiem. Jednak pracowała u ciebie, być może zachowały się akta.

– Okej, jasne.

– Gdzie? W tym budynku?

– Tak. Mógłbym sprawdzić, jeśli...

– Tak, chcę, żebyś sprawdził. Od razu. Poczekamy.

Boiko wstał i wyszedł z pokoju. Bosch zerknął na zegarek. Była prawie siedemnasta. Odnosił wrażenie, że ostatnie minuty rozmowy naprowadziły ich na trop, który wynagradzał trudy całego dnia.

– I co myślisz? – zapytał Lucię.

Soto wyduła wargi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Pewnie to samo co ty – rzekła w końcu. – Obaj faceci mówili dzisiaj, że Ana pierwsza nawiązała romans. To troszeczkę dziwne. Albo była nimfomanką, albo miała jakiś plan.

Bosch wycelował w Lucy palcem. Myślał dokładnie tak samo.

– Dodajmy do tego jej zniknięcie i co otrzymamy? – powiedział. – Przecież tu nie chodziło o zwykły wyjazd z miasta. Ona się zapadła pod ziemię.

– A ktoś, kto się wyprowadza daleko, wędruje na sam szczyt listy podejrzanych – dodała Soto.

Bosch kiwnął głową w kierunku drzwi.

– Kiedy wróci, musimy zadać mu parę pytań o tamten dzień – rzekł. – O podejrzanych, których zidentyfikował jako białych. Jeżeli podtrzyma to zeznanie, będziemy zmuszeni przeanalizować życiorys Any i zobaczyć, czy coś się nie krzyżuje. Znaleźć styczne, jak to nazywasz.

Zanim Soto zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i Boiko wrócił. W rękę trzymał kartkę papieru.

– Mam dla was adres – oznajmił z dumą.

Położył kartkę na stole między Boschem a Soto, a potem zajął swoje

miejsce. Harry pochylał się, aby spojrzeć na papier. Była to kserokopia formularza podatkowego W-2 za rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci, obejmującego dochody i ulgi. Został sporządzony na nazwisko Any Marii Acevedo. Widniał na nim adres w Calexico, stan Kalifornia.

– Calexico? – zdziwiła się Soto. – Co to jest Calexico?

– Tam się przeprowadziła – rzekł Boiko usłużnie, stwierdzając oczywisty fakt.

Lucy podniosła z podłogi torebkę i wyciągnęła z niej swój tablet. Bosch spojrział na Boikę.

– Pamiętasz, żeby wspominała coś o Calexico? – spytał.

– Nie, nie pamiętam.

– A jej rodzina? Miała tam jakąś rodzinę?

– Nie, urodziła się tutaj. Tak mi mówiła. Rodzinę miała w Meksyku.

– Pamiętasz, gdzie w Meksyku?

– Nie, chyba nie...

– Harry – przerwała mu Soto. – Zobacz.

Podawała Boschowi tablet. Harry popatrzył na ekran. Lucy wpisała adres z formularza W-2 w Google Street View. Bosch ujrzał zdjęcie ulicy z adresem z dokumentu sporządzonego na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku: duży budynek w stylu hiszpańskiej hacjendy, wyglądający na szkołę. Jednak napis na znaku stojącym obok wykładanego płytami chodnika głosił co innego.

## ZGROMADZENIE SIÓSTR NAJŚWIĘTSZEJ OBIETNICY

Klasztor założony w 1909 roku

Archidiecezja San Diego

W umyśle Boscha wszystkie puzzle wskoczyły na odpowiednie miejsca. Do napadu na placówkę EZBanku i pożaru przy ulicy Bonnie Brae doszło w październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Gdy sześć miesięcy później Ana Acevedo złożyła wniosek o zwrot nadpłaconego podatku, zapewne mieszkała już w klasztorze w miasteczku na granicy Meksyku i Kalifornii.

Harry zaczynał rozumieć, po co Ana tam pojechała. Szukała schronienia, ukojenia i odkupienia.

## 34

Śledztwo nabrało teraz takiego impetu, że nie mogli się zatrzymać. Napełniwszy bak benzyną i kupiwszy trochę jedzenia w sklepie spożywczym, jeszcze tego samego wieczoru ruszyli w ponad trzystukilometrową podróż. Bosch wjechał na autostradę numer 10, w kierunku wschodnim, a następnie w Indio skręcił na południe, na drogę stanową numer 86. Minęli uzdrowisko Borrego Springs i pojechali dalej wzdłuż jeziora Salton Sea. Okolica była odludna, pustynna, i tylko daleko na wschodzie majaczyły Góry Czekoladowe.

– Byłeś kiedyś tak daleko? – zapytała Soto.

– Bardzo dawno – odrzekł Bosch.

– Służbowo?

Kiedy Lucy zadała to pytanie, Harry właśnie rozmyślał o tamtych czasach.

– Tak jakby – rzucił. – Szukałem swojego partnera.

– Partnera? Co się stało?

– Długa historia. Nadałaby się na całą książkę. Wyjechał do rezerwatu i... cóż, nigdy nie wrócił.

– To znaczy zniknął?

– Nie, zginął.

Bosch rzucił jej uważne spojrzenie.

– Kiedy nas do siebie przydzielono, opowiedzieli ci o mnie, prawda? – zapytał.

– Niewiele – odparła. – Właściwie to usłyszałam tylko, że mam z tobą pracować.

– Być może wiesz, że straciłem dwóch partnerów. Pierwszego postrzelono, przeżył. Drugi popełnił samobójstwo, ale na długo po tym, jak przestaliśmy być partnerami.

Przez kilka kilometrów w samochodzie panowała cisza. W końcu Soto oderwała wzrok od barwiącego się różem pustynnego powietrza i znów skupiła się na ekranie tabletu.

– To dziwne miejsce – podjął po chwili Bosch. – Dwa miasteczka po obu stronach granicy: Calexico po tej, Mexicali po tamtej. Trudno rozeznąć, co się tam właściwie dzieje. Pamiętam, że pojechałem tam kiedyś, chyba jeszcze przed tą sprawą z moim partnerem. Zameldowałem się u miejscowej policji, jak należało, ale nie otrzymałem od nich żadnej pomocy. Ale potem, jak przekroczyłem granicę, poznałem pewnego gościa... detektywa... jedyne go człowieka, który nie był skorumpowany i chciał coś zrobić... po obu stronach granicy.

Soto nie odpowiedziała. Harry uznał, że jest skupiona na ustalaniu liczby wszystkich jego partnerów, którzy umarli.

– Dziwne miejsce – powtórzył. – Miej się tam na baczności.

– Przyjełam – odezwała się w końcu. – Teraz też się zameldujemy u miejscowych?

Bosch potrząsnął głową.

– Nie widzę takiej potrzeby.

– Jasne.

– Dowiedziałas się czegoś w naszej sprawie?

– Właściwie niewiele. Tutaj nie ma zasięgu... ani wi-fi, ani komórka nie działają. Ale kiedy jeszcze byliśmy bliżej miasta, wyszukałam sobie Siostry Najświętszej Obietnicy i ściągnęłam trochę danych. Mają klasztory w Kalifornii, w Arizonie i w Teksasie. Pięć na samej granicy i jeszcze kolejne dwa w Meksyku. W Oaxaca i w Guerrero.

– Czym się zajmują? Nauczają katechizmu i tak dalej? Przygotowują do chrztu?

– To też, ale nie tylko. Działają trochę bardziej hardcorowo. Składają śluby wieczyste. Wszystkie. Czystość, ubóstwo, posłuszeństwo i tak dalej. Wierzą w obietnicę życia wiecznego w raju w zamian za cierpienia i ofiary poniesione na ziemi. Wyjeżdżają na misje, głoszą Słowo Boże w bardzo nieprzyjemnych okolicach. Na przykład na terenach rządzonych przez kartele narkotykowe, w górskim regionie Guerrero, gdzie są pola maku. Niektóre z nich nie wracają. W każdym klasztorze jest ściana upamiętniająca siostry, które zginęły. Podobna do tej, którą mamy u nas w komendzie.

– A wydawałoby się, że tamci zostawią siostry w spokoju.

– Najwyraźniej nie. Tam nikt nie jest bezpieczny.

Bosch przez chwilę nad tym wszystkim rozmyślał. Jedyne jego wspomnienie dotyczące zakonnic dotyczyło siostry, która przekazała mu

wiadomość o śmierci matki. Miał wtedy jedenaście lat. Kobieta pracowała jako wolontariuszka w prowadzonym przez hrabstwo ośrodku opiekuńczym dla nieletnich, w którym Harry'ego umieszczono po tym, jak jego matce zostały odebrane prawa rodzicielskie. Miał zostać tam tylko na krótko, jednak owego dnia sytuacja uległa dramatycznej zmianie. Przez lata obraz zakonnicy zawsze łączył się w jego umyśle ze śmiercią.

– Co powiemy Anie? – spytała Soto. – To znaczy, o ile ona tam jeszcze jest, po tylu latach.

– Nie ma znaczenia, czy jest siostrą zakonną, czy nawet matką przełożoną – odpowiedział Bosch. – Jest podejrzana i tak ją będziemy traktować. Pamiętaj, za wrzucenie bomby zapalającej do zsypu na śmieci bezpośrednią odpowiedzialność ponoszą dwie osoby. Nawet gdyby jedną z nich był sam papież, to i tak byśmy go zatrzymali. Ana Acevedo to łącznik, który doprowadzi nas do tej dwójki. Być może nie wiedziała, co tamci zamierzają zrobić, zakładam, że nie. A może właśnie dlatego wybrała zakon.

– Racja.

Zamilkli i dalej jechali w ciszy. Boschowi znów stanęła przed oczami osoba zakonnicy, a także kryty basen, który mieli w MacLaren Hall. Kiedy usłyszał o śmierci matki, wyrwał się i zanurkował aż do samego dna. Krzyczał tam z całych sił, lecz na powierzchnię nie przedostał się żaden dźwięk.

Dotarli do Calexico parę minut po dwudziestej pierwszej. Soto wpisała adres w lokalizator GPS w swoim telefonie i pokierowała Boscha ku zachodniej części miasteczka. Klasztor znajdował się przy Nosotros Street, w dość gęsto zabudowanej okolicy. Harry zaparkował samochód bezpośrednio przed budynkiem i otworzył drzwiczki.

– Weź zdjęcie Any – powiedział. – Na wszelki wypadek.

– Jasne – odrzekła Soto.

W ciemnościach wieczoru niósł się przeszywający dźwięk cykady, usadowionej wysoko na jednym z drzew, które ciągnęły się wzdłuż trawnika przed klasztorem.

– Nie cierpię tych stworzeń – rzuciła Lucy.

– Czemu?

– Nie wiem. W Biblii i w filmach zawsze oznaczają coś złego.

– Masz chyba na myśli szarańczę. A to jest cykada.

– Co za różnica. I tak będą złe wieści. Zaczekaj, a się przekonasz.

Brama klasztorna nie była zamknięta na klucz. Minęli ją i podeszli do jakichś drzwi. Przez okienko dostrzegli, że w środku panuje całkowity mrok. Obok znajdował się podświetlany przycisk dzwonka. Bosch wciskał go długo i solidnie.

– A jeśli ona złożyła śluby milczenia i nie będzie mogła odpowiadać na nasze pytania? – zapytał, czekając, aż ktoś im otworzy.

– W materiałach, które czytałam, nic nie wspomniano o ślubach milczenia – odparła Soto.

– Żartowałem. Ktoś idzie.

Dostrzegł cień za szybą. Drzwi się otworzyły i zobaczyli zaskakująco młodą kobietę ubraną w zakonny habit. Miała ładną twarz i ciemne oczy. Uchyliła drzwi jedynie na stopę.

– Tak? Czym mogę służyć?

– Siostrze, przepraszamy za najście o tak późnej porze, ale jesteśmy z policji z Los Angeles – powiedział Bosch, po czym wraz z Soto pokazali swoje odznaki. – Poszukujemy kobiety, która może przebywać w tym klasztorze. Musimy z nią porozmawiać.

Zakonnica wyglądała na zdezorientowaną.

– Ale dziś nikt tu nie przy...

– Ona mogła się tu zjawić dwadzieścia lat temu – przerwał jej Bosch.

Kobieta przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Harry pomyślał, że musiała mieć ze trzy lata, gdy Acevedo przybyła do klasztoru – o ile Ana faktycznie tu wylądowała.

– Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam – powiedziała siostra.

Harry kiwnął głową i posłał jej łagodny uśmiech.

– Przepraszam. To rzeczywiście trochę niejasne. Musimy porozmawiać z tą kobietą o czymś, co wydarzyło się dawno temu w Los Angeles. Pracujemy w jednostce, która zajmuje się śledztwami sprzed lat. Ostatni znany adres tej kobiety to właśnie ten klasztor. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku poleciała, aby tutaj przekazywano jej pocztę. Nazywa się Ana Maria Acevedo. Czy siostra zna to nazwisko? Ta pani tu jest?

Reakcja zakonnicy nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że pierwszy raz słyszy wymienione przez Boscha nazwisko.

– Wiem, że działo się to na długo przed tym, gdy siostra tu zamieszkała,



ale może jest ktoś inny, kto...

– To ona – powiedziała Soto, pokazując zdjęcie z ostatniego prawa jazdy Any Acevedo. Zakonnica pochyliła się, by je lepiej widzieć w słabym świetle wiszącej ponad ich głowami lampy.

– Podobna do siostry Esi. Ale tu jej nie ma.

Bosch i Soto odruchowo wymienili spojrzenia. Ana Acevedo przyjęła imię po bohaterskiej kobiecie, która zginęła, próbując ratować dzieci z pożaru na Bonnie Brae.

– Jest siostra pewna? – zapytał Harry.

– Cóż, nie, ale wydaje się podobna – odrzekła zakonnica.

– Czy to jej imię? – wtrąciła się Soto. – Siostra Esi?

– Nie, Esther. Siostra Esther Gonzalez, ale nie jesteśmy tu formalistkami.

– A siostra to...? – spytał Bosch.

– Jestem siostra Theresa.

Harry poprosił zakonnice, żeby jeszcze raz popatrzyła na zdjęcie i potwierdziła tożsamość poszukiwanej. Ta kiwnęła głową.

– Oczywiście, teraz jest starsza – powiedziała. – Najdłuższy staż ma u nas siostra Geraldine. Ona będzie wiedzieć na pewno.

– Możemy porozmawiać z siostrą Geraldine? To bardzo ważne.

– Zaczekacie państwo chwilkę? Zobaczę, czy jeszcze nie śpi.

– Świetnie. Ale zanim siostra pójdzie, proszę jeszcze powiedzieć, dokąd wybrała się siostra Esther? Bo tu jej nie ma, tak?

– Zobaczę, czy siostra Geraldine już się położyła. Naprawdę nie powinnam rozmawiać z nikim w imieniu zgromadzenia. Mogę wziąć to zdjęcie?

Lucy dała jej fotografię, po czym siostra Theresa zamknęła drzwi. Bosch i Soto spojrzeli po sobie. Wszystkie elementy układanki zaczynały wskakiwać na odpowiednie miejsca.

– Przyjęła imię po Esi – powiedziała Lucy. – Jeżeli to nie jest przyznanie się do winy, to nie wiem, co nim jest.

Harry tylko kiwnął głową, starając się opanować ogarniającą go ekscytację. Siostry Esther nie było w klasztorze. Nawet jeśli była to Ana Maria Acevedo, musieli ją jeszcze znaleźć i mieć nadzieję, że doprowadzi ich do mężczyzn, którzy podłożyli ogień.

Po pięciu minutach drzwi otworzyły się ponownie i młoda zakonnica oddała Lucii zdjęcie, mówiąc, że siostra Geraldine zgodziła się porozmawiać

z policjantami.

Weszli do budynku i ruszyli korytarzem. Na bocznej ścianie znajdowała się tablica ku czci sióstr, które zginęły. Dziewięć imion i fotografii kobiet w habitach. Wszystkie wyglądały tak samo.

Dotarli do skromnie umeblowanego salonu ze starym kineskopowym telewizorem w kącie. Przy stoliku do kawy czekała na nich starsza zakonnica. Była po sześćdziesiątce, a jej bystre oczy za okularami bez oprawek musiały widzieć rzeczy, które śmiało mogłyby rywalizować z doświadczeniami Boscha.

– Słyszałam, że są państwo detektywami – powiedziała. – Proszę usiąść. Jestem siostra Geraldine Turner, ale tu nazywają mnie po prostu siostrą G. Wydaje mi się, że kobieta na zdjęciu, które dali państwo siostrze Theresie, to nasza siostra Esther. Czy nic jej nie jest? O co tu chodzi?

Bosch opadł na wyściełaną ławeczkę naprzeciwko zakownicy. Soto usiadła obok niego.

– Siostro G., nie mamy żadnych informacji na temat siostry Esther – zaczął Harry. – Poszukujemy jej, ponieważ potrzebna jest nam pomoc w sprawie, nad którą obecnie pracujemy.

Siostra G. położyła rękę na piersi, jakby chciała uspokoić szybko bijące serce.

– Niech Bogu będą dzięki – rzekła. – Już myślałam, że stało się najgorsze.

– Gdzie jest siostra Esther? – zapytał Bosch.

– Na misji w Estado de Guerrero, w Meksyku. Pojechała do wsi Ayutla. Słyszałyśmy, że toczą się tam walki między policją a handlarzami narkotyków. Od ponad tydzień nie miałyśmy od niej żadnych wieści.

– Po co tam pojechała?

– Wszystkie jeździmy na misje, detektywie. Zawozimy dzieciom książki, artykuły medyczne, a także Słowo Boże. To nasze powołanie.

– Kiedy siostra Esther powinna była się odezwać? Czy jej pobyt się przedłuży?

– Nie, jeszcze nie. Ma wrócić za dwa tygodnie. Ale kiedy możemy, kontaktujemy się z rodzimym klasztorem raz na tydzień. To jest nasz rodzimy klasztor, detektywie. Od ostatniej wiadomości od siostry minęło dziesięć dni.

Bosch kiwnął głową. Siostra G. wykonała znak krzyża i odmówiła

szybką modlitwę za Esther.

– Była tu siostra dwadzieścia lat temu, gdy Esther pojawiła się w klasztorze? – spytała Soto.

– Tak – odrzekła zakonnica. – Wydaje mi się, że jestem już jedyną z nas, która była wtedy w zgromadzeniu. Wiele sióstr odeszło do Pana.

– Pamięta siostra okoliczności jej przybycia?

– To było tak dawno. Pamiętam, że pochodziła z Los Angeles, ponieważ pomyślałam, że zesłano nam anioła. Kogoś z Miasta Aniołów.

– To znaczy? – zapytał Bosch.

– Cóż, w tamtym okresie miałyśmy poważne trudności – powiedziała siostra G. – Spłacałyśmy kredyt hipoteczny i miałyśmy spore zaległości. Groziła nam utrata tego cudownego miejsca, które nazywamy domem, i wtedy pojawiła się ona. Spłaciła całą hipotekę. I oznajmiła, że chce do nas wstąpić. Wzięłyśmy ją więc pod nasze skrzydła, aż w końcu złożyła śluby zakonne.

Harry pokiwał głową.

– Chcielibyście zobaczyć dzieła siostry Esther? – spytała zakonnica.

– Co siostra ma na myśli? – zdziwił się Bosch.

Kobieta wskazała na stary telewizor.

– Przechowujemy nagrania wideo z naszych misji – powiedziała. – Pomagają w zbieraniu funduszy. Wydaje mi się, że ostatnią misję siostry Esther mamy tu na DVD. Pojechała wtedy do szkoły w Chiapas. Słyszeli państwo o *cinturones de miseria*?

Bosch spojrział na Soto z prośbą o przetłumaczenie.

– *Barrio* – rzuciła. – Slumsy.

– Chiapas to najbiedniejszy stan w całym Meksyku – dodała siostra G.

Zakonnica wzięła pilot leżący na stoliku obok jej krzesła i włączyła telewizor wraz z odtwarzaczem DVD. Na ekranie ukazała się scena z jakiejś szkoły, gdzie dwie ubrane całkowicie na białą siostry rozdawały jedzenie dzieciom w obskurnej klasie. Dzieci miały na sobie brudną odzież, wiele z nich wzdęte brzuchy. Bosch nie musiał pytać, która to siostra Esther. Dość się napatrzył na zdjęcie Any Acevedo, by ją rozpoznać.

Siostra G. przewinęła nagranie do przodu i zatrzymała je w miejscu, w którym zakonnice zaczęły prowadzić lekcję. Siostra Esther czytała Biblię ze złotym tłoczeniem na skórzanej oprawie, a dzieci, w wieku od sześciu do jedenastu lat, słuchały z uwagą, zachwycone.

Siostra Geraldine znów przewinęła taśmę i ukazała się scena wyjazdu zakonnicy z wioski. Droga była pozbawiona nawierzchni, nigdzie też nie było widać słupów energetycznych. Misjonarki wsiadały właśnie do kolorowego, ale starego autobusu. Nad przednią szybą tkwił napis obwieszczający kierunek jazdy: „Cristobal de las Casas”. Bosch nigdy nie słyszał o takim miejscu.

Mały chłopiec, mający około ośmiu lat, nie chciał puścić siostry Esther. Przytulał się do jej białego habitu i płakał. Zakonnica delikatnie głaskała go po głowie, próbując uspokoić.

Siostra G. wyłączyła telewizor.

– To jest siostra Esther – powiedziała.

– Dziękujemy za pokazanie nam filmu – rzekł Bosch.

Zastanawiał się, czy starsza kobieta przeczuwa, w jakim celu się tu zjawili, i czy nagrania nie miały ich pozytywnie nastawić do siostry Esther. Soto zamierzała właśnie coś powiedzieć, lecz Bosch położył jej dłoń na ramieniu. Na razie dostali to, czego chcieli. Bał się, że zbyt wiele pytań może wzbudzić podejrzenia – o ile jeszcze ich nie wzbudzili – i siostry ostrzegą Anę. Harry nie chciał jej spłoszyć i stracić szansy na osobistą rozmowę.

– No cóż – powiedział. – Jeżeli można, skontaktujemy się później, po powrocie siostry Esther. Chcielibyśmy zamienić z nią parę słów. Przepraszamy za najście i dziękujemy za poświęcony nam czas.

Zaczął się zbierać do wyjścia.

– Może mi pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – poprosiła siostra G.

– Oczywiście – odrzekł Bosch uprzejmie. – Nie wiem, czy siostra Theresa o tym wspomniała, ale jesteśmy z Sekcji Spraw Niewyjaśnionych i zajmujemy się przestępstwami sprzed lat. Siostra Esther, wtedy jeszcze nazywała się Ana Acevedo, była świadkiem zbrodni, którą analizujemy obecnie pod innym kątem. Chcielibyśmy z nią porozmawiać i zobaczyć, czy pamięta coś, czym nie podzieliła się wtedy z policją. Zdziwiłaby się siostra, ile rzeczy odciska się w naszej pamięci i wypływa na powierzchnię dopiero po latach.

Zakonnica zerknęła na zegarek, a potem obrzuciła Boscha podejrzliwym spojrzeniem.

– Na pewno bym się zdziwiła. Niech pan zostawi wizytówkę, każe siostrze Esther zadzwonić do państwa natychmiast po powrocie, jeśli Bóg da.

– Proszę się nie trudzić, siostró – powiedział Bosch. – Z całą pewnością będziemy w kontakcie.

Było po drugiej nad ranem, kiedy Bosch stanął pod drzwiami swojego domu. Światła wciąż się paliły, ale wszędzie panowała cisza. Drzwi do sypialni jego córki były zamknięte. Maddie już dawno poszła spać. Zamienili kilka słów przez telefon, gdy Harry zadzwonił do niej w drodze powrotnej z Calexico.

Mimo bardzo długiego dnia, w większości spędzonego w samochodzie, Bosch czuł ekscytację. Wyszedł na tylny taras i stał tam, oparty o balustradę, spoglądając na miasto i rozmyślając o postępach w sprawie Bonnie Brae. Rano złoży kapitanowi Crowderowi najświeższy raport, a potem będą musieli zdecydować, czy jechać do Meksyku i spróbować znaleźć Anę Acevedo vel siostrę Esther Gonzalez w kontrolowanym przez kartel górskim rejonie Guerrero, czy poczekać na jej powrót do Stanów. Obie możliwości niosły ze sobą ryzyko, dlatego Bosch wolał pozostawić decyzję kapitanowi.

Zanotował sobie w pamięci, by sprawdzić rano, czy Ana Acevedo przeistoczyła się w siostrę Esther Gonzalez legalnie, a jeżeli tak, to dlaczego Soto nie natrafiła na żaden ślad tej operacji. Harry uznał, że zakonnica pojechała do Meksyku, posługując się ważnym paszportem, a to znaczyło, że gdzieś muszą być jakieś jej dane.

Komórka Boscha zabręczała. Harry wyjął ją z kieszeni i na wyświetlaczu zobaczył imię partnerki. Zupełnie jakby ściągnął ją telepatycznie.

– Lucy?

– Harry, nie śpisz jeszcze?

– Nie, jeszcze nie. Gdzie jesteś?

Bosch wysadził ją wcześniej obok jej samochodu, w podziemnym garażu pod komendą policji.

– W firmie. Zostawiłam tu klucze.

Nie był pewny, czy Soto mówi mu prawdę.

– I?

– I przed pójściem do domu sprawdziłam parę rzeczy. Znalazłam ten artykuł o Mercedzie w „La Opinión”. Wiesz, chciałam zobaczyć, jak to wypadło.

– Okej.

– Wypadło w porządku. Czyta się dobrze, żadna wypowiedź nie została

przekreślona. Piszą, że znaleźliśmy narzędzie zbrodni. Potem zjechałam niżej, do komentarzy. Wiesz, o czym mówię?

– Nie bardzo. Nie czytam gazet, ani w Internecie, ani na papierze. Ale mów dalej.

– No cóż, w Internecie czytelnicy mogą komentować artykuły. Pojawiły się komentarze, w tym jeden, co do którego mam pewność, że pochodzi od naszej anonimowej telefonicznej informatorce. Nie poddaje się. Moim zdaniem musimy z nią porozmawiać.

– Co napisała?

– Pisze po hiszpańsku, że policja kłamie. Że wiemy, kto to zrobił, ponieważ dostaliśmy cynk, ale od dawna tuszujemy sprawę, aby chronić burmistrza oraz człowieka, który za nim stoi. Który ma prawdziwą władzę.

Bosch zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Wciąż zakładamy, że ona ma na myśli Zeyasa, tak?

– Tak.

– A kim miałby być ten człowiek z prawdziwą władzą? To Broussard?

– Tak sądzę.

– I nie podpisała się z imienia i nazwiska, co?

– Nie, tam się można podpisywać dowolnie. Jej ksywka to *Lo sé*. „Ja to wiem”.

– Da się ją namierzyć?

– Prawdopodobnie, ale trzeba by mieć nakaz sądowy. Wątpię, żeby bez niego gazeta chciała nam pomóc. Będę próbowała się do tej kobiety dodzwonić. Jeśli odbierze, umówię się na spotkanie.

– Nie, nie dzwoń do niej. Wystraszy się i wyrzuci komórkę. Musi być jakiś powód, dla którego chce pozostać w ukryciu.

– Więc co zrobimy?

– Namierzemy ją.

– Okej.

– Wracaj do domu, Lucy. Prześpij się trochę. Rano wszystko ustalimy. Znam sędziego, który podpisze nakaz.

– Dobrze, Harry.

– Dobra robota. Coraz trudniej za tobą nadążyć.

– Dziękuję, Harry.

Bosch wyłączył telefon. Nie był pewny, czy jego ostatnie zdanie było komplementem.

W czwartek rano Bosch po raz pierwszy pobił Soto w konkurencji wczesnego przychodzenia do biura – zjawił się tam jeszcze przed świtem, niosąc w rękę kawę kupioną w czynnym całą dobę Starbucksie. Na biurku partnerki wyszukał fiszki z informacjami z anonimowych zgłoszeń i natychmiast zabrał się do roboty. Przygotowywał wniosek o wydanie nakazu sądowego, dzięki któremu mogliby zlokalizować komórkę osoby oskarżającej ich o ukrywanie prawdziwego zabójcy Orlanda Merceda.

Trwająca od dwóch dekad era telefonii komórkowej przyniosła ogromne zmiany w sposobie funkcjonowania instytucji śledczych. Ustawa o dostępie organów ścigania do danych telekomunikacyjnych, zwana w skrócie CALEA, została uchwalona w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku i od tej pory prawodawca niemal rokrocznie ją aktualizował, próbując dotrzymać kroku szybko postępującym zmianom technologicznym. W świecie, z którego dobrodziejstw przestępcy korzystali na wszelkie możliwe sposoby. Na mocy nowego prawa producenci urządzeń telekomunikacyjnych i operatorzy sieci komórkowych mieli obowiązek umożliwić wyśledzenie każdego aparatu. Dzięki temu zaś możliwe było namierzenie konkretnych osób. Niezarejestrowany telefon na kartę, który wydawał się komuś idealnym narzędziem anonimowej komunikacji, legalnej czy nie, można było zlokalizować dzięki wieżom przekaźnikowym sieci komórkowej. Dysponując nakazem sądowym, technicy policyjni mieli prawo wysłać pod dany numer impuls elektroniczny i w ten sposób ustalić lokalizację aparatu z dokładnością do pięćdziesięciu metrów. Kryminaliści działali szybko. Gdy otrzymali stosowne polecenie, cała procedura, zwana namierzaniem, zajmowała im dwie godziny.

Dlatego właśnie Bosch przyjechał do pracy tak wcześnie. Jego plan zakładał zdobycie nakazu, zanim sędzia Sherma Barthlett na cały dzień zniknie w sali rozpraw.

Proces lokalizowania telefonów komórkowych nie był dla Harry'ego żadną nowością. Stał się on użytecznym instrumentem ścigania podejrzanych

w wielu zamrożonych dochodzeniach. Często odnalezienie sprawcy okazywało się trudniejsze niż jego zidentyfikowanie. Punkt wyjścia stanowiła zawsze baza danych, w której znajdowały się wszystkie numery telefonów komórkowych wraz ze wskazaniem operatora sieci – zgodnie z ustawą CALEA także tych operatorów, którzy oferowali nieregistrowane aparaty na kartę. W ciągu niecałych pięciu minut Bosch znalazł operatora, który obsługiwał numer telefonu anonimowej rozmówczynie, a następnie wypełnił w komputerze gotowy wzorzec formularza wniosku o wydanie nakazu sądowego.

Wydrukował dokument i był gotów do wyjścia. Po drodze planował wstąpić do pobliskiego Starbucksa po kubek kawy i ciastko, które zamierzał zanieść sędzi razem z wnioskiem o nakaz, najpierw jednak zadzwonił do Sekcji Technicznej z informacją dla tamtejszego sierżanta, że jeszcze tego ranka pojawi się u nich z priorytetowym nakazem namierzenia numeru. Dochodzenia w sprawie zabójstw zawsze przeskakiwały na sam przód kolejki, w której czekały głównie śledztwa antynarkotykowe. Niezarejestrowany telefon na kartę stanowił ulubione narzędzie komunikacji dilerów na całym świecie.

Przed wyjściem Bosch napisał Soto krótką notkę i położył na jej biurku, lecz idąc przez salę detektywów, prawie się zderzył z wchodzącą Lucy.

– Harry, jak wcześniej.

– No tak, chciałem załatwić kwestię tego namierzania. Zostawiłem ci wiadomość. Idę teraz do sędzi, mam nadzieję, że przed lunchem będziemy mieć to z głowy.

– Świetnie.

– Powinniśmy chyba powiedzieć kapitanowi o Acevedo i Bonnie Brae. Tak sobie myślę, że pójdziemy do niego, kiedy technicy zaczną szukać właścicielki telefonu.

Uniósł akta z wnioskiem o nakaz sądowy, który właśnie przygotował.

– Okej, brzmi rozsądnie.

– Dobrze się czujesz, Lucy?

Wyglądała na zmęczoną i niewyspaną, jakby w końcu odbiły się na niej trudy ostatnich dziesięciu dni.

– Ależ tak, bardzo dobrze. Muszę się tylko napić kawy.

– Po drodze wstąpię do Starbucksa po coś smacznego dla pani sędzi. Chcesz iść ze mną?



- Nie, nie trzeba. Zostawię tylko swoje rzeczy i zejść na dół.
- Do automatu. Jesteś pewna?
- Tak, idź. Załatw ten nakaz.
- Okej, niedługo wrócę.

Bosch niósł latte oraz zwykłą czarną kawę w specjalnym kartonowym nosidełku, które umożliwiała bezpieczny transport kubków bez rozlewania ich zawartości na ludzi w zatłoczonej windzie. Nie był pewny, jak sędzia zareaguje na podarunek. W torebce miał także kawałek ciasta orzechowo-bananowego i muffinkę jagodową. Niech sama wybierze.

Sędzia Barthlett pracowała w Departamencie 111 (w tutejszym sądzie istniała długa tradycja nazywania sal rozpraw „departamentami”). Sala była pusta – nie licząc asystentki, która zajmowała swoje miejsce na prawo od ławy przysięgłych. Siedziała ze spuszczoną głową, opracowując poranną wokandę, i nie zauważyła wejścia Boscha.

– Meme? – powiedział Harry.

Kobieta prawie podskoczyła na krześle.

– Przepraszam – rzekł szybko Bosch. – Nie chciałem cię przestraszyć. Jestem ciekaw, czy mógłbym zobaczyć się z sędzią. Przyniosłem jej kawę.

– Hm, sędzia pija tylko herbatę, którą parzy sobie sama – odparła Meme.

– Ach.

– Ale ja chętnie wezmę latte.

– Oczywiście.

Bosch wyciągnął kubek z nosidełka i postawił na biurku.

– Sądysz, że będzie wolała muffinkę czy ciasto orzechowo-bananowe? – zapytał.

– Jest na diecie.

Bosch bez słowa położył torebkę na biurku.

– Pójdę spytać, czy cię zaraz przyjmie – powiedziała Meme.

– Dzięki.

Do realizacji przedłożonego przez Boscha nakazu skierowano technika Marshalla Flowersa. Jego zadanie polegało na skontaktowaniu się z operatorem rzeczonoego numeru i rozpoczęcie namierzania. Sekcja Techniczna miała własny budżet i za tego rodzaju usługi obciążała wydział Harry’ego. Próby namierzania odbywały się cyklicznie, zwykle dwa

razy na godzinę, aż do ustalenia, czy dany telefon znajduje się w ruchu i czy należy go lokalizować w krótszych odstępach czasu.

Flowers powiedział Boschowi, że wyniki zaczną napływać w ciągu dwóch godzin, dlatego powinien wrócić do siebie i tam poczekać. Po ustaleniu współrzędnych telefonu zostaną mu one przesłane mejlem, wraz z linkiem do lokalizacji w serwisie Google Maps. Harry podał adres mejlowy swojej partnerki, ponieważ Soto była o wiele bieglejsza w obsłudze komputera. Poza tym planował siedzieć za kierownicą, kiedy wyruszą na poszukiwanie właścicielki aparatu.

Kiedy Bosch wrócił do sali detektywów, Soto siedziała za biurkiem. Powiedziała, że kapitan Crowder chce ich widzieć zaraz po jego powrocie. Gdy weszli do gabinetu dowódcy, zastali w nim również porucznika Samuela.

– Dobra, posłuchajmy, co tam macie – powiedział Samuels. – Ostatnie dwa dni podróżowaliście chyba po całym stanie. I z czym w końcu przychodzicie?

Samuels był psem łańcuchowym Crowdera i kapitan najwyraźniej spuścił go ze smyczy. Fakt, że to on rozpoczął spotkanie, dowodził jednoznacznie, iż Crowder, zniecierpliwiony czekaniem na raport, przekazał nadzór nad dochodzeniem swemu przydupasowi.

Wcześniej, idąc do gabinetu kapitana, Bosch i Soto podzielili się rolami. Lucy miała zdać relację z dochodzenia w sprawie pożaru przy Bonnie Brae, Harry zaś – przekazać najnowsze informacje dotyczące Merceda.

Kapitan Crowder oświadczył, że najpierw chce usłyszeć o Bonnie Brae. Bądź co bądź zginęło tam więcej osób.

– Może ja o tym opowiem – rzekła Soto. – Wczoraj zidentyfikowaliśmy prawdopodobną współniczkę sprawców napadu na placówkę EZBanku. Napad miał miejsce prawie równocześnie z wybuchem pożaru. Zgodnie z tym, co napisaliśmy w naszym ostatnim raporcie, bierzemy pod uwagę teorię, że pożar był dziełem bandytów i miał odwrócić uwagę policji. Teraz musimy tylko odszukać tę kobietę.

– I tym się wczoraj zajmowaliście cały dzień? – zapytał Samuels. – Szukaliście jej po całym stanie?

– Po części tak, panie poruczniku – odparła Lucy. – Ustaliliśmy, że podejrzana wyjechała z kraju. Zaczekamy na jej powrót.

Ani Samuels, ani Crowder nie zareagowali, więc Bosch wykorzystał

okazję i wtrącił się szybko.

– Chyba że pan, kapitanie, wyrazi zgodę na nasz wyjazd do Acapulco. Sądzymy, że podejrzana przebywa gdzieś na terenie stanu Guerrero. Wysoko w górach. Moglibyśmy polecieć do Acapulco, a potem wynająć przewodnika i pożyczyć jeepa.

Z wyrazu twarzy kapitana Bosch odczytał, że ten ani myśli wysłać dwójki detektywów samolotem do Acapulco – nawet jeśli celem ich podróży miał być pełen zdradzieckich pułapek region Guerrero. Sama myśl, że musiałyby umieścić wzmiankę na ten temat w raporcie finansowym, który trafiał na dziewiąte piętro, wystarczyła, aby po jego czole spłynęła kropla potu.

– Kiedy ta kobieta ma wrócić? – zapytał Samuels.

– W ciągu dwóch tygodni – odrzekła Soto.

– W takim razie możemy chyba zaczekać – powiedział Crowder. – A w tymczasem macie co robić. Przejdźmy teraz do Merceda. Jak wygląda sytuacja?

Tym razem mówił Bosch.

– Mamy dziś jeszcze do załatwienia jedną sprawę. Chodzi o osobę, która uważa, że dysponuje pewnymi informacjami. Wielokrotnie dzwoniła do nas anonimowo, a przynajmniej tak jej się wydaje, oraz pozostawiła dosadny komentarz do artykułu, który ukazał się we wczorajszym „La Opinión”. Jakąś godzinę temu otrzymaliśmy sądowy nakaz namierzenia jej komórki. Liczymy, że uda nam się załatwić tę sprawę jeszcze dzisiaj i porozmawiać z nią twarzą w twarz.

– Sądzicie, że ona naprawdę może coś wiedzieć? – zapytał Crowder.

– Cóż, ta kobieta twierdzi, że eksburmistrz wie, kto stoi za postrzeleniem Merceda. I że sprawę zatuszowano – odpowiedział Bosch.

– Chodzi o Armanda Zeyasa? – upewnił się kapitan. – To jakaś wariatka. Nie mówcie mi, że teraz zajmujecie się ściganiem czubków.

– Ona nie ma żadnych wątpliwości, obstaje przy swoim – odparł Bosch. – Są istotne powody, dla których powinniśmy odszukać tę kobietę i z nią pogadać. To strzał w ciemno, ale czasem warto zaryzykować.

– Strzał w ciemno? – wtrącił się Samuels. – Po ponad tygodniu prowadzenia śledztwa mówicie nam, że jedyne, co macie, to rojenia jakiejś wariatki, która prawdopodobnie robi was w konia, żeby zdobyć pieniądze z nagrody? Kogo ty chcesz nabrać, Bosch?

– Dysponujemy też innymi tropami i zbliżamy się do zakończenia śledztwa – odparł Harry spokojnie. – Ale procedura wymaga, aby zidentyfikować i porozmawiać z tą kobietą. I to właśnie...

– Tylko marnujecie czas i środki – przerwał mu Samuels. – Jak się nazywał ten podejrzany, o którym wcześniej była mowa?

– Willman, właściciel broni, z której dokonano przestępstwa – rzekł Bosch. – Wszystko jest w raporcie.

– Z raportu wynika, że on nie żyje – rzucił Samuels.

– Owszem, ale sądzimy, że to on oddał strzał – skontrolował Bosch.

– Po co miałyby to robić? Z czyjego polecenia?

– Pracujemy nad tym. W jego dawnym domu znaleźliśmy też inne sztuki broni, które mają związek z morderstwami w San Diego i w Las Vegas. Wygląda na to, że facet był płatnym zabójcą.

– Więc kto go wynajął do oddania tego strzału na Mariachi Plaza? – zapytał Crowder.

– Nad tym też pracujemy – odrzekł Bosch. – Łączymy różne wątki śledztwa. Jednym z nich jest anonimowa informatorka.

Samuels nie wyglądał na przekonanego.

– Dostajecie ultimatum w tej sprawie – powiedział. – Albo złożycie coś w końcu do kupy, albo przekazę śledztwo komuś, kto będzie bardziej skuteczny.

– Świetnie – rzekł Bosch. – Ma pan takie prawo, poruczniku.

– Pewnie, że mam takie prawo, do cholery. Możecie już iść.

Bosch i Soto wracali w milczeniu do swojego boksu. Harry uświadomił sobie, że ma zaciśnięte zęby, i to tak mocno, iż zuchwa zaczynała tworzyć nienaturalny łuk. Próbował się uspokoić, ale nie mógł. Miał ochotę wrócić do gabinetu kapitana i wyrzucić Samuela przez oszkloną ścianę. Ten facet nie był detektywem i nigdy nie pracował nad żadną sprawą. Był zwykłym gryzpiórkiem, który sądził, że najlepszym sposobem motywowania ludzi jest deprecjonowanie ich wysiłków oraz okazywanie zniecierpliwienia, gdy ci prowadzą żmudne śledztwo. Bosch pomyślał, że jeśli po przejściu na emeryturę będzie za czymś tęsknił, to na pewno nie za tego typu biurokratami.

Kiedy dotarli do boksu, Harry usiadł, położył ręce płasko na blacie biurka i zaczął bębnić po nim palcami. Miał nadzieję, że choć trochę rozładuje wypełniającą go złą energię.

– Myślałam, że jeszcze nie chciałeś mówić im o tej broni – powiedziała Soto do pleców Boscha.

Harry odpowiedział, nie odwracając głowy.

– Musiałem im coś dać. Żebyśmy mogli już stamtąd wyjść.

Spojrzał w kierunku gabinetu kapitana. Samuels wciąż tam siedział, rozmawiając z Crowderem i wymachując obiema rękami.

– Hej, Harry! – zawołała Lucy. – Są pierwsze wyniki namierzania z Sekcji Technicznej.

Bosch odwrócił się i przesunął z fotelem bliżej jej biurka. Soto kliknęła na link, przesłany mejlem przez Marshalla Flowersa. Na Mapie Google'a zaznaczono interesujący ich adres. Gdzieś przy Mulholland Drive, pomiędzy Laurel Canyon Boulevard a przełęczą Cahuenga.

– Przejdź na Street View – polecił Harry.

Soto kliknęła swą bezprzewodową myszką w odpowiednią ikonę i na ekranie ukazała się fotografia ulicy z podanym adresem. To stamtąd otrzymano pierwszy sygnał od namierzanego telefonu anonimowej informatorki. Zdjęcie przedstawiało jezdnię z barierką ochronną, a za nią panoramę miasta.

– Tu nic nie ma – powiedziała Soto.

Już miała przesunąć myszką obraz, gdy nagle Bosch położył jej rękę na ramieniu.

– Zaczekaj – powiedział. – To jest dom Broussarda.

– Co? Tu nie ma żadnego domu. Skąd wiesz?

– Ponieważ tam byłem. Przejeżdżałem tamtędy. To jego dom. Zjedź trochę w dół wzdłuż Mulholland. Budynek stoi niżej, nie widać go od ulicy.

– O rany. To znaczy, że telefon jest w jego domu. Anonimowe informacje pochodziły od... jego żony! Przez cały ten czas próbowała go wsypać.

Złożenie bezpośredniej wizyty uznali za zbyt ryzykowne. Nie wiedzieli, czy Broussard jest w domu, ale nawet gdyby go nie było, to obecność zewnętrznego monitoringu wskazywała, że wewnątrz domu – oraz żona właściciela – również mogą pozostawać pod nadzorem kamer. Bosch i Soto uznali zatem, że lepiej będzie poprzestać na obserwacji i zajęli stanowisko na punkcie widokowym o jedną przecznicę dalej. Plan zakładał, że zaczekają, aż Maria Broussard opuści dom, a wtedy w odpowiednim momencie podejną do niej i spytają o anonimowe połączenia telefoniczne. Oraz o to, co wie na temat postrzelenia Merceda.

Podzielili się zadaniami: jedno zostało w samochodzie, drugie zaś usiadło na ławce na punkcie widokowym. Dzięki temu mogli obserwować front i tyły oddalonego o pięćdziesiąt metrów domu. Aby się nie nudzić, co pół godziny zamieniali się miejscami, przy okazji dzieląc się spostrzeżeniami i różnymi uwagami, nie tylko na temat aktualnego śledztwa.

W czasie jednej z takich zamian Bosch opowiedział Soto o swoim ostatnim pobycie w tym miejscu i obserwacji innej posesji przy Mulholland Drive. Działo się to prawie dwadzieścia lat temu, kiedy otrzymał przydział do Wydziału Śledczego komendy policji w Hollywood, a jego partnerem został Jerry Edgar – elegant, który lubił szyte na miarę garnitury i buty z frędzlami. Obserwowali wtedy pewien dom, nie wiedząc nawet, czy facet, którego śledzą – podejrzany o szereg gwałtów i zabójstw – jest w środku. Było zimno, lecz w samochodzie panował zaduch, ponieważ okna musiały pozostać zamknięte. Obaj detektywi zdjęli marynarki. Zachodziło słońce, ale w obserwowanym domu nie włączono światła. Po godzinie ogarnęły ich kompletne ciemności. W oknach domu wciąż nie było widać żadnych świateł. Bosch, sfrustrowany, oświadczył w końcu, że zejdzie po zboczu i spróbuje rzucić okiem na tyły posesji – być może zobaczy jakieś oznaki życia. Edgar oponował. Ostrzegał, że w ciemnościach Harry może się pośliznąć, upaść i coś sobie zrobić, nie wspominając już o tym, że pobrudzi ubranie. Bosch uspokoił partnera i sięgnął po marynarkę.

Oczywiście pośliznął się, upadł i zjechał po stoku. Nic mu się nie stało, nie licząc drobnych zadrapań i paru siniaków, ale odzież miał całą powalaną błotem, a na dodatek rozerwał szew rękawa marynarki, tuż przy barku. Za to zdołał ustalić, że dom stoi pusty.

Zaliczywszy tę wywiadowczą porażkę, Bosch i Edgar wrócili na komendę w Hollywood, gdzie w silnym świetle fluoroscencyjnych lamp sali odpraw odkryli, że podarta i ubłocona marynarka należy do Jerry'ego.

Soto śmiała się z tej historii tak serdecznie, że nie usłyszała wołania Boscha. Harry musiał ją schwycić za ramię i powtórzyć.

– Wyjeżdża jakiś samochód – krzyknął, kierując partnerkę z powrotem do forda. – Jedziemy.

– To ona? – spytała Lucy.

– Nie widzę kierowcy, ale to kobiecy wóz.

– Och, doprawdy? A jak wygląda kobiecy wóz?

– Nie wiem. Po prostu nie wydaje mi się, żeby prowadził go facet.

Wskoczyli do forda i Bosch uruchomił silnik. Samochód, który wyjechał z rezydencji Broussarda, zmierzał w ich stronę. Harry zaczekał, aż minie zatoczkę obok punktu widokowego, a następnie wytoczył wóz na Mulholland i ruszył za śledzonym pojazdem. Był to dwumiejscowy, srebrny mercedes o przyciemnianych szybach. Kierowca pozostawał niewidoczny, więc nie mogli ustalić, czy jest nim kobieta. Bosch uświadomił sobie, że jego uwaga na temat auta miała chyba charakter seksistowski, lecz mimo to wciąż był przekonany, że prowadzi go kobieta. Może chodziło o model samochodu, a może o coś jeszcze innego?

– To musi być ona – powiedział.

– Miejmy nadzieję – odrzekła Lucy.

Soto zadzwoniła do centrali i poprosiła o sprawdzenie numerów rejestracyjnych mercedesa, co jednak niewiele wyjaśniło. Wóz należał do firmy Broussard Concrete Design, a to oznaczało, że mogą nim jeździć oboje małżonkowie.

Bosch trzymał się w pewnym oddaleniu od mercedesa. Jechali po Mulholland Drive na zachód. Na światłach przy Laurel Canyon obserwowany wóz pojechał prosto i Harry'emy przyszło nagle do głowy, że ktoś tu próbuje ich wywieść w pole. Być może zostali zauważeni na tej platformie widokowej i któryś z domowników wypuścił się mercedesem, żeby pojeździć sobie po okolicznych wzgórzach i w ten sposób odciągnąć

policjantów od punktu obserwacyjnego.

W końcu jednak samochód skręcił w prawo i zaczął zjeżdżać północnym zboczem góry po Coldwater Canyon Boulevard. Wyglądało na to, że kieruje się ku Sherman Oaks lub na Van Nuys, jednak tuż przed Ventura Boulevard znów skręcił ostro i nagle wjechał na parking przed supermarketem Gelson's. Bosch szybko zareagował i również się zatrzymał. Nie spuszczać mercedesa z oczu, zaparkował o jedną alejkę dalej.

Drzwi samochodu otwarły się i wysiadła zeń kobieta. Była drobna, ubrana w srebrzyste spodnie i płaszcz sięgający kolan, spod którego wyglądała jasna bluzka. Jej blond włosy całkowicie zaskoczyły Boscha, który spodziewał się ujrzeć brunetkę.

– To ona? – zapytał. – Blondynka? Przecież na zdjęciu z kampanii wyborczej miała ciemne włosy.

– Owszem – zgodziła się Soto. – Na prawie jazdy, wydanym trzy lata temu, też ma ciemne.

Bosch otworzył drzwiczki.

– Chodźmy – powiedział.

Ruszyli za kobietą do sklepu. Patrzyli, jak wyciąga wózek na zakupy z szeregu innych, zmierza z nim w kierunku pierwszej alejki marketu i tam zaczyna go napełniać. Sklep należał do ekskluzywnej sieci Gelson's, oferującej wysokiej jakości, lecz drogie towary. Bosch nie zauważył, żeby śledzona choć raz sprawdziła cenę tego, co kupuje, więc uznał, że to Maria Broussard. Mimo to coś mu nie pasowało, jeśli chodzi o kolor jej włosów.

– Są farbowane – szepnęła Soto, kiedy udając zwykłych klientów, zbliżyli się do kobiety w sekcji owocowo-warzywnej.

– Skąd wiesz?

Lucy podała mu swój telefon. Na ekranie widniało zdjęcie Charlesa i Marii Broussardów, które znalazła w Google'u. Obejmowali się, pozując do aparatu. Maria miała ciemnobrązowe włosy.

Soto powiększyła inne zdjęcie i na wyświetlaczu ukazała się ta sama kobieta, tyle że z włosami blond.

– Pofarbowała je – wyjaśniła Lucy. – Sądząc po datach tych fotek, myślę, że w zeszłym roku.

– Okej – rzekł Bosch. – Pogadajmy z nią.

Podeszli do obserwowanej kobiety z dwóch stron. Znajdowała się teraz przy końcu stoiska z bananami.



– Pani Broussard? – zapytał Harry.

Kobieta podniosła wzrok znad kiści bananów. Swobodny uśmiech, który dotąd błąkał się po jej twarzy, zamarł, gdy ujrzała obcą twarz. Na widok policyjnej odznaki zniknął zupełnie, jakby zmieciony podmuchem.

– Tak? O co chodzi? Coś się stało?

– Chcemy porozmawiać z panią na temat pani męża oraz telefonów, które pani wykonywała.

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli. Mojemu mężowi nic nie dolega. Jeszcze kwadrans temu widziałam go w domu.

– Chodzi o anonimowe telefony na policyjną linię informacyjną, które wykonano z pani domu – powiedziała Soto.

Maria Broussard obróciła się na pięcie. Nie zauważyła wcześniej stojącej za nią Lucy.

– To jakiś obłąd – oznajmiła. W jej głosie dało się wyczuć panikę. – *Nigdy* nie dzwoniłam na policję, ani anonimowo, ani nieanonimowo. Niby w jakiej sprawie?

Bosch przyglądał jej się przez chwilę, próbując ją rozgryźć. Coś tu nie pasowało.

– W sprawie postrzelenia Orlanda Merceda – odpowiedział.

W jej oczach coś zamigotało, jakby błysk zrozumienia, ale Harry nie wiedział, czy dotyczyło ono nazwiska, czy może czegoś innego.

– Trzymajcie się ode mnie z daleka – rzuciła.

Złapała torebkę spoczywającą w wózku, wcisnęła się między Boscha i Soto, po czym ruszyła przed siebie. Szła tak szybko, jak pozwalały jej na to wysokie obcasy.

Soto popędziła za nią.

– Pani Broussard...

Harry chwycił partnerkę za ramię.

– Poczekaj – powiedział. – Coś tu jest nie tak. Ona...

Nie skończył. Wyjął telefon i znalazł ostatnie połączenia. Wybrał numer, z którego korzystał rano, łącząc się z Sekcją Techniczną. Poprosił o Marshalla Flowersa i zaczął iść w stronę wyjścia ze sklepu.

– Lecimy – zwrócił się do Soto.

– Dokąd? – spytała. – Co robimy?

Flowers odebrał telefon.

– Marshall – powiedział Bosch szybko – musisz mi jeszcze raz

namierzyć ten numer.

Flowers sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– To znaczy?

– Namierz numer. Już.

– Sprawdzaliśmy dwadzieścia minut temu. Cały ranek aparat jest w tym samym miejscu, detektywie.

– Namierz jeszcze raz i oddzwoń. Szybko.

Rozłączył się, zanim Flowers zdążył zaprotestować. Wyszli z supermarketu. Bosch widział, jak Maria Broussard kroczy w stronę swojego samochodu. Rozmawiała przez telefon.

– Spieprzyliśmy sprawę – powiedział Bosch.

Zaczął iść, a następnie biec w kierunku forda. Soto rzuciła się za nim. Gdy dobiegli do auta, zawołała ponad jego dachem:

– Harry, o czym ty mówisz?

– Kobieta, którą widziałem, miała brązowe włosy. Wsiadaj.

Bosch wyjechał na Ventura Boulevard i wcisnął gaz. Nie zamierzał wracać do domu Broussarda tą samą drogą. Była zbyt długa, poza tym uznał, że lepiej nie podjeżdżać pod budynek od strony Mulholland. Włączył stojącego za szybą koguta, ale syrenę zachował sobie na wypadek, gdyby trzeba było szybko przejechać na skrzyżowaniach.

– Jaka kobieta, Harry? – naciskała Soto. – Powiedz mi, co się dzieje.

– Zaczekaj – warknął Bosch.

Wyjął telefon i ponownie zadzwonił do Flowersa. Czekał, słuchając sygnału. W końcu technik odebrał.

– Mów – rzucił Harry.

– Właśnie odebraliśmy namiar. Bez zmian, detektywie. Współrzędne ciągle te same.

Bosch się rozłączył i rzucił telefon na centralną konsolę. Był na siebie wściekły. Zerknął na partnerkę. Pędzili sto na godzinę po zatłoczonym Ventura Boulevard i musiał uważać na drogę.

– Powinienem być powiedzieć: „spieprzyłem sprawę”. To nie twoja wina, Lucy, tylko moja. Wyłącznie moja.

– Harry, co się, do diabła, dzieje? O czym ty mówisz?

– Którejś nocy byłem na tym punkcie widokowym przy Mulholland. Obserwowałem dom Broussarda.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Chyba chciałem sobie wyrobić zdanie na jego temat. Myślałem, że uda mi się go zobaczyć czy coś.

– Okej. I co się wydarzyło?

– Nic się nie wydarzyło. Ale w domu paliły się światła i mogłem zajrzeć do środka. Wziąłem ze sobą lornetkę. Zobaczyłem kobietę w kuchni. Opróżniała zmywarę do naczyń. Miała brązowe włosy, nie blond. Ja nie... Przypomniałem to sobie dopiero w sklepie.

– Nie rozumiem. Kim była ta kobieta?

– Gosposią. Nasza informatorka to gosposia, nie żona, a teraz Broussard się o tym dowie. Żona właśnie do niego dzwoniła.

W pierwszej chwili Soto nie odpowiedziała, analizując przebieg zdarzeń. W końcu doszła do takiego samego wniosku co Bosch.

– Cholera.

– No – potwierdził Harry. – Poczekaj chwilę. Patrz z prawej.

Gdy zbliżyli się do czerwonych świateł na skrzyżowaniu z Laurel Canyon Boulevard, włączył syrenę i spojrzał w lewo.

– Wolne! – krzyknęła Soto, patrząc w prawo.

Bosch zaufał partnerce. Lewa również była wolna, więc przemknęli przez skrzyżowanie bez przeszkód.

– Dobra, masz swojego iPada? – zapytał Harry.

– W torbie. Czego potrzebujesz?

– Znajdź mapę, na której widać dom Broussarda.

Lucy sięgnęła do torby po tablet.

– Czego mam szukać konkretnie?

– W górnej części Mulholland znajduje się forteca, betonowy bunkier. A niżej widać basen.

– Zgadza się, zauważyłam dziś coś takiego.

– Musi być jakiś dojazd od dołu. Sprawdź, czy nie ma tam drogi dla firmy obsługującej basen. I jaka ulica biegnie niżej.

– Jasne.

Soto zabrała się do pracy, a Bosch skupił się na prowadzeniu. Ventura Boulevard była ulicą dwupasmową, miał więc miejsce na wyprzedzanie i nie musiał co chwila zwalniać.

– Okej – zawołała Soto. – W prawo na Vineland. Doprowadzi nas na samą górę.

Pół minuty później pojawiła się Vineland Avenue. Bosch skręcił w prawo, po czym znaleźli się na stromej, jednopasmowej drodze, która biegła przez dzielnice mieszkalne. Ostre zakręty i parkingi na poboczu czyniły ją wąską i zdradliwą, dlatego Bosch zdjął nogę z gazu. Na szczęście po ulicy poruszało się niewiele pojazdów, z którymi musiałby walczyć o miejsce.

– Dobra, następny skręt? – zapytał.

– Wrightwood Drive, w prawo – odparła Soto. – Potem w lewo na Wrightwood Lane i znajdziemy się dokładnie pod domem. Stamtąd musi być jakieś dojsście.

Bosch wykonał pierwszy skręt i wkrótce dotarli do następnego skrzyżowania.

– Tutaj w lewo – powiedziała Soto.

– Rozumiem.

Jechali teraz poniżej Mulholland Drive i równoległe z nią. Bosch pochylił się do przodu, żeby spojrzeć przez szybę do góry. Pod tym kątem niewiele mógł jednak zobaczyć.

– Zerknij w górę – polecił Lucy. – Widzisz dom?

Soto opuściła szybę i wysunęła głowę.

– Nie, nie widzę... Czekaaj, tak, zbliżamy się do niego – zawołała. – Jest, dokładnie tutaj!

W jej głosie słychać było panikę. Bała się, że może ich poprowadzić niewłaściwą trasą. Bosch zatrzymał się przy wielkim betonowym tunelu wgrzającym się w zbocze między dwiema rezydencjami. Zamykała go żelazna brama. W środku, pod ścianą po prawej stronie, Harry zobaczył trzy należące do miasta kontenery na śmieci: niebieski na odpady nadające się do recyklingu, zielony na materiał z ogrodu oraz czarny na pozostałe śmieci. Typowy widok w Los Angeles. Dalszą część tunelu spowijał mrok.

Bramę zamknięto na łańcuch. Powyżej, na betonowej ścianie, tkwiła kamera, podobna do tych, które Bosch widział wcześniej na domu Broussarda z góry, z Mulholland Drive.

– To tu – stwierdził. – Łańcuch jest zabezpieczony kłódką, od wewnątrz. Ale musi być jakieś tylne wejście do domu.

– Co robimy? – spytała Soto.

– Mogę rozwalić łańcuch łyzką do opon – rzekł Bosch.

– Tam jest kamera.

– Miejmy nadzieję, że nikt nie patrzy. Chodźmy.

Harry wyciągnął z bagażnika spłaszczony na końcu stalowy pręt, a następnie podszedł szybko do bramy i wsunął jego koniec w jedno z ogniów. Już miał zacząć okręcać łańcuch tak, by pękł, lecz spojrzął jeszcze na Soto. Dla niej to był całkowicie nowy świat.

– Rozumiem, że działamy w ramach wyższej konieczności – powiedziała. – I musimy tam wejść.

Harry krótko wyjaśnił partnerce formalnoprawne aspekty wdarcia się na posesję podejrzanego w sprawie o zabójstwo: bezpośrednie zagrożenie życia świadka oznacza stan wyższej konieczności, który pozwala policji wejść na posesję bez nakazu sądowego.

– Zgadza się – powiedziała. – Oczywiście. Bezpośrednie zagrożenie życia. Nasz świadek jest wewnątrz i mamy mocne podstawy sądzić, że podejrzany zagraża jego życiu.

Bosch kiwnął głową.

– Okej, bądź gotowa.

– Na co?

– Na wszystko.

Łańcuch nie stanowił żadnej przeszkody. Bosch z łatwością rozgiął jedno z ogniów i weszli do środka. Minęli kontenery na śmieci i dotarli do stalowych drzwi na końcu tunelu. Bosch chwycił za klamkę. Nie były zamknięte na klucz. Spojrzał na Soto i spytał szeptem:

– Gotowa?

– Gotowa.

Harry wyciągnął z kabury broń, Soto zaś poszła w jego ślady. Otworzyli drzwi i trzymając broń nisko przy biodrze, weszli na taras, który otaczał basen w kształcie nerki. Nie było tu żywego ducha, jednak Harry zauważył stojącą obok leżaka szklanę z drinkiem i kostkami lodu. Leżały tam również popielniczka, paczka papierosów i zapalniczka jednorazowa.

Z tego poziomu nie było można dostać się bezpośrednio do domu. Betonowe schodki prowadziły do trzech balkonów, umieszczonych jeden nad drugim na nagim zboczu wzgórza. Bosch podniósł wzrok. Na balkonach również nikogo nie było. Wycelował pistolet w schodki i razem z Soto ruszyli w tamtym kierunku.

Na pierwszym balkonie znajdował się stół z parasolem oraz rząd wysokich przeszklonych drzwi i kolejne schody, wiodące na wyższy poziom. Zasłony na drzwiach rozsunięto i Bosch zobaczył za nimi wielką sypialnię. Wydawała się pusta. Harry przesunął się wzdłuż płaszczyzny, naciskając klamki kolejnych drzwi, aż w końcu znalazł jedne niezamknięte na klucz. Otworzył je, instynktownie spodziewając się wycia alarmu.

Ale żadnego alarmu nie było. Usłyszał tylko dźwięk ludzkich głosów dochodzących z wnętrza domu.

Bosch wskoczył do środka, a za nim Soto. Kiedy szli przez pokój, głosy stawały się coraz wyraźniejsze. W jednym z nich pobrzmiwała złość, wciąż jednak nie mogli rozróżnić słów. Wystrój domu odpowiadał projektowi surowej, betonowej fasady; między nagimi ścianami odbijało się echo, zniekształcając wypowiedziane wyrazy. Harry nie miał jednak wątpliwości, że jakiś mężczyzna krzyczy na jakąś kobietę i że nie ma ona prawie nic do

powiedzenia na swoją obronę.

Przebiegli szybko sypialnię i znaleźli się w korytarzu, który prowadził do następnej sypialni, windy oraz klatki schodowej. Głosy dochodziły z góry. Bosch zaczął się wspinać po schodach, mając za sobą Lucy.

Weszli na środkowe piętro budynku i ujrzeni korytarz z trojgiem drzwi. Dźwięki dobiegały zza otwartego skrzydła, więc słowa stały się teraz wyraźniejsze.

– CO IM POWIEDZIAŁAŚ? – grzmiał męski głos.

– Nic, naprawdę – odrzekła cicho kobieta. – Ja nie...

Rozległ się odgłos uderzenia. Raczej klaps niż cios. Bosch przyspieszył i wpadł do pomieszczenia, unosząc broń.

Ciemnowłosa kobieta wstawiała z podłogi, trzymając jedną rękę przy twarzy, a drugą próbując się oprzeć o biurko. Nie miała na sobie uniformu, tylko fartuszek owinięty wokół pasa. Mężczyzna stał zwrócony plecami do drzwi w jednoznacznie groźnej pozycji. Był przynajmniej dwukrotnie większy od kobiety. Przez jego szerokie plecy przebiegały pasy szelek. Broussard. Gdy kobieta wstała, uniósł prawą rękę, aby uderzyć ją ponownie. Bosch zauważył, że napastnik trzyma w niej jakiś czarny przedmiot.

– Proszę – powiedziała błagalnie.

– GADAJ!

– Policja! – krzyknął Bosch. – Stój!

Nagle rozległy się dwa strzały i potężne echo odbiło się od betonowych ścian we wszystkich kierunkach. Pociski trafiły w masywne ciało Broussarda między ramionami utworzonej przez szelki litery Y. Pod wpływem uderzenia jego plecy natychmiast wygięły się w łuk, ramię opadło bezwładnie i mężczyzna runął na podłogę. Ciało spoczęło w nienaturalnej pozycji. Bosch wiedział, że gospodarz ma strzaskany kręgosłup i że wszystkie funkcje organizmu zostały w jednej chwili zatrzymane. Przedmiot, który Broussard trzymał w ręku, leżał na podłodze tuż obok. Był to zszywacz, który w gniewie musiał wcześniej wziąć z biurka.

Harry spojrzał w dół na swój pistolet, niepewny, czy to on strzelił. Potem odwrócił się do Soto, która nadal trzymała broń oburącz w pozycji strzeleckiej, z palcem na spuście. To ona oddała strzały.

Krzyk kobiety przyciskającej swe ciało do biurka odwrócił jego uwagę. Służąca patrzyła na Broussarda, zasłaniając dłońmi twarz i wydając z siebie przeraźliwy dźwięk – najpierw niski, gardłowy, a potem piskliwy wrzask.

– Lucy! – krzyknął Bosch. – Schowaj broń i wyjdź.

Soto wyminęła go, wkładając pistolet do kabury, i podeszła do Broussarda. Delikatnie ujęła kobietę za ramię, popchnęła ją w kierunku Harry’ego, po czym obie wyszły z pokoju. Bosch nie odrywał oczu od rannego.

– Zajmij się nią, a potem zaczekamy na żonę – polecił partnerce. – Może przyjechać w każdej chwili.

– Jasne – odrzekła Soto.

Harry zrobił krok do przodu i ukląkł obok Broussarda. Mężczyzna miał otwarte oczy i poruszał nimi na boki.

Bosch schował broń do kabury, pochylając się nad umierającym.

– Posłuchaj mnie, Broussard – zaczął. – Nie zostało ci wiele czasu. Nie przeżyjesz. Chciałbyś coś wyznać w chwili śmierci? Chcesz mi coś powiedzieć?

Broussard otworzył usta, ale milczał. Jedynie mrugał powiekami. Bosch odczekał chwilę i spróbował raz jeszcze.

– Kazałeś Willmanowi zastrzelić Merceda, prawda? A potem zabiłeś Willmana. Przyznaj się, Broussard. To już koniec. Oczyść swoje sumienie i odejdź w pokoju.

Wargi tamtego zaczęły się ruszać i Bosch usłyszał, jak z płuc Króla Betonu uchodzi powietrze. Zapadały się. Harry pochylił się niżej i usłyszał szept.

– Pierdol się.

Bosch się wyprostował, spojrzał na mężczyznę i podjął kolejną próbę.

– Zeyas wiedział, prawda? Powiedziała mu twoja gosposia. Myślała, że dostanie nagrodę. Tylko że Zeyas wykorzystał tę informację, żeby cię szantażować. Kiwnij głową, jeśli mam rację.

Na twarzy Broussarda zaczął się formować grymas uśmiechu. Znów coś wyszeptał. Bosch pochylił się niżej, zbliżając ucho do ust umierającego mężczyzny.

– Gównno wiecie. Wy...

Bosch czekał bez ruchu, lecz nic więcej nie usłyszał. Wreszcie odwrócił głowę i spojrzał na Broussarda. Z oczu tamtego ziała pustka. Był martwy.

Harry wstał. Rozejrzał się po pokoju i na podstawie zdjęć na ścianach, które przedstawiały Broussarda z różnymi politykami i celebrytami, doszedł do wniosku, że znajduje się w jego gabinecie. Podszedł do biurka, aby



przejrzeć zawartość. Na stosie jakichś papierów dostrzegł iPhone'a. Z kieszeni marynarki wyciągnął gumową rękawiczkę i naciągnął ją na dłoń.

Telefon nie był zabezpieczony hasłem. Bosch znalazł listę ostatnich połączeń. Kwadrans wcześniej do Broussarda dzwoniła osoba zapisana po prostu jako Maria. Harry domyślał się, że żona zabitego kontaktowała się z nim zaraz po spotkaniu z detektywami w supermarkecie. Ich błąd spowodował lawinę zdarzeń. Broussard poszedł na konfrontację z gospożą, próbując ustalić, ile kobieta wie i z kim rozmawiała.

Reszty dokonali Bosch i Soto. Błędne skupienie uwagi na żonie zamiast na gosposi pozbawiło ich szansy na aresztowanie Broussarda i wyciągnięcie od niego zeznań potwierdzających udział Zeyasa w przestępstwie.

Harry odłożył telefon na biurko, wycofał się z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Musiał zgłosić tę strzelaninę, chciał jednak trochę poczekać.

– Lucy?

– Tu jestem.

Jej głos dochodził z pokoju na środkowym piętrze. Bosch najpierw otworzył drzwi łazienki, a potem te, które prowadziły do domowego kina z dwoma rzędami pluszowych foteli. Soto stała przed gospożą, która siedziała w pierwszym rzędzie. Lucy odsunęła się i dała Boschowi znak, żeby wyszli na korytarz.

– Zostań tu, Alicio – powiedziała. – Będę niedaleko, w holu.

Przymknęła drzwi, aby mogli porozmawiać na osobności, po czym obrzuciła Boscha zalęknionym spojrzeniem.

– Nie żyje? – spytała.

Harry kiwnął głową. Soto pobladła na twarzy.

– Spokojnie – powiedział. – Miałaś prawo strzelić. On ją chciał uderzyć. Zrobiłaś to, co należało, Lucio. Nic ci nie jest?

– Co to było? Co on trzymał w ręku?

– Zszywacz.

– Zszywacz? O mój...

– Nieważne, co to było. Chciał ją tym uderzyć i mógł zabić. Dasz sobie radę?

– Chyba tak – odrzekła. – Wszystko działo się tak szybko. Nie jak ostatnim razem.

– Nic ci nie zrobią. A co z gospożą? Jak się czuje?

– Nazywa się Alicia Navarro. Przyznaje się do anonimowych telefonów.

Mówi, że do Broussarda ktoś zadzwonił, zapewne żona, o czym już wiemy, a potem on wpadł w szal. Zaczął ją popychać i bić. Koniecznie chciał wiedzieć, z kim rozmawiała.

– Powiedziała, że bała się o swoje życie?

– Bardzo się bała.

– Okej. A pytałaś ją o burmistrza, o Zeyasa?

– Właśnie przed chwilą. Odparła, że nigdy z nim nie rozmawiała ani go nie spotkała. Mówi, że to wszystko sprawka Spivaka. Dziesięć lat temu rozmawiała z nim o nagrodzie. Oznajmiła mu wtedy, że podsłuchiwała, jak Broussard i jego kumpel Willman gadają o zamachu na Mariachi Plaza. Domyśliła się, że to oni za tym stali. Zaskoczyło ją, że Zeyas wyznaczył nagrodę, i próbowała się skontaktować z nim, nie z policją. Informacja dotarła do Spivaka. Gospośia mówi, że powiedziała mu o wszystkim, ale nigdy żadnej nagrody nie dostała. Spivak zaczął jej nawet grozić. Ostrzegł, że jeśli komuś o tym powie, coś jej się może stać. Że jeśli piśnie choć słówko, on każe deportować wszystkich członków jej rodziny.

– Kutas – rzekł Bosch. – Zatrzymał informacje dla siebie, bo nie chciał, żeby policja wyjaśniła sprawę. Potrzebowali Merceda jako idealnej ofiary. Kaleka po postrzale w części miasta, którą gliny mają gdzieś. Gdybyśmy rozwiązali zagadkę, nic by im z tego nie przyszło.

– W dodatku w grę wchodziły jeszcze pieniądze. Spivak wiedział, że może doić Broussarda do końca świata.

– Przy każdych kolejnych wyborach, a może nawet częściej, co najmniej raz w roku.

– I co z tym zrobimy?

– Niech gospośia złoży zeznania, zarejestruj je. A my...

– Już je mam. Nagrałam wszystko telefonem. Od chwili, gdy tu weszliśmy, miałam włączony dyktafon.

Soto sięgnęła do przedniej kieszeni swojej torebki i wysunęła z niej aparat.

– Strzały też się nagrały? – zapytał Bosch.

– Tak.

Harry nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Musiał to przemyśleć. Teraz mieli bardziej palące problemy. Gdzieś na piętrze trzasnęły drzwi. Ktoś w wysokich obcasach szedł po podłodze o jedną kondygnację nad nimi. Soto skierowała wzrok ku sufitowi.

– Wracaj do środka i zostań z Alicią – szepnął Bosch. – Ja pójdę do Marii. Jak będzie bezpiecznie, zadzwonimy po ekipę.

– Dobrze.

– Wtedy ty się nimi zajmiesz, a ja ulotnię się tak szybko, jak zdołam.

– Dokąd chcesz jechać?

Zanim Harry zdążył odpowiedzieć, ktoś z góry zawołał:

– Brouss? Jesteś? Alicia?

Bosch odwrócił się od Soto i zaczął wchodzić po schodach. Nim doszedł do końca, u ich szczytu stała Maria Broussard. Zobaczyła go i krzyknęła.

– Co pan tu robi? Gdzie mój mąż?

Harry pokonał pędem pozostałe stopnie, unosząc ręce w uspokajającym geście. Położył jej dłonie na ramionach i spróbował odwrócić ją tyłem do schodów. Starła się mu wyrwać.

– Proszę mnie nie dotykać! Gdzie jest Charles? Brouss, co oni ci zrobili?

Boschowi udało się uzyskać kontrolę nad kobietą dopiero wtedy, gdy chciała go wyminąć i zbiec po schodach. Zablokował ją własnym ciałem i przycisnął do ściany. Przez chwilę myślał, czy jej nie zakuć w kajdanki, ale zrezygnował z tego pomysłu.

– Pani Broussard, proszę się uspokoić.

– Nie, nie uspokoję się, dopóki nie zobaczę męża. Brouss!

Jeszcze raz spróbowała się wyrwać, lecz Harry przyciskał ją mocno do ściany. Wciągnął głęboko powietrze i szepnął jej wprost do ucha:

– Bardzo mi przykro, pani Broussard, ale pani mąż nie żyje.

Po raz drugi w ciągu dziesięciu minut w domu rozległ się przeszywający wrzask, odbijając się od murów głośnym echem.

Bosch poczuł, że ciało Marii Broussard omdlewa. Odsunął się od ściany i wspierając ją na sobie, podprowadził do sofy w salonie. Gdy opadła na nią, wyjął telefon i zaczął dzwonić.

Tymczasowy komitet wyborczy Zeyasa otwierał właśnie swoje nowe biuro przy Olvera Street niedaleko budynku Avila Adobe, najstarszej budowli mieszkalnej w Los Angeles. Wybór był nieprzypadkowy. Kampania miała się zacząć w miejscu, w którym powstało miasto, na znak, że oto nastąpi nowy początek – nie tylko dla Los Angeles, lecz także dla całej Kalifornii. W kwaterze głównej panował więc ruch niczym w ulu – ustawiano biurka, instalowano telefony. W trzypokojowym biurze wolontariusze pracujący na rzecz przyszłego gubernatora uwijali się niczym pszczoły, kierowani przez liderkę grupy z ołówkiem wetkniętym za ucho.

Harry wszedł do największego pokoju i spytał szefową wolontariuszy o Connora Spivaka. Ta przez chwilę przyglądała się Boschowi i dwóm towarzyszącym mu mężczyznom, a następnie uznała, że nie będzie ich pytać, w jakiej przyszli sprawie.

– Connor – zawołała. – Goście.

– Jestem tutaj – padła odpowiedź szefa sztabu.

Kobieta sięgnęła po swój ołówek i wskazała im jedno z szeregu drzwi w głębi głównego pomieszczenia. Bosch ruszył w tamtą stronę i znalazł się w mniejszym pokoju. Biurko stało już na właściwym miejscu, a za nim siedział wygodnie Spivak. Na ścianie za jego plecami wisiał duplikat plakatu „Liczy się każdy”, którego egzemplarz kilka dni wcześniej Bosch zwinął z hotelu Beverly Hilton. Ostatni z wchodzących mężczyzn zamknął drzwi.

– Detektyw Bosch, co za niespodzianka – powiedział Spivak.

– Doprawdy? – rzekł Bosch.

– Owszem, miło mi pana gościć. Kogóż to pan ze sobą przyprowadził? Kolegów z policji?

Bosch obrócił się najpierw w lewo, a potem w prawo, przedstawiając detektywów Rodrigueza i Rojasa.

– Być może pamięta ich pan – powiedział. – Prowadzili pierwsze śledztwo w sprawie Merceda.

– Ach tak. Chyba pamiętam – odrzekł Spivak. – Czyżby przynieśli

panowie najnowsze informacje dotyczące tego dochodzenia, którymi mógłbym się podzielić z burmistrzem?

Bosch kiwnął głową.

– Najnowsze wieści są takie, że pan burmistrz będzie musiał znaleźć sobie inne źródło finansowania swojej kampanii wyborczej.

Spivak sprawiał wrażenie skonfundowanego.

– Naprawdę? Czemuż to?

– Ponieważ Charles Broussard nie wypisze już więcej czeków – odparł Bosch.

Konfuzja zmieniła się w zaskoczenie.

– Nie jestem pewien, co chciał pan przez to powiedzieć, ale...

– Chciałem powiedzieć, że on nie żyje.

Bosch przerwał, by sprawdzić reakcję Spivaka, ten jednak zdołał zachować kamienną twarz. Wtedy Harry przekazał mu kolejną informację, taką, która gwarantowała pożądany efekt.

– Oprócz nowego źródła finansowania burmistrz będzie musiał znaleźć sobie również nowego szefa sztabu. Jest pan aresztowany, Spivak. Pod zarzutem udziału w zabójstwie.

Spivak wybuchnął śmiechem, który raptownie ustał.

– A to dobre, detektywie – rzucił.

Bosch się nie roześmiał.

– Proszę wstać – polecił.

– Co jest, kurwa? – zdziwił się Spivak. – Pan tak poważnie?

– Śmiertelnie. Wstawać.

– To niemożliwe. Na jakiej podstawie mnie pan aresztuje?

– Na takiej, że dziesięć lat temu pracownica Charlesa Broussarda powiedziała panu, że podsłuchiwała, jak Broussard i niejaki David Willman rozmawiają o postrzeleniu Orlanda Merceda. Z rozmowy wynikało, że zamachu na Mariachi Plaza dokonał Willman na polecenie Broussarda.

Bosch wskazał na towarzyszących mu mężczyzn.

– Zamiast przekazać tę informację detektywom prowadzącym śledztwo w sprawie postrzelenia Merceda, zachował ją pan dla siebie i wykorzystał do szantażowania Broussarda, który wykladał ciężkie pieniądze na kolejne kampanie wyborcze Armanda Zeyasa.

Spivak znów parsknął głośnym śmiechem, lecz tym razem słychać w nim było nerwową nutę.

– To są jakieś pieprzone idiotyzmy – powiedział. – Wariactwo. A nawet gdyby to była prawda, nie widzę tu podstaw do oskarżenia mnie o zabójstwo. Nie jestem prawnikiem, ale swoje wiem. Każdy sąd was wyśmiej.

– Może – odparł Bosch. – Gdyby chodziło tylko o sprawę Merceda. Ale jest pewien szkopuł. Był pan w posiadaniu informacji, które mogły doprowadzić do aresztowania Broussarda i Willmana. Gdyby do niego wtedy doszło, Willman nie mógłby zabić trzydziestoosmioletniej gospodyni domowej z San Diego, co uczynił siedem miesięcy po postrzeleniu Merceda. Pan ułatwił dokonanie tego morderstwa na zlecenie, i pod tym zarzutem zostaje pan aresztowany. Proszę wstać. Więcej nie będę powtarzał.

Bosch zaczął obchodzić biurko z jednej strony, Rodriguez zaś ruszył z drugiej. Spivak szybko wstał i wyciągnął ręce, jakby chciał odsunąć od siebie problem. Detektywi chwycili go pod ramiona i niezbyt delikatnie wykręcili mu ręce za plecy. Bosch kiwnął Rodriguezowi głową, a ten założył zatrzymanemu kajdanki, podczas gdy Rojas wyjął z kieszeni płaszcza kartkę ze stosowną formułką i zaczął odczytywać prawa Mirandy.

– Rozumie pan swoje prawa? – zapytał Rojas, skończywszy.

Spivak nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby zapadł się w sobie.

– Zrozumiał pan? – warknął Rojas.

– Tak, zrozumiałem – odrzekł Spivak. – Słuchaj, Bosch, daj spokój. Chyba możemy jakoś rozwiązać tę sprawę, co?

– No nie wiem – powiedział Bosch. – Możemy?

– Przecież tak naprawdę nie chodzi ci o mnie.

– Czy ja wiem? Mnie w zupełności wystarczy. Broussard nie żyje, Willman też. Zostajesz tylko ty.

Spivak powiódł wzrokiem po obecnych – od Boscha przez Rodrigueza po Rojasa, i z powrotem na Boscha.

– Wydam wam Zeyasa – rzekł z desperacją. – On wiedział. Wiedział o wszystkim i się na to zgadzał.

– Masz dowody, czy tylko tak sobie gadasz? – spytał Rojas.

– Mam mejle i notatki – odrzekł szybko Spivak. – Wszystko sobie zapisywałem, na wszelki wypadek.

– A jakieś nagrania? – zapytał Rodriguez. – Masz go na taśmie?

– Nie, ale mogę wam to załatwić. Założycie mi podsłuch. Pójdę do niego i powiem, że Broussard nie żyje i że mamy problem. Nagram go na dyktafon, na kamerę, co tylko chcecie. Siedzi teraz w domu w Hancock Park, przed

chwilą z nim rozmawiałem. Załatwimy tę sprawę, zanim trafi do mediów. Co wy na to? Przecież wam chodzi o niego, nie o mnie.

Harry skinął głową Rodriguezowi, który podszedł i zdjął kajdanki z rąk Spivaka. Sprawy przybrały obrót zgodny z oczekiwaniami Boscha. Aresztowanie było blefem. Z moralnego punktu widzenia Spivak bez wątpienia dopuścił się poważnego przestępstwa, jednak postawienie mu formalnego zarzutu udziału w zabójstwie byłoby prawną ekwilibrystyką. Celem Boscha było skłonienie „aresztowanego” do współpracy.

Gdy Spivak został rozkuty, Harry położył mu rękę na ramieniu i delikatnie popchnął w kierunku fotela. Sam przysiadł na krawędzi biurka i spojrzał na mężczyznę.

– Dostałeś ostatnią szansę – oznajmił.

– I jej nie spieprzę – rzekł Spivak. – Obiecuję.

– W przeciwnym razie znowu staniesz się jedynym winowajcą. Zrozumiałeś?

– Daję słowo, że go wam wystawię.

– Zrobimy tak: za chwilę stąd wyjdziemy, tak jakbyśmy złożyli ci właśnie sympatyczną wizytę i wszystko było super. Nikt nie może niczego podejrzewać. Pójdziemy na parking przed Union Station i tam na ciebie zaczekamy. Masz piętnaście minut. Powiesz swoim ludziom, że jedziesz na spotkanie z kandydatem. Jeśli się nie pojawisz, to lepiej, żebyś miał pod ręką odrzutowiec z pełnym bakiem paliwa. Bo wtedy wrócimy i cię znajdziemy.

– Wiem. Przyjdę, przyjdę. Obiecuję.

– Dobrze. Zabierzemy cię do prokuratury, gdzie ktoś do tego upoważniony zaproponuje ci układ. Zostaniesz poinformowany, czego od ciebie oczekujemy i co dostaniesz w zamian za wystawienie gościa.

– Czyli wiedzieliście? Wiedzieliście, że pójde na współpracę?

– Powiedzmy, że mieliśmy taki plan. Żeby złowić grubą rybę, najpierw łapie się płótkę, na przynętę. Wchodzisz w to, Spivak?

– Wchodzę. Działamy.

– Masz piętnaście minut. Nie spóźnij się.

Bosch wstał z biurka i spojrzał ponad głową Spivaka. Następnie obszedł fotel i zerwawszy ze ściany plakat, podarł go i rzucił na podłogę.

W piątek, dwa tygodnie po zastrzeleniu Broussarda, Bosch podszedł do siedzącej za nowym biurkiem partnerki. Sala detektywów była w piątki w połowie opustoszała, ponieważ niektórzy funkcjonariusze korzystali z możliwości pracy po dziesięć godzin dziennie przez cztery dni, reszta zaś wychodziła na lunch. Soto „grzała ławę” – czyli pełniła dyżur w biurze – gdyż wzięła udział w incydencie z użyciem broni palnej. Trwało postępowanie w tej sprawie i badano stan psychiczny funkcjonariuszki, która w związku z tym została uziemiona za biurkiem przed gabinetem kapitana. Czekała na przywrócenie do służby w terenie, miała odbierać telefony od anonimowych informatorów. Holcomb wróciła do pracy ze swoim partnerem.

– Hej. Co słysząc? – zagaił Harry.

– Wczoraj na mojej ewaluacji psychologicznej doktor Hinojos przybiła pieczęć „gotowa do podjęcia pracy” – odrzekła Lucy. – Nie ma jeszcze decyzji Komisji do spraw Użycia Broni, ale kapitan mówi, że w poniedziałek mogę wrócić za swoje biurko. Chyba nie podoba mu się, że siedzę tak blisko jego gabinetu i wszystko słyszę.

Bosch kiwnął głową. Ucieszył się, że Soto wspomniała o „Komisji do spraw Użycia Broni”, a nie – jak to się obecnie nazywało – „Wydziale do spraw Użycia Środków Przymusu”. W ten sposób dała do zrozumienia, że szanuje stare tradycje.

– To dobrze – powiedział. – Nie powinnaś się o nic martwić. Wszystko tak długo trwa, ponieważ mają mnóstwo papierkowej roboty.

– No nie wiem – odrzekła Lucy. – Dwa incydenty w niecały rok... Mogą pomyśleć, że to dla mnie typowe.

Bosch zmarszczył brwi.

– Dwadzieścia pięć lat temu za coś tak „typowego” dostałabyś medal i podwyżkę.

– Czasy się zmieniły, Harry.

Bosch pokiwał głową i uznał, że najwyższy czas zmienić temat, nawet



jeśli druga część rozmowy wcale nie miała być bardziej przyjemna.

– Słuchaj... Mam wiadomości o siostrze Esther – oznajmił.

– Tak? – spytała Soto, nie ukrywając ekscytacji. – Wróciła do klasztoru? Bosch potrząsnął głową.

– Hm, nie. I nie wróci. Rozmawiałem wczoraj z siostrą Geraldine. Powiedziała, że Esther zabito.

– Co takiego? O mój Boże!

– Podobno do wsi przyszli ludzie kartelu i wyciągnęli ją z domu, twierdząc, że jest informatorką meksykańskiej policji. Robili z nią różne rzeczy i w końcu ją zamordowali, a ciało zostawili na poboczu drogi, jako przestrożę dla innych.

Soto cofnęła się z fotelem i z pustym wzrokiem przez chwilę rozważała słowa Boscha.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć – powiedziała wreszcie.

– Ja też – rzekł Bosch. – Przynajmniej na razie. Dlatego wybieram się na wycieczkę do Calexico. Dzisiaj mają przewieźć zwłoki przez granicę. Zostaną pochowane na cmentarzu za klasztorem. Rozejrzę się trochę, sprawdzę, co się da. Siostra Geraldine obiecała, że pozwoli mi przeszukać pokój siostry Esther i jej rzeczy osobiste. Chciałem cię spytać, czy miałabyś ochotę ze mną pojechać.

– Harry, ja grzeję ławę przy tym biurku. Kapitan mnie nie puści...

– Dlatego jadę dopiero jutro. Zdaje się, że w soboty masz wolne. Kapitan nie może ci niczego zakazać. Pogrzeb jest w niedzielę. Czyli jutro albo nigdy.

Soto kiwnęła głową, zanim jeszcze Harry skończył mówić.

– Wchodzę w to – oświadczyła.

– Świetnie. Chciałbym wyruszyć wcześniej rano.

– Mnie pasuje.

Bosch się uśmiechnął.

– Wiem. Spotkajmy się tutaj o siódmej.

W oczach Soto znów pojawił się głęboki namysł.

– Co jest? – spytał Bosch.

– Tak się zastanawiam... Myślisz, że siostra Geraldine powiedziała jej, że pytaliśmy o nią w klasztorze?

– Spytałem ją o to – odrzekł Bosch. – Potwierdziła, że poinformowała siostrę Esther o naszej wizycie i o tym, że chcemy z nią porozmawiać. Kilka dni później nawiązały kontakt, rozmawiały i siostra Geraldine wszystko jej

powiedziała.

– Okej. Czyli myślisz, że ona...

Lucy nie dokończyła, ale Harry wiedział, o co chciała zapytać. Czy siostra Esther mogła dać komuś do zrozumienia, że jest informatorką? Wiedziała, że taka wiadomość dotrze do handlarzy narkotyków, a jej konsekwencje będą szybkie i nieuniknione – nawet w przypadku zakonnic.

– Tak – rzekł Bosch. – Właśnie tak myślę.

Do klasztoru Sióstr Najświętszej Obietnicy dotarli w sobotę w południe. Przyjechali bezpośrednio z domu pogrzebowego w centrum Calexico, gdzie zatrzymali się, aby zobaczyć ciało siostry Esther i potwierdzić zarówno fakt jej śmierci, jak i prawdziwą tożsamość zmarłej. Przed wyjazdem Bosch pożyczył od Flowersa z Sekcji Technicznej przenośny czytnik linii papilarnych. Zdjąwszy z palców martwej kobiety odciski, przesłał je do bazy danych Departamentu Pojazdów Mechanicznych. Odpowiadały odciskom pobranym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku od Any Marii Acevedo, gdy ta ubiegała się o prawo jazdy – ostatni dokument przed swoim zniknięciem.

W drzwiach klasztoru przywitała ich siostra Theresa. Siostra Geraldine przekazała jej wcześniej, że ma się spodziewać dwojga detektywów z Los Angeles, poleciła, by wprowadzić ich do pokoju siostry Esther, toteż młoda zakonnica od razu wpuściła gości do środka. We trójkę wspięli się po schodach, a potem ruszyli długim korytarzem, który wyglądał jakby został żywcem przeniesiony z akademika jakiegoś college'u – nie licząc, rzecz jasna, obrazów o treści religijnej i cytatów z Biblii na tabliczkach pomiędzy drzwiami.

– Zostaniecie państwo na jutrzejszą mszę pogrzebową? – zapytała siostra Theresa.

– Nie, jeszcze dziś wyjeżdżamy – odrzekł Bosch.

– Och, jaka szkoda. To będzie bardzo szczególne nabożeństwo. Siostra Esi odchodzi do domu Pana.

Harry tylko skinął głową. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Zakonnica zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie korytarza. We framugę wetknięto wiele świętych obrazków. Zanim otworzyła drzwi, usunęła je wszystkie. Cella nie była zamknięta na klucz.

– Pokój jest mały – powiedziała siostra. – Nie będę niepotrzebnie

zajmować miejsca.

– Myślę, że sobie poradzimy – odparł Bosch. – To nie powinno długo potrwać.

Zakonnica zerknęła w głąb korytarza, jakby chcąc się upewnić, że są sami, a siostra Geraldine nie patrzy.

– Mogę o coś zapytać? Czego państwo szukacie? Co takiego zrobiła siostra Esi? Osobiście nie spotkałam nigdy kogoś równie dobrego.

Bosch zastanawiał się przez chwilę. Nie widział powodu, żeby niszczyć wizerunek siostry Esther oraz uczucia względem niej – zwłaszcza że ta już nie żyła. Poza tym wiedział, że ich rozmówczyni i tak się o wszystkim dowie, gdy media zajmą się sprawą pożaru przy Bonnie Brae.

– Staramy się tylko ustalić, czy to ona była kobietą, która przed laty zaginęła w Los Angeles – powiedział.

– Ach, to dobrze – odrzekła siostra Theresa. – Już myślałam, że stało się coś bardzo złego i nie będziemy mogły cieszyć się jutro z jej jedności z Jezusem. Widzieli państwo, co zamierzamy wyryć na nagrobku?

– Nie. Co takiego?

– Właściwie to ona sama to napisała. W swoich instrukcjach na wypadek pogrzebu. Napis ma brzmieć: „Siostra Esther Gonzalez, która w dzieciach znalazła odkupienie za dzieci”. Czyż to nie piękne?

Harry kiwnął głową.

– W dzieciach za dzieci – powtórzył.

– Tak – powiedziała siostra Theresa. – Napisała to już dawno. Jej ostatnią wolę znaleziono w starym pudełku koło łóżka.

Wskazała przez otwarte drzwi na celę siostry Esther.

– Cóż, dziękujemy siostrze – rzekł Bosch. – Jak już mówiłem, to nie zajmie nam wiele czasu.

– Mój pokój jest ostatni z lewej – poinformowała ich zakonnica. – Dlatego, że jestem najmłodsza stażem.

Z dumy aż stanęła na palcach.

– Dobrze, znajdziemy siostrę.

Harry odwrócił się i razem z Lucy weszli do pomieszczenia. Jak się należało spodziewać, było ono skromnie umeblowane: jednoosobowe łóżko z drewnianym zagłówkiem, wyżej na ścianie krucyfiks, do tego stolik nocny, sekretarzyk oraz biurko z zamontowaną nad nim półką na książki i pozbawiona drzwi szafa, nie większa od starej budki telefonicznej z Union

Station, wystarczająca jednak, by zmieścić się w niej skromny dobytek.

Bosch i Soto rozdzielili się i zaczęli otwierać szuflady. Większość była pusta lub skrywała ubrania bądź rzeczy osobiste kogoś, kto faktycznie dotrzymywał ślubów ubóstwa. Bosch sprawdził pudełko, o którym mówiła siostra Theresa. Spoczywały w nim głównie pojedyncze kartki z notatkami. Ręcznie pisane kazania, modlitwy i wersety z Biblii. Na wielu z nich podkreślono słowo „odkupienie”. List do Efezjan, Galatów, Rzymian... Cytaty zapisane na fiszkach, kopertach, skrawkach papieru.

Bosch wybrał dwie z popisanych kopert i wsunął je sobie do wewnętrznej kieszeni marynarki.

*Niechaj to mówią odkupieni przez Pana, ci, których wybawił z rąk przeciwnika.*

Psalm 107,2

*Który wydał samego siebie za nas, aby odkupić nas od wszelkiej nieprawości i oczyścić sobie lud wybrany na własność, gorliwy w spełnianiu dobrych uczynków.*

List do Tytusa 2,14

Bosch grzebał dalej w pudełku z papierami. Wyjął złożony na pół dokument, który okazał się aktem urodzenia Esther Marii Gonzalez, wystawionym w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim w hrabstwie Hyde w Karolinie Północnej. Wydrukowano go na grubym czerpanym papierze, ale choć sprawiał wrażenie autentycznego, Bosch nie miał żadnych wątpliwości, że został podrobiony. Wiedział, że najłatwiejszą metodą przybrania nowej, fałszywej tożsamości jest sporządzenie metryki z jakiejś małej, prowincjonalnej dziury w bardzo odległym stanie. Jedynym dokumentem wymaganym przez stan Kalifornia do ubiegania się o prawo jazdy, był właśnie odpis aktu urodzenia. Problem polegał na tym, że w kraju nie obowiązywał jeden, identyczny wzór tego druku. Wystawiały go tysiące hrabstw, przy czym każdy dokument wyglądał inaczej. Urzędnik z Departamentu Pojazdów Mechanicznych pracujący w Kalifornii miałby ogromną trudność z udowodnieniem, że metryka z hrabstwa Hyde w Karolinie Północnej jest podróbką, zwłaszcza że dokument naprawdę wyglądał na autentyczny.

Zdobycie prawa jazdy stanowiło już tylko jeden, ostatni kroczek do uzyskania w pełni nowej tożsamości – z numerem ubezpieczenia społecznego i paszportem. Dokument, który Bosch trzymał w ręku, bardzo wiele wyjaśniał.

Harry usiadł na łóżku i wsunął akt urodzenia do kieszeni marynarki, obok innych papierów. Potem nałożył pokrywkę na pudełko i spojrzał na Lucy, która nadal przeglądała zawartość szafy.

– Gryzie cię to? – zapytał.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Co ma mnie gryźć?

– Nie wiem – powiedział. – Że sama wybrała sobie pokutę. Przyjechała tutaj, została misjonarką, troszczyła się o dzieci i tak dalej. Ślubowała ubóstwo, spłaciła kredyt hipoteczny klasztoru. Ale nie oddała się w ręce wymiaru sprawiedliwości ze słowami: „Jestem winna”. Nie powiedziała tym wszystkim rodzicom, dlaczego ich dzieci zginęły.

Wskazał ręką pudełko.

– Mówi tu o odkupieniu, ale sama wybrała sobie to miejsce. Niczego jej nie odebrano. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Soto kiwnęła głową.

– Rozumiem – powiedziała. – Przetrawienie tego wszystkiego zajmie mi trochę czasu. Dam ci znać, jak się czuję, kiedy już sama będę wiedziała. Okej?

– Okej.

Lucy wróciła do pracy przy szafie, a Harry podszedł do biurka. Na blacie nie było niczego, co miałoby osobisty charakter, a jedyna szuflada zawierała mniej więcej to samo co pudełko – pisane ołówkiem notatki o odkupieniu i liczne nawiązania do dzieci.

Zamknął szufladę i spojrzał na półkę. Stały na niej cztery różne wydania Biblii, a także hiszpański słownik oraz książki poświęcone sakramentom, katechizmowi i dydaktyce.

Harry wziął pierwszą z brzegu Biblię i przekartkował ją, w nadziei, że wypadnie z niej, wprost pod jego nogi, elegancko złożone, ręcznie spisane przyznanie się do winy.

Tymczasem znalazł jedynie święty obrazek przedstawiający Chrystusa, który wstępuje do nieba. Zaznaczono nim stronę w Dziejach Apostolskich, na której podkreślono niektóre słowa, tak by tworzyły jedno pełne zdanie.

*Pokutujcie... a... grzechy wasze będą starte.*

– Harry.

Bosch odwrócił głowę. Soto klęczała na podłodze, a przed nią leżał otwarty album ze zdjęciami. Lucy wyjęła z niego coś, co wyglądało na skrawek starej gazety.

– Leżało luzem w albumie – powiedziała. – To oni, prawda?

Bosch wziął wycinek i przyglądał mu się przez chwilę. Wyblakły papier przedstawiał fotografie dwóch mężczyzn, jedną obok drugiej. Harry bez trudu rozpoznał bandytów, którzy dokonali napadu na bank w Północnym Hollywood. W całym Los Angeles nie było gliniarza, który by ich nie rozpoznał.

Skinął głową.

– To oni.

– Czyli Gus Braley miał rację?

Bosch nadal wpatrywał się w zdjęcie. Przypominał sobie tamten dzień.

– Chyba tak – rzekł wreszcie. – Ale wtedy śledczy nie mogli połączyć jednego z drugim.

Soto zbliżyła się i usiadła na łóżku obok krzesła, żeby lepiej widzieć wycinek.

– Jej zdjęcia tu nie ma – powiedziała. – Co jeszcze niczego nie dowodzi.

– Może przed sądem – odparł Bosch. – Ale dla mnie wszystko staje się dość jasne.

– Ciekawe, gdzie się przecięły ich drogi.

– Dobrze pytanie. Coś mi majaczy, że tych dwóch facetów poznało się w jakiejś siłowni. Chyba w Venice.

– Ana mieszkała bardzo daleko od Venice. Musieli się spotkać gdzie indziej.

– Cóż, chyba będziemy musieli ustalić to miejsce, jeżeli chcemy, żeby prokuratura zamknęła śledztwo.

– A jeśli przekazemy sprawę do mediów? Może ktoś się pojawi z informacją, jak się poznali.

Bosch się nad tym zastanawiał. Minęło dwadzieścia jeden lat. Szansa była niewielka, lecz nie chciał zarażać Lucy swym pesymizmem.

Ona jednak przejrzała jego myśli.

– Te wszystkie rodziny, które straciły dzieci, powinny znać prawdę – powiedziała. – Także rodzina Esi Gonzalez. Tej prawdziwej.

Wyjęła wycinek z rąk Boscha i zaczęła go studiować.

Nagle Harry coś sobie przypomniał i strzelił palcami. Ta rzecz uwierała go od dawna, już od rozmowy z Gusem Braleyem.

– Varsol – rzucił.

– Co?

– Właśnie sobie coś przypomniałem. Tamtego dnia, kiedy wybuchła strzelanina... Przyjechałem pod sam koniec, przydzielono mnie do grupy zabezpieczającej materiał dowodowy. Zająłem się ich samochodem.

Pokazał na zdjęcia mężczyzn.

– Miałem pilnować ich wozu, zanim go przejmą technicy. Co trwało dwie godziny, bo byli zajęci w wielu miejscach naraz, na przestrzeni, powiedzmy, pięciu przecznic. W każdym razie, tak sobie czekając, włożyłem gumowe rękawiczki i zacząłem grzebać w tym samochodzie. Na tylnym siedzeniu leżał wojskowy pled, którym coś przykryto. Odsunąłem go i zobaczyłem kilka sztuk broni, a także koktajl Mołotowa, zatknięty za pas bezpieczeństwa, żeby się nie ruszał.

– Zrobiony z varsolu?

– Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle analizowano go pod tym kątem, ale możemy to sprawdzić. Tak czy owak, obecność koktajlu Mołotowa to kolejne powiązanie między tymi facetami a sprawą Bonnie Brae.

Soto kiwnęła głową.

– Więc jakie jest twoje zdanie? Ana była od planowania czy tylko od brudnej roboty?

Bosch zastanawiał się chwilę, a potem potrząsnął głową.

– Trudno stwierdzić. Wygląda to tak, że Burrowsa i Boikę rozegrała jak profesjonalistka. Zbliżyła się do nich, wiedząc, że w sytuacji zagrożenia jej życia odpowiednio zareagują. Ale i nią mógł kierować któryś z tamtych dwóch gości. Tego chyba nigdy się nie dowiemy.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Bosch czuł, że Soto chce mu coś jeszcze powiedzieć. W końcu się odezwała.

– Myślałam, że to będzie wyglądać inaczej.

– Co?

– Odkąd zapragnęłam zostać policjantką, myślałam o rozwiązaniu tej sprawy. To mnie motywowało. A zarazem wypalało od wewnątrz, rozumiesz?

– Tak.

Pomyślał o tym, co kiedyś powiedział o otwieraniu drzwi płonącego pokoju.

– A teraz jestem tutaj – dodała Lucy.

– Rozwiązałaś sprawę.

– Ale... nie jest tak, jak myślałam, że będzie, kiedy snułam te wszystkie fantazje.

Bosch jedynie kiwnął głową. Po kilku chwilach Soto jakby odsunęła od siebie ponure myśli i przemówiła żywym głosem.

– Chyba skończyliśmy, co? Chcę jechać do domu, Harry.

Bosch ponownie skinął głową.

– Okej. Chodźmy.



Kiedy Harry pojawił się w pracy, zastał Lucy za biurkiem. Przyznała się, że właściwie siedziała tu od niedzieli. Przyszła napisać zbiorczy raport w sprawie pożaru na Bonnie Brae, przeznaczony dla kapitana Crowdera, a po zatwierdzeniu przez szefa – także dla prokuratora okręgowego, który musiał się podpisać pod decyzją o oficjalnym zamknięciu dochodzenia. Nie doszło do aresztowania i skazania osób odpowiedzialnych. Bosch powierzył sporządzenie tego raportu Lucy, ponieważ to było jej, poniekąd prywatne, śledztwo.

Dwunastostronicowy dokument był wnikliwy i wyczerpujący i czytając go, Harry przyłapał się na tym, że cały czas kiwa nieświadomie głową. Co prawda nadal nie udało im się znaleźć jednoznacznego dowodu potwierdzającego związek między Aną Acevedo i dwoma mężczyznami, którzy wznieśli pożar na Bonnie Brae, a potem dokonali napadu na placówkę EZBanku, lecz Lucy zebrała i zestawiała wszystkie fakty tak, że konkluzja wydawała się oczywista.

Bosch uznał, że Crowder nie odrzuci raportu, ponieważ z jego punktu widzenia nie miał on żadnych wad: kapitan będzie mógł ogłosić, że oto rozwiązał jedną z najważniejszych spraw, a proces sądowy, podczas którego wszystko może się zdarzyć, nie dojdzie do skutku. Dla Crowdera wszystko ułożyło się idealnie. Mimo to Harry zdawał sobie sprawę, że kolejny krok będzie dużo trudniejszy. Prokurator tak łatwo nie podpisze zamknięcia śledztwa, gdy brakuje przyznania się do winy, twardych dowodów oraz wskazania bezpośredniego związku między wszystkimi osobami zamieszanyymi w przestępstwo.

Z drugiej jednak strony Bosch wiedział, że istnieją sposoby radzenia sobie z prokuraturą. Zamknięcie tej sprawy stanie się głównym tematem w mediach – nie tylko z powodu licznych ofiar śmiertelnych oraz ustalenia tożsamości również nieżyjących już sprawców, lecz także przez wzgląd na śledczą, która prowadziła dochodzenie. Raport Soto ujawniał jej osobisty związek z pożarem. Wszystkie te fakty można było wykorzystać do

skłonienia prokuratury, aby sprawę oficjalnie zamknęła.

Gdy Hary skończył czytać raport po raz drugi, miał do Lucy tylko jedno pytanie.

– Jesteś pewna, że chcesz ujawnić, co cię z tym wszystkim łączy?

– Tak. To moja historia. Nawet jeśli będę miała przez to kłopoty, nadszedł już odpowiedni moment.

Bosch skinął głową. Nie zamierzał odwozić jej od tego zamiaru. Soto miała rację. To była jej historia i czas było ją opowiedzieć. Nawet jeśli przy okazji miało wyjść na jaw, że starając się o przyjęcie do policji, Lucy zataiła fakt, iż głównym motywem podjęcia przez nią pracy w organach ścigania jest chęć wyjaśnienia sprawy pożaru na Bonnie Brae.

Telefon na biurku zabrzączał, Bosch podniósł słuchawkę. Dzwonił Crowder.

– Harry, chcę, żebyś tu do mnie przyszedł.

– Dobrze – odrzekł Bosch. – Właśnie mieliśmy do pana podskoczyć.

– Nie, przyjdź sam, od razu.

– Ale Soto przygotowała...

– Tylko ty.

Crowder rozłączył się, zanim Harry zdołał powiedzieć coś więcej. Bosch odłożył słuchawkę i poinformował Soto, że złożą raport Crowderowi trochę później. Następnie obszedł całą salę detektywów i wkroczył przez otwarte drzwi do gabinetu kapitana. Porucznik Samuels siedział na jednym z foteli przed biurkiem.

– Spocznij sobie, Harry – rzekł Crowder.

– Nie trzeba, postoję – odparł Bosch.

– Cóż, nie chciałbym, żebyś się wściekł, jak to usłyszysz.

– Co usłyszę?

– Miałem właśnie telefon z prokuratury. Nie będą wszczynać postępowania przeciwko Zeyasowi.

Bosch potrzebował chwili, żeby przetrwać tę wiadomość i sformułować odpowiedź.

– Tchórze – powiedział. – Pieprzone gnojki.

– Słuchaj – rzekł Crowder. – Facet, który do mnie dzwonił, nazywa się Boland, mówił, że materiał dowodowy jest za słaby, żeby doprowadzić do skazania. Samo nagranie nie wystarczy, bo Zeyas nie powiedział niczego, co w jakikolwiek sposób by go obciążało. Totalnie ograł Spivaka. A wszystkie

tak zwane dowody dostarczone przez tego gościa to bzdury, które każdy adwokat w tym kraju z łatwością obaliby przed sądem. W razie procesu Zeyas miałyby wygraną w kieszeni, zwłaszcza gdyby sprawę rozpatrywała ława przysięgłych z Eastside.

Bosch wzruszył ramionami, jakby wiadomość ta stanowiła jedynie drobny powód do irytacji.

– Przekażę dokumenty komuś innemu w prokuraturze – powiedział. – Boland to gówniarz, który boi się własnego cienia. Albo został przekupiony.

– Nie, Harry, nikomu niczego nie przekażesz – oświadczył Crowder. – To nie Boland podjął decyzję. Przyszła z góry. Sprawa skończona. Lucy Farciara załatwiła Broussarda, dlatego nie ma dalszego ciągu. Śledztwo umorzone. Może pocieszysz cię fakt, że Zeyas nie ma szans na stanowisko gubernatora, a pozostali kandydaci nie chcą już zatrudniać u siebie Spivaka. Nie po tym, jak „Times” przez ostatnie dwa tygodnie wałkował tę sprawę.

Virginia Skinner, która zajmowała się w „Timesie” tą aferą, dobrze wyszła na zawartej z Boschem umowie. Wszystko to jednak nie miało w tej chwili znaczenia. Nagle Harry poczuł, że ma już serdecznie dość.

– To wszystko? – spytał. – Skończyliśmy?

– Nie, nie skończyliśmy – odrzekł Crowder. – Poruczniku?

Samuels podniósł się i stanął przed Boschem. Sprawiał wrażenie, że to, co ma za chwilę powiedzieć, wypowie z wielkim zadowoleniem. Nie wróżyło to Harry’emu niczego dobrego.

– Detektywie, proszę położyć broń i odznakę na biurku kapitana – polecił.

– O czym pan mówi?

– Pistolet i odznakę na biurko, detektywie. Już. W wyniku wewnętrznego dochodzenia zostaje pan zawieszony w obowiązkach.

Bosch rzucił okiem na Crowdera. Kapitan przyglądał mu się z niezmaconym spokojem. Harry nie mógł liczyć na żadną pomoc z tej strony. Samuels, cały czas wskazując na biurko, stał sztywno wyprostowany, jakby w razie konieczności gotów był zastosować przymus fizyczny. Był znacznie większy, szerszy i młodszy od Boscha. Trudno byłoby mu się przeciwstawić.

Bosch powoli wyjął broń z kabury i położył ją na biurku. To samo uczynił z odznaką. Crowder sięgnął po nie szybko i schował w szufladzie.

– Nie wiem, o czym mówicie ani co rzekomo zrobiłem – powiedział

Harry. – Ale Soto i ja mamy właśnie wyjaśnić najważniejszą sprawę od dwudziestu lat, a wy wyjdziecie na...

– Chcesz wiedzieć, o czym mówię? – przerwał mu Samuels. – Zaraz ci pokażę. Przed chwilą odtwarzałem to nagranie kapitanowi.

Samuels podszedł do stojącego na szafce telewizora, złapał pilota i wcisnął klawisz „play”. Na ekranie ukazał się spowity mrokiem pokój. W tle widać było prostokątne, ciągnące się od podłogi do sufitu przeszklone okno, a obok zamknięte drzwi. Przez szybę wpadało do środka nieco światła.

– Kapitan Gandle z Sekcji Rozbojów zbiera długopisy, wiedziałeś o tym? – zapytał Samuels.

– Nie, nie wiedziałem – odrzekł Bosch. – Kogo to niby obchodzi?

– No cóż, obchodzi kapitana Gandle’a, a problem polega na tym, że do jego gabinetu ciągle ktoś wchodzi i kradnie mu te długopisy. Niektóre z nich są warte kupę forsy, więc kapitan kupił sobie kamerkę, taką do podglądania opiekunek do dzieci, i zainstalował na półce w swoim gabinecie. Popatrz, co się nagrało.

Na ekranie otworzyły się drzwi i zapaliło górne światło. Do pokoju wszedł Bosch. Wrzucił coś do kosza na śmieci, po czym zbliżył się do regałów z kronikami kryminalnymi.

– Mamy tu włamanie i wtargnięcie, Bosch – powiedział Samuels. – Powinieneś skontaktować się z przedstawicielem swojego związku zawodowego, będzie ci teraz potrzebny.

– To jakaś bzdura – rzekł Bosch. – Musiałem zajrzeć do tych papierów. Nie wziąłem stamtąd żadnej pieprzonej rzeczy.

– Zasady to zasady – skwitował Samuels. – Drzwi były zamknięte na klucz, a ty się włamałeś. Kapitan Gandle znalazł w koszu na śmieci twój powyginany spinacz. To wtargnięcie, niezależnie od tego, czy coś zabrałeś, czy nie. I tak masz szczęście, że nie jesteś aresztowany, bo nasz obecny tu kapitan wielkodusznie uznał, że to nie będzie konieczne.

Bosch kolejny raz popatrzył na Crowdera.

– Nic nie powiesz? – zapytał.

– Harry, o co ci, kurwa, chodzi? – warknął Crowder. – Włamałeś się do gabinetu kapitana. Naprawdę musiałeś? Czy jakakolwiek sprawa wymaga czegoś takiego?

– Idź do domu, Bosch – powiedział Samuels. – Jesteś zawieszony na czas trwania śledztwa. Zostaniesz powiadomiony o wynikach postępowania

przeciwko tobie oraz o terminie ewentualnego przesłuchania przed Komisją Dyscyplinarną.

Bosch był tak zaskoczony, że prawie odjęło mu mowę.

– Idź do domu – powtórzył Samuels. – Mam tylko nadzieję, że nie wciągnąłeś swojej partnerki w te nieczne działania. Nie chciałbym stracić dobrze zapowiadającej się młodej funkcjonariuszki.

Bosch znalazł w sobie dość siły woli, by wstać. Odwrócił się i skierował ku drzwiom. Samuels go zatrzymał.

– Wiesz, Bosch, ktoś, kto ma do emerytury tak mało jak ty, powinien raczej myśleć o świętym spokoju, a nie babrać się w gównie – rzucił. – Odsłużyłeś swoje. Po co ci to całe zawracanie głowy?

Bosch spojrział na Samuela. Porucznik wykonał gest, jakby zrywał odznakę z bluzy swojego munduru.

– Słabo ci to wyszło, Samuels – powiedział. – Cały jesteś słaby.

Powoli wyszedł z gabinetu i zaczął iść w stronę swojego biurka. Czuł na sobie kilka par oczu. Ludzie widzieli przez szybę, jak oddaje odznakę i broń. Wieść szybko się rozeszła. Tego typu zdarzenie nie mogło zostać niezauważone w sali pełnej detektywów.

Soto siedziała przy biurku w ich wspólnym boksie. Gdy Bosch wszedł, odwróciła się w fotelu.

– Co się stało, Harry? – zapytała. – Podobno oddałeś pistolet i odznakę.

Bosch przysunął swój fotel bliżej niej, usiadł i się nachylił.

– Jestem zawieszony.

– Co? – wykrzyknęła. – Za co?

– Posłuchaj mnie. Kiedy przyjdą i zapytają cię o ten dzień, w którym włamałem się do gabinetu kapitana Sekcji Rozbojów, powiesz im, że ciebie tam nie było. Że trzymałaś się z dala, a ja poszedłem sam. Rozumiesz?

– Nie, Harry, nie zamierzam...

– Musisz tak zrobić, Lucio. Ja zeznam to samo. Ciebie tam nie było. I wiesz co? Naprawdę cię tam nie było. Stałaś w holu. Jeśli przyjdzie ktoś z Komisji Etyki Zawodowej, powiesz mu, że siedziałaś za swoim biurkiem. Okej?

– Okej.

Bosch rzucił okiem w kierunku gabinetu kapitana. Samuels stał w drzwiach i go obserwował. Harry domyślił się, że ma tylko pięć minut, zanim porucznik wezwie dwóch policjantów z patrolu i każe go wyprowadzić

z budynku.

– Przerabiałem to już parę razy. Uważaj na siebie, a nic ci nie zrobią. Ja też się wywinę – powiedział do Soto, po czym, niemal półszepem, dodał: – O ile będzie mi się chciało.

Odsunął swój fotel w kierunku biurka i zebrał kilka osobistych drobiazgów – przede wszystkim zdjęcia swej córki. Nie wiedział, czy jeszcze kiedyś usiądzie za tym biurkiem.

Zza przepierzenia boks wyjrzał Tim Marcia.

– Hej, Harry, mogę zająć twoje miejsce na parkingu, dopóki nie wrócisz? Udało mu się wywołać uśmiech na twarzy Boscha.

– Chrzań się.

Harry spakował wszystko do aktówki i gdy był już gotów do wyjścia, popatrzył na Soto, która siedziała na swoim fotelu i nie spuszczała go z oka.

– To nie jest fair – powiedziała.

Bosch podszedł, nachylił się i położył jej rękę na ramieniu.

– Tu nie idzie o to, czy coś jest fair, czy nie – rzekł. – Dam sobie radę. Musisz pamiętać, że jesteś świetnym detektywem. Masz do tego smykałkę. Nie pozwól, żeby ci durnie cię stłamsili. Masz tu do załatwienia parę spraw, Lucy.

Skinęła głową.

– Dobrze – powiedziała. – Ale chce mi się płakać.

– Nie rób tego – poprosił Bosch. – Lepiej zanieś swój zbiorczy raport kapitanowi i zamknij sprawę. Ciesz się sukcesem przez dzień albo dwa, a potem wracaj do roboty. Spiesz się, bo czeka na ciebie zaledwie dziesięć tysięcy spraw.

Ponownie kiwnęła głową i spróbowała się uśmiechnąć, lecz bezskutecznie. Nie była zdolna nic powiedzieć.

Bosch uścisnął jej ramię, wziął z fotela aktówkę i ruszył w kierunku wyjścia. Nim tam dotarł, usłyszał za plecami klaskanie. Odwróciwszy się, zobaczył Soto, która stała przy biurku i biła brawo.

Po chwili z boks wyłonił się Tim Marcia i również zaczął klaskać. Potem to samo zrobił Mitzi Roberts, a po nim pozostali detektywi. Bosch oparł się plecami o drzwi, by je otworzyć. Kiwnął im głową na znak podziękii, uniósł zaciśniętą pięść na wysokość piersi i nią potrząsnął. A potem przeszedł przez drzwi i zniknął.

# Podziękowania

Autor pragnie podziękować kilkunastu osobom, które w rozmaity sposób przyczyniły się do powstania tej książki. Są to:

Detektywi: Rick Jackson, Tim Marcia, Mitzi Roberts.

Redaktorzy: Asya Muchnick, Bill Massey, Pamela Marshall.

Kwerendarz: Dennis „Cisco” Wojciechowski.

Rodzina: Linda Connelly, McCaleb Connelly i wszyscy pozostali członkowie rodziny Connellych.

Czytelnicy: Terrill Lee Lankford, Henrik Bastin, John Houghton.

Zespół wsparcia: Heather Rizzo, Jane Davis, Mary Mercer, Sue Lillich.

Ze strony Wydawcy: liczne osoby z Hachette Book Group, które ciężko pracowały nad tą i wieloma innymi książkami wcześniej.

Bez was jej autor niczego by nie dokonał.

Zdrówko wszystkim.